



**JOY FIELDING**



*LALCZKA*

# 1

Oto kilka rzeczy, które lubi Amanda Travis: czarny kolor; spędzanie przerwy na lunch w klubie fitness przy Clematis Street w centrum Palm Beach; swoją białą, jednoosobową sypialnię; mieszkanie z widokiem na ocean w Jupiterze; uległych członków ławy przysięgłych; mężczyzn nierozumianych przez żony.

Oto czego nie lubi: koloru różowego; dni, gdy za sięgającymi od sufitu po podłogę oknami jej mieszkania temperatura spada poniżej osiemnastu stopni Celsjusza; klientów którzy nie słuchają jej rad; koloru szarego; kiedy w barze proszą ją, żeby pokazała dowód osobisty; wszelkiego rodzaju przezwisk.

Jest jeszcze coś, czego nie lubi: śladów po zębach. Zwłaszcza wyraźnych, takich, które widać nawet po kilku dniach i które przypominają fioletowy tatuaż między siniakami w kolorze musztardy; śladów, które uśmiechają się do niej ze zdjęć leżących na stoliku tuż pod jej nosem.

Amanda odgarnia z twarzy jasne, długie do ramion włosy i wsuwa odrażające zdjęcia pod plik żółtych kartek, potem bierze do ręki ołówek i udaje, że zapisuje coś ważnego, chociaż w rzeczywistości notuje: „Kupić pastę do zębów”. Robi to z myślą o członkach ławy przysięgłych - na wypadek, gdyby któryś z nich ją obserwował. Zresztą szczerze w to wątpi. Tego ranka zdążyła już przyłapać na drzemce jednego z ławników - mężczyznę w średnim wieku o przeredzonych rudych włosach i fryzurze w stylu Ronalda Reagana.

Amanda z westchnieniem odkłada ołówek, opiera się o krzesło i z dezaprobatą wydyma wargi. Tylko trochę, na tyle, żeby zasygnalizować ławnikom, co myśli o składanych właśnie zeznaniach. Chciałaby po prostu, żeby nie przywiązywali do nich zbyt wielkiej wagi.

- Krzyczał - mówi kobieta, która stoi w miejscu dla świadków i jedną ręką bezwiednie pociąga za włosy.

Co chwila zerka w stronę stolika obrony, szarpie za platynowe loki, ukazując czarne odrosty, i owija włosy wokół palców z przyklejonymi kwadratowymi paznokciami.

- Zawsze z byle powodu na mnie krzyczał.

Amanda ponownie bierze ołówek do ręki, po czym dodaje do listy zakupów makaron i ser. Potem przypomina sobie o soku pomarańczowym, dopisuje go, a ostatnią literę zakańcza ogromnym zawijaszem, jakby właśnie przypomniwała sobie najważniejszy paragraf. Z powodu zamaszystego ruchu zdjęcia wysuwają się spod notesu i dziewczyna znów ma przed oczami utrwalone na kliszy ślady zębów swojego klienta na skórze świadka.

Owe ślady stanowią gwóźdź do trumny.

Może inaczej zinterpretować fakty, zbagatelizować znaczenie dowodów, przytłoczyć ławników nieistotnymi szczegółami i nie zawsze uzasadnionymi wątpliwościami, ale w żaden sposób nie uda jej się zakwestionować tych okropnych zdjęć. To one przesądzą o losie klienta

Amandy i zbrukają jej czystą dotychczas kartotekę, w której po prawie roku samych zwycięstw teraz zapisany zostanie jeden jedyny nieszczęsny i zdecydowany wyrok skazujący.

Niech diabli wezmą Dereka Clemensa! Czy musiał zostawiać takie wyraźne ślady?

Pani adwokat poklepuje dłoń siedzącego obok mężczyzny. Następne zagranie z myślą o ławie przysięgłych, chociaż trudno uwierzyć, by któryś z ławników naprawdę dał się na to nabrać. Z pewnością wystarczająco często oglądają telewizję, by znać różne sztuczki prawnicze: udane oburzenie, pełne współczucia spojrzenia, niedowierzające potrząsanie głową. Amanda cofa rękę i pod stolikiem ukradkiem wyciera palce w czarną lnianą spódnicę, jakby chciała zetrzeć z nich ślady klienta. Ależ z ciebie idiota - myśli z uspokajającym uśmiechem na twarzy. Nie mogłeś się opanować? Musiałeś ją ugryźć?!

Oskarżony odpowiada pełnym wdzięczności uśmiechem, chociaż nie rozchyła warg. Wkrótce ławnicy i tak zobaczą wszystkie zęby Dereka Clemensa i nie tylko zęby.

Dwudziestoosmioletni mężczyzna jest rówieśnikiem Amandy i tak samo jak ona ma sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Mają nawet ten sam kolor włosów i podobne, zimnobłękitne oczy, chociaż jej tęczówki są nieco ciemniejsze, a jego jaśniejsze, bardziej pastelowe. W innych, może nieco miłszych okolicznościach Amanda Travis i Derek Clemens mogliby uchodzić za brata i siostrę, nawet za bliźniaki dwujajowe.

Amanda odsuwa od siebie niemiłą refleksję i z radością przypomina sobie, że była jedynaczką. Obraca się na krześle i spogląda w stronę dużych okien na tyłach sali sądowej. Na zewnątrz jest typowy letni dzień na południowej Florydzie: turkusowe niebo, ciepłe powietrze, kusząca plaża. Młoda kobieta chętnie podeszłaby do okna, oparła głowę o barwioną szybę i spojrzała na Intracoastal Waterway oraz bezkresny ocean. Tylko w Palm Beach można z okien sali sądowej zobaczyć równie piękny widok jak z drogiego apartamentu na ostatnim piętrze najlepszego hotelu.

Amanda siedzi w sali sądowej 5C w County Court House w Palm Beach obok kryminalisty oskarżonego o pobicie swojej narzeczonej - człowieka, któremu postawiono ni mniej, ni więcej, tylko pięć zarzutów, łącznie z gwałtem i grożeniem śmiercią. Co dziwne, pani adwokat woli to niż opalanie się na chłodnym piasku obok bezbarwnej, przekarmionej zięby amerykańskiej. Zazwyczaj po kilku minutach leżenia na plecach i pozwalania, by drobne fale obmywały jej gołe stopy, Amanda z krzykiem pędzi na rozgrzany chodnik.

- Chciałbym, żeby po kolei odtworzyła pani wydarzenia, jakie zaszły rano szesnastego sierpnia, panno Fletcher - mówi prokurator.

Głęboki baryton jak kusocielskie westchnienie kochanka w ułamku sekundy sprowadza Amandę z powrotem na salę sądową.

Caroline Fletcher kiwa głową i nadal bawi się za mocno utlenionymi włosami. Jej silikonowe piersi napierają na guziki perwersyjnie konserwatywnej błękitnej bluzeczki. Na korzyść obrony przemawia fakt, że była kochanka oskarżonego o napaść Dereka Clemensa

wygląda jak striptizerka, chociaż w rzeczywistości pracuje w salonie fryzjerskim. Amanda uśmiecha się, doskonale zdając sobie sprawę, że praca jest mniej ważna niż wygląd. W sądzie, tak samo jak w życiu, pozory liczą się o wiele bardziej od samej istoty rzeczy. W końcu są to jedynie pozory sprawiedliwości, nie sprawiedliwość, i trzeba dopilnować, żeby tak pozostało.

- Szesnastego sierpnia?

Młoda kobieta odsuwa językiem gumę, którą ukradkiem żuje przez cały czas składania zeznań.

- W dniu napaści - przypomina prokurator, podchodząc bliżej i pochylając się nad głównym świadkiem.

Tyrone King ma prawie dwa metry wzrostu, czekoladową skórę i lśniącą łysinę. Gdy ponad rok temu Amanda zaczęła pracować w firmie prawniczej Beatty and Rowe, dotarły do niej słuchy, że przystojny prokurator jest bratankiem Martina Luthera Kinga. Gdy go o to spytała, powiedział ze śmiechem, że o pokrewieństwo z zamordowanym przywódcą murzyńskim podejrzewani są wszyscy ciemnoskórzy mężczyźni z Południa o nazwisku King.

- Zeznała pani, że oskarżony przyszedł do domu z pracy w fatalnym humorze.

- On zawsze był w fatalnym humorze.

Amanda unosi się z krzesła i zgłasza sprzeciw z powodu uogólnienia.

- W jaki sposób objawiał się jego zły nastrój? Kobieta wyraźnie nie wie, co powiedzieć.

- Może podnosił głos? Albo krzyczał?

- Oberwało mu się w pracy od szefa, więc po przyjściu do domu postanowił odegrać się na mnie.

- Sprzeciw!

- Przyjmuję sprzeciw.

- O co miał pretensje, panno Fletcher? Przesłuchiwana wbija wzrok w sufit.

- Powiedział, że w domu jest bałagan, że nigdy nie ma nic do jedzenia, że rzygać mu się chce, gdy musi pracować na nocną zmianę, a potem przychodzi do zagraconego mieszkania i nawet nie ma co zjeść na śniadanie.

- Co pani zrobiła?

- Powiedziałam mu, że nie mam czasu na wysłuchiwanie jego żalów, bo muszę iść do pracy. Wtedy oznajmił mi, że nigdzie nie pójdę i nie zostawię go na cały dzień z niemowlęciem, bo on musi się przespać. Przypomniałam mu, że nie mogę zabrać dziecka na cały dzień do salonu fryzjerskiego. Wtedy się na mnie rzucił.

- Może nam pani dokładnie opowiedzieć, co się stało?

Kobieta wzrusza ramionami i nerwowo przesuwając gumę do żucia z boku na bok.

- Nie pamiętam zbyt dokładnie.

- Proszę nam powiedzieć w takim razie to, co pani pamięta.

- Zaczęliśmy na siebie krzyżeć. Powiedział, że nic w domu nie robię, że przez cały dzień tylko siedzę na swoim kościstym tyłku i że jeśli nie mam zamiaru sprzątać ani gotować, to mogłabym przynajmniej przykłęknąć i zrobić mu... - Caroline Fletcher przerywa, prostuje plecy i błagalnie spogląda na ławników. - No wiecie, co.

- Żądał seksu oralnego? Kobieta potakująco kiwa głową.

- Faceci bardzo to lubią.

Siedem kobiet z ławy przysięgłych chichocze ze zrozumieniem, Amanda również, ale zasłania ręką usta i postanawia nie zgłaszać sprzeciwu.

- Co się stało potem? - pyta prokurator.

- Zaczął mnie ciągnąć w stronę sypialni. Wciąż mu powtarzałam, że się nie zgadzam, że nie mam czasu, ale mnie nie słuchał. Potem przypomniałam sobie film, który oglądałam w telewizji. Tam była taka dziewczyna, chyba Jennifer Lopez, ale nie jestem pewna... Kiedy facet na nią napadł, zauważyła, że im bardziej ona się broni, tym bardziej on się nakręca i coraz gorzej ją traktuje, więc przestała walczyć. Tak go to zaskoczyło, że udało jej się uciec. Postanowiłam postąpić tak samo.

- Przestała się pani bronić? Caroline Fletcher ponownie przytakuje.

- Udałam, że się poddaję, a potem, kiedy dotarliśmy do drzwi sypialni, odepchnęłam go, wbiegłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi na klucz.

- Co wtedy zrobił Derek Clemens?

- Był potwornie wściekły. Zaczął walić w drzwi i krzyżeć, że zabije mój tyłek.

- Jak pani zrozumiała jego słowa?

- Że ma zamiar zabić mój tyłek - wyjaśnia Caroline Fletcher.

Amanda patrzy prosto na ławników. Jej oczy sugerują, że nie powinni zbyt poważnie traktować tego rodzaju grózb. Po chwili pani adwokat znów bierze ołówek do ręki i dopisuje do listy zakupów otręby.

- Proszę kontynuować, panno Fletcher.

- Tak głośno krzyżał i walił w drzwi, że obudził Tiffany. Mała zaczęła płakać.

- Kim jest Tiffany?

- To nasza córeczka. Ma piętnaście miesięcy.

- Gdzie w tym czasie była Tiffany?

- W swoim łóżeczku. W salonie. Tam gdzie zwykle. W naszym mieszkaniu była tylko jedna sypialnia, a Derek twierdził, że potrzebuje prywatności.

- A zatem jego krzyki obudziły dziecko.

- Jego krzyki obudziły cały cholerny dom.

- Sprzeciw!

- Podtrzymuję.

- Co było potem?

- No cóż, zrozumiałam, że jeśli nie otworzę drzwi, on je po prostu wyłamie, więc powiedziałam, że go wpuszczę. Wcześniej jednak musiał mi obiecać, że się uspokoi. Obiecał. W domu zrobiło się cicho, słychać było jedynie płacz dziecka, więc otworzyłam drzwi... Nim się zorientowałam, był już na mnie, okładał mnie pięściami i rozrywał mi sukienkę.

- Czy to ta sukienka?

Prokurator oddała się od świadka i podnosi ze stolika bezkształtną, szarą dżersejową sukienkę, która najlepsze czasy zdecydowanie ma już za sobą. Tyrone King pokazuje ją świadkowi, a potem ławie przysięgłych.

- Tak, to ona.

Amanda opiera się o krzesło, jakby chciała pokazać, że to jej zdaniem żaden dowód. Ma nadzieję, iż ławnicy tak samo jak ona nie będą przywiązywali zbyt wielkiej wagi do dwóch lekko naderwanych szwów na dolnym brzegu sukienki - rozdarć, które równie dobrze mogły powstać podczas ubierania.

- Co się stało, gdy oskarżony rozerwał pani sukienkę?

- Rzucił mnie na łóżko, na brzuch, i ugryzł mnie.

W rękach prokuratora pojawiają się odrażające zdjęcia. Tyrone King przedstawia je jako dowód i podaje przysięgłym. Amanda obserwuje ławników, którzy oglądają ślady pozostawione przez zęby Dereka Clemensa na plecach Caroline Fletcher. Na ich twarzach pojawia się obrzydzenie, chociaż starają się zachować pozory bezstronności.

Jak zwykle ławnicy stanowią dość zróżnicowaną grupkę: stary żydowski emeryt siedzi między dwiema czarnymi kobietami w średnim wieku; starannie ogolony mężczyzna o hiszpańskich rysach twarzy i w krawacie zajmuje miejsce obok młodzieńca w podkoszulku, dżinsach i z końskim ogonem; jest też czarnoskóra kobieta z białymi włosami i biała kobieta z czarnymi włosami, grubas, chudzielec, nadgorliwiec i osoba zblazowana. Łączy ich tylko jedno - pogarda, z jaką przenoszą wzrok ze zdjęć na oskarżonego.

- Co się stało potem, gdy panią ugryzł?

Caroline Fletcher waha się, wbija wzrok w swoje stopy.

- Obrócił mnie na plecy i odbył ze mną stosunek.

- Zgwałcił panią? - pyta prokurator, delikatnie zmieniając sens jej wypowiedzi.

- Tak, zgwałcił mnie.

- Zgwałcił panią - powtarza Tyrone King. - Co było potem?

- Kiedy skończył, zadzwoniłam do salonu fryzjerskiego. Musiałam ich uprzedzić, że się spóźnię. Wtedy wyrwał mi telefon z ręki i rzucił nim w moją głowę.

Dlatego też został potem oskarżony o napad z bronią w rękę - myśli Amanda, dopisując do listy zakupów uzasadnione pytanie: „Zadzwoniła pani do salonu fryzjerskiego, a nie na policję?”

- Rzucił telefonem w pani głowę - powtarza prokurator.

Powtarzanie przez niego słów Caroline staje się męczącym obyczajem.

- Tak, sir. Telefon uderzył mnie w skroń, upadł na podłogę i rozbił się.

- Co się działo potem?

- Przebrałam się i poszłam do pracy. Rozdarł mi sukienkę - przypomina panna Fletcher ławnikom - więc musiałam ją zmienić.

- Zgłosiła pani całe zajście na policji?

- Tak, sir.

- Kiedy?

- Po dwóch dniach. Znów zaczął mnie bić, wtedy mu powiedziałam, że jeśli nie przestanie, pójdę na policję. Nie przestał, więc poszłam.

- Co powiedziała pani policji?

Caroline Fletcher sprawia wrażenie zażenowanej.

- To, co usłyszeliście wcześniej z ust oficera.

Chodzi jej o sierżanta Dana Petersona, poprzedniego świadka, człowieka tak krótkowzrocznego, że przez cały czas składania zeznań nie wychylał głowy z notatek.

- Powiedziała mu pani o gwałcie?

- Powiedziałam, że pokłóciliśmy się z Derekiem, że Derek wciąż mnie bije i w ogóle... A potem sierżant zrobił kilka zdjęć.

Tyrone King unosi długi, elegancki palec, dając Caroline sygnał, żeby zaczekała. Po chwili odnajduje kilka następnych zdjęć i podsuwa je kobiecie pod nos.

- Czy to są zdjęcia, które wykonał policjant?

Caroline krzywi się na widok fotografii. Dobre zagranie - myśli pani adwokat, niemal słysząc, jak Tyrone King szepcze swoim uwodzicielskim barytonem: „Proszę nie ukrywać uczuć. Ważne, by okazała pani zażenowanie”.

Amanda wbija wzrok w kolana i próbuje sobie wyobrazić, że spogląda na zdjęcia oczami przysięgłych. Tak naprawdę nic tam nie ma. Kilka zadrapań na twarzy, które równie dobrze mogły zostawić paluszki niemowlęcia, znikający fioletowy siniak na prawym ramieniu, ślad, który mógł powstać w każdej innej sytuacji. Prawdę mówiąc, żaden dowód poważnego pobicia. Co więcej, nie wskazuje bezpośrednio na jej klienta.

- Potem powiedziałam policjantowi, że Derek mnie ugryzł - ciągnie Caroline, tym razem bez zachęty prokuratora. - Wtedy sfotografował moje plecy i spytał, czy Derek napastował mnie seksualnie. Odparłam, że nie jestem pewna.

- Nie była pani pewna?

- No cóż, mieszkaliśmy ze sobą od trzech lat. Mamy dziecko. Dopiero od sierżanta Petersona dowiedziałam się, jakie przysługują mi prawa.

- Wtedy też postanowiła pani wnieść oskarżenie przeciwko Derekowi Clemensowi?

- Tak, sir. Złożyłam zeznanie, a potem policjanci odwieźli mnie z powrotem do domu i aresztowali Dereka.

Nagle odzywa się jakiś telefon, zakłócając podniosłą atmosferę sali sądowej. Słysząc melodię. *Camptown ladies sing dis song... Doo-dah! Doo-dah!* Potem znów. *Camptown ladies sing dis song...*

Amanda zerka na swoją torebkę, która leży u jej stóp. Na pewno nie zostawiła włączonego telefonu, przynajmniej ma taką nadzieję, mimo to podobnie jak kilka kobiet z ławy przysięgłych sięga do torebki. Mężczyzna o hiszpańskich rysach wsuwa dłoń do kieszeni kurtki. Prokurator spogląda ze złością na swoją pomocnicę, ale ona potrząsa głową i robi okrągłe oczy, jakby chciała powiedzieć: „To nie ja”.

*Camptown ladies sing dis song... Doo-dah! Doo-dah.*

- O mój Boże! - wykrzykuje nagle Caroline Fletcher.

Błada jak ściana, chwytając z podłogi ogromną płócienną torbę i przez chwilę w niej grzebie. Melodia przybiera na sile, staje się bardziej natrętna.

*Camptown ladies sing dis song...*

- Proszę mi wybaczyć - przeprasza Caroline sędziego, który z dezaprobatą spogląda znad drucianych okularów do czytania.

Kobieta wyłącza telefon komórkowy i wrzuca go z powrotem do torby.

- Powiedziałam ludziom, żeby nie dzwonili - wyjaśnia.

- Proszę po południu zostawić telefon w domu - proponuje sędzia szorstko, uznając, że warto wykorzystać szansę i zrobić przerwę na lunch. - Gumę do żucia również - dodaje, a potem ogłasza, że spotkają się ponownie o drugiej.

- Wybierzemy się gdzieś na lunch? - pyta Derek Clemens od niechcenia, podczas wstawania ocierając się o ramię Amandy.

- Nie jadam lunchu - odpowiada pani adwokat, wkładając dokumenty do aktówki. - Może pan wrzucić coś na ząb w sądowym bufecie. - Od razu żałuje doboru słów. - Spotkamy się za godzinę.

- Dokąd się pani wybiera? - słyszy zza pleców pytanie, ale jest już w połowie sali rozpraw.

Ocean cicho szemrze w oddali, gdy Amanda wychodzi na korytarz, a potem zbiega do wind po prawej. Jedna z nich właśnie się otwiera, co młoda kobieta uznaje za dobry znak. Wsiadając, spogląda na zegarek. Jeśli się pospieszy, zdąży na czas wpaść do klubu.

Biegając na południe Olive Street w stronę Clematis, sprawdza, czy ktoś nie zostawił jej jakichś wiadomości. Są trzy. Dwie od Janet Berg, która mieszka bezpośrednio pod nią i z której mężem pani adwokat kilka miesięcy temu miała krótki, mało znaczący romans. Czyżby Janet dowiedziała się o zdradzie męża? Amanda szybko kasuje obie wiadomości, potem wysłuchuje trzeciej, która na szczęście pochodzi od sekretarki, Kelly Jamieson.



Energiczną młodą kobietę o sterczących czerwonych włosach odziedziczyła po swojej poprzedniczce w Beatty and Rowe - prawnicze, której najwyraźniej nie odpowiadał fakt, że jest potwornie przepracowaną i żałośnie nisko wynagradzaną współpracowniczką w najpopularniejszej firmie adwokackiej w mieście, dlatego porzuciła praktykę i wyszła za mąż za podstarzałego kobieciarza.

Nie ma w tym nic złego - myśli Amanda, zbliżając się do rogu Olive i Clematis. Jej zdaniem rola młodziutkiej żony znacznie starszego mężczyzny to zajęcie godne szacunku.

Sama kiedyś też nią była.

Dzwoni do swojego biura i zaczyna mówić, nie czekając, aż sekretarka zdąży się odezwać.

- O co chodzi, Kelly?

Wchodzi na pasy, chociaż światła zmieniają się z pomarańczowych na czerwone.

- Dzwonił Gerald Rayner, żeby spytać, czy zgodzisz się na dalsze odroczenie sprawy Buforda; Maxine Fisher chce wiedzieć, czy może przyjść w następną środę o jedenastej zamiast w czwartek o dziesiątej; Ellie przypomina ci o jutrzejszym lunchu; Ron chce, żebyś przyszła na spotkanie w piątek; odebrałam też telefon od Bena Myersa z Toronto. Prosił, żebyś do niego zadzwoniła. Twierdzi, że to pilne. Zostawił swój numer.

Dziewczyna zatrzymuje się na środku ulicy.

- Co powiedziałaś?

- Dzwonił Ben Myers z Toronto - powtarza sekretarka. - Pochodzisz z Toronto, prawda?

Amanda zlizuje z górnej wargi kropelkę potu.

Słychać klakson, potem następny. Stara się stawiać jedną stopę przed drugą, ale dopiero gdy dostrzega, że do niej niecierpliwie podjeżdża kilka samochodów, jej nogi naprawdę zaczynają się ruszać.

- Laleczko! - słyszy wołanie z daleka, kiedy przebiega na drugą stronę ulicy pomiędzy posuwającymi się do przodu autami.

- Amando! Amando, jesteś tam?

- Zadzwoń do ciebie później.

Pani adwokat wyłącza telefon i wrzuca go z powrotem do torebki. Zatrzymuje się na parę sekund na chodniku, bierze kilka głębokich wdechów i wraz z wydechami stara się pozbyć wszystkiego, co przypomina jej o przeszłości. Gdy dociera do przeszklonych drzwi klubu, niemal nie pamięta już o rozmowie ze swoją sekretarką.

Oto jeszcze jedna rzecz, której nie lubi Amanda Travis: wspomnień.

## 2

Amanda przebiera się, związuje włosy w koński ogon i sznurowuje tenisówki. Zajęcia już się zaczęły, nie ma ani jednego wolnego roweru.

- Cholera! - mruczy pod nosem.

Poprawia czarne trykoty i nagle, ku swojemu zaskoczeniu, odkrywa, że jest bliska łez. Powinni mieć na sali więcej rowerów - myśli, dochodząc do wniosku, że osiem sztuk to za mało jak na tak popularny klub. Przez chwilę zastanawia się nad wyrzuceniem z siodełka którejś z kobiet - próbuje wybrać między dobrze zbudowaną nastolatką w pierwszym rzędzie i ponadpięćdziesięcioletnią kobietą, która pedałuje z ogromnym trudem i głośno sapie. Decyduje się na tę drugą, dochodząc do wniosku, że usunięcie jej z roweru będzie prawdopodobnie aktem litości. Biedna kobieta, może dostać zawału serca. Czyżby nie wiedziała, że zajęcia ruchowe są w zasadzie dla tych, którzy w rzeczywistości wcale ich nie potrzebują?

Przez kilka sekund stoi w drzwiach, z zazdrością przyglądając się poszczególnym paniom i po cichutku mając nadzieję, że w końcu któraś z nich dostrzeże w jej oczach desperację i odstąpi jej swoje miejsce. Czyżby nie wiedziały, że młoda kobieta ma bardzo mało czasu? Że w przeciwieństwie do większości ich musi za chwilę wrócić do pracy, że za godzinę powinna być w gmachu sądu i że rozpaczliwie marzy o czterdziestu pięciu minutach męczącego pedałowania, które pomogłoby jej rozładować nagromadzone od rana napięcie i nabrać sił na popołudniową sesję?

- A teraz, moje panie, biodra w górę! - woła instruktor, przekrzykując muzykę rockową.

Kobiety, nie zważając na to, że pot zalewa im błyszczące oczy i spływa do otwartych ust, posłusznie unoszą pośladki nad siodełka i pedałują mocniej, szybciej, mocniej, szybciej, próbując dotrzymać kroku instruktorowi. Z pobliskiego głośnika płynie piosenka Blondie.

Nagle Amanda przypomina sobie rozmowę z sekretarką i jej słowa: „Dzwonił Ben Myers z Toronto. Prosił, żebyś do niego zadzwoniła. Twierdzi, że to pilne”.

Szybko idzie na główną salę i wskakuje na pierwszą z brzegu pustą bieżnię. Urządzenie stoi na wprost okien, które wychodzą na ulicę. Amanda podkręca tempo tak, że aż musi biec. W strategicznych punktach sali stoją trzy telewizory. Wszystkie mają wyłączoną fonię, ale na dole ekranu bezustannie przewijają się napisy ze skrótem najświeższych wiadomości. Czuje, że zaczyna ją boleć głowa. Odwraca się, gdy prezenter podaje najświeższe informacje z Bliskiego Wschodu.

„Twierdzi, że to pilne” - dźwięczą jej w uszach słowa sekretarki.

- Cholera!

Ustawia największe nachylenie bieżni.

- Nie powinna pani tego robić - mówi mężczyzna, który staje obok niej.

Kobieta czuje ciepły oddech na gołym ramieniu.

- Czego nie powinnam robić? - pyta, nie patrząc w bok.

Nie zna tego głosu, dlatego próbuje sobie wyobrazić, jak wygląda nieznajomy.

Zakłada, że jest trzydziestolatkiem, ma ciemne włosy, brązowe oczy, porządne bicepsy i mocne uda.

- Przy tak stromo ustawionej bieżni łatwo o kontuzję. Wiem z własnego doświadczenia - dodaje mężczyzna, gdy Amanda ignoruje jego ostrzeżenie. - W ubiegłym roku właśnie w taki sposób nadwreżyłem sobie mięsień. Dopiero po sześciu miesiącach udało mi się odzyskać formę.

Amanda, nie zwalniając kroku, zerka w bok i z zadowoleniem stwierdza, że nieznajomy wygląda niemal tak, jak go sobie wyobrażała, jedynie jest bliższy czterdziestki niż trzydziestki, a jego oczy mają zielony, a nie brązowy kolor. Jest przystojny i aż do przesady zadbany. Chyba nigdy nie rozstaje się z suszarką do włosów. Widywała go tu wcześniej i już kilkakrotnie przechwyciła jego spojrzenie. Skruszona, naciska guzik i zmniejsza nachylenie bieżni.

- Tak lepiej?

- Prawdę mówiąc, jeszcze lepiej by było, gdyby w ogóle nie stosowała pani żadnego przechyłu. I bez niego biegnie pani z ogromnym wysiłkiem. Przy nachyleniu następuje dodatkowe obciążenie mięśni pachwin.

- Nie chciałabym ich nadwreżyć. - Ustawia bieżnię poziomo. - Dziękuję.

Zastanawia się, ile czasu minie, nim nieznajomy jej się przedstawi. Nie kończy jeszcze tej myśli, kiedy słyszy:

- Carter Reese.

- Amanda Travis.

Zerka na mężczyznę, który wchodzi na sąsiednią bieżnię. Ma szerokie barki, dobrze umięśnione nogi, grubą szyję. Trudno wykluczyć, że podczas studiów grał w futbol. Teraz woli golf i jest trenerem. Najprawdopodobniej pracuje jako doradca inwestycyjny. Sądząc po braku obrączki, jest od niedawna rozwiedziony albo w separacji. Ma dwójkę dzieciaków. Nie interesuje go poważny związek. Dziewczyna ocenia, że Carter będzie potrzebował trzech minut, by zaproponować jej drinka.

- Ludzie mówią na ciebie Mandy?

- Nigdy.

- W takim razie w porządku. Niech będzie Amanda. Często tu przychodzisz? - pyta pół żartem, pół serio.

Na jej ustach pojawia się uśmiech. Lubi mężczyzn, którzy postępują według utartych wzorców.

- Tak często, jak mogę.
- Przeważnie widuję cię na szalonych rowerach.
- Niestety, dzisiaj trochę się spóźniłam. Wszystkie były zajęte.
- Mieszkasz gdzieś w pobliżu?
- W Jupiterze. A ty?
- W West Palm. Nie wmówisz mi, że pokonujesz taki szmat drogi tylko po to, żeby

poćwiczyć.

- Nie. Przychodzę podczas przerwy w pracy.
- Czym się zajmujesz?
- Jestem prawniczką.
- Naprawdę? Niesłychane. Amanda uśmiecha się promiennie.
- Co cię tak dziwi? Czyżby Carter z niej szydził.
- Zawsze podziwiam prawniczki o wspaniałych nogach - uściśla mężczyzna.

Uśmiech zamiera na twarzy Amandy. Powinna wiedzieć, że o to chodzi. Dwie minuty - myśli.

- A ty?
- Jestem doradcą inwestycyjnym.
- Niesłychane - powtarza komplement, w głębi duszy gratulując sobie trafnej oceny i mając nadzieję, że jej słowa nie brzmią zbyt fałszywie.

Nawet jeśli mężczyzna podejrzewa, że jej zachwyty nie jest całkiem szczery, nie pokazuje tego po sobie.

- W jakim prawie się specjalizujesz?
- Karnym.

Carter Reese wybucha gromkim śmiechem.

- Przepraszam. Czy powiedziałam coś śmiesznego? Mężczyzna potrząsa głową.
- Nie, po prostu nie wyglądasz na prawniczkę, która występuje w sprawach karnych.
- A jaka, twoim zdaniem, powinna być prawniczka, która występuje w sprawach

karnych?

- Obcesowa, twarda, z dużym „mięśniem piwnym”.

Carter teatralnie lustruje ją od stóp do głów, potem uśmiecha się z uznaniem, jakby specjalnie dla niego utrzymywała płaski brzuch.

- Nie widzę „mięśnia piwnego”.
- Czasami pozory mylą - ostrzega go żartobliwie. - Chciałbym zobaczyć więcej.

Minuta.

- Kiedy kończysz pracę? - pyta Carter.
- Koło piątej.
- Koło?

- W przybliżeniu.

- Koło? - powtarza, tyle że tym razem wymawia to słowo jak „kooło”. - Czyżbym wychwycił kanadyjski akcent?

„Pochodzisz z Toronto, prawda?” - pytała sekretarka. Amanda jest zła. Ciężko pracuje, żeby wyeliminować dawne naleciałości.

- No więc jak, masz zamiar zaprosić mnie na drinka czy nie?

Po chwili milczenia mężczyzna przyznaje z rozbawieniem w głosie:

- Zastanawiałem się nad tym.

- W takim razie myśl trochę szybciej. Za niecałą godzinę muszę być z powrotem w sądzie.

Na twarzy Cartera Reese'a pojawia się uśmiech.

- Widzę, że nie lubisz owijać w bawełnę. Podoba mi się to.

- Monkey Bar? - sugeruje Amanda. - O szóstej? Dzięki temu zdążę wpaść do swojego biura.

- Mam lepszy pomysł.

Wcale jej to nie dziwi. Już dawno temu przyzwyczaiła się do lepszych pomysłów mężczyzn w rodzaju Cartera Reese'a.

- Znam wspaniały lokal tuż pod lasem. Moglibyśmy wypić w nim drinka, nawet zjeść kolację...

- Zgoda.

Dziewczyna obserwuje, jak uśmiech rozjaśnia kwadratową twarz. Mój rozmówca jest bardzo zadowolony z siebie - myśli, również zadowolona z siebie. W końcu seks pomaga uwolnić się od stresu równie dobrze jak ćwiczenia fizyczne.

- Czy po wydarzeniach z szesnastego sierpnia miała pani stosunek z oskarżonym? - pyta Amanda Caroline Fletcher na początku popołudniowej sesji.

Zadając to pytanie, wstaje z krzesła, zapina guzik sztytego na miarę czarnego zakietu i podchodzi energicznie do przesłuchiwanej, która błagalnie spogląda w stronę prokuratora.

- Sprzeciw! - mówi prokurator posłusznie.

- Na jakiej podstawie? - drwi Amanda.

- To nie ma istotnego znaczenia dla sprawy. - Tyrone King podchodzi do sędziego. - Panie sędzio, sprawa dotyczy tego, co wydarzyło się rzezonego poranka, a nie tego, co mogło się wydarzyć później.

- Wręcz przeciwnie - protestuje pani adwokat. - Przeciwno mojemu klientowi wysunięto poważne zarzuty. Pani Fletcher twierdzi, że rankiem szesnastego sierpnia została zgwałcona; Derek Clemens utrzymuje, że stosunek odbył się za obopólną zgodą, i jako dowód podaje fakt, iż jeszcze tego samego dnia doszło do następnego zbliżenia. Jeśli tak, ma to nie tylko istotne znaczenie dla sprawy, ale też podważa wiarygodność świadka.

- Odrzucam sprzeciw - zgadza się sędzia, nakazując Caroline udzielenie odpowiedzi.

- Czy po incydencie z szesnastego sierpnia jeszcze tego samego dnia pani i oskarżony mieliście stosunek? - powtarza Amanda, widząc wahanie kobiety.

- Tak - odpowiada Caroline Fletcher.

- Jeszcze tego samego wieczoru?

- Gdy przyszedłam po pracy do domu.

Amanda odwraca się do ławy przysięgłych i unosi brwi, ukazując starannie wystudiowane zdumienie.

- Dlaczego? - pyta.

- Nie rozumiem.

- Prawdę mówiąc, ja też. Twierdzi pani, że rankiem tego dnia Derek Clemens panią zgwałcił. Dlaczego więc kilka godzin później z własnej i nieprzymuszonej woli uprawiała z nim pani seks?

- Przeprosił mnie - odpowiada Caroline szczerze.

- Przeprosił?

- Jeśli tylko chce, potrafi być bardzo przekonujący.

- Rozumiem. To znaczy, że coś takiego wydarzyło się nie po raz pierwszy.

- Coś takiego?

- Sformułuję to inaczej. - Amanda bierze głęboki wdech. - Jak scharakteryzowałaby pani swój związek z oskarżonym, panno Fletcher?

- Sama nie wiem.

- Czy powiedziałaaby pani, że był burzliwy?

- Chyba tak.

- Często między wami wybuchały kłótnie?

- Derek zawsze o coś na mnie krzyczał.

- Czy pani też na niego krzyczała?

- Czasami.

- A czy kiedykolwiek przed szesnastym sierpnia wasze kłótnie kończyły się rękoczynami?

- Kilka razy mnie uderzył.

- Czy pani kiedykolwiek mu oddała?

- Tylko w obronie własnej.

- Czyli odpowiedź brzmi „tak”, czasami mu pani oddawała? Kobieta spogląda na nią wilkiem.

- On jest o wiele silniejszy ode mnie.

- W porządku. Pozwoli pani, że podsumuję pani słowa: związek pani i Dereka Clemensa był bardzo burzliwy, często między wami wybuchały kłótnie, a czasami podczas

awantur dochodziło do rękoczynów. Dobrze mówię?

- Tak - Caroline zgadza się z wahaniem.

- Czy wasze kłótnie często kończyły się seksem? Kobieta poprawia włosy.

- Czasami.

- Czy szesnastego sierpnia Derek Clemens mógł uznać, że wszystko odbyło się jak zawsze?

Caroline Fletcher na znak protestu krzyżuje ręce na piersiach.

- Dobrze wiedział, co robi.

Amanda robi chwilę przerwy i zerka do trzymanyh w rękę notatek, chociaż ich treść zna już na pamięć.

- Panno Fletcher, kiedy pan King spytał panią, co wydarzyło się feralnego poranka, powiedziała pani, że Derek Clemens rzucił panią na łóżko, potem obrócił na plecy i odbył z panią stosunek.

- Powiedziałam, że mnie zgwałcił.

- Tak, ale wcześniej użyła pani określenia „odbył stosunek”. I przyznała pani, że dopiero po rozmowie z policjantem uznała pani, iż to był gwałt.

- Jak już mówiłam, nie znałam swoich praw, póki nie dowiedziałam się o nich od sierżanta Petersona.

- Musiał ktoś pani powiedzieć, że została pani zgwałcona?

- Sprzeciw!

- Podtrzymuję - mówi sędzia. - Proszę kontynuować, pani Travis.

Amanda ponownie bez potrzeby zagląda do notatek.

- Po rzekomym gwałcie zadzwoniła pani do salonu fryzjerskiego, w którym pani pracuje.

- Musiałam ich poinformować, że się spóźnię.

- Nie zadzwoniła pani na policję - stwierdza pani adwokat.

- Nie.

- Prawdę mówiąc, na policję zgłosiła się pani dopiero po dwóch dniach.

Caroline Fletcher robi naburmuszoną minę.

- To znaczy, że nie potraktowała pani zbyt poważnie groźby Dereka Clemensa, który powiedział, że „zabije pani tyłek”, prawda, panno Fletcher?

- Czułam się zagrożona.

- Wiedziała pani, że to tylko puste słowa, prawda?

- Czułam się poważnie zagrożona - obstaje przy swoim Caroline.

- Ale mimo zagrożenia po pracy wróciła pani prosto do domu?

- Musiałam zająć się dzieckiem.

- Które bez wahania zostawiła pani z oskarżonym, chociaż, jak pani twierdzi, ten sam

człowiek pobił panią, a potem zgwałcił. Nie wspominam nawet o tym, że groził pani śmiercią.

- Derek nie skrzywdziłby dziecka.

- Och, jestem tego całkiem pewna - zgadza się Amanda, uśmiechając się do oskarżonego. - Swoją drogą, Derek Clemens jest wspaniałym ojcem, prawda?

- Owszem, jest dobrym ojcem - przyznaje kobieta z wyraźną niechęcią.

- To głównie on zajmuje się Tiffany, prawda?

- No cóż, to on był w domu tamtego dnia.

- A teraz?

- Co teraz?

- Kto zajmuje się Tiffany teraz, kiedy pani i Derek Clemens nie jesteście już razem?

- Oboje.

- Ale wasza córeczka mieszka z ojcem, prawda?

- Przeważnie.

- A pani z innym mężczyzną, czy nie tak? - Amanda sprawdza notatki. - Adamem Johnsonem?

- Już nie.

- Zerwała pani z nim? Dlaczego? Prokurator podrywa się na równe nogi.

- Sprzeciw, panie sędzio. Nie rozumiem, jaki związek mają te pytania z rozpatrywaną przez nas sprawą.

- Jestem przekonana, panie sędzio, że przy następnym pytaniu uda mi się wykazać związek.

- Proszę kontynuować.

- Czy to prawda, że Adam Johnson wniósł przeciwko pani oskarżenie, panno Fletcher?

- Sprzeciw.

- Oddalony.

- Dlaczego Adam Johnson wniósł przeciwko pani oskarżenie? Kobieta potrząsa głową i zaczyna nerwowo obskubywać lakier ze środkowego palca lewej ręki.

- Adam Johnson jest kłamcą. Po prostu próbuje zatruć mi życie.

- Rozumiem. I jego oskarżenie nie ma nic wspólnego z faktem, że zaatakowała go pani nożyczkami?

- To były tylko nożyczki do paznokci - protestuje słabo Caroline Fletcher.

- Nie mam więcej pytań.

Pani adwokat wraca na swoje miejsce przy stole obrony i stara się ukryć uśmiech.

Gdy Amanda przechodzi obok sekretarki i kieruje się do swojego małego gabinetu, odzywa się telefon.

- Nie ma mnie - mówi.



Zamyka za sobą drzwi i przegląda karteczki z wiadomościami. Zdejmuje żakiet, zsuwa z nóg czarne płócienne pantofelki, które przez całe popołudnie uwierały ją w palce, i ciężko opada na czarny skórzany fotel. Bardzo chciałaby dać wyraz swojemu zadowoleniu, wyciągnąć nogi i oprzeć je o blat biurka, tak jak robią to mężczyźni w filmach, kiedy są wyjątkowo usatysfakcjonowani, jednak byłaby to przedwczesna radość. Proces jeszcze się nie zakończył, chociaż główny świadek oskarżenia zbytnio się nie popisał. Nadal pozostała sprawa okropnych śladów po zębach na plecach Caroline Fletcher. Czy Derek Clemens naprawdę zdoła przekonać przysięgłych, żeby nie zwracali uwagi na dowód, który mają przed oczami?

Jest jeszcze jeden powód, dla którego powstrzymuje się przed położeniem nóg na biurko - brak miejsca. Do tego trzeba nieco więcej przestrzeni. Przenosi spojrzenie z czarnego ekranu komputera, który stoi na środku biurka, na ułożone po obu stronach teczki i dokumenty. Czarne pisaki leżą między przypadkową kolekcją przycisków do papieru i niewielkimi przedmiotami z kryształu: małym pudełkiem, otwartą książką, złotym gęsim piórem w kałamarzu. Dziwne zakupy jak na kogoś, kto normalnie nie znosi bibelotów - myśli Amanda, spoglądając w stronę okna i jak zawsze krzywiąc się na widok jasnego, różowego jak guma do żucia budynku po drugiej stronie ulicy. Doskonale wie, że nie ma na to żadnego wpływu, nie udało jej się nawet przekonać zwierzchników z Beatty and Rowe, żeby przemalowali na biało swój kanarkowożółty budynek.

Rozlega się ciche pukanie, potem uchylają się drzwi, a jej sekretarka wstawia głowę w szparę. Kelly Jamieson ma pomarańczowoczerwone włosy i lekkiego zęza, który oparł się operacji korekcyjnej i grubym szkłem. Środek jej puciołowatej twarzy zajmuje długi, cienki nos; całości dopełnia płaski biust i krótkie, nieco krzywe nogi. Co dziwne, dalekie od ideału fragmenty tworzą dziwnie ujmującą całość.

- Znów dzwonił Bob Myers - oznajmia zachrypniętym głosem.

Amanda podnosi z biurka teczkę i udaje, że przegląda jej zawartość.

- Powiedziałam mu, że jeszcze nie wróciłaś. Zostawił numer domowy i prosił, żebyś do niego zadzwoniła choćby w środku nocy.

Amanda kładzie teczkę na biurku i bawi się rogiem drugiej.

- Już późno - mówi. - Nie masz ochoty pójść do domu? Kelly zatrzymuje się w drzwiach.

- Mogę cię o coś spytać?

Dziewczyna spogląda na sekretarkę i wstrzymuje oddech.

- Kim jest ten facet?

W ciągu kilku sekund wymyśla dziesięć kłamstw i równie szybko z nich rezygnuje.

- Moim byłym mężem.

- Twoim byłym mężem?

W głosie sekretarki słyhać wyraźne zaskoczenie. Jej oczy zbliżają się do nasady nosa.

- Wydawało mi się, że twoim byłym mężem jest Sean Travis.

- On też.

- Byłaś dwukrotnie mężatką?

Amanda słyszy niedopowiedziany dalszy ciąg: „...choć masz zaledwie dwadzieścia osiem lat?”

- Cóż mogę powiedzieć? Jestem bardzo dobrą prawniczką i bardzo złą żoną.

Czeka na protest Kelly: „O nie, na pewno byłaś wspaniałą żoną”, ale sekretarka nic nie mówi.

- Jak myślisz, o co mu chodzi?

- Nie mam pojęcia.

- Twierdzi, że to naprawdę bardzo ważne.

Amanda kiwa głową. Czuje, że mimo woli napina mięśnie.

- Zadzwoń do niego później?

- Nie.

Milczenie. Sekretarka przestępuje z nogi na nogę.

- No cóż, chyba pójdę do domu.

Kiwa głową z aprobatą, chociaż Kelly nadal nie rusza się z miejsca.

- Coś jeszcze? - pyta Amanda z rezerwą.

Kelly podchodzi i podaje szefowej małą karteczkę.

- To jego numer domowy - wyjaśnia, kładąc różowy karteluszek na biurku pracodawczyni. - Na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie.

### 3

Amanda z trzech powodów wie, że Carter Reese jest żonaty, chociaż on sam na razie się do tego nie przyznaje: po pierwsze, wybrał na kolację maleńki lokal z dala od drogi, prawdę mówiąc, tak daleko, że chociaż ona dobrze zna okolice, dwukrotnie przejechała obok nijakiego centrum handlowego, w którym znajduje się nieszczęsny lokal, nim w końcu dostrzegła go między sklepem zoologicznym a obuwniczym; po drugie, w pozbawionym okien lokalu jest tak ciemno, że prawie nie widać, co się je, mimo to młoda kobieta widzi, że jej towarzysz nerwowo zerka w stronę drzwi, ilekroć się otworzą; po trzecie, bez przerwy dotyka serdecznego palca lewej ręki, jakby sprawdzał, czy pamiętał zdjąć obrączkę. Nerwowe przyzwyczajenie i niezbity dowód przestępstwa.

- W porządku - mówi, kończąc małże i postanawiając wybawić Cartera z opresji. - Nie przeszkadza mi, że jesteś żonaty.

- Co takiego?

Nawet w słabym świetle wyraźnie widać szok na jego twarzy.

- Nie przeszkadza mi, że jesteś żonaty - powtarza Amanda całkiem poważnie. - Prawdę mówiąc, to znacznie ułatwia sprawę.

- Co takiego? - pyta ponownie Carter Reese.

- Nie zależy mi na poważnym związku. Cały czas i energię poświęcam karierze. W tym momencie mam na głowie milion spraw, a układ z żonatym mężczyzną nie będzie zbytnio komplikował mi życia. Możesz więc się uspokoić. Nie będziesz musiał mnie okłamywać. Przynajmniej w większości przypadków - dodaje z uśmiechem.

Następuje chwila ciszy. Carter Reese wyraźnie się zastanawia, czy ten konkretny przypadek może zaliczyć do „większości”. Świeca na środku stolika niebezpiecznie migoce, kiedy Carter wypuszcza powietrze z płuc.

- Czy to jakiś test? Amanda wybucha śmiechem.

- Po prostu mówię, że to nie ma dla mnie żadnego znaczenia, ot wszystko.

Carter rozpiiera się w krześle, potrząsa głową, krzyżuje umięśnione ręce na piersiach i wbija wzrok w ciemność.

- Masz jakiś problem? - pyta go dziewczyna.

- Jeśli mam być całkiem szczery, nie bardzo wiem, jak potraktować twoje słowa.

- O co ci chodzi?

Mężczyzna śmieje się, wyraźnie skrepowany.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, czy powinienem się cieszyć, czy czuć obrażony.

Sięga przez stół po jego dłoń.

- Na pewno nie miałam zamiaru cię urazić. Następny długi wydech.

- W takim razie w porządku.

Na jego ustach pojawia się niepewny uśmiezek. Carter wyraźnie waha się między stwierdzeniem: „Chyba jestem największym szczęściarzem pod słońcem” a: „W tym musi tkwić jakiś haczyk”.

- W takim razie w porządku - powtarza, ściskając jej palce. - Cieszę się.

Amanda śmieje się bez troski.

- Dobrze. Teraz, kiedy mamy sprawę z głowy, możemy zamówić deser.

Szuka wzrokiem kelnera, ale widzi tylko niewyraźne cienie, które poruszają się w ciemności.

- Czy jest coś, co chcesz wiedzieć? - pyta Carter.

- Na jaki temat?

- Mojego małżeństwa.

Amanda przez chwilę zastanawia się nad pytaniem. Carter najwyraźniej uważa, że jest jej winien jakieś wyjaśnienia, chociaż, prawdę mówiąc, ona nie chce ich wcale słuchać. Czuje jednak, że gdyby powiedziała to na głos, bardzo by go uraziła, dlatego pyta o najbardziej oczywistą rzecz.

- Od jak dawna jesteś żonaty?

- Od piętnastu lat. Mam dwójkę dzieci. Syn, Jason, ma trzynaście lat, a córka, Rachelle, w marcu skończy jedenaście. Sandy jest artystką - ciągnie Carter bez zachęty, jakby jego żona stała obok i czekała, kiedy mąż ją przedstawi. - Maluje. Jest bardzo utalentowana.

Dziewczyna z całych sił stara się okazać zainteresowanie. Ma nadzieję, że Carter po ujawnieniu swego sekretu nie będzie przez cały wieczór wyrzucał z siebie szczegółów życia rodzinnego.

- Jest naprawdę miłą kobietą.

- I pewnie śliczną.

- W moim małżeństwie nie dzieje się nic złego. Po prostu, no wiesz...

- Oddaliliście się od siebie - podpowiada Amanda.

Miała już wcześniej do czynienia z tym scenariuszem. Zna każdą kwestię.

- To niczyja wina. Po prostu jest, jak jest.

Amanda cofa rękę i poprawia głęboki dekolt swojego czarnego swetra, mając nadzieję, że odwróci uwagę mężczyzny od żony.

- Poświęca dzieciom wiele czasu i energii - ciągnie Carter, wyraźnie nieczuły na wspaniały dekolt. - Nie interesuje jej seks. Twierdzi, że jest zbyt zmęczona. No wiesz.

Amanda przytakuje, chociaż nie wyobraża sobie, by ktoś mógł być zbyt zmęczony na seks. Jednym haustem dopija resztę wina.

- No dobrze - mówi Carter, być może czując, że pora posunąć się dalej. - Powiedz mi coś o sobie. Jak to się stało, że tak piękna kobieta wykonuje tak paskudny zawód?

Amanda wzrusza ramionami.

- Myślałam, że będzie zabawnie.

- Zabawnie?

- Ciekawie - poprawia, chociaż określenie „zabawnie” lepiej oddaje jej oczekiwania.

- A jest?

- Czasami.

- Trochę zależy to od przestępcy - domyśla się Carter.

- Nie - oponuje ona. - Na ogół kryminaliści to dość tępy naradek. Są zdumiewająco podobni do siebie. Większość ich nie grzeszy inteligencją ani pomysłowością. Stają się interesujący tylko dzięki swoim przestępstwom. I faktowi, że żaden z nich nie wierzy, iż zostanie złapany.

- On?

- Zazwyczaj. Zwłaszcza wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi przemoc.

- Kobiety nie stosują siły?

- Nie mogę tak powiedzieć - przyznaje, przypominając sobie Caroline Fletcher.

- Sandy raz rzuciła omletem w moją głowę.

Amanda błędnie na przypadkową wzmiankę o żonie Cartera. Jak na kobietę, o której istnieniu jeszcze przed chwilą w ogóle nie wiedziała, Sandy nagle urasta do potęgi, z którą trzeba się liczyć.

- Omletem?

- Robiła śniadanie, kiedy wspomniałem, że ostatnio przybrała nieco na wadze. Nim się zorientowałem, omlet przeleciał przez kuchnię i wylądował na moim czole.

Napad z bronią w rękę; tym razem w roli broni wystąpiły śmiertelnie niebezpieczne jajka - myśli Amanda. Na głos mówi:

- Może takie wyznanie z samego rana nie było najlepszym pomysłem?

Carter śmieje się na to wspomnienie.

- Czy kiedykolwiek jest odpowiednia pora na takie uwagi?

- Wątpię.

- Byłaś kiedyś mężatką?

- Nie - kłamie Amanda, uważając, że tak będzie lepiej.

Dwóch byłych mężów to za dużo jak na Cartera Reese'a, który ma poważny problem, jak sobie poradzić z żoną. Poza tym ona nie ma zamiaru przypominać sobie, dlaczego każde z małżeństw się rozpadło. Może najprostsze byłoby stwierdzenie, że za pierwszym razem ona była za młoda, a za drugim - on za stary. No, może nie do końca wszystko było takie proste, ale czy to ma jakieś znaczenie? Wątpiła, by Carter Reese Wytrzymał wystarczająco długo, żeby to miało jakieś znaczenie. Zaskocz mnie - myśli, uśmiechając się do mężczyzny po drugiej stronie stolika i w milczeniu nakłaniając go, by odbiegł od scenariusza. Postąpię niestereotypowo, jeśli zrobisz to pierwszy - próbuje mu powiedzieć wzrokiem. Carter poklepuje jej dłoń i spogląda z niepokojem w stronę drzwi.

Nagle obok stolika pojawia się kelner. Amanda podskakuje, bo nie zauważyła, że mężczyzna się zbliża.

- Smakowało? - pyta, zbierając talerze.

- Bardzo.

- Dziękuję - mówi, jakby sam wszystko przyrządził. - Czy mają państwo ochotę na jakiś deser? Robimy dobrą tartę limonkową.

- Chętnie.

- Bezkofeinowe cappuccino, proszę - zamawia Carter. - I dodatkowy widelec.

Amanda sztywnieje. Nie cierpi dzielić się jedzeniem, nie lubi, gdy ktoś sięga do jej talerza.

- Powiedz: co cię sprowadziło na Florydę? - pyta Carter.

Dziewczyna nagle zdaje sobie sprawę, że wokół zrobiło się bardzo cicho, jakby wszyscy nagle przestali rozmawiać i czekali na jej odpowiedź. Zerka w mroku na innych gości, ale wyraźnie są zajęci jedzeniem i sprawiają wrażenie, jakby w ogóle nie zwracali na

nią uwagi.

- Osiem lat temu przyjechałam na Florydę na wakacje - wyjaśnia. - Spodobało mi się tutaj, więc postanowiłam zostać.

Zastanawia się, w którym momencie półprawda staje się kłamstwem. Przypomina sobie przysięgę, którą w sądzie składają wszyscy świadkowie: „Czy przysięka pan mówić prawdę, całą prawdę...?”

Czy ktokolwiek mówi całą prawdę?

Osiem lat temu przyjechałam na Florydę na wakacje (żeby uciec przed pierwszym mężem), spodobało mi się tutaj (spotkałam drugiego), więc postanowiłam zostać.

- Tutaj robiłaś studia prawnicze?

- Tak, zaczęłam prawo.

Ponownie wyszłam za mąż - dodaje w myślach.

- Dostałam obywatelstwo.

Po raz drugi się rozwiodłam - uzupełnia.

- Przez rok pracowałam w małej firmie w Jupiterze, a potem zaproponowano mi stanowisko w Beatty and Rowe.

- A gdzie jest twoja rodzina?

- Matka mieszka w Toronto. Ojciec zmarł jedenaście lat temu.

- Ja w ubiegłym roku straciłam matkę.

Carter mówi to tak, jakby zaledwie przed chwilą stracił ją z oczu i gdyby bardzo się postarał, w każdej chwili mogłaby się znów pojawić.

- Zmarła na raka.

Amanda kiwa głową ze współczuciem.

- To trudne...

- Nie dla mojego ojca. Dwa miesiące później znów się ożenił. Z sąsiadką - dodaje Carter z rozgoryczeniem, jednocześnie szyderczo się uśmiechając.

Ona uznaje, że połączenie rozgoryczenia i szyderstwa jest niesamowicie atrakcyjne. Dodaje charakteru skądinąd nijakemu głosowi i stosunkowo regularnym rysom twarzy.

- Wiesz, mam u siebie ekspres do robienia cappuccino - kusi go.

Carter Reese natychmiast podrywa się na równe nogi.

- Kelner! - wola w ciemność, nagle nie zważając na to, że znajduje się w centrum uwagi. - Proszę rachunek.

Amanda spotyka się z Carterem Reese'em przed drzwiami prowadzącymi do eleganckiego, ozdobionego szkłem i marmurami foyer budynku, w którym mieszka przy North Ocean Boulevard. Zaparkowali auta: ona na swoim miejscu w podziemiach, on na parkingu dla gości od frontu.

- Dobry wieczór, Joe! - wola młoda kobieta do zaawansowanego wiekiem dozorca,

pchając Cartera w stronę windy na tyłach foyer.

Kiedy czekają na windę, Carter prawie nie odrywa wzroku od czarnych mokasynów. Wyraźnie źle się czuje w jasnym holu, widząc swoje odbicie w niezliczonych lustrach na ścianach.

- Macie tu bardzo wolne windy - szepcze, chociaż wcale nie czekają długo.

Po kilku następnych sekundach otwierają się drzwi. Z windy wychodzi atrakcyjna kobieta w średnim wieku z dużym białym pudlem, który ciągnie smycz. Pies szczeka, rzuca się w stronę Cartera.

- Kiciusiu! - upomina go kobieta, pociągając za obrozę wykładaną kryształami górskimi. - Przepraszam. Nie lubi obcych.

- Ten akurat jest całkiem nieszkodliwy - zapewnia Amanda kobietę i jej psa.

Wchodzi za Carterem do pustej windy i naciska guzik czternastego piętra.

- A może wcale nie - przyznaje ze śmiechem, kiedy Carter obejmuje ją w pasie, nie czekając, aż drzwi windy zamkną się do końca.

Mężczyzna przyciąga ją energicznie, a ich wargi znajdują się zaledwie o dwa centymetry od siebie, kiedy nagle winda zatrzymuje się na niższym piętrze.

- Och! - woła kobieta, która wchodzi do środka.

Carter natychmiast opuszcza ręce i ponownie wbija wzrok w podłogę.

- Witaj, Janet - mówi Amanda, gdy kobieta wymownie zerka w stronę drzwi windy.

Zapewne to nie najlepsza pora, żeby spytać ją, dlaczego dwukrotnie dzwoniła do mojego biura - myśli, gdy do windy wsiada naburmuszony, mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna w hawajskiej koszuli.

- Cześć, Victorze - wita się z nim Amanda, a Janet zerka wilkiem w stronę męża.

Dziewczyna bacznie przygląda się twarzy Janet, szukając oznak potępienia. Po chwili para bez słowa opuszcza windę na trzynastym piętrze.

- Przyjaźnie nastawieni ludzie - żartuje Carter, obejmując ją ramieniem i przytulając się do jej szyi.

Gdy zbliżają się do drzwi apartamentu, wewnątrz dzwoni telefon.

- Nie odbieraj go - proponuje Carter, gdy wchodzi do środka.

- Nie mam zamiaru.

Amanda rzuca torebkę na wykładaną białymi płytkami podłogę i przytula się do Cartera, nie zważając na nieustanne dzwonienie telefonu.

Mężczyzna całuje jej szyję, wodzi czubkiem języka po zagłębieniu za uchem.

Ona bierze go za rękę i prowadzi przez skąpany w blasku księżycy biały salon w stronę również białej sypialni. Towarzyszy im dzwonienie telefonu.

Ustaje, gdy odzywa się automatyczna sekretarka.

- Co sądzisz o widoku z mojego okna?

- Jest wspaniały - przyznaje Carter, chociaż całkowicie ignoruje widoczne przez szybę niebo i morze, ani na chwilę nie przestając jej całować.

Amanda wybuchła śmiechem, kiedy sięga pod jej sweter i kładzie dłonie na nagich piersiach.

- Jest pełnia księżycy - zauważa.

- Zawsze podczas pełni z ludzi wyłazi bestia.

Kładzie jej dłonie na przodzie swoich spodni i całuje ją namiętnie w usta.

Dzwoni telefon.

- Uparty diabeł - mówi Carter, zerkając w stronę telefonu obok łóżka.

- Nie przejmuj się.

- Jesteś pewna?

W odpowiedzi Amanda ściąga przez głowę sweter i rzuca go na podłogę.

- Boże, jaka jesteś piękna - szepcze Carter, gdy telefon przestaje dzwonić.

Amanda pociąga za sprzączkę jego paska, zsuwa mu slipy z bioder, po czym, potykając się, prowadzi w stronę łóżka na środku pokoju. Po kilku sekundach leżą na białej kołdrze i szamocą się z pozostałymi częściami odzieży. Chwilę później oboje są nadzy, a Carter niecierpliwie pieści ją i wsuwa jej język w usta. Lepszego lekarstwa nie zaleciłby nawet doktor - myśli Amanda, kiedy mężczyzna unosi się na kolana, ostro się w nią wsuwa, a potem zaczyna poruszać, zagłuszając fale oceanu, szum klimatyzacji i kolejny dzwonek telefonu.

Carter odwraca głowę w stronę aparatu.

- Posłuchaj, może to coś ważnego.

W odpowiedzi chwyta go za pośladki i przyciąga mocniej do siebie. Bez słowa sięga między nogi mężczyzny, dając mu sygnał, żeby poruszał się szybciej. Na szczęście Carter nie potrzebuje dalszej zachęty i następne dwadzieścia minut mija w różnych szalonych pozycjach.

- O kurczę - sapie z entuzjazmem po wszystkim. - To było coś nowego.

Korci, ją żeby spytać: „Co nowego?” Zamiast tego mówi:

- Masz ochotę na bis?

Zaczynają się znów kochać, kiedy przerywa im następny natarczywy dzwonek telefonu.

- Może po prostu podnieś tę cholerną słuchawkę? Niezależnie od tego, kto to taki, wyraźnie nie ma zamiaru zrezygnować.

Carter Reese ma rację. Lekceważenie kolejnych dzwonek jedynie odsuwa w czasie to, co nieuniknione, i przedłuża tortury. Amanda sięga do szafki nocnej i przeciąga sznur przez pierś Cartera.

- Halo, słucham - warczy do słuchawki.

- W końcu cię zmęczyłem, prawda? - mówi niegdyś dobrze znany głos.



Amanda bierze głęboki wdech i próbuje powstrzymać pełne złości bicie serca.

- Lepiej, żeby to była dobra wiadomość.
- Chodzi o twoją matkę - wyjaśnia Ben Myers.

Próbuje sobie wyobrazić byłego męża, ale widzi jedynie niebezpiecznie przystojnego, młodego buntownika w niechlujnej, czarnej skórzanej kurtce, którą miał na sobie na ich pierwszej randce. Zastanawia się, czy w ciągu minionych lat przybrał na wadze, bo zawsze był bardzo chudy, czy przerzedziły mu się ciemne włosy, czy stwardniały jego łagodne, brązowe oczy. Prawdopodobnie podczas uśmiechu na policzkach Bena nadal pojawiają się zmarszczki, chociaż rzadko się uśmiechał. Amanda gwałtownie odsuwa włosy z twarzy i opiera się o wezłowie łóżka.

- O moją matkę? - powtarza tępo. - Umarła?
- Nie.
- Jest chora?
- Nie. Mandy...
- Nie nazywaj mnie tak. Miała jakiś wypadek?
- Ma problemy.
- Naprawdę? Kogoś zabiła?

Na czole Cartera pojawiają się głębokie zmarszczki. „Kogo zabiła?” - wydaje się powtarzać.

- No więc?

Milczenie trwa o jedno uderzenie serca za długo.

- Johna Mallinsa.
- Co takiego?!
- Znasz kogoś o tym nazwisku?
- O czym ty mówisz?
- Wczoraj, mniej więcej koło czwartej po południu, twoja matka zastrzeliła w foyer hotelu Four Seasons mężczyznę, który nazywał się John Mallins.

Amanda czuje, że całe jej ciało płonie z wściekłości.

- Czy to ma być kawał?
- Uwierz mi. Wcale nie żartuję.
- Naprawdę moja matka zastrzeliła wczoraj kogoś w foyer Four Seasons?
- Twoja matka kogoś zastrzeliła? - pyta Carter Reese.
- Mężczyznę, który nazywał się John Mallins - mówi Ben Amandzie.
- Kim, do diabła, był John Mallins?
- Nie wiesz?
- Skąd miałabym wiedzieć. Nie rozmawiałam z matką od naszego rozvodu.

Carter mruży powieki. Powiedziałaś mi, że nigdy nie byłaś mężatką - oskarżają jego

oczy.

- Co mówi mama?
- Nic nie mówi.
- Dlaczego mnie to nie dziwi?
- Musisz przyjechać do domu, Amando.
- Nic z tego.
- Twoja matka jest w więzieniu. Została aresztowana za morderstwo.
- Moja matka jest w więzieniu. Została aresztowana za morderstwo - powtarza

Amanda, myśląc, że to jakiś koszmar senny.

Carter zaczyna się od niej odsuwać i szukać slipów w fałdach kołdry.

- Posłuchaj, to na pewno jakaś pomyłka.
- Żadna pomyłka, Laleczko. Przykro mi.
- Dlaczego?
- Twoja matka trzykrotnie strzeliła do tego mężczyzny w obecności przynajmniej

dwudziestu świadków. Już się przyznała.

- Nie masz prawa tak mnie nazywać.
- Chyba mnie nie słuchasz.
- Słucham cię, słucham. Uwierz, usłyszałam wszystko.
- W takim razie rozumiesz, że powinnaś przyjechać do domu tak szybko, jak to

możliwe.

- Nie mogę. Mam bardzo ważną sprawę w toku. Nie jestem w stanie tak po prostu wyjechać.

- Zawsze możesz poprosić o odroczenie.
- Nie ma takiej możliwości. Jestem pewna, że sobie ze wszystkim poradzisz.
- Nie ma takiej możliwości - odpowiada Ben, używając jej słów.
- Nie mogę przyjechać do domu, Benie.
- To twoja matka.
- Powiedz to jej.

Amanda odkłada słuchawkę i ze złością wyciąga kabel z gniazdka, potem biegnie do kuchni i w taki sam sposób unieszkodliwia drugi telefon. Następnie maszeruje do salonu, otwiera przesuwane szklane drzwi, wychodzi na duże, osłonięte patio i wdycha chłodne morskie powietrze, próbując wciągnąć do wysuszonych płuc nieco wilgoci.

Laleczko! - wołają z daleka fale. Laleczko! Laleczko!

Szybko wraca do swojego apartamentu.

- Carterze! - woła.

Zamyka drzwi, rozpaczliwie próbując odciąć się od niechcianego głosu. Z niepokojem spogląda w stronę kuchni.

- Carterze, gdzie zabrałeś swój wspaniały tyłek? Jest jeszcze wcześniej.

Niestety, księżyc oświetla puste mieszkanie, a całkowita cisza świadczy, że Carter Reese wyszedł.

## 4

- Czy przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę? - pyta pisarz sądowy, gdy Derek Clemens kładzie lewą rękę na Biblii, a unosi prawą.

- Przysięgam.

Amanda bacznie przygląda się swojemu klientowi, który podaje imię i nazwisko, a potem adres. Chociaż mężczyzna, zgodnie z jej instrukcjami, ma na sobie czystą białą koszulę i wyprasowane czarne spodnie, sprawia wrażenie niechlujnego. Rozpięty kołnierzyk odchyła się od szyi; zamszowy pasek jest wytarty i postrzępiony; jasne włosy zaczesane z przedziałkiem i ściągnięte w koński ogon wyglądają na niemyte i nierozczesane.

(- Myłem je dziś rano - zapewnił ją urażony).

Amanda wstaje i rozpiną czarny żakiet. Ten sam żakiet miała na sobie poprzedniego dnia. Włożyła do niego tę samą spódnicę i te same czarne buty, które wciąż uciskają ją w palce. Tylko biała bluzeczka jest świeża, chociaż identyczna jak wczorajsza. Pani adwokat przypomina charakter byłego związku oskarżonego z Caroline Fletcher, ich decyzję, że będą razem mieszkać, częste sprzeczki, głośne awantury i godzenie się.

- Mam nadzieję, że teraz poda nam pan swoją wersję wydarzeń, które miały miejsce rankiem szesnastego sierpnia - mówi dobitnie.

Bacznie przygląda się przysięgłym, by sprawdzić, czy uważają. Z zadowoleniem dostrzega, że wszystkie oczy są otwarte i skupione na świadku. Nikt jeszcze nie drzemie.

Oczywiście, prawdopodobnie każdy z nich spokojnie przespał noc - myśli pani adwokat z zazdrością, przypominając sobie, jak między północą a szóstą rano sfrustrowana rzucała się z boku na bok i przeklinała wszystkich Kanadyjczyków. Jak Ben śmiał zadzwonić do niej po tylu latach? Jak mógł wystąpić z tak oburzającym żądaniem? Jakim prawem nazwał ją Laleczką?

Już nie jestem niczyją marionetką - przypomina sobie Amanda.

„Musisz przyjechać tak szybko, jak to możliwe” - powiedział.

„Nie mogę”.

„Jak to nie możesz?”

„Mam bardzo ważną sprawę w toku”.

- Pracowałem przez całą noc - mówi Derek Clemens. Amanda zastanawia się, czy przegapiła dużą część jego zeznania.

- Chyba miałem prawo wymagać, aby w domu było przynajmniej trochę mleka, żebym po powrocie mógł zjeść na śniadanie płatki zbożowe.

- To znaczy, że pracował pan przez całą noc, był pan zmęczony i głodny.

- Pracuję od jedenastej wieczorem do siódmej rano...

Kiwając głową ze szczerym współczuciem, Amanda przypomina sobie, że mniej więcej w tych samych godzinach rzucała się na łóżku.

- ...więc naprawdę byłem zmęczony i głodny. Mieszkanie przypominało chlew, a Caroline szykowała się do wyjścia. Perfumowała się. Nawet się ze mną nie przywitała. Wszedłem do kuchni i napełniłem miseczkę płatkami Special K. Nie przepadam za nimi, ale to wszystko, co można było znaleźć w domu, bo Caroline zawsze była na diecie. Oczywiście, brakowało mleka. Jaka z niej matka, skoro nawet nie jest w stanie dopilnować, żeby w domu było mleko dla dziecka?

„To twoja matka” - przypomina sobie Amanda słowa Bena. „Powiedz to jej”.

- Dlatego tak bardzo się pan zdenerwował? - pyta pani adwokat, potrząsając głową, żeby odpędzić niepożądane głosy.

- Do jasnej cholery, tak.

- Co pan zrobił?

- Powiedziałem jej, że ponieważ na cały dzień zostawia mnie z dzieckiem, mogłaby przynajmniej przed pójściem do pracy kupić litr mleka i przynieść je do domu.

Odpowiedziała, że nie ma czasu. Nie uwierzyłem jej. Dochodziła ósma, salon otwierali dopiero o dziewiątej. Powiedziała, że chce być w pracy wcześniej, bo Jessica obiecała, że przed przyjściem klientek obetnie jej włosy. Wtedy obudziła się Tiffany i zaczęła płakać. Byłem potwornie zmęczony i chciałem się trochę przespać, więc poprosiłem Caroline, żeby zabrała dziecko ze sobą. Zdecydowanie odmówiła. Odepchnęła mnie, bo blokowałem drzwi, więc chwyciłem ją za rękę. Wtedy mnie uderzyła.

- Ona pana uderzyła?

- Taaak. Caroline łatwo wpada w złość. Nie trzeba wiele, żeby wytrącić ją z równowagi.

- Sprzeciw - mówi Tyrone King, lekko unosząc się z krzesła. Sędzia podtrzymuje sprzeciw.

- Proszę odpowiadać na pytania, panie Clemens - poucza oskarżonego.

- Przepraszam, panie sędzio.

- Co stało się potem, gdy pana uderzyła? - pyta Amanda.

- Nie pamiętam zbyt dokładnie kolejności wydarzeń. - Starannie wyuczone słowa brzmią w ustach Dereka, jakby posługiwał się językiem obcym. - Przypominam sobie tylko, że próbowałem osłonić twarz. W weekendy pracuję jako kelner, więc nie mogę chodzić poobijany.

- To znaczy, że uderzyła pana kilka razy?

- O tak. Zdażyła mi wymierzyć trzy, może nawet cztery ciosy, nim wybuchnąłem.

„Twoja matka trzykrotnie strzeliła do tego człowieka w obecności przynajmniej dwudziestu świadków”.

- Co zrobił pan potem? - pyta Amanda nieco głośniejszym głosem niż zamierzała.

- Chwyciłem ją za rękę, odepchnąłem na bok i powiedziałem, żeby poszła do diabła.

Mam dość gównianej awantury, idę spać.

- Jak zareagowała Caroline?

- Poszła za mną do sypialni, krzycząc i waląc mnie po plecach. Powtarzałem jej, żeby dała mi spokój, ale zachowywała się jak wariatka.

- Nie żądał pan seksu oralnego?

- Chyba pani żartuje? Ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłem, było wsadzenie swojego interesu do jej ust. Przepraszam, panie sędzio - dodaje Derek Clemens, zagłuszając przytłumiony chichot któregoś z ławników.

- Proszę używać mniej dosadnego języka - ostrzega sędzia, chociaż dziwny błysk w jego oku mówi Amandzie, że starszy pan jest w głębi duszy serdecznie rozbawiony wybuchem oskarżonego.

- Mimo to doszło do stosunku - przypomina Amanda świadkowi.

- Taaak. - Derek potrząsa głową z niedowierzaniem. - To nam się dość często zdarzało. W jednej chwili okładaliśmy się pięściami, a zaraz potem na golasa zachowywaliśmy się jak para królików.

- Czy rozerwał jej pan sukienkę? Derek kręci przecząco głową.

- Te szwy się rozłazały, wystarczy na nie popatrzeć. Caroline wciąż musiała je zszywać.

- Czy zmusił ją pan do stosunku?

- Nie ma takiej możliwości. „Musisz przyjechać do domu, Amando”. „Co takiego? Nie ma takiej możliwości”. Pani adwokat bierze głęboki wdech.

- Jak pan wyjaśni ślady zębów, panie Clemens?

Derek Clemens jest wystarczająco rozsądny, by okazać szczere zażenowanie. Bierze głęboki wdech, potem odwraca się twarzą do ławy przysięgłych i opowiada im swoją wersję wydarzeń.

- Po stosunku Caroline znów zaczęła się wkurzać. Powiedziała, że teraz przeze mnie się spóźni i Jessica nie zdąży obciąć jej włosów. Oczywiście, wszystko moja wina. Powiedziałem więc, by się zamknęła i pozwoliła mi pospać, ale ona znów zaczęła mnie okładać. Zdołałem wyskoczyć z łóżka i stanąć za nią. Objąłem ją w pól, żeby mnie nie biła, wtedy nagle chwyciła mnie za włosy. Są dość długie. - Na dowód Derek potrząsa końskim ogonem. - Tymczasem Caroline mocno je chwyciła i zaczęła ciągnąć. Słowo daję, myślałem, że mi je wyrwie. Krzyknąłem, żeby przestała. Wtedy, oczywiście, pociągnęła jeszcze mocniej. To boli jak diabli, a ja nie wiedziałem, jak się od niej uwolnić, więc ją ugryzłem. Nadal mnie nie puszczała. Ugryzłem ją jeszcze raz, trochę mocniej. Dopiero wtedy rozluźniła

uchwyt.

- A więc ugryzł ją pan w obronie własnej?

- Po prostu chciałem, żeby przestała ciągnąć mnie za włosy - wyjaśnia rozzalony.

- Co się wtedy stało?

- Chwyła telefon i rzuciła nim we mnie. Złapałem go w locie i odrzuciłem. To był odruch. Nie chciałem jej trafić.

- Czy zamknął ją pan w mieszkaniu wbrew jej woli?

- Ależ skąd! Błagałem ją, żeby się wyniosła.

- Co pan miał na myśli, grożąc, że „zabije pan jej tyłek”? Derek Clemens wzrusza ramionami.

- Zwykle głupawe powiedzonko. To raczej ja miałem w tamtym momencie prawo bać się o swój tyłek.

- Ile ma pan wzrostu, panie Clemens?

- Sto osiemdziesiąt centymetrów.

- Ile pan waży?

- Siedemdziesiąt pięć kilogramów.

- To znaczy, że jest pan o dwanaście centymetrów wyższy i mniej więcej o osiemnaście kilogramów cięższy od Caroline Fletcher - ciągnie Amanda, mając świadomość, że jeśli ona nie zada tego pytania, zrobi to prokurator. - Jak to możliwe, że bał się pan o swoje życie?

- Hej - odpowiada Derek ze skromnym uśmiechem. - To nie duży rewolwer zabija człowieka, ale paskudne małe kulki.

Ława przysięgłych po cichutku chichocze. Amanda kończy przesłuchanie.

- Jak sądzisz, czy przysięgli długo będą obradować? - pyta Ellie Townshend, skubiąc sałatkę.

Ellie jest najbliższą przyjaciółką Amandy, chociaż widują się tylko raz w miesiącu. Ostatnio nawet rzadziej, bo zaręczyła się z Michaeliem.

- Zależy, czy są mądrzy - odpowiada Amanda.

Zastanawia się, czy któryś z ławników zauważy, że scena nie mogła się rozegrać w taki sposób. Wystarczy odtworzyć po kolei wydarzenia, które opisał oskarżony, by dojść do wniosku, że jeśli Derek Clemens naprawdę stał za plecami Caroline Fletcher, a ona, jak twierdził, ciągnęła go za włosy, nie był w stanie sięgnąć poniżej jej ramion. Mógł to zrobić, tylko kłęcząc na niej.

Oczywiście nie miała zamiaru kwestionować słów swojego świadka.

- Znalazłaś już suknię na mój ślub? - pyta Ellie. Orzechowe, zaokrąglone z podniecenia oczy spoglądają z oczekiwaniem. Delikatne bursztynowe fale otaczają okrągłe policzki z dołeczkami.

- Jeszcze nie.

Amanda zerka na ruchliwą ulicę. Siedzą przy otwartym oknie Big City Tavern przy Clematis i obserwują przechodzących obok turystów. Delikatna bryza porusza brzegami papierowych obrusów. Temperatura wynosi około 25°C. Następny idealny dzień na południowej Florydzie - myśli, odczuwając lekkie wyrzuty sumienia, że się nim nie cieszy.

- Co to znaczy „jeszcze nie”? Na co czekasz?

- Ślub jest dopiero w czerwcu - przypomina młoda kobieta przyjaciółce.

- Czyli praktycznie lada chwila. O mój Boże! Nie oglądaj się!

Amanda instynktownie odwraca się na krześle.

- Cholera! - klnie pod nosem, patrząc na zbliżającego się Seana Trávisa, który obejmuje ramieniem swoją nową żonę.

Cholera, cholera, cholera! - myśli Amanda. Jęczy na głos, widząc, że Sean ją dostrzegł. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w ciągu dwóch dni będzie się miało do czynienia z dwoma byłymi mężami? Czyżby sekretarka nie przypomniała jej, że to Państwowy Tydzień Byłych Mężów?

- Witaj, Amando - mówi Sean, mocniej obejmując młodziutką żonę.

- Jak się masz, Seanie?

- Dobrze. A ty?

- Świetnie - odpowiada. - Pamiętasz Ellie?

- Oczywiście. Co u ciebie słyhać?

- Wszystko w porządku. Proszę, proszę - myśli Amanda.

- A to pewnie Jennifer.

Pani adwokat bacznie przygląda się byłemu mężowi i jego nowej żonie, uznając, że czarne włosy kobiety i jej szare oczy wspaniale pasują do siwizny Seana i jego czarnych oczu.

Nowa żona wita się z nią, po czym kładzie rękę na lekko wypukłym brzuchu.

- Mamy termin na lipiec - chwali się wyraźnie dumny Sean, dostrzegając, gdzie pobeł wzrok Amandy.

- Gratuluje - mówi szczerze.

- Nie możemy się już doczekać - szczebiocze Jennifer.

- No cóż, cieszę się, że cię spotkałem - mówi Sean do Amandy. Jego słowa brzmią dziwnie szczerze. - Smacznego!

- Życzę szczęścia! - woła Amanda za nimi.

- A to drań! - złości się Ellie. - Jak mógł tak bezceremonialnie pokazać ci, że jego żona jest w ciąży!

- Nie sądzę, by zrobił to celowo.

Ellie bez przekonania wzrusza ramionami.

- To ja nie chciałam mieć dzieci, Ellie.
- Nigdy tego nie zrozumieć. Byłabyś wspaniałą mamą.
- Taaak, na pewno. Miałam taki piękny przykład.

Amanda wyobraża sobie matkę w celi w Toronto, a potem błyskawicznie odsuwa od siebie niechcianą wizję. Nie do końca jej się to udaje. Zastanawia się, czy powiedzieć przyjaciółce o telefonie Bena. Kiedy w końcu otwiera usta, zdaje sobie sprawę, że Ellie jest już w połowie zdania.

- Przepraszam, co mówiłaś?
- Pytałam, jak się poczułaś, widząc ponownie Seana? Dziewczyna odsuwa od siebie ostatnie obrazy matki.
- Trochę głupio. To dziwne, że człowiek nie ma nic do powiedzenia komuś, z kim kiedyś chciał spędzić całe życie.
- Żałujesz czegoś?
- Wielu rzeczy - przyznaje z westchnieniem. - Nie byłam zbyt dobrą żoną.
- Po prostu dokonałaś niezbyt trafego wyboru, ot i wszystko. Amanda uśmiecha się ciepło do przyjaciółki.
- Jesteś słodka. Dziękuję.
- Powiedziałam tylko prawdę. Sean Travis może jest i miłym mężczyzną, ale to facet nie dla ciebie.

Gdzieś z cienia wyłania się twarz Bena Myersa. Amanda mruga powiekami, żeby pozbyć się tej wizji.

- Dobrze się czujesz?
- Tak.
- Wyglądasz, jakbyś chciała mi coś powiedzieć.
- Co miałabym ci powiedzieć?

Masz rację - myśli Amanda. Skoro już spytałaś, to wczoraj wieczorem bezpośrednio po bezsensownym seksie z niemal obcym mężczyzną odebrałam przykry telefon. Dzwonił mój były mąż, nie ten, z którym właśnie rozmawialiśmy, ale mężczyzna, o którego istnieniu nawet nie wiesz. Mój pierwszy były mąż... Przepraszam, nie bardzo wiem, dlaczego nigdy ci o nim nie wspomniałam. Proszę, wybac. Tak czy inaczej poinformował mnie, że moja matka zastrzeliła jakiegoś mężczyznę w foyer Four Seasons w Toronto i obecnie znajduje się w więzieniu.

Dłubie widelcem w liściu sałaty, a potem wkłada go do ust, żeby nie powiedzieć tego wszystkiego na głos.

- Nie - zapewnia, uśmiechając się uspokajająco do przyjaciółki. - Nic takiego.

Po lunchu Amanda zastanawia się, czy nie wrócić do swojego biura, ale nie ma na to ochoty - nie ma odwagi spojrzeć w pytające oczy Kelly. Nie może również pójść do klubu,



bo mogłaby się tam natknąć na Cartera Reese'a. Bezsensowny byłby także powrót do sądu. Jest o wiele za wcześnie. Może minąć kilka godzin, nawet dni, nim ława przysięgłych ogłosi wyrok.

Pod wpływem impulsu wskakuje do staroświeckiego zielonego trolejbusu, który kursuje między Clematis Street a pobliskim City Place, najnowszym, kilkuakrowym centrum handlowym, w którym nie brakuje sklepów i restauracji. Wsiadając z trolejbusu i torując sobie drogę wśród powoli przesuwanego się tłumu, postanawia wybrać się do kina. Wygląda jednak na to, że wszyscy mieszkańcy Palm Beach wpadli na identyczny pomysł, dlatego kolejka do multikina jest długa i nieuporządkowana. Wraca więc do wychwalanego centrum handlowego i spędza kilka godzin na bezmyślnym oglądaniu okien wystawowych w poszukiwaniu sukni na ślub Ellie. Chociaż bardzo ją kusi długa czarna kreacja, którą widzi na przeciwległej ścianie w Betsey Johnson, nie wchodzi do środka. Jak w transie wędruje ulicami, a potem siada na chwilę na pustej ławce obok dużej ozdobnej fontanny na środku ruchliwego skweru i patrzy na biegające dzieci oraz dorosłych, którzy jedzą przed włoską restauracją, bardziej znaną z rozmiarów porcji niż jakości jedzenia.

Nagle zdaje sobie sprawę, że spotkanie z Seanem i jego nową żoną wytrąciło ją z równowagi, chociaż nie bardzo wie, dlaczego. Może odezwała się w niej jakaś tęsknota. Sean był dobrym, życzliwym człowiekiem. Wpadła na niego, spacerując bez celu po zatłoczonej plaży. Wybrali się razem na drinka, a potem na kolację. Dobrze się z nim rozmawiało, choć może po prostu miała wtedy ochotę na rozmowę, a jemu podobało się to, co słyszał. Przynajmniej na początku.

Początki zawsze są łatwe - myśli Amanda. Jestem świetna, jeśli chodzi o zaczynanie.

I kończenie - przyznaje, podrywając się na równe nogi i przy okazji niemal przewracając starszą parę, która ostrożnie próbuje pokonać nierówną, kamienną nawierzchnię. To Amanda postanowiła rozstać się z Seanem, do niej również należało ostatnie słowo w związku z Benem. Nie podobał jej się pomysł wspólnego starzenia się. Nie przekonywały jej słowa: „póki śmierć nas nie rozłączy”. Kochaj i rzuć - brzmiała jej dewiza. Oczywiście, najlepiej, jeśli to ona mówiła: „żegnaj”.

- Laleczko! - słyszy czyjeś wołanie. - Tutaj, Laleczko. Tędy.

Odwraca głowę w prawo, ale widzi tylko grupkę bawiących się dzieci.

- Tutaj, lalusi! - krzyczy jakiś chłopiec do swojego kolegi. - Nie tam, idioto! Tędy!

„Laleczko! Laleczko!” - rozbrzmiewa jej w głowie.

Amanda wpada do najbliższego sklepu, pragnąc uciec przed wołaniem; porywa kilka wieszaków z ubraniami i zmierza do przebieralni na tyłach.

- W czym mogę pani pomóc? - pyta młodziutka sprzedawczyni.

Ma mniej więcej osiemnaście lat - tyle samo co Amanda, gdy wyszła za mąż za Bena.

Ciekawe, czy się ponownie ożenił.

- Nie, nie zrobię tego - mówi Amanda na głos, pocierając czoło, żeby zapomnieć o Benie.

- Słucham? - pyta sprzedawczyni. - Nie będzie pani przymierzać tych rzeczy?

- Co takiego? Przymierzę je. Przymierzę.

Kilka minut później stoi w maleńkim pomieszczeniu, zwanym przebieralnią, i przegląda się w wysokim, wąskim lustrze. Widzi swoją znacznie młodszą matkę.

„Cześć, Laleczko” - mówi odbicie.

Amanda drży. Gdy miała sześć lat, jej matka rzuciła klątwę na starego pana Walsh, który mieszkał w sąsiednim domu i uparcie zostawiał swój samochód na środku wspólnego podjazdu. Dwa miesiące później nieszczęśnik już nie żył. Taką moc miała jej matka.

Teraz za jej przyczyną nie żyje następny mężczyzna - myśli Amanda. Matka strzeliła do niego trzykrotnie, przypuszczalnie z bliska. Dlaczego to zrobiłaś, mamó? Czyżby teraz twoje klątwy nie działały wystarczająco szybko?

„Laleczko!” - woła matka zza drzwi.

- Przepraszam. Co pani mówiła?

- Pytałam, jak sobie pani radzi - odpowiada sprzedawczyni.

- Świetnie - zapewnia, chociaż na razie nie przymierzyła ani jednej rzeczy. - Dziękuję.

- Czy to pani komórka? - pyta dziewczyna.

Amanda nagle zdaje sobie sprawę, że gdzieś za jej plecami dzwoni telefon.

- O tak, tak.

Sięga do czarnej skórzanej torebki.

- Halo, słucham - mówi ze strachem.

„W końcu cię zmęczyłem, prawda?” - przypomina sobie.

- Słucham?

- Właśnie dzwonił z sądu - informuje ją sekretarka. - Ława przysięgłych wróciła.

## 5

- Co zdecydowała ława przysięgłych w sprawie grożenia śmiercią?

- Uznaliśmy, że oskarżony jest niewinny.

- Co zdecydowała ława przysięgłych w sprawie ograniczenia wolności?

- Uznaliśmy, że oskarżony jest niewinny.

- Co zdecydowała ława przysięgłych w sprawie gwałtu?

- Uznaliśmy, że oskarżony jest niewinny.

- Co zdecydowała ława przysięgłych w sprawie napadu ze śmiertelnie niebezpieczną bronią w rękę?

- Uznaliśmy, że oskarżony jest niewinny.

- Co zdecydowała ława przysięgłych w sprawie napaści z pobiciem?

- Uznaliśmy, że oskarżony jest winny.

- Dziękuję - mówi sędzia, zwalniając przysięgłych i podając dzień, kiedy zostanie ogłoszony wyrok.

- Co się stało? - pyta Derek Clemens, wodząc wzrokiem od swojej obrończyni do młodej, pulchnej kobiety, z którą kiedyś mieszkał, a która teraz cicho popłakuje na tyłach sali sądowej.

- Zostałeś uniewinniony z czterech spośród pięciu zarzutów.

- W takim razie jakim cudem uznano mnie za winnego w piątym?

- Bo ją pogryzłeś, Dereku - przypomina mu pani adwokat.

- Tak samo jak ją zgwałciłem - przyznaje oskarżony. - Tymczasem z tego zarzutu mnie uniewinniono.

Amanda potrząsa głową, częściowo z obrzydzenia, częściowo z niedowierzania. I pomyśleć, że sama prawie uwierzyła w niektóre fragmenty jego opowieści.

- Do zobaczenia podczas ogłaszania wyroku.

- Myśli pani, że pójdę do więzienia?

- To twoje pierwsze naruszenie prawa, poza tym jesteś głównym żywicielem Tiffany. Najprawdopodobniej dostaniesz kuratora.

- Słowo daję, że jeśli wyląduję w pudle, zabiję tę sukę.

- Nie ma sprawy, tylko, proszę, zatrudnij wtedy innego adwokata, dobrze?

Zarzuca torebkę na prawe ramię i kieruje się na tyły sali. Derek nie odstępował jej ani na krok.

- Hej, niech pani zaczeka. Może wybralibyśmy się gdzieś na drinka? Żeby uczcić zwycięstwo.

Amanda nawet nie zwalnia.

W drodze powrotnej do domu towarzyszy jej księżyc w pełni. Obok Amandy na przednim siedzeniu trzyletniego czarnego thunderbirda kabrioleta leży świeżo kupiona butelka drogiego czerwonego wina. Thunderbird był prezentem od Seana na czwartą i - jak się okazało - ostatnią rocznicę ślubu. Wino to prezent od siebie. W końcu dzięki niej świat stał się bezpieczniejszy dla paskudnych kanibali, prawda?

- Zrobiłam, co do mnie należało - przypomina sobie, skręcając w lewo w Czterdziątą Piątą i kierując się w stronę I-95.

To nie jej wina, że Derek Clemens tak przekonująco potrafi kłamać. Nie jej wina, że Caroline Fletcher jest swoim największym wrogiem. Wymiar sprawiedliwości w najlepszym przypadku przypomina grę w kości, dlatego dobry prawnik jest zawsze najmilej widziany przy dobrej sprawie. Niewinni często cierpią, winni na ogół pozostają na wolności. Na szczęście jedna twarz stosunkowo szybko zlewa się z następną. Jutro rano nawet nie będzie pamiętała, jak Caroline Fletcher płakała na tyłach sali sądowej. Pomoże w tym odrobina

szczęścia i wystarczająca ilość wina: Amanda poklepuje butelkę na czarnym skórzanym siedzeniu. Nowy dzień sprowadzi do jej biurka następną porcję przestępców, których sprawy trzeba będzie rozpatrzyć i przygotować. Zapłać i wykorzystaj szansę. Wyciągnij ich z tego albo usuń.

Zjeżdżając na prawą nitkę, spogląda w lusterko wsteczne. Widzi zerkające zza pleców oczy matki. Niektóre twarze nie rozmazują się tak łatwo jak inne - ostrzegają oczy.

Trochę za szybko skręca w I-95 i zajeżdża drogę białemu lexusowi suvowi. Kierowca gwałtownie odbija w bok i wymachuje pięścią, wyraźnie oburzony. Dokąd tak cholernie ci się spieszy? - pyta pięść, gdy Amanda z otwartą buzią spogląda na długi korek, który ciągnie się na północ.

Autostrada jak zwykle jest zakorkowana. Znużeni ludzie wracają z pracy do domu, ociężali umysłowo turyści szukają najmodniejszego baru, bosonogie nastolatki z fałszywymi dowodami osobistymi snują się od knajpy do knajpy, starsi ludzie, którym już kilka lat temu powinno się odebrać prawa jazdy, nie mają pojęcia, gdzie się znajdują ani dokąd zmierzają. Typowy piątkowy wieczór w lutym. Pewnie gdzieś przed nimi wydarzył się jakiś wypadek - tak przynajmniej można sądzić po nasileniu ruchu i ograniczonej prędkości. To moja wina - myśli Amanda, zerkając na zegarek na tablicy rozdzielczej. Dochodzi siódma. Nie powinna po rozprawie tak długo siedzieć w biurze. Niepotrzebnie też tyle czasu straciła w sklepie monopolowym na wyborze wina. Głupio postąpiła, wybierając w lutowy wieczór I-95. Normalnie z tego miejsca dojeżdżała do Jupitera w ciągu dwudziestu minut, tym razem będzie szczęśliwa, jeśli dotrze do domu na ósmą. Opiera głowę o zagłówek. Nie ma sensu, żeby wkurzała się o coś, na co nie ma wpływu.

Takie nastawienie skutkuje przez dziesięć minut, potem Amanda jest bliska wybuchu.

- Dość tego dobrego. Ruszcie się wreszcie!

Spogląda wilkiem na kremowy księżyc nad głową, jakby jego uśmiechnięta twarz była odpowiedzialna za jej kłopotliwe położenie. Wie, że pełnia to niebezpieczny okres. Zerka na samochód obok i widzi, jak kobieta w różowym sweterku i bluzeczce rozmawia przez telefon.

Mogłabym do kogoś zadzwonić - myśli, sięgając po torebkę. Tylko do kogo? Ellie zdziwiłaby się, że jej przyjaciółka kontaktuje się z nią po raz drugi tego dnia. Sekretarka Kelly wspominała coś o kolacji u rodziców.

- Ellie i Kelly - rymuje Amanda na głos. - Ellie i Kelly. Ellie i Kelly. Ellie i Kelly utoną w bieli.

Świetnie - myśli. Teraz w dodatku zachowuję się jak wariatka. Postanawia, że zadzwoni do swojej przyjaciółki Vanessy.

- No jasne. Od jak dawna nie kontaktowałeś się z Vanessą? Od dwóch lat?

Może Judy Knelman? Kiedy byłaś żoną Seana, raz na kilka tygodni spotykałaś się z

Judy i jej mężem. Jest jeszcze kobieta, która wyszła za mąż za przyjaciela Seana, Bryce'a Halla. Jak ona miała na imię? Edna, Emma, Emily?

- No tak, przyjaciele Seana nie mogą się doczekać mojego telefonu.

Dlaczego wciąż myśli o Seanie? Czyżby dlatego, że spotkała go podczas lunchu? Już raz natknęła się na niego na mieście, w Kravits Center jakieś dwa lata temu. Wtedy był jeszcze trochę rozgoryczony, chociaż podczas rozvodu o nic nie prosiła. Może dlatego udał, że jej nie widzi, a kiedy podchodziła, żeby się z nim przywitać, dał nura do męskiej toalety. Prawdę mówiąc, zapomniała o całym tym wydarzeniu i nigdy więcej do niego nie wracała. Jeśli coś się skończyło, jaki jest sens zawracać sobie tym głowę? Co z oczu, to i z serca. Czy nie tak zawsze brzmiało jej motto?

Oczywiście, wtedy jeszcze nie było Jennifer. Jennifer o mlecznobrzoskwiniowej cerze i długich, lśniących czarnych włosach. I rosnącym brzuchu.

Rosnący brzuch. Rosnący brzuch. Rosnący brzuch.

Czy właśnie dlatego tak podle się czuje?

To mogłam być ja - przypomina sobie Amanda. Nie chciałam mieć dzieci. Uparcie powtarzałam, że nie nadaję się na matkę. „Byłabyś wspaniałą matką” - powiedziała Ellie podczas lunchu. Jasne. Tak samo jak moja matka - kobieta, której instynkt macierzyński przejawiał się na dwa sposoby: obojętnością i wściekłością. Co dziwne, Amanda zawsze wolała wściekłość.

Zerka w bok, na kobietę w różowym sweterku. Nieznajoma uśmiecha się do niej, nie przerywając rozmowy przez telefon.

Kiedy po raz ostatni widziała matkę, starsza pani miała na sobie bluzeczkę w niemal identycznym różowym kolorze. Jej krótkie miodowe włosy były świeżo umyte i jak zawsze starannie ułożone. Prawdę mówiąc, matka zawsze wyglądała, jakby właśnie wyszła od fryzjera. Nawet jeśli była bardziej pijana niż przysłowiowy szewc i potykała się o wszystko, jej włosy zawsze były w idealnym stanie.

„Co zrobiła tym razem?”

Naprawdę mnie to nie interesuje.

„Kogo zabiła?”

Nie mój problem.

„To twoja matka”.

Już nie.

Macha ręką, żeby odsunąć od siebie obraz Gwen Price; opędza się od niej jak od uprzykrzonej muchy.

- Czy nie moglibyśmy skończyć tego cyrku na drodze? - pyta innych kierowców.

Na szczęście samochody przed nią stopniowo zwiększają prędkość.

- Dziękuję - mówi do uśmiechniętej twarzy księżycy. Czterdzieści minut później jest w

domu.

- Cześć, Joe. Macha dozorca.
- Utknęła pani w korku na I-95?
- Jasne.
- W radiu podawali, że przy zjeździe na Riviera Beach był jakiś wypadek.
- Samochody policyjne wciąż stały na poboczu - przyznaje Amanda.
- Spodziewa się pani towarzystwa? - Joe kiwnięciem głowy wskazuje butelkę w jej

ręku.

Dziewczyna sztywnieje. Czy w głosie odzwiernego słycać ciekawość, czy naganę?

- Dziś wieczorem nie.

Joe uśmiecha się od ucha do ucha.

- Życzę miłego wieczoru.

- Nawzajem.

Dozorca starał się być tylko uprzejmy - wmawia sobie w windzie Amanda, zadowolona, że jazda na czternaste piętro przebiega bez dodatkowych komplikacji. Bez zbędnych przystanków. Bez byłych kochanków. Bez ich podejrzliwych żon.

Tylko ja i moja butelka - mówi do pustego korytarza, gdy otwierają się drzwi windy.

Energicznym krokiem zmierza do swojego mieszkania na południowo-wschodnim rogu, idąc po czerwonym dywanie z brzegami w kolorze kości słoniowej. Potyka się w miejscu, w którym dywan odstaje nieco od kremowej ściany. Jutro rano będzie musiała zadzwonić do zarządcy budynku, żeby usunęli usterkę, zanim ktoś zrobi sobie krzywdę. Na pewno właściciel nie chciałby, aby jakiś młody, ambitny prawnik, jak na przykład ona, wniósł oskarżenie.

Co prawda, ona sama nie zajmuje się takimi sprawami. Nie, jej specjalnością jest bronienie dupków, którzy próbują żywcem połknąć swoje dziewczyny. Niekiedy też biją obce osoby w barze, kradną w 7-Eleven albo ranią z broni palnej kilku przechodniów. Oczywiście, jeśli dupek, który strzelał, jest synem jakiegoś znanego miejscowego polityka, albo rany odnosi młoda piękność, dzięki czemu sprawa trafia na pierwszą stronę „Palm Beach Post”, wtedy obrony podejmują się Jackson Beatty albo Stanley Rowe, którzy najsmakowitsze kąski zostawiają dla siebie.

- Najsmakowitsze kąski - powtarza Amanda na głos, zastanawiając się, kiedy praca zaczęła ją nudzić. I co bardziej ją denerwuje - fakt, że Derek Clemens został oczyszczony z czterech zarzutów, czy to, że w jednej sprawie uznano go za winnego?

Przez kilka sekund stoi przed drzwiami swojego mieszkania, nie mając ochoty wejść do środka. Ile wiadomości od byłego męża czeka na nią na poczcie głosowej? Chociaż, co dziwne, ani razu nie dzwonił do pracy.

Do domu też nie.

- To dobrze - mówi Amanda, stając na środku białej kuchni i otwierając butelkę wina. - To bardzo dobrze - powtarza, czując się tak, jakby Ben ją zlekceważył.

Napełnia duży kieliszek niemal po brzegi i upija spory łyk. Dochodzi do wniosku, że chyba powinna coś zjeść. Otwiera lodówkę. Jest w niej tylko butelka soku pomarańczowego i dwanaście jogurtów owocowych. Sprawdza datę ważności jogurtu z kawałkami truskawek i kiwi. Okazuje się, że termin przydatności minął pięć dni temu. Podobnie jest z wszystkimi pozostałymi jogurtami, bo kupowała je w tym samym czasie. Jak dawno temu? Kiedy po raz ostatni robiła zakupy w sklepie spożywczym? Na litość boską, nie ma nawet mleka!

„Jaka z niej matka, skoro nawet nie jest w stanie upilnować, żeby w domu było mleko dla dziecka?”

- Na szczęście, nie mam dziecka - stwierdza Amanda, jakby broniła we własnej sprawie.

Niosąc kieliszek w jednej ręce, a butelkę w drugiej, wchodzi do salonu.

- Żadnego dziecka.

Upija następny łyk wina, zrzuca buty, opada na białą płócienną sofę i jednym haustem opróżnia pół kieliszka, tak jak to robiła jej matka.

Przestaje się dziwić, że Ben nie zadzwonił. Zawsze wystarczało mu jedno słowo. Wiedział, kiedy się poddać, kiedy zrezygnować, kiedy odejść.

Dziwne, że w ogóle zadzwonił.

Wybuchła śmiechem. Oczywiście, to dość niezwykle okoliczności. Nie co dzień czyjaś matka popełnia morderstwo.

Chociaż z drugiej strony tak naprawdę nie wiadomo, ilu ludzi w minionych latach zabiła jej matka. John Mallins może być pierwszym mężczyzną, którego jawnie wyprawiła na tamten świat, ale na pewno nie jest jedyną jej ofiarą.

Amanda dopija resztę wina, potem nalewa sobie następny kieliszek, przy okazji rozlewając kilka kropli na białe płytki u swych stóp, tuż obok białego dywanu obszytego czarną lamówką. Powinna kupić kilka dodatkowych mebli do salonu: jeszcze jeden fotel, który wypełniłby pustą przestrzeń pod ścianą na lewo, może jakąś ławę i drugą lampę. Jej mieszkanie zawsze wyglądało tak, jakby nie zostało wykończony, jakby ktoś dopiero zaczął się do niego wprowadzać. Albo z niego wyprowadzać.

Czyli tak, jak lubię - myśli, upijając następny łyk wina, przyglądając się gołym białym ścianom i czując, że jej spięte barki w końcu zaczynają się rozluźniać.

- Za człowieka na Księżycu - mówi, kiwając głową w jego stronę i upijając wino. - Za Bena, mojego pierwszego byłego męża. - Następny łyk, tym razem duży. - Za Seana, mojego drugiego. - Jeszcze jeden łyk, a potem następny. - Do diabła, za wszystkich moich mężów - byłych i przyszłych.

Uzupełnia kieliszek i lekko go unosi.

- A także za wszystkie niewinne ofiary mojej matki: starego pana Walsha. Johna Mallinsa. Mojego ojca - szepcze, usiłując wstać. - O nie. Nie pójdziemy tam. Zdecydowanie nigdzie nie pójdziemy.

Dzwoni dzwonek. Amanda spogląda w stronę drzwi, ale nie wykonuje żadnego ruchu. Po kilku sekundach dzwonek odzywa się ponownie.

- Otwórz - słyszy kobiecy głos.

Młoda kobieta podchodzi do drzwi i otwiera, nawet nie pytając, kto to taki.

- Cześć, Janet - mówi do kobiety z jasną grzywką przyklejoną do czoła.

Po co skubać brwi - zastanawia się Amanda - jeśli potem ukrywa się je pod włosami? Chce spytać: „Czemu zawdzięczam twoje odwiedziny?”, ale dochodzi do wniosku, że już wie. Pyta więc tylko:

- Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

Amanda z uśmiechem wlewa do kieliszka resztę wina z butelki.

- Mogę wejść?

Gospodyni robi krok do tyłu, wpuszcza Janet do mieszkania, idzie za nią do salonu i wskazuje na sofę.

- Proszę, usiądź.

- Nie, dziękuję. Zaraz wychodzę.

W takim razie po co wchodziłaś? - pyta w myślach Amanda, ale nie mówi tego na głos. Jest zbyt zajęta wpatrywaniem się w nienaturalnie grube wargi Janet. Co każe, do diabła, tak atrakcyjnym kobietom jak Janet skazywać się na potworne katusze? - zastanawia się, dochodzi jednak do wniosku, że zna odpowiedź na swoje pytanie: kobiety takie jak ona. Pociąga następny łyk.

- Na pewno wiesz, po co przyszłam.

- Przepraszam. Miałam zamiar oddzwonić, ale byłam bardzo zajęta...

- Nikogo na to nie nabierzesz.

- Chyba usiądę.

Opada na sofę. Czuje, że pokój wiruje wokół niej.

- Wiem o tobie i moim mężu.

Gospodyni milczy. Pamięta, że najlepszą obroną jest atak, ale nie ma ani energii, ani ochoty wdawać się w jakąkolwiek dyskusję.

- Victor powiedział mi o waszym romansie.

Amanda potrząsa głową z niedowierzaniem. Dlaczego mężczyźni tak bardzo lubią się spowiadać? Znów zna odpowiedź. Spowiedź jest doskonała dla duszy, ale co ważniejsze, pozwala pozbyć się poczucia winy.

Janet uznaje jej konsternację za zaprzeczenie.



- Nie wmawiaj mi, że nie miałaś romansu z moim mężem.
- Nie nazwałabym tego romanssem.
- Naprawdę? A jak nazwałabyś przespanie się z cudzym mężem?

Jest zbyt zmęczona, żeby znaleźć dobrą odpowiedź.

- Bezmyślnością - słyszy własne słowa. - Głupotą. Potworną głupotą.
- No cóż, przynajmniej w tym masz rację - zgadza się Janet.

Sprawia wrażenie niepewnej siebie, jakby przyszła przygotowana na porządną awanturę i teraz miała problemy z zaakceptowaniem łatwego zwycięstwa. Spogląda wilkiem na kieliszek w jej ręce.

- Na pewno nie chcesz się czegoś napić? - pyta Amanda.

- Co się z tobą dzieje, Mandy? Czyżby brakowało żonatych mężczyzn, z którymi mogłabyś wypić drinka?

- Proszę, nie mów do mnie Mandy.

- Och, najmocniej przepraszam. Czy tak mają prawo zwracać się do ciebie tylko mężczyźni, z którymi sypiasz?

Amanda usiłuje wstać, chociaż w rzeczywistości ma ochotę tylko na to, żeby się położyć.

- Myślę, że powinnaś już iść.
- Nie pójdę, póki nie powiem tego, co chcę powiedzieć.
- Przepraszam. Myślałam, że wszystko już... powiedziałaś.

- Dla ciebie to tylko zabawa, prawda? Bawisz się ludzkim życiem. Nie obchodzi cię, że ranisz innych? Że to, co dla ciebie jest jedną nocą bezmyślnej zabawy, dla innych oznacza całe życie pełne bólu? Że być może moje małżeństwo już nigdy nie będzie takie jak poprzednio?

- Naprawdę uważam, że niepotrzebnie robisz z tego wielką aferę. W końcu to była tylko jedna noc. Dla żadnego z nas nie miała zbyt wielkiego znaczenia.

- Dla mnie ma wielkie znaczenie - wali Janet prosto z mostu.

Na twarzy Amandy pojawia się rumieniec wstydu.

- Przepraszam.

- Lepiej trzymaj się z dala od mojego męża. Janet wychodzi i trzaska za sobą drzwiami.

Huk przenika ciało Amandy jak prąd. Chyba pora wyjechać z miasta - myśli, wyrzucając zawartość żołądka na biały dywan w salonie.

Okolo drugiej w nocy Amanda budzi się na podłodze.

- O cholera - mamrocze, czując wciąż świeży zapach wymiocin.

Spogląda na dużą czerwoną plamę na środku dywanu. Wygląda jak krew i nie zmyje jej żadna ilość mydła ani wody.

- Cholera - przeklina ponownie.

W głowie huczy jej wzburzony ocean, taki sam jak za oknami. Dotyka włosów - są lepkie i pokryte żółcią.

- Jesteś obrzydliwa - łaje sama siebie, wchodząc w ubraniu pod prysznic i stając pod strumieniem gorącej wody, która wypływa z olbrzymiej słuchawki.

Zdaje sobie sprawę, że niszczy w ten sposób kostium. Tak samo jak zniszczyła dywan, nie mówiąc już o całym swoim życiu - dochodzi melodramatycznie do wniosku, wylewając na głowę prawie całą buteleczkę szamponu.

No cóż. Jaka matka, taka córka.

Z drugiej strony matka nigdy po żadnej pijatyce nie wymiotowała. Upijała się do nieprzytomności i pozostawała nieświadoma niczego - obecna ciałem, ale nieobecna duchem.

Po wyjściu spod prysznicu Amanda zdejmuje mokre ubranie, wyciera się dużym białym ręcznikiem i wchodzi do łóżka. Dywanem zajmie się rano, chociaż właściwie co może z nim zrobić? Zwinać i wyrzucić. Nawet kilkakrotne profesjonalne czyszczenie nie zdoła całkowicie usunąć bezkształtnej czerwonej plamy. W tym momencie młoda kobieta zaczyna się zastanawiać, co zrobił dyrektor hotelu Four Seasons z Toronto z dywanem ze swojego foyer. Po trzech kulach z pewnością musiało popłynąć sporo krwi.

- Może powinnam do niego zadzwonić i spytać, jak sobie z tym poradził?

Sięga po telefon obok łóżka i wybiera numer, którego podświadomie nauczyła się już na pamięć.

- Halo, słucham? - słyszy zaspany głos.

- Co zrobili z dywanem?

- Amanda?

Wyobraża sobie, jak Ben siada i kilkakrotnie odgarnia włosy znad zaspanych oczu.

- Zakładam, że było dużo krwi - kontynuuje Amanda. - Po prostu zastanawiam się, co zrobili z dywanem.

- Nie wiem - odpowiada Ben, jakby pomimo nienormalnej pory prowadzili najnormalniejszą rozmowę.

- Kim, do diabła, jest John Mallins? - pyta Amanda.

- Nie znamy zbyt wielu szczegółów.

- A co wiecie?

- Wiemy, że mieszkał w Anglii i razem z żoną oraz dziećmi przyjechał do Toronto na urlop.

- Co go łączy z moją matką?

- Z tego, co do tej pory odkryła policja, nic.

- A więc moja matka zastrzeliła zupełnie obcego człowieka?

Najwyraźniej. Amanda opiera się o wezglowie. To już wielka przesada, nawet w przypadku jej matki.

- Była pijana?

- Nie - mówi Ben. - Naprawdę powinnaś przyjechać, Amando.

Dziewczyna bez pożegnania odkłada słuchawkę. Podchodzi do okna i patrzy na księżyc.

## 6

Samolot do Toronto odlatuje z Palm Beach z prawie godzinnym opóźnieniem.

Amanda oddycha z ulgą, kiedy w końcu zaczynają kołować. Cieszy się, że nie może już przebiec między fotelami i zawołać: „Zmieniłam zdanie. Wypuście mnie stąd!” Z pewnością już dawno by to zrobiła, gdyby nie siedziała na samym tyle zatłoczonego boeinga 737, wciśnięta między nastolatkę bez przerwy żującą gumę i biznesmena w średnim wieku tak zatopionego w lekturze jakiejś powieści szpiegowskiej, że nawet nie podniósł wzroku, kiedy ona przeciskała się obok niego na swoje miejsce.

Oto następne rzeczy, których Amanda nienawidzi: środkowych foteli w samolotach; nastolatek, które głośno żują gumę i jeszcze głośniej nią strzelają, a w dodatku co chwila podrzucają długimi, prostymi włosami prosto w jej twarz; bezkształtnego wełnianego czarnego płaszcza, który włożyła po raz pierwszy od ośmiu lat, a powinna go wyrzucić już dawno temu.

Dlaczego tego nie zrobiła? Nawet jeśli ten płaszcz był kiedyś modny, przed wielu laty stracił styl, a teraz drapie ją w nagie przedramiona. Chętnie by go zdjęła, ale ma tak mało miejsca, że z trudem oddycha, więc jak tu myśleć o pozbyciu się kilku warstw ubrania? Przynajmniej mnie osłania - myśli, kiedy na jej policzek znów opada kilka kosmyków włosów sąsiadki. Trzeba było go zdjąć, nim usiadłam, a jeszcze lepiej - wyrzucić od razu po opuszczeniu Toronto.

- Przede wszystkim w ogóle nie powinnam wsiadać do tego cholernego samolotu, ot co - mówi na głos, a potem ze skrepowaniem zerkna na sąsiadów.

Na szczęście nastolatka na fotelu przy oknie głośno strzela gumą w rytm muzyki rockowej, która dochodzi z jej słuchawek, a mężczyzna od strony przejścia całkowicie jest pochłonięty lekturą, więc najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi na wybuch dziewczyny.

Dlaczego nie pomyślałam o zabraniu książki? - zastanawia się, próbując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni miała czas na zatopienie się w dobrej lekturze. Mogła na przykład - jak jej sąsiad - wziąć jakiś kryminał, coś, co pozwoliłoby jej zabić dwie i pół godziny, które spędzi w powietrzu, a jednocześnie zapomnieć, dokąd i po co zmierza.

Amanda nie pamięta, kiedy właściwie postanowiła wybrać się do Toronto. Po rozmowie z Benem zapadła w niespokojny sen. Przyśniło jej się, że drogą I-95 ścigają ją ciężarna Jennifer Travis, zła Janet Berg i szlochająca Caroline Fletcher. W trakcie ucieczki zatrzymała się, żeby kupić obraz żony Cartera Reese'a, Sandy, a w końcu obudziła się złana

potem. Chyba wtedy doszła do wniosku, że nadszedł czas na Wielką Ucieczkę.

O szóstej rano zadzwoniła do linii lotniczych. Udało jej się zarezerwować ostatnie miejsce na bezpośredni lot z Palm Beach do Toronto na czternastą trzydzieści. Potem zadzwoniła na telefon domowy swojej sekretarki, całkowicie zapominając, że jest sobotni poranek, więc może biedna Kelly chce akurat nieco dłużej pospać. Oznajmiła jej, że być może w poniedziałek nie pojawi się w biurze.

- Jak mam to wyjaśnić ludziom? - spytała Kelly zdumiewająco dziarskim głosem jak na tak wczesną porę.

- Nie wyjaśniaj.

- Wrócisz na wtorek?

- Nie jestem pewna.

Zapadła cisza, w której Amanda niemal słyszała, jak pracują trybiki w mózgu Kelly. Z pewnością sekretarka była bardzo ciekawa, czy nagła zmiana planów ma coś wspólnego z telefonami od Bena Myersa.

- Zadzwonię do ciebie, gdy tylko będę wiedziała, co dalej - obiecała Amanda i rozłączyła się.

Następnie wrzuciła do torby czarne spodnie i czarny golf, kilka kompletów bielizny na zmianę, a w końcu zadzwoniła do Bena i powiedziała mu, że koto piątej po południu przylatuje do Toronto. Potem pojechała taksówką na lotnisko, gdzie zjadła na śniadanie kawałek pizzy pepperoni i wypita dużą cokę, przeszła przez odprawę i w sali odlotów zapadła w spokojny sen, czekając, kiedy będzie mogła wejść na pokład swojego samolotu.

Na szczęście - albo nieszczęście - ktoś zobaczył ją śpiącą i obudził w odpowiedniej chwili, dzięki czemu zdążyła na swój lot. Wpadła do samolotu w ostatniej chwili, kiedy zamykano drzwi, wcisnęła torbę do pełnego już schowka nad głową, a potem z ogromnym trudem przedostała się na środkowy fotel w przedostatnim rzędzie samolotu. Przypomniała sobie, że kiedy człowiekowi bardzo na czymś zależy, nie może grymasić. Po chwili pilot oznajmił, że z przyczyn technicznych odlot opóźni się o dziesięć minut. Dziesięć minut wydłużyło się do dwudziestu, potem trzydziestu, a w końcu do pięćdziesięciu. Coraz bardziej się pocila w swoim czarnym wełnianym płaszczu. W końcu samolot zaczął kołować w stronę pasa startowego; widocznie udało się usunąć awarię.

- W końcu lecimy - szepcze Amanda, gdy samolot wzbija się w powietrze.

Chwyta kurczowo podłokietnik i rozpaczliwie broni się przed atakiem paniki. Po raz ostatni była w powietrzu osiem lat temu. Nawet w podróż poślubną z Seanem wybrała się statkiem, nie samolotem. Z rozrzewnieniem przypomina sobie wspaniały rejs po Karaibach, tym wspanialszy, że po ślubie z Benem nigdzie nie wyjeżdżali.

Amanda odsuwa na bok obraz Bena. I tak go wkrótce zobaczy.

- Zarezerwuj mi pokój w miejscu zbrodni - poinstruowała go rano przez telefon. -

Zadzwoń do ciebie, gdy tylko się rozpakuję.

Dziewczyna przy oknie kilkakrotnie głośno strzela gumą jak z miniaturowego pistoletu. Coraz bardziej pocąc się w grubym płaszczu, Amanda zastanawia się, jakiego rewolweru użyła matka, zabijając tajemniczego nieznajomego.

Nagle ni stąd, ni zowąd ożywa stare wspomnienie i rozrasta się błyskawicznie jak chwast, nim ma szansę go wyrwać. Była wtedy kilkuletnim dzieckiem. Grzebała w garderobie matki w poszukiwaniu eleganckich złotych albo srebrnych butów na wysokich obcasach i z ostrymi czubkami, trzewików, które pasowałyby do stroju księżniczki z bajki. Niestety, dziewczynka znalazła na podłodze tylko sporą liczbę brązowych i czarnych butów na płaskim obcasie. Potem uniosła głowę i na półce nad wieszakami zobaczyła pudło. Uznała, że pewnie tam mama trzyma obuwie na specjalne okazje, buty, jakie mogłaby nosić królewna z bajki. Pobiegnęła do kuchni i przyniosła niewielką drabinkę, która stała za kredensem. Weszła na trzeci, najwyższy stopień, wyciągnęła ręce w stronę pudła, ale nie mogła go chwycić, jedynie drapała paznokciami kartonową powierzchnię. W końcu zdołała zepchnąć je z półki. Pudło upadło na podłogę, po drodze niemal ocierając się o główkę dziewczynki. Uderzyło niezgrabnie o dywan, otworzyło się i ukazało swoją zawartość.

W środku znajdował się mały, czarny, zaskakująco ciężki rewolwer. Na to wspomnienie z ust Amandy wyrzywa się sapnięcie. Wtedy prawdopodobnie też sapnęła.

Ze zdumieniem wzięła do ręki dziwny przedmiot i zaczęła go obracać, potem uniosła do nosa i poczuła zimny zapach metalu. Nagle w drzwiach pojawiła się matka. Krzyczała i machała rękami jak marionetka. Wyrwała rewolwer z rąk Amandy. Przerazona dziewczynka uciekła z pokoju. Później, kiedy poszła do pokoju mamy, żeby wszystko wyjaśnić, matka patrzyła na nią, jakby nie istniała.

Kiedy następnym razem wkradła się do garderoby matki, pudła nie było. Potem przez wiele lat dręczyło ją pytanie: po co matka trzymała rewolwer?

Teraz doszło do niego drugie: czy właśnie z tej broni zastrzeliła Johna Mallinsa?

- Kim jest, do diabła, John Mallins? - pyta na głos Amanda.

- Przepraszam. Do mnie pani mówiła?

Mężczyzna z fotela obok przygląda się Amandzie ciepłymi, brązowymi oczami.

- Słucham? O nie. Przepraszam. Po prostu często rozmawiam sama ze sobą. Nie miałam zamiaru panu przeszkadzać.

- Nic się nie stało. Ja też bez przerwy mówię do siebie. Mężczyzna wraca do książki.

Amanda przygląda się jego profilowi. Dochodzi do wniosku, że jej sąsiad ma sympatyczną twarz. Trudno uznać ją za ładną, ale też nie jest brzydka. Długi nos, wyraźne kości policzkowe, pełne wargi i ładnie zarysowana szczęka składają się na całkiem niezłą całość. Do tego pełne życzliwości oczy... Chciałaby, żeby się na niej skupiły.

- Dobra książka?

- Słucham?
- Sprawia pan wrażenie całkowicie zatopionego w lekturze.
- Jest dobra.
- Tylko dobra?

Po co właściwie wierci dziurę w brzuchu biednemu człowiekowi, który wyraźnie nie ma ochoty na kontynuowanie rozmowy? Nie potrzebuje, żeby ktoś oderwał go od ponurych myśli i zabawił rozmową. W końcu to nie jego matka zastrzeliła obcego człowieka w foyer Four Seasons.

- Na razie zapowiada się całkiem nieźle. - Sąsiad kładzie otwartą książkę na kolanach. - Jestem jednak przygotowany na ewentualny zawód.

- Dlaczego?
- Czytuję sporo kryminałów. Większość ich dobrze się zaczyna, ale potem czegoś im brakuje.

Amanda kiwa głową, jakby się zgadzała, chociaż nie czytała zbyt wielu kryminałów. Życie jest wystarczająco zagmatwane - myśli.

- Jak można przygotować się na zawód?

Mężczyzna przez kilka sekund z uśmiechem na ustach zastanawia się nad odpowiedzią. Nie zapominając o przeszłości - mówi w końcu.

W tym momencie nad jej górną wargą pojawia się strużka potu, a policzki stają się różowe i wilgotne, jakby pochylała się nad otwartym ogniem.

- Dobrze się pani czuje? - pyta mężczyzna, z wyraźnym zaniepokojeniem ściągając brązowe brwi.

- Po prostu w tym płaszczu jest mi trochę za gorąco - kłamie Amanda. - Lada chwila zacznę krzyczeć.

- Może spróbuję jakoś pani pomóc - proponuje współpasażer.

Zsuwa płaszcz z jej ramion i przytrzymuje go, gdy ona wyciąga ręce ze zbyt wąskich rękawów. Prawa ręka gwałtownie uwalnia się z fałdów grubego materiału i zaledwie o kilka centymetrów mija szczękę siedzącej obok dziewczyny.

- Przepraszam - mówi Amanda.

Głośne pęknięcie gumy upewnia ją, że przeprosiny zostały przyjęte.

- Mam go położyć na półce?

Mężczyzna wskazuje schowek nad ich głowami.

- Dziękuję.

- Już lepiej się pani czuje?

Amanda wachluje spory dekolt w kształcie litery „V” w swoim podkoszulku i głęboko oddycha.

- Znacznie lepiej. Dziękuję.

Oczy mężczyzny śledzą ruch jej ręki.

- Napije się pani wody? Zadzwoń po stewardesę?

- Nie, dziękuję.

Mężczyzna uśmiecha się i wyciąga rękę.

- Jerrod Sugar.

Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że współpasażer podał jej swoje imię i nazwisko, a nie nazwę jakiegoś egzotycznego napoju.

- Amanda - odpowiada, ściskając jego rękę. - Amanda Travis.

- Jedziesz do domu, Amando? - pyta Jerrod Sugar.

- Nie. Prawdę mówiąc, mieszkam na Florydzie.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że wychwyliłem u ciebie lekki kanadyjski akcent - zdradza mężczyzna z uśmiechem.

Amanda sztywnieje.

- Nie. Pochodzę z Florydy. A ty?

- Wychowałem się w Milwaukee. W ubiegłym roku przeprowadziłem się do Abacoa.

Abacoa to małe, zupełnie nowe miasto budowane między Palm Beach Garden a Jupiterem. Chociaż na razie jest zamieszkane zaledwie w połowie, już szczyci się własnym stadionem, polem golfowym i uniwersytetem. Amanda wyobraża sobie żonę Jerroda i trzy małe Sugarzątka.

- Dlaczego wybrałeś Abacoa?

- Jestem profesorem - wyjaśnia Jerrod. - Otrzymałem ofertę, której nie mogłem odrzucić.

- Co wykładasz?

Mężczyzna wybucha śmiechem. Amanda dochodzi do wniosku, że podoba jej się ten dźwięk, pochyla się więc, przy okazji muskając lewą pierśią zewnętrzną stronę ramienia mężczyzny.

- Ekonomię - wyjaśnia Jerrod Sugar.

Sięga do kieszeni i wyjmuje wizytówkę. Robi to ostrożnie żeby nie dotknąć ramieniem piersi sąsiadki.

Amanda z przesadnym zainteresowaniem studiuje wizytówkę.

- Chyba nic nie wiem o ekonomii.

- Sądzę, że dużo wiesz. I to o wielu rzeczach. Tym razem to ona wybucha śmiechem.

- Dlaczego lecisz do Toronto?

- Na zjazd. A ty?

- Na urlop - odpowiada Amanda, wymawiając na głos pierwsze słowo, jakie przychodzi jej do głowy.

- Na urlop? Kto wyjeżdża w lutym na urlop do Toronto? Wzrusza ramionami. Jerrod

ma rację.

- Daj spokój, przyznaj się.

Tym razem to on nachyla się w stronę Amandy i zagląda jej w dekolt.

Czy to z powodu wyraźnego uznania w spojrzeniu Jerroda, czy zachęcających słów - tak czy inaczej dziewczyna nagle słyszy własne słowa:

- Prawdę mówiąc, mój były mąż zawiadomił mnie, że aresztowano moją matkę, więc postanowiłam ją odwiedzić.

Uśmiech błyskawicznie znika z twarzy Jerroda.

- Żartujesz, prawda?

- Żartuję - potwierdza szybko Amanda.

Jerrod wybucha nerwowym śmiechem, potem się odwraca. Po chwili znów jest zatopiony w lekturze.

Amanda straciła dziewictwo, gdy miała czternaście lat.

Zdarzyło się to w niewielkim domku w Haliburton przy współdziale Perry'ego Singletona, którego siostra Claire chodziła do tej samej klasy co ona. Rodzice Claire zaprosili Amandę do swojego domu na pewien lipcowy weekend, mając nadzieję, że dzięki temu między ich nieśmiałą, introwertyczną córką a jej bardziej wygadaną koleżanką z klasy nawiąże się przyjaźń. Niestety, jedynym skutkiem owej wizyty okazał się płomień między nogami starszego brata Claire.

Szesnastoletni wówczas Perry Singleton był typowym chłopcem, przed którym matki ostrzegają swoje córki - przystojnym, pewnym siebie i nieprzewidywalnym. Amanda widywała wcześniej, jak Perry przechadzał się dumnie po korytarzach Jarvis Collegiate, słyszała plotki o jego seksualnych podbojach i знаła szczegóły kolejnych przygód. Wiedziała o stosowanym przez Perry'ego skomplikowanym systemie ocen, w którym wykorzystywał czerwony atrament, wykrzykniki i złote gwiazdki, co oznaczało, że chętnie dzieli się on intymnymi informacjami ze swoimi przyjaciółmi. Często słyszała w ubikacji płacz porzuconych przez niego dziewczyn, bo każda miała nadzieję, że będzie tą jedyną, że zdoła go zmienić, nauczyć rozsądku i rzucić na kolana.

Ona nawet jako czternastolatka nie miała takich złudzeń. Nie liczyła, że uda jej się zmienić wstrętną ropuchę, jaką był Perry Singleton, w nudnego księcia - zresztą nawet nie miała zamiaru tego robić. Chciała tylko zająć najwyższe miejsce na jego liście. Zależało jej na czerwonym atramencie, wykrzykniku, a przede wszystkim na złotej gwiazdce.

Dlatego gdy podszedł do niej w domu rodziców i zaczął ją obmacywać, nie odepchnęła go, nie udała zaszokowanej ani nie próbowała pokazać, że jest trudna do zdobycia. Zamiast tego odwróciła się, zdecydowanie położyła rękę na zamku jego dżinsów, a potem powiedziała, że gdy Claire zaśnie, przyjdzie do jego pokoju.

Perry kiepsko się spisywał w grze wstępnej. Amanda nie miała nic przeciwko temu,



uznała bowiem, że pospieszne obmacywanki bardziej ją wkurzają, niż podniecają. Za pierwszym razem niewiele czuła. Bolało, ale nie za bardzo - może dlatego że wszystko trwało niecałą minutę. Perry albo w ogóle nie zauważył, że była ona dziewicą, albo nie przywiązywał do tego żadnej wagi, co również jej odpowiadało. Wkrótce odkryła upodobania Perry'ego, który - jak się okazało - lubił niemal wszystko, co wiązało się z jego penisem, a oglądała wystarczająco dużo filmów, żeby wiedzieć, co i kiedy powinna robić. Nie przejmowała się, że czerpie z tego niewiele satysfakcji. Za osobiste zadowolenie nie dostałaby wykrzykników ani złotych gwiazdek.

Wystarczy powiedzieć, że Perry Singleton był załamany, gdy po dwóch miesiącach go rzuciła.

Potem chodziła z Ronnim Leightonem, a następnie w krótkim czasie, jeszcze przed ukończeniem szesnastu lat, „zaliczyła” Freda Coonsa, Normana McAuliffa, Billy'ego Kravitza i Spensera Watta.

Przed siedemnastymi urodzinami chodziła z Kenem Urbachem, Jeremym Walbergiem, Ianem Fitzhenrym, Brianem Castlemanem, Larrym Burtonem, Stuartem Magilnym i przynajmniej kilkoma innymi.

W końcu trafiła na odpowiedniego partnera.

Amanda rozpiera się w fotelu i spogląda na siedzącą obok nastolatkę, która drzemie, nawet przez sen poruszając szczęką i żując gumę. W niewielkiej szybce samolotu widzi twarz Bena Myersa. Jego oczy miały kolor gorzkiej czekolady, a policzki były szorstkie od zarostu. Nosił najbardziej obcisłe i najniechlujniejsze dżinsy, jakie w życiu widziała, a jego długie, czarne włosy pachniały piwem i marihuaną. Niczego od nikogo nie oczekiwał, o czym zapewniał każdego, kto chciał słuchać. Dorośli to hipokryci; chrzanić sukces; stabilizacja jest dla zniewieściałych facetów. Tyle że nie nazywał ich zniewieściałymi facetami, lecz kiciusiami, a ona uwielbiała to słowo w jego ustach.

Czy można się dziwić, że pasowali do siebie jak ulał? Że przyciągali się jak przeciwne bieguny magnesu? Że dosłownie na oślep rzucili się sobie w ramiona?

- Moi starzy są tacy beznadziejni - wyznał pewnego wieczoru Ben. - W ogóle mnie nie rozumieją.

- Moi nawet nie wiedzą, że tu jestem - zdradziła Amanda w rewanżu, uznając, że lepiej być źle zrozumianym niż niezauważonym.

- Jestem dla nich tylko strupem na głowie - powiedział.

- Ja jeszcze gorzej.

Kapitan zapowiada, że wkrótce wylądują w Toronto. Amanda czuje bolesne pulsowanie w uszach. Zastanawia się, czy nie poprosić nastolatki o gumę do żucia, obawia się jednak, że dziewczyna może dać jej kawałek wyjęty z buzi, więc tylko krzywi się i nic nie mówi.

- Co się dzieje? - pyta Jerrod Sugar. Amanda pokazuje na uszy.

- Spróbuj przełknąć ślinę.

Młoda kobieta stara się nie słyszeć w jego radzie żadnych seksualnych podtekstów. Kilka razy przelyka ślinę, ale odczuwa tylko niewielką ulgę. Nagle przypomina sobie, że najniebezpieczniejszymi etapami lotu są start i lądowanie. Zaciska palce na oparciu.

- Nie przypuszczałem, że jesteś panikarą - drażni się z nią Jerrod Sugar z uśmiechem na ustach.

- Po prostu jestem nieprzewidywalna.

- Z całą pewnością.

Tym razem mężczyzna nie odwraca wzroku.

Amanda czuje, że jej współtowarzysz lada chwila zaproponuje wspólną taksówkę albo drinka, ale Jerrod milczy. Tym razem to ona odwraca wzrok. Znow zerkna w stronę okna i obserwuje, jak miejsce otaczających ich chmur powoli zajmuje zimowy krajobraz.

- Zupełnie jakbyśmy lądowali na innej planecie - mruczy, dochodząc do wniosku, że tak jest naprawdę.

Nagle nastolatka na sąsiednim fotelu odwraca się.

- Jestem taka podekscytowana - wyjawia Amandzie, jakby były przyjaciółkami, które od dawna się nie widziały. - Od sześciu miesięcy nie widziałam swojego chłopaka. Każde z nas wyjechało na inną uczelnię i teraz mamy się spotkać po raz pierwszy po długiej rozłące. Dobrze wyglądam?

Poprawia włosy i wyczekująco na nią patrzy, przez cały czas energicznie poruszając szczęką.

- Może zrezygnowałabyś z gumy? - podpowiada Amanda. Dziewczyna natychmiast wypluwa na dłoń różowawą grudkę.

- Zapomniałam, że mam ją w ustach. - Śmieje się. - Rzeczywiście jest już nieświeża. - Wrzuca ją do plastikowego woreczka na oparciu fotela. - Lepiej?

- O wiele lepiej.

- Dzięki. Jestem taka zdenerwowana. Chyba muszę się wysikać.

Rozpina pas i próbuje wstać.

- Sądzę, że powinnaś zostać w fotelu, póki nie wylądujemy. Pokazuje jej napis: „Zapiąć pasy”.

- Cholera! Dziewczyna siada.

Myśli Amandy wracają do matki.

Tuż po wylądowaniu Jerrod Sugar podaje jej torbę ze schowka nad głową, potem pomaga włożyć płaszcz, a przy okazji nieco dłużej, niż to konieczne, dotyka dłonią ramienia towarzyszki podróży.

- Do czwartku będę w Metro Convention Center - mówi. - Gdybyś znalazła wolną

chwile, zadzwoń do mnie.

## 7

Pokonanie krótkiego odcinka od samolotu do kanadyjskiego punktu odprawy celnej ciągnie się bez końca. Amanda powoli posuwa się długim korytarzem, pasek wypchanej czarnej skórzanej torby podróżnej wpija jej się w prawe ramię. Pewnie lepsza byłaby walizka z kółkami, którą z taką łatwością ciągną ludzie przed nią. Tylko czy na pewno? Kółka oznaczają większą prędkość i szybsze dotarcie do celu, tymczasem ona wolałaby w ogóle do niego nie dotrzeć.

Wstępuje na długie schody ruchome, zjeżdża nimi w dół i dołącza się do setek ludzi, którzy w kilkunastu kolejkach czekają na odprawę celną. Jakaś kobieta wyjaśnia, że jednocześnie wylądowały dwa odrzutowce pełne pasażerów, dlatego dotarcie do punktu odprawy celnej może zająć nawet godzinę. Amanda wzrusza ramionami; prawdopodobnie w panującym tłoku jest jedyną osobą, która z przyjemnością przyjmuje tę niemiłą wiadomość. Szuka wzrokiem Jerroda Sugara. Wydaje jej się, że kilka rzędów dalej mężczyzna dyskutuje z atrakcyjną kobietą mniej więcej w jego wieku, ale gdy spogląda w inną stronę, znów go widzi - tym razem sąsiad z samolotu z ożywieniem rozmawia przez telefon komórkowy. Pani adwokat robi kilka małych kroków do przodu i dochodzi do wniosku, że Jerrod Sugar ma twarz, która zawsze wydaje się znajoma. Tak więc chociaż dość długo obok niego siedziała, a nawet z nim flirtowała, naprawdę nie ma pojęcia, jak on w rzeczywistości wygląda. Gdyby skorzystała z jego propozycji i zadzwoniła do hotelu, prawdopodobnie by go nie poznała.

Pomimo dużej liczby osób i ponurych przewidywań kolejka posuwa się w stosunkowo szybkim tempie i pół godziny później Amanda jest już o krok od celnika.

- W jakim celu przyjechali państwo do Kanady? - pyta urzędnik parę przed nią.

- W interesach - odpowiada mąż.

- W celach turystycznych - uzupełnia żona.

To znaczy? - chciałaby zapytać Amanda.

Zerka na formularz, który trzyma w ręku, i głośno wzdycha, widząc, że zaznaczyła „w celach turystycznych”. Powinni tu wpisać „obowiązki” - myśli. Albo „konieczność”, czy wręcz „morderstwo popełnione przez matkę”.

- Witam panią - mówi jakiś głos przed nią. Dziewczyna czuje, że ktoś klepie ją po ramieniu.

- Pani kolej - podpowiada stojący za nią mężczyzna, wskazując głową na celnika.

Amanda przytakuje. Kiedy podaje celnikowi paszport i deklarację, serce wali jej w piersiach, jakby była nielegalną imigrantką, która próbuje wślizgnąć się do kraju.

- Skąd pani pochodzi? - pyta urzędnik, chociaż ma przed nosem wszystkie informacje.

- Z Florydy.

Zastanawia się, czy komputer zdradzi mu, że w rzeczywistości urodziła się tutaj, w Toronto, i czy z powodu kłamstwa założą jej kajdanki na ręce i najbliższym samolotem odeślą do Stanów Zjednoczonych.

- Co sprowadza panią do Toronto o tej porze roku? - pyta uprzejmie mężczyzna.

Celnik jest młody, anemiczny i atrakcyjny, ma jasną skórę, nieco przerzedzone włosy i zaskakująco niski głos.

- Przyjechałam odwiedzić matkę - mówi Amanda, niemal dławiąc się ostatnim słowem.

Z pewnością urzędnik wyczuł jej wahanie. Na pewno zainteresują go szczegóły. „Kim jest pani matka?” - spyta. „Kiedy widziała ją pani po raz ostatni? Dlaczego tak długo jej pani nie odwiedzała? Czemu postanowiła ją pani odwiedzić właśnie teraz? Kim pani jest? Kim pani jest naprawdę?”

- Jak długo ma pani zamiar zostać w Kanadzie? - pyta młody człowiek.

- Kilka dni.

- Przywiozła pani jakieś prezenty?

Amanda niemal wybucha śmiechem. Kiedy po raz ostatni wymieniła się z matką prezentami? Czy kiedykolwiek w życiu coś sobie dały?

- Nie. Nie mam żadnych prezentów.

- Papierosy? Alkohol?

Amanda czuje, jak wczorajsze wino podchodzi jej do gardła.

- Nie.

- Życzę miłego pobytu.

Celnik podbija jej deklarację i oddaje formularz wraz z paszportem, po czym gestem zaprasza następną osobę z kolejki.

- Dziękuję.

Dziewczyna niechętnie oddala się od niego i idzie wraz z innymi ludźmi, którzy muszą jeszcze odebrać bagaż. Na szczęście nie miała żadnych walizek, więc kieruje się do wyjścia, gdzie jeszcze jeden urzędnik sprawdza jej deklarację.

- W porządku - mówi.

Bierze od niej formularz i nawet nie próbuje grzebać w jej torbie, chociaż znalazłby tylko zestaw do makijażu, czarne spodnie i czarny golf, a także kilka nieciekawych kompletów bawełnianej bielizny. Amanda wlecze się w stronę wyjścia, jakby jej nogi zapadały się w świeżo wylanym betonie. Po drodze przygląda się twarzom osób, które czekają na bliskich. Ludzie cieszą się z ponownego spotkania: „Cześć, kochanie. Miałaś dobry lot?”, „Tak urosłaś, że prawie cię nie poznałem!”, „Witamy w domu, tatusiu!” Dostrzega nastolatkę z sąsiedniego fotela. Dziewczyna w radosnym uniesieniu rzuca się w otwarte ramiona swojego chłopaka, a ona czuje, że ma rozdarte serce. Kiedy po raz ostatni dosłownie

rzuciła się w czyjeś ramiona? Kiedy po raz ostatni ktoś czekał na nią z otwartymi ramionami?

- Gdzie są te cholerne taksówki? - mamrocze, nie poruszając wargami.

Czuje ostry, zimny podmuch, który sunie po podłodze w stronę jej stóp niczym śmiertelnie niebezpieczny wąż. Dochodzi do wniosku, że prawdopodobnie będzie musiała kupić sobie botki. Jest podenerwowana, choć jeszcze nie opuściła lotniska.

- Do diabła z taką pogodą - mówi na głos.

- Nadal mówisz sama do siebie? - słyszy pytanie. Zamiera w bezruchu. Nie chce się oglądać.

- Zawsze lubiłaś ze sobą rozmawiać.

Głośnie bicie serca zagłusza wszystko oprócz obaw Amandy.

- Nie musiałeś po mnie przyjeżdżać - odpowiada dziwnie chłodnym głosem. -

Obiecałam, że zadzwonię, jak się rozpakuję.

- Myślałem, że się ucieszysz, widząc przyjazną twarz.

- A jest przyjazna? - słyszy własne pytanie.

- Możesz się odwrócić i sama sprawdzić.

Amanda powoli odwraca się w stronę głosu. Niechętnie unosi wzrok i przygląda się stojącemu przed nią mężczyźnie, odnotowując każdy szczegół jego twarzy.

Ben Myers wygląda dokładnie tak samo jak człowiek, od którego uciekła osiem lat temu, chociaż z drugiej strony w niczym go nie przypomina. Wciąż jest wysoki, chudy, przystojny i rozczochrany, co kiedyś doprowadzało ją do szału, ale brązowe oczy są teraz bardziej nieufne niż zranione, a wyprostowana sylwetka sugeruje świadomość celu i spokojną pewność siebie, które zajęły miejsce dawnej brawury. Gruba, czarna skórzana kurtka, którą Ben ma na sobie, bardziej zapewnia wygodę, niż wyraża bunt. Dziewczyna zdaje sobie sprawę, że niegrzeczny chłopiec przeobraził się w mężczyznę. Dobrego mężczyznę.

- Witaj, Benie - mówi, kiedy przestaje jej dudnić w uszach, a liczba uderzeń serca wraca do normy.

- Cześć, Amando - wita ją Ben. - Cudownie wyglądasz.

- Dziękuję. Ty też.

Ben odbiera od Amandy torbę podróżną i zarzuca ją sobie na ramię.

- To wszystko?

- Tak.

- Nie planujesz więc dłuższego pobytu?

- Myślałam, że dzień lub dwa wys...

Urywa, uznając, że lepiej nie kończyć tej myśli. Poza tym Ben już się oddalił. Musi podbiec, żeby go dogonić.

- Mam tu samochód - rzuca Ben przez ramię, idąc w stronę windy. - Zapnij się - radzi.

- Na zewnątrz jest zimno.

Po wyjściu z windy do garażu Amanda czuje, że arktyczne powietrze uderza ją w twarz jak szklanka lodowatej wody. Tyle że woda zamarzlaby w powietrzu przed dotarciem do jej twarzy - myśli, zapinając wyżej kołnierz i zastanawiając się, czemu nie zabrała szalika ani rękawiczek. Co ja tu, do diabła, robię? - pyta samą siebie. Dlaczego idę przez zamarzną pustynię w ślad za mężczyzną, który kiedyś był moim mężem, a teraz ma mnie zawieźć do hotelu, w którym moja od dawna niewidziana matka zastrzeliła zupełnie obcego mężczyznę?

- Tędy - mówi Ben.

- To ten mercedes?

- Nie.

Ben pokazuje starą białą corvette.

- Mój Boże, wciąż ją masz!

- Znasz mnie. Nigdy nie umiałem się z niczym rozstać.

Amanda nie zwraca uwagi na wieloznaczność jego słów i bezskutecznie próbuje rozgrzać ręce, tymczasem Ben otwiera drzwi samochodu i wrzuca torbę w niewielką przestrzeń, która zastępuje tylne siedzenie. Kobieta przez chwilę dotyka boku starego samochodu. Ciepłe wspomnienia łagodzą niemiły dotyk zimnej powierzchni.

Dziesięć lat temu Ben, pewny siebie młodzieniec w dopasowanych czarnych dżinsach i czarnej skórzanej kurtce, wyłonił się z nieskazitelnie białego samochodu sportowego i wszedł po schodach, które prowadziły do drzwi wejściowych jej domu. Wybiegła mu na spotkanie, mając nadzieję, że matka z dezaprobatą spogląda przez okno swojej sypialni i widzi, jak córka buntowniczo wsuwa dłoń w rękę chłopaka. Kiedy uniosła głowę, okazało się, że zasłony w sypialni matki jak zwykle są zaciągnięte i nikt na nich nie patrzy. Tak samo jak nikt nigdy na nią nie czekał i nie krzyczał - nawet gdy wracała następnego dnia o czwartej nad ranem.

To tyle, jeśli chodzi o ciepłe wspomnienia - myśli Amanda, wsiadając do samochodu.

Corvetta powinna jej powiedzieć, jaki naprawdę jest Ben. Sam z własnej kieszeni zapłacił za ten cholerny samochód. Żeby go kupić, od czternastego roku życia pracował we wszystkie weekendy i przez całe wakacje, odkładając każdego zarobionego centa.

Wiedząc o tym, powinna zauważyć zapal Bena, jego determinację i wolę sukcesu. Tymczasem widziała tylko czarną skózaną kurtkę i białą corvette. Widziała pewność siebie, ale nie dostrzegła stalowej siły woli. Słyszała w głosie Bena lekceważenie, kiedy szydził z autorytetów, ale nie zauważyła, ile autorytetu pobrzmiewa w jego głosie.

Wiedziała, że nie ona pierwsza dała się zwieść pozorom, nie pierwsza popełniła błąd, przypisując swoje pragnienia komuś, komu nie brakowało własnych marzeń. Jej zależało na pewnej pozycji, tymczasem dostała żywego człowieka. Pragnęła mieć chłopca, który śniłby się po nocach jej matce; trafiła na mężczyznę, z którego każda matka byłaby naprawdę dumna, tyle że Amandzie nie na tym zależało.

- Naprawdę nie musiałeś po mnie przyjeżdżać - mówi Benowi, który płaci parkingowemu i wyrzuca rachunek.

- Bałem się, że stchórzysz i po dotarciu na lotnisko wskoczysz do pierwszego samolotu na Florydę.

- Coś takiego rzeczywiście przyszło mi na myśl.

- Tak przypuszczałem.

Ben uśmiecha się, jakby po tylu latach wciąż dobrze ją znał, jakby w ogóle kiedykolwiek ją znał.

- Jak ona się miewa?

Młoda kobieta nie mówi, o kogo chodzi, i jest wdzięczna, że Ben nie pyta.

- Zaskakująco dobrze.

- Jakby to nie ona wystrzeliła trzy kule z bliskiej odległości?

- Właśnie.

- Powiesz mi, co się stało?

- Już ci powiedziałem.

- Moja mama zastrzeliła obcego człowieka w foyer Four Seasons - mówi Amanda.

Niezależnie od tego, ile razy by to powtarzała, wciąż nie może uwierzyć. Prawdę mówiąc, za każdym razem jej słowa coraz bardziej tracą sens. Jak ubranie, które po każdym praniu traci kolor, tak samo słowa tracą blask i stopniowo bledną. Równie dobrze mogłaby mówić w jakimś obcym języku.

- Coś jeszcze?

- Nic więcej.

- Posłuchaj, pokonałam szmat drogi, więc chciałabym usłyszeć coś więcej.

- Nie sądzisz, że gdybym wiedział coś więcej, dawno temu bym ci powiedział?

- W takim razie powtórz mi jeszcze raz wszystko, co wiesz. Ben przez chwilę milczy, łyka powietrze jak wodę, potem powoli je wypuszcza. Jego oddech zasnuwa mgłą przednią szybę.

- Twoja matka siedziała w rogu foyer Four Seasons, kiedy do biurka w recepcji podszedł jeden z gości hotelowych, mężczyzna, który nazywał się John Mallins. Według licznych świadków Gwen Price spokojnie wstała z fotela, przeszła przez foyer, wyjęła z torebki rewolwer i trzy razy strzeliła do Johna Mallinsa, a potem schowała broń, z powrotem usiadła i spokojnie czekała na przyjazd policji.

- W żaden sposób nie została do tego sprowokowana?

- Najwyraźniej.

- Nawet nie odezwała się do swojej ofiary?

- Nikt nie słyszał ani słowa.

- On nie odezwał się do niej?

- Nie miał szansy.
- Po prostu podeszła i zastrzeliła go - podsumowuje Amanda.
- Najwyraźniej - mówi Ben tak samo jak poprzednio.

Dlaczego on wciąż powtarza to słowo? - zastanawia się Amanda. W całym tym wydarzeniu nic nie jest wyraźne.

- Według recepcjonistki siedziała w foyer cały dzień - kontynuuje Ben bez zachęty.
- Co takiego? To znaczy, że czekała, aż jej ofiara wpadnie w zasadzkę?
- Na to wygląda.

Próbuje sobie wyobrazić, jak matka siedzi w rogu hotelowego foyer i cierpliwie czeka, kiedy będzie mogła zaatakować niczego niepodważającego obcego człowieka.

- A tak swoją drogą, jak ten facet wygląda?
- Średni wzrost, krępa budowa ciała, ciemne włosy, wąsik.
- Ile ma lat? Ile miał lat? - poprawia się natychmiast.
- Dobiegał pięćdziesiątki.

- Dobiegał pięćdziesiątki - powtarza Amanda, próbując go sobie wyobrazić. - Nie rozumiem. Kim jest ten człowiek?

- Amando... - mówi Ben cierpliwie.

- Posłuchaj - przerywa mu. - Moja matka z pewnością ma świra, ale nie jest aż tak szalona, żeby siedzieć przez cały dzień w hotelowym foyer i czekać, kiedy będzie mogła zamordować całkiem obcego człowieka. Najwyraźniej go znała. Wiedziała, że przyjechał do Toronto i gdzie się zatrzymał. To znaczy, że coś musi ich łączyć.

- Jeśli tak, twoja matka nic nie chce nam na ten temat powiedzieć.
- Mówi, że przypadkowo wybrała się do...
- Nic nie mówi - wtrąca Ben.

Po obu stronach autostrady numer 401 śnieg pokrywa wszystko białą warstwą. Amanda przygląda mu się i potrząsa głową coraz bardziej sfrustrowana.

- Czy to może być jakieś załamanie psychiczne związane z menopauzą?
- Nie sądzisz, że jest trochę za stara na takie rzeczy?

Amanda przygląda się Benowi, wyraźnie zaskoczona. Zawsze uważała matkę za stosunkowo młodą kobietę, chociaż różnica wieku między nimi wynosiła trzydzieści cztery lata. To znaczy, że teraz mama ma prawie sześćdziesiąt dwa - oblicza w myślach. Zdecydowanie za późno na klimakterium. Z drugiej strony Gwen Price nigdy nie dopasowywała się do ogólnie przyjętych norm.

- Czy to może być alzheimier?
- Trudno wykluczyć taką ewentualność.
- Ale raczej nie bierzesz jej pod uwagę.
- Nie biorę - przyznaje Ben.



- Dlaczego?

- Po prostu twoja matka sprawia wrażenie bardzo...

- Jakiej?

- Bardzo rozsądnej - kończy Ben po długiej przerwie.

- Moja matka sprawia wrażenie bardzo rozsądnej - powtarza Amanda. - To znaczy, że na pewno ma świra.

Ben wybuchając śmiechem, a ona zdaje sobie sprawę, jak miło brzmi jego śmiech i jak rzadko go słyszała.

- Widział ją może psychiatra?

- „Widział” to bardzo trafne określenie - stwierdza Ben - bo nie zgodziła się z nim rozmawiać. Niczego sobie nie ułatwia.

- A to cię dziwi, bo...?

Ben znów się śmieje, chociaż tym razem w jego śmiechu słychać napięcie, jakby ktoś stopniowo zaciskał mu sznur na szyi.

- Może zechce porozmawiać z tobą.

Dziewczyna zamyka oczy i próbuje sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wymieniła z matką choćby kilka zdań. Słyszy pełen złości głos, głupie oskarżenia rzucone bezmyślnie i odbijane jak gumowa piłka. „No cóż, nie ma się co dziwić, że przy takiej córce twój ojciec zmarł na zawał serca!”

- Kiedy będę mogła ją zobaczyć?

- Zakładałem, że pojedziemy do niej jutro koło pierwszej.

- W Metro West Detention Center.

- Jak tam jest?

- To nie Four Seasons.

- No cóż, może w takim razie nikogo więcej nie zabije. Kiwa głową, jakby chciała spytać: Czy to wszystko prawda?

Czy nasza rozmowa rzeczywiście się odbywa?

- Będziemy mieli jakieś problemy z wejściem? Ben potrząsa przecząco głową.

- Powiem im, że jesteś moją asystentką. Ignoruje wesoły błysk w jego oczach.

- Mama wie, że przyjechałam?

- Nie.

- Myślisz, że to dobry pomysł? Ona nie lubi niespodzianek.

- Nie chciałem nic jej mówić na wypadek...

- Gdybym w ostatniej chwili zrezygnowała?

- Coś w tym stylu.

Amanda zerka przez szybę i na bocznej ścianie niskiego ceglanego budynku widzi napis: „Druga skóra”. Wspaniały pomysł - myśli, trzęsąc się pomimo grubego płaszcza.

Przydałaby mi się w tej chwili druga skóra.

- Wciąż ci zimno?

Ben podkreśla ogrzewanie. Jej stopy owiewa świeży podmuch gorącego powietrza,

- Chyba zapomniałam, jak tu zimno o tej porze roku.

- Zdarzają się lata gorsze i lepsze.

Amanda przytakuje i bacznie przygląda się profilowi Bena. Jego nos jest dłuższy, niż zapamiętała, a kości policzkowe wyraźniejsze. Jest bardzo przystojny - myśli, czując dawne ukłucie, mimo to nie może odwrócić głowy.

- Powiedz, jak ci się wiedzie - prosi po kilku sekundach milczenia.

- Dobrze.

- Odpowiada ci praca adwokata?

- Tak. A tobie?

- Tak. - Śmieje się. - Oboje powiedzieliśmy „tak”, jakbyśmy brali ślub.

Ben uśmiecha się niewyraźnie.

- Myślę, że raz wystarczy, nie sądzisz? Amanda potakuje.

- Ożeniłeś się ponownie? - pyta.

Ben ma na rękach grube, czarne skórzane rękawiczki, ale Amanda przypomina sobie, że na lotnisku nie widziała na jego palcu obrączki. Zastanawia się, co zrobił ze starą i czy łatwiej było mu się z nią rozstać niż ze starą corvetta.

Ben potrząsa przecząco głową.

- Masz dziewczynę?

- Obecnie raczej stawiam na przyjaźń - wyznaje Ben po chwili.

Wyraźnie nie ma ochoty rozmawiać z nią o swoich prywatnych sprawach.

- Przyjaźń z dziewczyną - dokucza mu Amanda.

Jest dziwnie poirytowana myślą, że on może mieć kogoś innego. Dlaczego? - zastanawia się, zaskoczona swoją niemal bezwiedną reakcją. Po opuszczeniu Bena miała dziesiątki mężczyzn, zaliczyła następne małżeństwo i rozwód.

Dlaczego więc myśli, że po tylu latach Ben wciąż za nią tęskni i tylko czeka, kiedy ona odzyska zdrowy rozsądek i wróci do domu? Czy jest choćby w minimalnym stopniu zainteresowana rozpaleniem na nowo słabego płomyka, który wyraźnie wciąż się między nimi tli? Amanda śmieje się sama z siebie i odsuwa na bok niepokojącą myśl.

- Co cię tak śmieszy?

- Czym się zajmuje twoja dziewczyna? - pyta Amanda, ignorując pytanie.

Dochodzi do wniosku, że chociaż ze względu na dawne dobre czasy miło byłoby przespać się z Benem, z pewnością nie oczekuje niczego więcej. Już to przerabiałam - przypomina sobie.

- Jest prawniczką.

- Żartujesz.

- Pracuje w Prokuraturze Korony.

Prokuratura Korony to odpowiednik amerykańskiej prokuratury okręgowej.

- To znaczy, że sypiasz z wrogiem.

Ben nic nie mówi, tylko mocniej zaciska palce na kierownicy. Amanda dostrzega głębokie zagłębienie na powierzchni czarnych skórzanych rękawiczek. Kto by pomyślał? - przemyka jej przez głowę. Po chwili powtarza na głos:

- Kto by pomyślał?

- O czym mówisz?

- O wszystkim. Ben przytakuje.

- Rzeczywiście, kto by pomyślał? - zgadza się.

## 8

Ruch na autostradzie jest na szczęście niewielki, chociaż po dotarciu do Allen Expressway muszą znacznie zmniejszyć prędkość i dalej już bardzo wolno posuwają się do przodu.

Gdzieś między Lawrence Avenue a Eglinton Amanda zamyka oczy i udaje, że drzemie. Nie chce widzieć zmian, jakie w ostatnich latach zaszły w Toronto, nie ma również ochoty na dalszą rozmowę. Co dziwne, naprawdę zasypia i budzi się dopiero wtedy, gdy Ben zajeżdża pod piękny hotel w śródmieściu.

- Zasnęłam?

- Nawet chrapałaś - potwierdza Ben.

- Chrapałam?

- Przypuszczam, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Dziewczyna rumieni się, chociaż czuje na twarzy podmuch chłodnego powietrza, które wpada do środka, gdy portier otwiera drzwi samochodu.

- Kobiety nie chrapią - zapewnia Bena z wyraźną złością, chwytając portiera za rękę i wysiadając z samochodu. - Przynajmniej ja na pewno nie chrapię - oznajmia z naciskiem.

Nie może się zdecydować, czy jest zła na niego za spokojne przypomnienie wspólnej przeszłości, czy na siebie, że zasnęła i tym samym dała mu pewną przewagę. Jaką przewagę? - zastanawia się, sięgając na tylne siedzenie po torbę podróżną i czując muśnięcie skórzanej rękawiczki Bena na gołej dłoni.

- Poradzę sobie - mówi, kiedy jej były mąż bierze torbę i niesie ją w stronę hotelu. - Nie musisz wchodzić.

Niestety, Ben jest już w środku, a w czasie kiedy Amanda pokonuje obrotowe drzwi, jej były mąż zbliża się do recepcji.

Młoda kobieta zatrzymuje się, nie zwracając uwagi na podmuch chłodnego powietrza,

które wpada z zewnątrz. To tu wszystko się stało - myśli, próbując wyczuć w perfumowanym powietrzu choćby najlżejszy zapach krwi. - To tutaj moja matka zastrzeliła obcego mężczyznę.

Patrzy na duży prostokątny, kwiecisty dywan, który leży na środku przestronnego, jasno oświetlonego foyer, szuka brązowych plam na ciemnej wełnianej powierzchni, ale niczego nie znajduje, co oznacza, że niewątpliwie dywan został wymieniony. Z pewnością dyrekcja hotelu nie chciała, żeby nieświadomych niczego turystów witała spora kałuża krwi. Byłoby to raczej dość niemiłe pierwsze wrażenie.

Na środku mahoniowego stołu stoi wyszukana kompozycja z żywych kwiatów. Ściany i podłogę pokrywa miedzianobrazowy marmur. Obłożone lustrami kolumny sięgają do samego sufitu. Po lewej stronie znajduje się bar i zaciszne miejsce, gdzie można spokojnie posiedzieć. Stoją tam sofy i fotele w uzupełniających się odcieniach beżu. Amanda zdaje sobie sprawę, że to tu jej matka czekała przez cały dzień, aż będzie mogła zamordować jednego z gości. Ciekawe, który fotel zajmowała.

- Amando! - woła Ben. - Potrzebny jest jakiś dokument.

Idzie w stronę recepcji, chociaż wyraźnie nogi nie chcą jej słuchać. Czuje, że lada chwila ugną się pod nią kolana albo się potknie. Ben błyskawicznie do niej podchodzi i ujmuje ją za łokieć.

- Dobrze się czujesz?

- Widzę, że szybko usunęli wszelkie ślady - szepcze Amanda, reagując lekkim zniecierpliwieniem na jego zaniepokojenie i podając paszport recepcjoniście.

- Dobry wieczór, pani Travis.

Młody mężczyzna uśmiecha się, odsłaniając przynajmniej o dziesięć zębów więcej, niż to konieczne.

- Cieszę się, że postanowiła pani skorzystać z naszych usług. Z tego, co widzę, ma pani zamiar zatrzymać się u nas na siedem dni.

- Nie - protestuje Amanda zdecydowanie.

Mężczyzna wyraźnie blednie, zęby znikają za cienką kresczką warg.

- Wystarczą dwa.

Amanda spogląda wilkiem na byłego męża, jakby chciała powiedzieć: „Dlaczego, do diabła, uznałeś, że zostanę na cały tydzień?”

Ben nie odzywa się ani słowem. Recepcjonista podsuwa jej formularz i pokazuje, gdzie powinna złożyć podpis.

- Nie potrzebuje pan numeru mojej karty kredytowej? - pyta Amanda, kiedy on o nic nie prosi.

- Pani towarzysz już się tym zajął.

Amanda z wymuszonym uśmiechem na ustach wręcza mężczyźnie swoją kartę

kredytową, jednocześnie szepcząc do Bena:

- Co ty, do diabła, wyrabiasz?
- Próbuję trochę przyspieszyć formalności.
- Potrafię się zatroszczyć o siebie.
- Wiem o tym.

Ben nie dodaje: „Zawsze potrafiłaś”, ale Amanda i tak słyszy te słowa.

Zastanawia się, co John Mallins robił przy recepcji, kiedy matka go zastrzeliła. Czy rozmawiał z tym samym pracownikiem?

- Ma pani pokój na piętnastym piętrze - informuje młody człowiek.

Jest zbyt beztroski jak na kogoś, kto niedawno był świadkiem morderstwa popełnionego z zimną krwią. Podaje Amandzie małą kopertę z kartą wejściową i obniża głos, jakby miał zamiar przekazać jej bardzo ważną informację.

- Pokój 1612. Jeśli będzie pani miała jakieś pytania, proszę dzwonić. Czy wezwać kogoś, kto zanieśnie pani bagaż?

- Damy sobie radę - zapewnia go Ben, zarzucając torbę podróżną Amandy na ramię i kierując się do windy.

Ma zamiar go powstrzymać, powiedzieć, że dalej już sobie poradzi, że Ben wcale nie musi odprowadzać jej do pokoju. Fakt, że jej matka zastrzeliła człowieka w foyer tego właśnie hotelu, wcale nie oznacza, że trzeba się nią zajmować jak małym dzieckiem. Co więcej, nie jest już uwięzioną księżniczką, którą kiedyś chciał uratować, żeniąc się z nią, o czym dobrze powinien wiedzieć.

Chyba że ma ochotę na szybki pojedynczy numer. Na krótki powrót do młodzieńczej namiętności, sprawdzenie, czy wciąż ich do siebie ciągnie, próbę ostatecznego zerwania z przeszłością i zaspokojenie ciekawości, żeby potem móc o wszystkim zapomnieć. To by jej odpowiadało. Ben stawia jej torbę na marmurowej podłodze.

- Dalej już na pewno trafisz - mówi.

Amanda próbuje ukryć zaskoczenie i zawód, dochodzi jednak do wniosku, że tak będzie lepiej. Zastanawia się tylko, czy on zaproponuje wspólną kolację. Jest głodna. Przez cały dzień nic nie jadła.

- Przyjadę po ciebie jutro koło pierwszej - obiecuje Ben.
- Świetnie.

Przecież mogę zamówić kolację do pokoju - myśli, podnosząc torbę z podłogi, kiedy na lewo od niej otwierają się drzwi windy. Wchodzi do środka i naciska guzik na piętnaste piętro.

- Och, byłbym zapomniał.

Ben rozpina kurtkę, wyjmując dużą brązową kopertę i podaje ją Amandzie. Do windy wchodzi para w średnim wieku. Na czarnym futrze kobiety błyszczy śnieg.

- Co to takiego? - pyta Amanda.

- Coś, co powinnaś przejrzeć.

Koperta ciąży jej w rękach. Kobieta w czarnych norkach naciska guzik dwudziestego siódmego piętra i drzwi windy się zamykają.

Amanda rzuca torbę na ogromne łóżko, podchodzi do okna i spogląda w dół, na ulicę. Jest bardzo ciemno. Na chodniku widać zaledwie kilka osób. Z powodu wiatru wszystkie mają przygarbione plecy i twarze ukryte w podniesionych kołnierzach zimowych płaszczy, a śnieg niczym konfetti prószy im na głowy.

- Co ja tu, do diabła, robię? - pyta w cichym pokoju. - Jeszcze wczoraj wieczorem patrzyłam przez okno na ocean. Nie, wczoraj wieczorem wyrzucałam na dywan zawartość żołądka - poprawia się.

Odkłada brązową kopertę i bierze do ręki jadłospis, który leży na biurku. Z pobliskiej szafki podnosi pilota i automatycznie włącza telewizor.

- Warto wprowadzić tu nieco hałasu - mówi.

Zerka na leżącą na biurku kopertę i postanawia, że zajrzy do niej dopiero wtedy, gdy będzie miała coś do jedzenia. Domyśla się, co jest w środku. Dlatego powinna wcześniej coś zjeść. Nabrać nieco sił.

Po dziesięciu minutach ma rozpakowaną torbę, po następnych pięciu wie, co chciałaby zjeść.

- Poproszę zupę marchwiową i pieczonego kurczaka - zamawia przez telefon.

Spiker w telewizji przypomina jej, żeby nie wyłączała odbiornika, bo za chwilę zaczną się *Noc hokejowa w Kanadzie*.

- Zamówione dania przyniesiemy pani za godzinę - mówi osoba z obsługi kelnerskiej.

- Za godzinę?

- Jesteśmy bardzo zajęci.

Amanda odkłada słuchawkę, siada na skraju łóżka i przesuwając wzrok z łososiowej ściany na beżowy dywan. Potem opada na plecy, zrzuca z nóg czarne botki i macha w powietrzu bosymi stopami, jakby siedziała na brzegu mola.

- Co mam robić z godziną wolnego czasu? - pyta kwiatowy wzór na ścianie nad łóżkiem.

Oczywiście, może oglądać telewizję. Tyle że kompletnie nie zna się na hokeju, a po dwukrotnym sprawdzeniu wszystkich kanałów okazuje się, że w telewizji nie ma nic, co chciałaby obejrzeć. Nie kusi jej nawet dostępny kanał pornograficzny, na którym wśród propozycji jest coś, co nosi tytuł *The Fuller Bush Girl*.

Może wybrać się na spacer, zwiedzić najbliższą okolicę, w której pełno modnych butików i wspaniałych nocnych klubów. Niestety, jest zimno i mokro, sklepy są już pozamykane, a na samą myśl o alkoholu ścisną ją w żołądku.

Niech diabli wezmą Bena! Dokąd tak mu się spieszyło? Na randkę z urodziwą panią prokurator?

- No cóż, jest sobotni wieczór - przypomina sobie Amanda na głos.

Opada na poduszki i zastanawia się, dlaczego w ogóle myśli o byłym mężu. W ciągu minionych lat prawie w ogóle go nie wspominała. Chociaż to nie jest do końca prawdą - przyznaje w myślach, zasłaniając oczy prawym ramieniem i próbując odsunąć od siebie obraz Bena, tego, jak wyglądał na lotnisku w chwili, kiedy ujrzała go po raz pierwszy od ponad ośmiu lat.

Prezentował się tak samo dobrze jak tego dnia, kiedy powiedziała mu, że odchodzi.

- Nie rozumiem, dlaczego to robisz - wyznał wówczas szczerze, po czym dorzucił jeszcze prostsze pytanie: - A ty rozumiesz?

Amanda gwałtownie siada.

- Nie będę do tego wracać. Sięga po telefon.

- Nie mam zamiaru przechodzić przez to wszystko po raz drugi.

Dzwoni na centralę.

- Proszę połączyć mnie z hotelem w Metro Convention Center.

Po minucie rozmawia z kobietą, która wita ją po angielsku i po francusku.

- Poproszę z pokojem Jerroda Sugara. Dziękuję.

- Pan Sugar nie odpowiada - informuje telefonistka po kilku sygnałach. - Chce pani zostawić dla niego wiadomość na poczcie głosowej?

- Nie, dziękuję. Zadzwonię później.

Straciłaś wspaniałą szansę, wielkoludzie - myśli dziewczyna, odkładając słuchawkę.

Włącza odpowiedni kanał i przez dziesięć minut próbuje oglądać mecz.

- Co to jest, do diabła, „spalony”? - pyta komentatora, wstając z łóżka i decydując się na kąpiel.

Odkręca kurek, rozbiera się i staje nago na środku łazienki, czekając, aż wanna napełni się wodą. Dzwoni telefon.

- Ben - domyśla się, zakręca kurek i sięga po telefon obok muszli klozetowej.

Pozwala mu zadzwonić jeszcze raz, dopiero potem podnosi słuchawkę. Nie ma zamiaru okazywać zbyt wielkiego zapału.

- Halo, słucham?

Nie, jestem zbyt zmęczona na kolację - układa w myślach odpowiedź. Mimo to serdecznie dziękuję za zaproszenie. Właśnie mam zamiar wziąć gorącą kąpiel i położyć się do łóżka. Do zobaczenia jutro.

- Witam panią, pani Travis - mówi nieznany głos. - Tu obsługa kelnerska.

Zapomnieliśmy zapytać, jakie ziemniaki chce pani do kurczaka.

Dziewczyna jest bardzo zawiedziona.

- A co mam do wyboru?
- Frytki, puree, ziemniaki pieczone i panierowane. Amanda wzrusza ramionami.
- Pieczone.
- Z masłem, kwaśnym sosem, szczypiorkiem czy bekonem? Co jest, do diabła?
- Ze wszystkim.
- Dziękuję. Przyniesiemy tak szybko, jak to możliwe.

Odkłada słuchawkę, ponownie odkręca kurek z gorącą wodą i czeka, aż wanna napelni się prawie po brzegi. Potem ostrożnie wchodzi do wody, nie zważając na to, że z powierzchni unosi się para. Pomimo mocno zaczerwienionej skóry usadawia się wygodnie w wannie i zamyka oczy.

- Co się z tobą dzieje? - pyta.

Woda wlewa jej się przez ledwo uchylone usta. Jesteś zła, bo twoja matka z zimną krwią zamordowała obcego człowieka - myśli - czy wkurzona, że twój były mąż nie zaprosił cię na kolację?

Obraca się na bok, rozlewając wodę na podłogę. Nie bądź śmieszna - karcii się sama. - Nie interesuje mnie Ben Myers. Stanowi część przeszłości, od której staram się uciec; nie, przeszłości, od której uciekłam, przeszłości, w którą jakimś cudem zdołał mnie z powrotem wciągnąć. To dlatego jestem zła, dlatego nie bardzo wiem, co mam ze sobą zrobić. Nie dlatego, że znów go spotkałam. Na pewno nie.

Tylko czy musiał pojawić się na lotnisku i wyglądać jak rycerz w lśniącej zbroi? Czy musiał być taki przystojny?

Amanda czuje, że do oczu napływają jej łzy. Gwałtownie siada, ponownie rozlewając wodę na podłogę. Rozrywa papierowe opakowanie na maleńkim mydleku i jak szalona zaczyna namydlać ręce, nogi, potem piersi i brzuch, próbując nie zwracać uwagi na łzy, które płyną jej po policzkach, i udając, że to tylko zbłąkane krople wody. Ocierając je wierzchem dłoni, czuje delikatne pieczenie. To odrobina mydła dostała jej się do oczu. Świetnie. Teraz ma przynajmniej powód do płaczu.

Dotyka myjką oczu i tak mocno naciska zamknięte powieki, że aż widzi małe szare kwadraciki, które przypominają krzyżówkę. Po chwili kwadraciki zamieniają się w serię obrazów: Ben wychodzi za nią z klubu, z którego ją wyrzucono, bo barman nie dał się nabrać na fałszywy dowód osobisty, i całuje ją w usta jeszcze przed podaniem swojego imienia; Ben kocha się z nią, całe jego ciało lśni od potu, a włosy spadają mu na czoło; nagi Ben śpi obok niej, a po przebudzeniu z przebiegłym uśmiechem na ustach znów zaczyna się z nią kochać.

Było im razem tak dobrze.

Póki nie zaczął mylić seksu z miłością.

- Nie! - krzyczy, potrząsając głową i rozpryskując wodę z mokrych włosów. - Nie powtórzę tego błędu!



Chociaż często go powtarzałam - myśli, owijając się w gruby biały ręcznik i wychodząc z wanny. Zawsze wykorzystywała seks: jako broń, jako panaceum, jako sposób zachowania dystansu, sposób sprawowania kontroli. Śmieje się. Intymność jako substytut intymności. Czy właśnie nie o to oskarżył ją Sean?

Amanda ubiera się w biały, frotowy hotelowy szlafrok, wyciera ręcznikiem włosy i wraca do sypialni. Za oknem wciąż pada śnieg. Na ekranie telewizora jeżdżą na łyżwach krzepcy młodzi mężczyźni. Komentator krzyczy: *Icing!*, ale ona nie wie, co to oznacza. Minutę po wyjściu z gorącej kąpieli czuje, że jest jej zimno. Zerka na zegarek stojący obok łóżka. Do kolacji zostało jeszcze pół godziny. Z ociąganiem bierze do ręki brązową kopertę z biurka, kładzie ją na łóżku, odsuwa kwiecistą narzutę i wkłada nogi w świeżą białą pościel.

- Równie dobrze mogę to przejrzeć teraz.

Dopiero po rozerwaniu koperty dostrzega, że nie jest zaklejona. Wewnątrz znajduje wycinki z gazet. **KOBIETA ZABIŁA MĘŻCZYZNĘ W ZATŁOCZONYM HOTELOWYM FOYER** - krzyczy jeden nagłówek. **MORDERSTWO W HOTELU FOUR SEASONS** - relacjonuje inny, a następny informuje: **KOBIETA STRZELA DO TURYSTY**.

- Świetnie.

Amanda wpatruje się uważnie w ziarniste, czarno-białe zdjęcie mężczyzny zidentyfikowanego jako John Mallins. Zgodnie z opisem Bena był to człowiek w średnim wieku. Nosił wąsik i można byłoby go uznać za całkiem przeciętnego. Od reszty przeciętnych ludzi różniło go tylko jedno - że został zastrzelony przez kobietę, która znajduje się na zdjęciu obok.

Jak najdłużej stara się nie patrzeć na zdjęcie matki, woli skoncentrować się na podpisie. „Gwen Price - czyta - sześćdziesiąt jeden lat, wyprowadzana przez dwóch policjantów z foyer Four Seasons po zastrzeleniu z bliska mężczyzny, który zatrzymał się w hotelu”.

Ciężko wzdycha i patrzy na zdjęcie matki, którą policjanci wyprowadzają w kajdankach z hotelu. Kto to jest? - zastanawia się, próbując dopasować kruchą, jasnowłosą kobietę, którą widzi, do szalejącej więdźmy ze swojego dzieciństwa i automatu o szklanych oczach ze swej młodości. Następne zdjęcie jest bliższe prawdy. Matka zajmuje tylne siedzenie radiowozu. Niewidzącymi, niemal obojętnymi oczami patrzy w boczną szybę, chociaż ma rozluźnioną szczękę, a na jej wargach błąka się blady uśmiech.

- Z czego, do diabła, tak się cieszysz?

Gazety bardzo ogólnikowo opisują morderstwo, a policja nie chce spekulować, jaki był powód strzelaniny. „W tym momencie wasze przypuszczenia są tak samo dobre jak moje” - mówi ktoś, kogo gazety przedstawiają jako inspektora Billingsly'ego.

- Kim byłeś, Johnie Mallinsie?

Amanda przerzuca artykuły, szukając jakichś istotnych informacji, ale znajduje tylko

znane już sobie szczegóły. „John Mallins... czterdzieści siedem lat... biznesmen z Anglii... spędzał urlop w Toronto z żoną i dwójką dzieci...” Przystaje czytać i ponownie patrzy na zdjęcie mężczyzny.

- Kto spędza urlop w lutym w Toronto? - pyta na głos, przypominając sobie wcześniejsze pytanie Jerroda Sugara. - Przyjechałeś tutaj, żeby się z kimś spotkać, prawda? Czy aby nie z moją matką?

Słysząc pukanie do drzwi.

- Kolacja - oznajmia kelner, nie czekając, aż Amanda spyta, kto to.

- Jest pan trochę wcześniej - mówi z wdzięcznością do młodego mężczyzny, prowadząc go w głąb pokoju.

Jest niski i szczupły, ma na sobie bordowy uniform, a jego jasną skórę szpeci trądzik. Wygląda, jakby niedawno dostał dowód osobisty.

- Może pan to postawić tutaj. Pokazuje na nogi łóżka.

Kelner poprawia tacę, wygładza biały obrus, unosi pokrywkę zupy marchwiowej, żeby mogła popatrzeć, a potem pokazuje jej drugie danie.

- Pieczony kurczak i szparagi, do tego pieczone ziemniaki z masłem, kwaśnym sosem, bekonem i szczypiorkiem.

- Pachnie wspaniale.

Amanda podpisuje karteczkę i daje suty napiwek.

- Dziękuję.

Kelner nie rusza się. Ona przez sekundę zastanawia się, czy nie dała mu zbyt mało. Potem biegnie za jego wzrokiem na łóżko, gdzie leżą porzrzucone wycinki z gazet.

- Okropna sprawa - zagaja. - Był pan w tym czasie w hotelu?

- Taaak, ale nie w foyer. Niczego nie widziałem.

- Idę jednak o zakład, że dużo pan słyszał. Kelner wzrusza ramionami.

- To i owo.

- Na przykład?

- Nie wolno nam o tym mówić. - Młody mężczyzna przestępuje niespokojnie z nogi na nogę i podejrzliwie zerka na wycinki. - Jest pani dziennikarką?

- Dziennikarką? Broń Boże. Po prostu jestem ciekawa. Amanda wychyla się do przodu, żeby powąchać zupę marchwiową, a przy okazji pozwolić młodemu człowiekowi na bliższe przyjrzenie się jej dekoltoowi.

- Czy jego rodzina wciąż tu mieszka?

Oczy chłopca błyszczą na widok jej częściowo odsłoniętych piersi.

- Taaak - odpowiada bezmyślnie. - Prawdę mówiąc, właśnie zaniósłem dzieciakom hamburgery.

- Ale nie mieszkają na tym piętrze, prawda?

Amanda dokłada wszelkich starań, żeby jej pytanie brzmiało całkiem zwyczajnie, ale zdradza ją lekkie załamanie głosu.

- Chyba czułabym się trochę nieswojo, gdybym wiedziała, że mieszkam na tym samym piętrze co biedak, który został zastrzelony.

- Proszę się nie martwić. Są na dwudziestym trzecim piętrze, w innej części hotelu.

Dziewczyna uśmiecha się i zasłania dekolt.

- Chyba nie powinienem pani tego mówić.

- Czego?

Amanda robi zdziwioną minę, a kelner uśmiecha się z wdzięcznością i wychodzi z pokoju.

- Mieszkają w innej części hotelu - powtarza Amanda. Opada na łóżko i zdejmuje pokrywkę z zupy marchwiowej.

Zastanawia się, czy powinna w jakiś sposób wykorzystać posiadaną informację.

- Na dwudziestym trzecim piętrze.

## 9

Co dziwne, śpi dobrze. Zasnęła podczas trzeciej tercji meczu hokejowego. Budzi się dopiero wtedy, kiedy do drzwi puka kelnerka ze śniadaniem. Zarzuca szlafrok i niezbyt przytomna idzie otworzyć drzwi. Sen nie opuszcza jej jak stęskniony kochanek. Z trudem przypomina sobie, że poprzedniego wieczoru, wyprowadzając na korytarz wózek po kolacji, wypełniła formularz śniadaniowy i powiesiła go na klamce, nie pamięta jednak, co zamówiła.

- Ładnie pachnie - mówi, czując cudowny zapach kanadyjskiego bekonu i wpychając do pokoju ładną kelnerkę z Filipin. - Była tu pani, gdy zastrzelono tego człowieka? - pyta od niechcienia, gdy Filipinka podsuwa jej rachunek do podpisu.

Co tam, do diabła, zawsze można spróbować. Kelnerka potrząsa głową, a ciemny koński ogon kołysze się rytmicznie z boku na bok.

- Miałam wtedy wolne.

- Okropna rzecz.

- Tak, okropna.

- Czy spotkała pani pana Mallinsa? Filipinka ponownie energicznie zaprzecza.

- Z tego, co wiem, jego rodzina mieszka na dwudziestym trzecim piętrze.

- Nie wiem, proszę pani - odpowiada młoda kobieta, nie dopuszczając do następnych pytań. Wskazuje na stolik. - Ma pani sok pomarańczowy, kawę, bekon, jajka, tost pełnoziarnisty i poranną gazetę. Czy przynieść pani coś jeszcze?

- Nie, dziękuję.

- Życzę miłego dnia.

- Ja pani również.

Amanda nalewa sobie filiżankę kawy i idzie z nią do okna, po czym spogląda w dół, na ulicę. Nie ma zbyt dużego ruchu. Nic dziwnego, w końcu jest wczesny niedzielny poranek, w dodatku przez całą noc padał śnieg. Po co właściwie wierciła kelnerce dziurę w brzuchu? Czyżby naprawdę myślała, że ludzie z kuchni mogą znać jakieś ważne szczegóły? Nawet gdyby udało jej się dowiedzieć, w którym pokoju mieszka rodzina zabitego mężczyzny, nawet gdyby zaryzykowała i poszła odwiedzić panią Mallins, raczej nie uzyskałaby od niej informacji, dlaczego jej mąż został zastrzelony. Nawet jeśli pani Mallins to wie, z pewnością nie zechce podzielić się tą informacją z córką kobiety, która zabiła jej męża.

Niemniej spotkanie i rozmowa z żoną ofiary mogłyby naprowadzić Amandę na jakiś trop.

Albo i nie.

Czy Amanda kiedykolwiek wiedziała coś o matce?

Wraca do stolika z jedzeniem i zerka na poranną gazetę. Na pierwszej stronie dziennikarze spekulują, iż istnieje spore prawdopodobieństwo ataku Stanów Zjednoczonych na Irak. Nie piszą nic na temat morderstwa. Tylko w części zwanej TiO, czyli - jak przypuszcza - Toronto i Okolice, w jednej z notatek wspomina się o przestępstwie, zasadniczo powtarzając jedynie wszystko, co ona już wie. „Śmierć turysty nadal otoczona tajemnicą” - stwierdza niewielki nagłówek, a w całym artykule prawie w ogóle nie wspomina się o panu Mallinsie.

- Ktoś musi coś wiedzieć - mamrocze.

Zdejmuje celofan ze szklanki ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym i wypija go jednym haustem. Spogląda na zegarek. Wpół do dziewiątej. Do spotkania z Benem zostało cztery i pół godziny. Jak wypełnić ten czas?

- Nawet nie mogę wybrać się na zakupy.

Wydyma wargi, wiedząc, że sklepy zostaną otwarte dopiero o dwunastej. Włącza telewizor i tak szybko przeskakuje z kanału na kanał, że zacina się pilot, który ma wyraźnie rozładowane baterie. W końcu wyłącza telewizor, odkłada bezużytecznego pilota na podłogę i w całkowitej ciszy kończy śniadanie. Potem myje zęby i czyści je nitką dentystyczną, aż bołą ją dziąsła, bierze długi gorący prysznic i zeskrobuje bezlitośnie resztę skóry, która została po poprzedniej kąpieli. Przez czterdzieści minut suszy i układa włosy, żeby wyglądały, jakby w ogóle ich nie układała. Niemal tyle samo czasu zajmuje jej naniesienie makijażu, tak żeby wyglądało, jakby w ogóle go nie miała. Następnie tak energicznie wciąga czarny golf przez głowę, że praktycznie musi zacząć wszystko od nowa.

- Co ja, do diabła, robię? - pyta swoje odbicie w lustrze, poważnie się zastanawiając, czy nie spakować torby i nie wrócić na Florydę pierwszym samolotem, który uda jej się złapać.

Ktoś puka do drzwi. Ben? - zastanawia się Amanda, słysząc hałas na korytarzu. Czy to

możliwe, żeby recepcjonista wsunął ukradkiem Benowi kartę wejściową?

- To ty, Benie? - pyta, wychodząc z łazienki w chwili, kiedy otwierają się drzwi pokoju.

- Och, przepraszam - mówi kobieta w czystym niebieskim stroju. - Myślałam, że nikogo nie ma. Wrócę później, żeby posłać łóżko.

- Nie, może pani zrobić to teraz. - Amanda cofa się i wpuszcza sprzątaczkę do środka. - Za kilka minut wychodzę.

Naprawdę? - zastanawia się. Dokąd się wybieram?

Kobieta wpycha przez otwarte drzwi wózek ze środkami czystości. Ma trzydzieści pięć, może trzydzieści siedem lat, jest niska, pulchna, a jej skóra błyszczy jak czarna satyna na tle niebieskiego uniformu.

- Dobrze pani spała? - pyta, podnosząc pilota z podłogi.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Nawet nic mi się nie śniło.

Żaden były mąż nie gonił jej po zasypanych śniegiem ulicach, matka nie czekała w eleganckim foyer, żeby napaść na nią z rewolwerem w ręku.

- Zostawić to pani?

Sprzątaczką składa porozrzucane na łóżku wycinki z gazet.

- Nie. Może je pani wyrzucić.

Po co je zostawiać? Przeczytała wszystko tyle razy, że zna poszczególne artykuły prawie na pamięć.

- Paskudna sprawa.

Sprzątaczką potrząsa głową i wrzuca gazety do worka na śmieci.

- Była tu pani, gdy to się stało?

Jeszcze raz Amanda stara się, by jej głos brzmiał obojętnie, jakby jedynie prowadziła uprzejmą rozmowę.

- Nie. Skończyłam swoją zmianę, ale koleżanka właśnie przyszła na swój dyżur i wszystko widziała.

- Naprawdę? Co widziała?

Kobieta wychyla się do przodu i mówi konspiracyjnym szeptem:

- Widziała, jak starsza, dobrze ubrana kobieta przeszła przez foyer i zastrzeliła biednego pana Mallinsa.

- Biednego pana Mallinsa - powtarza Amanda. - Czyżby go pani знаła?

- Kilka razy sprzątałam jego apartament.

- Mieszkał w apartamencie?

- Chyba był dość bogaty. Ubierał się naprawdę elegancko. Podobno gdy został zastrzelony, miał na sobie garnitur za dwa tysiące dolarów.

Amanda przetrawia najświeższe informacje. Słyszała, że garnitury za dwa tysiące

dolarów noszą tylko gangsterzy. Czyżby matka miała jakieś powiązania z mafią?

- Poza tym przyjechał z żoną i dziećmi - kontynuuje sprzątaczką, nie zwracając uwagi na zadumę jej. - Dlatego potrzebne im były dwie sypialnie.

- Rozumiem. Słyszałam, że wciąż są w hotelu.

- Przypuszczalnie muszą poczekać na autopsję, żeby zabrać zwłoki do Anglii. To bardzo mili ludzie. Mają dobrze wychowane dzieci.

- Jaka jest pani Mallins?

- Cicha. Małomówna. Bardzo uprzejma. - Sprzątaczką zwija pościel w ogromną kulę i wygląda na skruszoną. - Dyrektor nie pozwala nam rozmawiać o tym, co się stało, ale trudno milczeć. Wszyscy pytają.

- Oczywiście.

- Zabawne. Ludzie zawsze boją się młodych czarnoskórych mężczyzn, bo najczęściej to oni stwarzają mnóstwo problemów, tymczasem tutaj należało się wystrzegać starej białej kobiety. - Śmieje się.

Amanda próbuje się przyłączyć, ale śmiech więźnie jej w gardle.

- Chyba już pójdę, nie będę przeszkadzać pani w pracy. Bierze z szafy płaszcz i torebkę i przerzuca je przez ramię.

- Miłego dnia! - woła za nią sprzątaczką.

Początkowo Amanda jedzie windą sama, ale na trzynastym piętrze dosiada się do niej mężczyzna w średnim wieku z ciężką walizką, a na dziewiątym - kobieta z dwójką dzieci.

- Mamusiu - skarży się dziewczynka natychmiast po zamknięciu drzwi windy. - Tyler depta mi po piętach.

- Wcale nie - odpowiada jej jasnowłosy brat, celowo wpychając się na siostrę.

- On się na mnie pcha.

- Wcale nie.

- Tyler, wystarczy.

- Przecież nic jej nie robię.

- To i tak przestań.

Doprowadzona do rozpaczki matka uśmiecha się blado do Amandy.

Jest atrakcyjną kobietą, chociaż pomimo poranka wygląda na wyczerpaną. Amanda odpowiada na jej uśmiech, w myślach gratulując sobie, że kiedyś nie chciała mieć dzieci.

- Gdzie jest tatuś? - pyta dziewczynka, ciągnąc za spódnicę matki. - Chcę do tatusia.

Nagle Amandzie przychodzi na myśl, że jedzie windą z panią Mallins i dwójką jej dzieci. Natychmiast w głowie pani adwokat rodzi się milion pytań. Co jej mąż robił w Toronto? Czy przyjechał specjalnie po to, by zobaczyć się z matką Amandy? Co ich łączyło? Czy ta kobieta może jej w jakiś sposób wyjaśnić to, co się stało?

- Pani Mallins? - wymawia nazwisko ledwo słyszalnym szeptem.

Kobieta odwraca się w jej stronę.

- Przepraszam, coś pani mówiła?

Drzwi windy otwierają się w foyer. Widać przez nie mężczyznę z bardzo ciężką walizką.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówi Amanda po chwili.

- Tatuś! - wola dziewczynka, wpadając w otwarte ramiona mężczyzny.

- Tatuś! - krzyczy Tyler jeszcze głośniejszym głosem, obejmując mężczyznę za nogi.

- Słucham panią? - Kobieta w windzie wyczekująco spogląda na Amandę.

Ona czuje się jak idiotka.

- Przepraszam. Pomyliłam się. Wzięłam panią za kogoś innego.

- Czemu to tak długo trwało? - pyta mąż młodej kobiety, prowadząc rodzinę w stronę wyjścia.

- Najpierw Tyler musiał iść do ubikacji, a potem Candance powiedziała, że boli ją brzusek.

- Już wszystko w porządku - zapewnia Candance ojca, przechodząc przez drzwi. - Mamusiu, Tyler mnie pcha.

Amanda obserwuje, jak rodzina wsiada do czekającej taksówki. Co się z tobą dzieje? - pyta zniecierpliwiona. Czy masz zamiar przez kilka najbliższych dni wyobrażać sobie, że każda kobieta z dwójką dzieci to pani Mallins? Nigdy dotychczas ci się nie zdarzało dochodzić do tak śmiesznych wniosków. Musisz przestać.

- To do ciebie niepodobne - szepcze w kołnierz swojego płaszcza.

Podchodzi do sof i foteli na lewo od wejścia i przez kilka minut przygląda się pustym siedzeniom. To tutaj siedziała moja matka z rewolwerem w torebce - myśli. Tutaj czekała, aż będzie mogła zabić mężczyznę. Siada wygodnie w jednym z foteli i próbuje sobie wyobrazić, jak matka opiera ramię dokładnie na tym samym podłokietniku co ona i siedzi z niedbale skrzyżowanymi nogami. O czym myślała, siedząc tutaj i czekając? Czy spoglądała na windy, czy na drzwi? Czy John Mallins wrócił z całonocnego zwiedzania zabytków, czy właśnie wychodził? Czy była z nim jego rodzina? Czy matka bezlitośnie zastrzeliła go na oczach jego żony i dzieci?

Dziewczyna podrywa się na równe nogi. Kobieta, która właśnie usiadła na pobliskiej sofie, podskakuje przestraszona. To głupie. Sama doprowadzasz się do szaleństwa - snuje Amanda dalej swoje rozważania. W gazetach nie napisano, że Gwen Price zastrzeliła Johna Mallinsa na oczach jego rodziny. Z drugiej strony matka potrafi być bezlitosna. Amanda śmieje się na głos. Nieznajoma natychmiast wstaje z sof i idzie do baru.

Amanda bierze głęboki wdech, żeby się uspokoić, i podchodzi do recepcji. Tym razem uśmiecha się do niej atrakcyjna młoda kobieta o ciemnooliwkowej skórze i z delikatnym

hinduskim akcentem.

- W czym mogę pani pomóc? - pyta, bezwiednie wtykając długie włosy za lewe ucho.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o apartamentach - Amanda słyszy własne słowa i zastanawia się, co ona, do diabła, robi. - Czy może mi pani coś o nich powiedzieć?

- Oczywiście. Mamy w hotelu trzysta osiemdziesiąt pokoi gościnnych, z czego niemal połowa to apartamenty. - Recepcjonistka przesuwa po biurku białą kartkę papieru. - To cennik.

Amanda przegląda ceny za jedną dobę, odnotowuje egzotyczne nazwy: Moderate Queen; Superior Room; Deluxe Room; Premium King; Four Seasons Executive Suite; Deluxe Four Seasons Executive Suite; Two-Bedroom Suite.

- Interesują mnie apartamenty z dwiema sypialniami - mówi, widząc cenę siedmiuset dziewięćdziesięciu pięciu dolarów za dobę.

- Mamy dwa rodzaje apartamentów z dwiema sypialniami - wyjaśnia recepcjonistka. - Jeden z dwuosobowym łóżkiem w każdym pokoju, a drugi z dwuosobowym łóżkiem w jednym pokoju i dwoma pojedynczymi łóżkami w drugim.

Dziewczyna czuje przyspieszone bicie serca.

- O taki właśnie mi chodzi.

Z pewnością nie może być zbyt dużo takich apartamentów.

- W przyszłym miesiącu przyjaciele wybierają się do Toronto. Obiecałam, że spróbuję zdobyć dla nich informacje.

- Nasz prospekt powinien pani pomóc. - Młoda kobieta podaje niewielką broszurę. - Jest tu trochę informacji na temat hotelu i...

- Chodzi mi o apartamenty z dwiema sypialniami - przerywa jej Amanda. - Czy z ich okien jest ładny widok?

- O tak. Apartamenty zaczynają się na dwudziestym drugim piętrze i wychodzą na południe, dzięki czemu z ich okien widać całe miasto aż po jezioro.

- Ile apartamentów z dwiema sypialniami jest na każdym piętrze?

- Jeden.

Amanda uśmiecha się i wrzuca broszurę do torebki.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Życzę miłego dnia.

Amanda niezwykle zadowolona idzie w stronę wyjścia. Kiedy wychodzi na zewnątrz, czuje na twarzy podmuch niemiłego, zimnego wiatru, który natychmiast przywołuje ją do porządku. Też mi sprawa - drwi z niej wiatr. Wyrwałaś trochę informacji od recepcjonistki, która bardzo starała się być uprzejma. Teraz już wiesz, jak znaleźć panią Mallins. Jesteś prawniczką, prawda? Uczono cię zadawać odpowiednie pytania. Teraz najważniejsze: co masz zamiar zrobić z tą informacją.



Portier macha na taksówkę, Amanda wsiada.

- Dokąd jedziemy?

Dziewczyna opiera się o zniszczoną dermę i wyczuwa przykrą woń potu. Waha się, kilkakrotnie zmienia zdanie, w końcu mówi:

- Cmentarz Mount Pleasant.

- Zaczeka pan na mnie kilka minut? - pyta kierowcę, który według danych na plakietce nazywa się Abdul Jahib.

- Ale z włączonym licznikiem - odpowiada mężczyzna, wzruszając ramionami.

- To nie potrwa długo.

Amanda kieruje go na krętą drogę, która przecina cmentarz. Nekropola znajduje się w środku miasta i zajmuje ogromną przestrzeń, która od północy i południa zamknięta jest przez Davisville i St. Clair, a od wschodu i zachodu - przez Mount Pleasant i Yonge. To piękne miejsce, nawet gdy pokrywa je warstwa śniegu. Są tu niewielkie wzniesienia i mnóstwo drzew. Wszystko, czego można oczekiwać od miejsca ostatniego spoczynku. Spokój. Cisza. Oddalenie. Wspaniały widok. Ludzie umierają, żeby się tu dostać - słyszy dziewczyna czyjeś słowa, więc ogląda się bojaźliwie przez ramię, jakby spodziewała się zobaczyć ducha.

- Proszę skrócić tutaj - prowadzi kierowcę. - Teraz w prawo. - Po kilku sekundach: - Jesteśmy na miejscu.

Abdul Jahib zatrzymuje auto przed małym szarym pomnikiem, którego pilnuje duży kamienny anioł. Amanda wysiada z taksówki i przechodząc, od niechcenia odczytuje napis na pomniku. VERA TRUFFAUT, 1912-1998. Łatwo obliczyć, że umarła, mając osiemdziesiąt sześć lat. Piękny wiek.

Idzie między grobami, wilgotny śnieg oblepia górne brzegi jej botków, które zdecydowanie nie nadają się na taką pogodę. Woda powoli przesiąka przez delikatną skórę i dociera do palców, chociaż możliwe, że na razie tylko tak się Amandzie wydaje. Nie na długo. Jej botki są bardzo niepraktyczne, nie zostały zaprojektowane z myślą o spacerze po zaśnieżonym cmentarzu w środku zimy.

STEPHEN MOLONEY, 1895-1978 - czyta. Zmarł, mając osiemdziesiąt trzy lata. Obok MARTHA MOLONEY, 1897-1952. Przeżyła pięćdziesiąt pięć lat.

- Ktoś kiepsko na tym wyszedł - komentuje Amanda, przyspieszając kroku i niemal upadając na kawałku czarnego lodu. JACK STANDFORD, 1912-1975. - Sześćdziesiąt trzy lata. - ARLENE HILL, 1916-1981. - Sześćdziesiąt pięć.

Staje jak wryta przed nagrobkiem z różowego granitu.

EDWARD PRICE, 1933-1992.

KOCHAJĄCY MAŻ I OJCIEC.

- Zmarł, mając pięćdziesiąt dziewięć lat - szepcze Amanda, wyczuwając obecność

matki.

Nagle rozlegają się słowa: „Nie ma się co dziwić, że przy takiej córce twój ojciec zmarł na zawał serca!”

NA ZAWSZE POZOSTANIE W NASZYCH SERCACH.

- Cześć, tatusiu - mówi Amanda.

Łzy napływają jej do oczu, zamarzają na policzkach.

„Cześć, Laleczko” - pada odpowiedź ojca.

Minęło tyle czasu - kontynuuje rozmowę w myślach.

„Wcale nie tak dużo”.

Jedenaście lat.

„To nie tak dużo”.

Dużo. Teraz mieszkam na Florydzie. Jestem prawniczką. Wiedziałaś o tym?

„Oczywiście. Wiem o tobie wszystko. Jestem z ciebie bardzo dumny”.

Naprawdę? Dlaczego? Za życia nigdy się mną nie interesowałeś.

„Powinnaś wiedzieć, że twoja matka przechodziła przez trudny okres. Piła. Cierpiała na depresję. Wymagała mojej uwagi i wsparcia”.

Ja też o tym marzyłam.

„Zawsze byłaś taka silna i niezależna. Twoja matka...”

Moja matka jest wariatką. Wtedy miała świra, a teraz jest jeszcze bardziej szalona.

„Potrzebuje cię”.

Amanda śmieje się przez łzy. Kiedy matka naprawdę jej potrzebowała?

Nie mam prawa wykonywać swojego zawodu na terenie Kanady, tatusiu. Poza tym mama ma już dobrego adwokata. Na pewno pamiętasz Bena. Mama powiedziała kiedyś, że Ben był ostatnim gwoździem do twojej trumny.

„Nie mówiła tego poważnie”.

Kiedyś obiecywałeś mi, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila i gdy będę wystarczająco dojrzała, żeby pewne rzeczy zrozumieć, powiesz mi coś, co wszystko wyjaśni... Ociera łzy. Odpowiednia chwila nigdy nie nadeszła, prawda, tatusiu?

EDWARD PRICE 1933-1992

KOCHAJĄCY MAŻ I OJCIEC

NA ZAWSZE POZOSTANIE W NASZYCH SERCACH

Czas ucieka, ludzie umierają - myśli Amanda, wracając do czekającej taksówki. Tylko poczucie winy pozostaje na zawsze.

## 10

- Przepraszam za spóźnienie - mówi Amanda, wsiadając do białej corvetty i zajmując miejsce obok Bena. - Musiałam kupić zimowe buty, a sklepy otworzono dopiero o dwunastej.

Ben sprawia wrażenie rozkojarzonego, więc nie opowiada mu o swojej nieoczekiwanej wizycie na cmentarzu. Zamiast tego wyciąga przed siebie nogi i z dumą pokazuje nowe skórzane botki do kolan.

- Są nawet ocieplane.

- To dobrze - mówi Ben, nie patrząc. - Mam nadzieję, że coś jadłaś. Nie będziemy mieli czasu na lunch.

- Zamówiłam sobie sute śniadanie. Bekon, jajka, tost. Wystarczy. Powinnam przetrwać do kolacji.

Zastanawia się, czy Ben jest na nią zły za spóźnienie i czy właśnie dlatego unika jej wzroku.

- Czy wszystko w porządku? To znaczy, czy moja matka... Nic się nie stało, prawda?

- Nic się nie stało.

- W porządku.

Gdy ruszają spod hotelu i skręcają na południe w Avenue Road, Amanda spogląda przez szybę.

- Przeczytałam wycinki, które mi zostawiłeś. Prawie nic w nich nie ma.

- Zdjęcie Johna Mallinsa nie wywołało u ciebie żadnych skojarzeń?

- Nigdy w życiu go nie widziałam.

Ben wzrusza ramionami i przytakuje. Nie odwraca głowy ani nic nie mówi. Milczy nadal, kiedy Avenue Road przechodzi w University Avenue. Mijają Royal Ontario Museum i dawne planetarium, potem jadą wzdłuż Queen's Park, obok budynków parlamentu i kampusu uniwersytetu w Toronto.

- Powiedz mi, jak wypadła wczorajsza randka?

- Dobrze.

- Co robiliście?

- Jedliśmy kolację u przyjaciół.

- Naprawdę? Był ktoś, kogo znam?

- Wątpię.

- Żadnych przyjaciół z dawnych czasów? - pyta Amanda żartobliwie, chociaż Ben swoim tonem wyraźnie stara się ją zniechęcić.

- Byłaś moją jedyną przyjaciółką - przypomina jej.

Zatrzymuje się na czerwonych światłach przy College Street, obraca się na siedzeniu i po raz pierwszy od chwili, kiedy podjechał pod hotel, spogląda na pasażerkę.

- Nie najlepszą - przyznaje Amanda.

Mężczyzna ponownie wzrusza ramionami; przy tym mchu skórzana kurtka unosi się niemal aż do uszu.

- Minęło sporo czasu.

- Byliśmy bardzo młodzi.

- Wciąż jesteśmy.

Dziewczyna przytakuje, chociaż od jakiegoś czasu wcale nie czuje się młodo.

- Myślisz, że moglibyśmy znów zostać przyjaciółmi? - rzuca mu wyzwanie. - Nie na długo. Po moim wyjeździe będziesz mógł znów mnie nienawidzić.

- Nie nienawidzę cię, Amando.

- A powinieneś.

Światło zmienia się na zielone, corvetta natychmiast rusza i przejeżdża obok przeszklonego budynku Hydro i szpitali, które stoją po obu stronach ulicy. Samochód podskakuje na wybojach, a Amanda ze zdwojoną mocą odczuwa wszelkie wibracje.

- Zapomniałam, że na takiej drodze czuje się każdą dziurę.

- Rzeczywiście - zgadza się Ben. - Nawiasem mówiąc, to jest budynek sądu. - Wskazuje na lewo. - We wtorek będzie rozpatrywana sprawa zwolnienia twojej matki za kaucją.

Amanda blednie.

- Dziwnie się czuję, słysząc w jednym zdaniu słowa „matka” i „kaucja”.

- Na pewno.

- Tak czy inaczej pewnie mnie tu już wtedy nie będzie. Ben wzrusza ramionami, chociaż tym razem jest to niemal niedostrzegalny ruch.

- Myślisz, że zgodzą się ją wypuścić?

- Myślę, że miałyby o wiele większe szanse, gdybyś przyszła na rozprawę i wsparła matkę.

- Chyba żartujesz.

Czy Ben naprawdę chce, żeby przemówiła na rzecz matki?

- Wręcz przeciwnie, mówię całkiem poważnie.

- Chcesz, żebym popełniła krzywoprzysięstwo?

- Nie sądzę, by to było konieczne.

- Nie będzie, jeśli wcześniej wyjadę.

- To twoja matka, Amando - przypomina jej Ben po raz któryś z kolei.

- Gdybym miała im powiedzieć, jaka naprawdę jest moja matka, z miejsca by ją powiesili.

Mężczyzna potrząsa głową.

- W Kanadzie nie wiesz się już ludzi.

- Zaufaj mi, szybko wróciłibyście do tej praktyki.
- Obiecaj mi, że przynajmniej się nad tym zastanowisz.
- Zastanowię się, ale nie licz na nic więcej.

Ben wzdycha, ponownie zapada milczenie, chociaż tym razem nie ma między nimi już takiego dużego napięcia.

- Opowiesz mi coś o wczorajszej kolacji? - pyta Amanda, gdy na horyzoncie pojawia się Metro Convention Center.

Myśli o Jerrodzie Sugarze i przez chwilę zastanawia się, co on robi.

- Nie, nie opowiem ci nic o wczorajszej kolacji.
- Nie jesteś zbyt rozmowny. Może przynajmniej zdradzisz mi, co podano.

Na przekór sobie Ben wybucha śmiechem.

- Zdradzę, ale nie licz na nic więcej.

Amanda z uśmiechem na ustach powoli rozluźnia mięśnie szyi i ramion.

- W porządku, w takim razie zamieniam się w słuch.
- Niech pomyślę. Najpierw była sałatka z gruszek i endywii, potem przyszła kolej na jagnięcinę, młode ziemniaczki i szparagi.

- Ja też jadłam szparagi. I piezonego kurczaka.
- Naprawdę? Gdzie byłaś?
- W pokoju hotelowym.
- To lubię. Dobre było?
- Pyszne. Co podano na deser?
- Ciasto czekoladowe i kawę. A ty co sobie zamówiłaś?
- Zrezygnowałam z deseru. Wcześniej poszłam do łóżka. O której się położyłaś?
- Koło północy.
- U siebie czy u niej?
- Amando...
- Tylko próbuję prowadzić uprzejmą rozmowę.
- Uhm.
- A tak przy okazji, gdzie mieszkasz? - pyta.
- W Harborside. Mam mieszkanie z widokiem na jezioro.
- Chrzaniisz. Niemożliwe.
- W każdym pokoju okna sięgają od podłogi do sufitu.
- Nie wierzę. Czuję się, jakbyś opisywał moje mieszkanie na Florydzie.
- Czy to cię dziwi?
- No cóż, muszę przyznać, że trochę mnie zaskakuje.
- Co?
- Że mamy tak dużo wspólnego.

- Zawsze mieliśmy - stwierdza Ben szczerze. - Czy nie dlatego odeszłaś?

Retoryczne pytanie długo krąży po głowie Amandy, tymczasem Ben skręca w Gardiner Expressway i kieruje się na zachód w stronę 401. O czym ty, do diabła, mówisz?! - chce krzyknąć Amanda.

- Jak ma na imię twoja dziewczyna? - pyta. Ben przez chwilę się waha.

- Jennifer.

- Dlaczego one zawsze muszą mieć na imię Jennifer? - pyta Amanda, przypominając sobie nową żonę Seana.

- Nie rozumiem.

- Co tak naprawdę łączy cię z Jennifer? - pyta, odsuwając na bok niemile myśli.

- Tak naprawdę to nie twoja sprawa.

- Och, daj spokój. Przyznaj się.

- Nie mam się do czego przyznawać. Spotykamy się zaledwie od kilku miesięcy.

- To wystarczająco długo, żeby było o czym opowiadać.

- A jak ty sobie radzisz? - pyta Ben, nagle zmieniając temat i jak każdy dobry adwokat przechodząc do ataku. - Znalazłaś sobie kogoś po ostatnim rozwodzie?

- O kurczę. Nie. A tak swoją drogą, skąd o nim wiesz? Ben wzrusza ramionami.

- Żadna tajemnica. Spotkałem kogoś, kto przypadkiem wpadł na ciebie na Florydzie. Chyba to był Keith Halpern.

- O tak. Dobry stary Keith.

Po raz pierwszy przespała się z Keithem, mając szesnaście lat. Po raz ostatni dwa lata temu, gdy dosłownie wpadła na niego w Palm Beach Grill. Keith zdradził jej, że jest teraz maklerem giełdowym i odnosi ogromne sukcesy. Jego żona wyjechała na kilka dni do Boki w odwiedziny do rodziców, więc może mogliby wybrać się gdzieś razem na drinka? Amanda była bezpośrednio po rozwodzie, czuła się bardzo nieszczęśliwa i prawdopodobnie powiedziała mu więcej, niż chciał wiedzieć. Wyraźnie z satysfakcją podzielił się tą informacją ze swoim dawnym kolegą z klasy.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Ben włącza radio i szybko przeskakuje po kanałach, nie dając Amandzie czasu na rozpoznanie poszczególnych stacji. Przed nimi ciągnie się równa wstęga autostrady. Po obu stronach drogi nie ma nic ciekawego.

- Jak daleko jest stąd do więzienia? - pyta przy zjeździe na drogę 427.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

- Na litość boską, niemal wróciliśmy na lotnisko.

Ben skręca w prawo, w Dixon, dojeżdża do pierwszych świateł, a potem kieruje się w lewo, w Carlingview Road i dalej na północ.

- Jeszcze tylko kilka minut,

Amanda odwraca głowę i spogląda w tylną szybę. Miasto prawie zniknęło z horyzontu.

- Może to wcale nie jest taki dobry pomysł.
- Może nie.
- Rozmawiałeś dziś rano z moją matką?
- Nie.
- Więc nadal nie wie, że tu jestem.
- Mam nadzieję, że zaszokowana twoim widokiem zacznie mówić.
- Nie liczyłabym na nic.
- Nigdy nie liczę.

Jadą dalej na północ Disco Road, potem kawałeczek na wschód, po czym skręcają na długi podjazd po południowej stronie ulicy.

Nic tu nie skłania człowieka do tego, żeby wyjąć z garderoby biały strój i zacząć tańczyć - myśli Amanda, patrząc na brzydki, ponury, przysadzisty ceglany budynek, który stoi przy dziwnie nazwanej ulicy.

- Jest potwornie przygnębiający - mówi.

Przypomina sobie więzienia na południu Florydy: budynki z pastelowymi fasadami, otoczone głębokimi fosami i egzotyczną roślinnością. Dochodzi do wniosku, że więzieniu w Toronto nie pomogłoby nawet sąsiedztwo palm, które z wielką gracją kołyszą się na wietrze. Tymczasem Ben szuka miejsca na zatłoczonym parkingu.

- Jeśli chcesz, mogę cię podrzucić pod same drzwi. Wtedy nie będziesz musiała brnąć po kostki w śniegu.

- Nie, nie musisz. Nigdzie mi się nie spieszy. Poza tym mam nowe buty.

Amanda jeszcze raz wyciąga przed siebie nogi, żeby Ben mógł się im przyjrzeć. Tym razem udaje jej się przyciągnąć jego wzrok.

- Bardzo ładne.

Ben wjeżdża na wolne miejsce w najdalszej części parkingu, wyłącza silnik i bierze głęboki wdech.

- Jesteś gotowa?
- Może posiedzielibyśmy tu jeszcze przez chwilę?
- Amando...
- Tylko kilka minut.

On kiwa głową, że się zgadza.

- To ogromny budynek - stwierdza Amanda, wyraźnie grając na zwłokę. - Nie zdawałam sobie sprawy, że w Toronto kobiety tak chętnie popełniają przestępstwa.

- Tam z tyłu jest więzienie dla mężczyzn. - Ben pokazuje ręką w bok. - Widzisz oba budynki.

Amanda zamyka oczy, nie chcąc niczego widzieć.

- A tak swoją drogą, jakim cudem dałeś się w to wszystko wciągnąć? Mama do ciebie

zadzwoiła?

- Nie. Dowiedziałem się z porannych gazet, że została aresztowana, i zgłosiłem się na ochotnika.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Chyba uznałem, że w pewnym sensie jest to mój obowiązek.

- Obowiązek? Gdy byliśmy małżeństwem, ledwo cię tolerowała.

- Może właśnie dlatego to zrobiłem.

- Że ledwo cię tolerowała?

- Że byliśmy małżeństwem. Amanda obejmuje się ramionami.

- Mówisz, że zrobiłeś to dla mnie?

- Mówię, że uznałem, iż powinienem to zrobić.

- Nawet jeśli jest winna?

- Zwłaszcza jeśli jest winna. Dziewczyna próbuje się roześmiać.

- Naprawdę wierzysz w to głupie gadanie, że każdy ma prawo do najlepszej obrony, niezależnie od tego, czy jest winien, czy nie?

- A ty?

- Chyba tak - przyznaje niechętnie. Pomimo grubego wełnianego płaszcza trzęsie się z zimna. - Z drugiej strony coraz trudniej mi to przychodzi. To znaczy, chciałabym od czasu do czasu mieć klienta, który naprawdę jest niewinny.

- Zdarzają się dziwniejsze rzeczy.

- Jak na przykład to, że w końcu oboje zostaliśmy adwokatami.

- Jak na przykład to, że w końcu oboje zostaliśmy adwokatami, a teraz zamierzamy na śmierć na parkingu pod Metro West Detention Center.

- Mówisz, że pora iść?

- Zdecydowanie.

Amanda dochodzi do wniosku, że wewnątrz Metro West Detention Center jest jeszcze brzydsze i bardziej przygnębiające niż wygląd fasady budynku.

- Trudno się spodziewać czegoś lepszego - mruczy, pokonując pierwsze drzwi i czekając, aż strażnik wpuści ich do środka.

Wartownik, który siedzi w budce z grubego szkła za drugimi drzwiami, nie spieszy się. Wpuszcza ich dopiero po chwili, a potem jak zwykle uruchamia detektor metalu, sprawdza dokumenty, zagląda do torebki i aktówki, zerka na przedmioty osobiste.

- Proszę o podpis - instruuje, podsuwając im kartkę i podejrzliwie przyglądając się Amandzie.

Kobieta wyzywająco patrzy na strażnika, w myślach zachęcając go, żeby dopatrył się w niej podobieństwa do matki, chociaż w rzeczywistości stanowi interesujące połączenie cech obojga rodziców. Pełne usta matki sąsiadują z mocną szczęką ojca; łagodne oczy ojca



spoglądają surowo tak jak matki.

- Proszę za mną - mówi oficer, prowadząc ich ponurymi korytarzami. Unosi się w nich przykry zapach potu, którego nie zdołał pokonać nawet javex.

- Często tu bywasz? - pyta Amanda Bena szeptem, gdy strażnik wprowadza ich do małej salki bez okien.

- Częściej, niżbym chciał - odpowiada, traktując żart jak normalne pytanie.

- Wkrótce przyprowadzą więźniarkę - informuje strażnik, przygotowując się do wyjścia.

- Czy moglibyśmy prosić o dodatkowe krzesło? - pyta Ben.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Kroki strażnika cichną w głębi korytarza. Amanda dotyka oparcia jednego z niewygodnych, szarych plastikowych krzeseł, które stoją po obu stronach małego, kwadratowego drewnianego stołu.

- Jak sądzisz, czy ta sama firma odpowiada za urządzenie wnętrz we wszystkich więzieniach?

- „Jails 'R Us” - żartuje Ben, robiąc aluzję do „Toys 'R Us”, największego dystrybutora zabawek dziecięcych w USA.

Amanda krąży niespokojnie tam i z powrotem między stołem a ścianą. Odgarnia włosy z twarzy, rozpina płaszcz, potem znów go zapina.

- Może usiądziesz? - proponuje Ben.

Ona jednak kręci przecząco głową. Chce stać, gdy pojawi się matka. Podświadomie prostuje plecy i próbuje dodać sobie chociaż kilka centymetrów, mając świadomość, że wkrótce matka i tak przywróci ją do dawnych rozmiarów.

- Dobrze się czujesz?

Amanda ma sucho w ustach, z trudem oddycha. Próbuje opanować lży i chęć wybiegnięcia z pokoju.

- Nie jestem pewna, czy sobie poradzę.

- Poradzisz sobie.

- A jeśli nie chcę?

- Czasami człowiek musi zrobić coś, na co nie ma ochoty.

- Odkąd to jesteś taki cholernie dorosły? - wybucha Amanda, a potem pod wpływem wyrzutów sumienia wbija wzrok w podłogę.

Odkąd odeszłaś - słyszy słowa Bena, chociaż jej były mąż nie odzywa się ani słowem.

Dziewczyna widzi, że jego buty zbliżają się do niej, czuje ciepło oddechu Bena, wychwytuje nawet delikatne wahanie, po którym były mąż otacza ją ramieniem i przytula.

- Już dobrze - szepcze. - Poradzisz sobie.

- Nie czuję się najlepiej.

Nagle zdaje sobie sprawę, że to nie do końca prawda, bo jej ciało rozluźnia się w objęciach Bena, a ona sama rozkoszuje się jego zdecydowanym, dobrze znanym dotykiem. Zawsze tak dobrze pasowaliśmy do siebie - myśli, opierając policzek na jego ramieniu.

„Czy nie dlatego odeszłaś?” - przypomina sobie jego pytanie.

- Twoja matka już nie może cię skrzywdzić, Mandy - szepcze Ben.

Nagle Amanda odsuwa się od niego.

- Nie mów tak do mnie.

Mężczyzna robi krok do tyłu, rozpiną kurtkę, zarzuca ją na oparcie jednego z krzeseł, otwiera aktówkę i zaczyna w niej grzebać.

- Przepraszam.

- Po prostu nienawidzę przezwisk.

- Wiem. Przepraszam. To już się nie powtórzy.

Jej towarzysz nie dodaje nic więcej, nie musi. Zdradza go sztywna sylwetka.

- Przepraszam - mówi Amanda.

- Nie ma sprawy.

Ben uśmiecha się jak wytrawny prawnik. Poprzestańmy na interesach - mówi jego uśmiech.

Dziewczyna słyszy kroki na korytarzu, cofa się w róg i wstrzymuje oddech, czekając, aż otworzą się drzwi niewielkiego pomieszczenia. Strażnik wsuwa głowę do środka.

- Podobno potrzebne jest dodatkowe krzesło. Nie wchodząc, podaje Benowi stołek.

Amanda wypuszcza powietrze z płuc, ociera przypadkową łzę i wybucha głośnym śmiechem. Dlaczego jestem tak cholernie zdenerwowana? - zastanawia się. Na litość boską, moja matka siedzi w więzieniu. Nie jest w stanie w żaden sposób mnie skrzywdzić.

Po chwili drzwi ponownie się otwierają, a ona patrzy na kobietę, od której uciekała przez większość swego dorosłego życia.

## 11

Oto co widzi: niską kobietę w brzydkim więziennym stroju - ciemnozielonym dresie z jaskraworóżowymi wykończeniami. Starsza pani wygląda dziwnie młodo jak na prawie sześćdziesiąt dwa lata, jej całkowicie pozbawiona makijażu twarz jest spokojna, nie widać na niej żadnej troski ani wyrzutów sumienia. Gwen Price ma krótko przycięte jasne włosy. Na widok córki jej jasnoniebieskie oczy na chwilę się rozszerzają. Przemyka przez nie błysk tęsknoty, ale tak krótki, że Amanda nie jest pewna, czy naprawdę go widziała, czy tylko pod wpływem marzeń sama go sobie wymyśliła.

Więźniarka nic nie mówi, więc Amanda się zastanawia, czy matka ją poznaje. Czy to możliwe, żeby cierpiała na demencję? Nie poznajesz mnie, mamó? - chce spytać, ale nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Może starsza pani jest tak przytłoczona, widząc po tyłu

latach swoje jedyne dziecko, że nie może mówić? Jej normalnie cięty język spoczywa nieruchomo w ustach jak śnięta ryba w wiadrze. Może jest zażenowana, wręcz zawstydzona z powodu okoliczności, w jakich się spotykają? Prawdopodobnie jednak po prostu nie ma nic do powiedzenia młodej kobiecie, na którą spoglądała zaledwie przez chwilę. Widocznie zbudowanie kilku zdań wymagałoby wysiłku, na który tamta nie zasługuje.

- Zadzwoń do Amandy i powiedz jej, co się stało - wyjaśnia Ben. - Wczoraj wieczorem przyleciała z Florydy.

Gwen Price podchodzi do krzesła na końcu stołu i siada bez słowa.

Jej córka jest wściekła.

Ma ochotę rzucić się na starszą panią i potrząsać nią tak długo, aż coś - cokolwiek - pojawi się we wkurzająco spokojnych oczach. Powiedz coś! - chce krzyknąć, bo milczenie matki jest gorsze od każdej obelgi, a potworna obojętność staje się nie do zniesienia. Zasługuję na jakieś wyjaśnienie - myśli młoda kobieta. Na przykład: dlaczego z zimną krwią zamordowałaś człowieka? Dlaczego tak mnie traktowałaś? Dlaczego nigdy mnie nie kochałaś?

Mówi tylko:

- Ja też się cieszę, że cię widzę, mamo.

Po raz ostatni Amanda widziała matkę po pogrzebie ojca. Była to skromna uroczystość z udziałem rodziny, kilku kolegów ojca z pracy i paru sąsiadów. Zabrakło przyjaciół, którzy mogliby coś powiedzieć, bo z powodu zmiennych nastrojów matki i jej nieprzewidywalnego zachowania rodzice nie mieli przyjaciół.

Z drugiej jednak strony Edward Price wcale za nimi nie tęsknił; całe życie poświęcił opiekowaniu się nieszczęśliwą żoną. Jedyłą nagrodą był rozległy zawał serca i przedwczesna śmierć.

Po pogrzebie Amanda i Ben odwieźli Gwen Price do domu. Starsza pani MacGiver, sąsiadka z naprzeciwka, przysłała domowej roboty ciasto cytrynowe. Amanda pokroiła je na kawałki, a Ben przygotował kawę. Matka spoglądała na nich wilkiem ze swojego krzesła przy stole kuchennym, jakby po raz pierwszy tego dnia ich dostrzegła.

- To nie jest przyjęcie - powiedziała, opróżniając jednym haustem spory kieliszek wódki.

- Nikt nie powiedział, że to ma być przyjęcie. - Jej córka ugryzła się w język, żeby czegoś nie dodać. - Po prostu myślałam, że chętnie coś zjesz. - Położyła kawałek placka przed matką.

Matka go odepchnęła.

- Byłaś w błędzie.

- Przynajmniej jestem konsekwentna.

- I wciąż pyskujesz. - Matka potrząsnęła z dezaprobatą głową. - Zawsze pyskujesz.

- Napije się pani kawy, pani Price? - przerwał kłótnię Ben. Gwen Price patrzyła na niego, jakby nie istniał.

- Złamałaś ojcu serce - powiedziała do Amandy.

- O czym ty mówisz?

- Amando... - ostrzegł Ben.

Nie prowokuj - ostrzegały jego oczy. Niestety, było już za późno. Ona złapała przynętę i była gotowa połknąć śmiertelnie niebezpieczny haczyk.

- Twój ojciec doskonale wiedział, że jego córka jest dziwką.

- Wystarczy, proszę pani. Myślę, że już dość pani powiedziała.

- Często nie wracałaś na noc do domu, piłaś, jeździłaś z jakimś młodocianym przestępcą eleganckim wozem sportowym.

- Nie przypuszczałam, że ojca w ogóle to obchodzi.

- Miał wobec ciebie takie wspaniałe plany. Marzył, że zostaniesz kiedyś prawniczką.

Sam zawsze chciał być prawnikiem, ale rodzice nie byli w stanie pokryć kosztów jego studiów. Nie wiedziałaś, prawda?

- Skąd miałam wiedzieć? - spytała córka, przełykając łzy. - Prawie w ogóle ze mną nie rozmawiał.

- Prawie nigdy cię nie było.

- Bzdura.

- Amando... - ponownie ostrzegł Ben.

- Nigdy nie próbował ze mną rozmawiać, a nie próbował, bo, do jasnej cholery, zawsze był zajęty tobą. Zrezygnował z wszystkiego - z przyjaciół, zainteresowań, nawet ze swojej córki - byle tylko uczynić cię szczęśliwą. Tymczasem nigdy nie byłaś szczęśliwa, prawda, mamó? Nie byłaś. Bo jak ktoś może być szczęśliwy, jeśli ciągle jest wściekły o Bóg jeden raczy wiedzieć co? Co cię gryzie, mamó? Powiedz - zażądała, wypluwając osobno każde słowo. - Co - cię - gryzie?

Matka wbiła w nią oczy zimne jak stal.

- No cóż - powiedziała, nalewając sobie następnego drinka - trudno się dziwić, że przy takiej córce ojciec zmarł na zawał serca.

- Jak się miewasz, Amando? - pyta obecnie matka.

Wypowiada słowa tak cicho, że młoda kobieta dopiero po kilku sekundach zdaje sobie sprawę, iż starsza pani w ogóle się odezwała.

- Dobrze - odpowiada z kąta pomieszczenia, nie bardzo wiedząc, jakiej udzielić odpowiedzi.

Serce wali jej jak szalone, jakby ze złością okładało od środka klatkę piersiową tysiącem drobnych piąstek.

- Witaj, Benie - mówi Gwen Price z niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy w jego

stronę.

- Jak się pani dzisiaj miewa, proszę pani?

- Dobrze, dziękuję.

- Dobrze pani spała? Współtowarzyszki z celi nie sprawiały już żadnych kłopotów?

- Jakich kłopotów? - pyta Amanda.

- Przez kilka pierwszych nocy jedna z kobiet z celi twojej matki odczuwała głód narkotykowy i nie pozwalała nikomu zmrużyć oka.

- Myła i szorowała. Powinnaś ją zobaczyć. Nie mogła ani chwili spokojnie wysiedzieć. Przez całą noc chodziła niespokojnie po celi i wszystko pucowała. To mogło trochę denerwować.

- Czego nie można powiedzieć o zamordowaniu człowieka z zimną krwią - mówi Amanda.

- Ale ostatnia noc była lepsza? - pyta Ben, wzrokiem nakazując jej milczenie.

- Tak, nawet dość dobrze spałam.

- Dobrze spałaś - powtarza córka z niedowierzaniem, nie mogąc się powstrzymać. - Na litość boską, jesteś w więzieniu. Zastrzeliłaś człowieka. Uważam, że choćby tylko z tego powodu nie powinnaś zmrużyć oka przez całą noc.

- Amando, proszę - ostrzega Ben.

- Nie przejmuj się nią - mówi więźniarka. - Ma prawo być zdenerwowana.

Wyraźny spokój matki jedynie dolewa oliwy do ognia.

- O rany! Przemówił głos rozsądku.

- Może byś usiadła - radzi Ben.

- Nie chcę siadać.

Ben odwraca głowę z powrotem do jej matki.

- Dają pani lekarstwa?

- Jakie lekarstwa? - pyta Amanda. Matka potrząsa głową.

- Coś na osteoporozę. Nie masz się czym przejmować.

- Kto powiedział, że się przejmuję?

- Tak, dają mi lekarstwa - odpowiada Gwen Price. Jediną reakcją na sarkazm córki jest delikatne drgnięcie lewego kącika ust starszej pani.

To znaczy, że matka jest mimo wszystko istotą śmiertelną - myśli Amanda z pewną satysfakcją. Nawet do pewnego stopnia zwyczajną. Jak tysiące innych kobiet w jej wieku cierpi na zrzęszotnienie kości, przyziemną i dość powszechną dolegliwość.

Jest zaskoczona brakiem dramatyzmu. Czyżby bogowie zapomnieli, z kim mają do czynienia?

- Przykro mi, że musiałaś lecieć taki kawał drogi - mówi matka.

- Mnie też - odpowiada Amanda.

- Naprawdę, niepotrzebnie zadałaś sobie tyle trudu.

- Zabiłaś człowieka, mamó.

Gwen Price powoli rozgląda się po pomieszczeniu, chociaż nie ma w nim absolutnie nic do oglądania: szare, gołe ściany, żadnych dywanów na betonowej podłodze.

- Nie jesteś zbyt opalona jak na kogoś, kto mieszka na Florydzie - mówi starsza pani, nie patrząc na córkę.

Ta zerka błagalnie na Bena. Co my tu robimy? - pytają jej oczy.

Spróbuj sprawić jej przyjemność - odpowiadają jego oczy. Porozmawiaj z nią.

Amanda zamyka oczy. Widzi, jak matka siedzi na sofie w salonie, wpatrując się w buzujący ogień w kominku, wyraźnie obojętna na iskry, które padają u jej stóp. W porządku - decyduje, unosząc powieki. Tyle razy przesłuchiwałam trudnych świadków. Czasami trzeba wrócić tylnymi drzwiami, żeby ich zaskoczyć.

- Nie lubię się opalać - wyjaśnia.

- Odrobina słońca jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

- Pewnie nie.

Przynajmniej nie tak bardzo, jak trzy kule wymierzone prosto w serce.

- Podobno słońce jest dobre dla duszy, a ludzie, którzy przez dłuższy czas są go pozbawieni, cierpią na poważną depresję.

- O czym ty mówisz?

- Amando... - ostrzega Ben.

- Nigdy nie mogłam długo wysiedzieć na słońcu - ciągnie matka. - Moja jasna skóra szybko robiła się czerwona, ale ty masz karnację ojca. Powinnaś ładnie się opalać.

Dziewczyna ze zdumieniem przygląda się matce, dochodząc do wniosku, że prawdopodobnie jest to ich najdłuższa w życiu rozmowa.

- Powiedz, mamó, kim jest facet, którego zastrześliłaś? - pyta niecierpliwie Amanda.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o wchodzenie tylnymi drzwiami.

Matka potrząsa głową.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Nie chcesz o tym rozmawiać?

- Pani Price - zaczyna Ben - nie będziemy mogli pani pomóc, jeśli nic nam pani nie powie.

- Nie chcę waszej pomocy. Amanda ze złością unosi rękę.

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Niemniej jestem wam bardzo wdzięczna.

- Wdzięczna? Nie rozumiem.

- Nie oczekuję, że zrozumiesz.

- Bo nie chcesz, żebym zrozumiała.

- Proszę nam po prostu powiedzieć, co się stało - wtrąca Ben.
  - Zastrzeliłam człowieka.
  - Tyle wiemy - stwierdza córka. - Nie wiemy, dlaczego to zrobiłaś.
  - To nie ma znaczenia.
  - Ma znaczenie. Nikt nie zabija bez powodu. Nawet ty, rzucając na ludzi swoje głupie kłątwy, zawsze miałaś po temu jakiś powód. Kim jest ten człowiek?
  - Nie wiem.
  - Co was łączyło?
  - Nic nas nie łączyło.
  - Chcesz, żebyśmy uwierzyli, że zastrzeliłaś zupełnie obcego człowieka, którego nigdy wcześniej nie widziałaś na oczy?
  - Wcale nie musicie w to wierzyć.
  - To dobrze, bo nie wierzymy.
  - Nie ma sprawy.
  - Jest sprawa. Świadkowie twierdzą, że przez cały dzień siedziałaś w foyer hotelu.
  - Siedziałam.
  - Dlaczego?
  - To bardzo miły hotel. Mają ładne foyer.
  - Co takiego?!
  - Amando - ostrzega Ben. - Uspokój się.
  - Siedziałaś w hotelowym foyer, bo to ładne miejsce? Matka przytakuje.
  - I jakoś tak się dziwnie składa, że miałaś w torebce naładowany rewolwer.
  - Często noszę go ze sobą.
  - Często chodzisz z naładowanym rewolwerem w torebce?
  - Tak.
  - Dlaczego?
  - Toronto to niebezpieczne miasto.
  - Nie byłoby niebezpieczne, gdyby ludzie nie chodzili po nim z rewolwerami.
- Matka niemal się uśmiecha.
- Benie, czy naprawdę ta rozmowa jest potrzebna?
  - Czy ta rozmowa jest potrzebna?! - Amanda podnosi głos.
  - Po prostu nie widzę takiej potrzeby, zwłaszcza że...
  - Zwłaszcza że...?
  - Zwłaszcza że we wtorek mam zamiar przyznać się do winy.
  - Pozwolisz, żeby przyznała się do winy? - pyta Amanda byłego męża.
  - Przecież jestem winna - przypomina matka.
  - Nie, jeśli jesteś szalona.

- Uważasz, że jestem szalona?
- Uważam, że jesteś bardziej nienormalna niż placek owocowy w styczniu.
- Amando...
- Zapewniam cię, że jak najbardziej jestem przy zdrowych zmysłach - mówi Gwen Price spokojnie. - Strzelając do tego człowieka, dobrze wiedziałam, co robię, i byłam w pełni świadoma, że postępuję źle. Czyż to nie oznacza, że jestem całkiem normalna?
- Ludzie normalni nie chodzą z rewolwerami po mieście i nie strzelają do nieznajomych.
- Jesteś tego pewna? Amanda odwraca się do Bena.
- Nie możesz jej pozwolić na przyznanie się do winy.
- Wybór nie należy do mnie.
- On nie ma żadnego wyboru - potwierdza Gwen Price. - Ja też. Zastrzeliłam człowieka i jestem gotowa ponieść odpowiednią karę. To naprawdę całkiem proste.
- Nic, co się z tobą wiąże, nigdy nie było proste.
- Może masz rację - odpowiada matka. - Niemniej podjęłam taką właśnie decyzję.
- Kim był John Mallins, mamó?
- Nie mam pojęcia.
- Jak go poznałaś?
- Nie poznałam go.
- W takim razie dlaczego na niego czekałaś?
- Nie czekałam.
- Po prostu kiedy wszedł, przez przypadek siedział w hotelowym foyer z naładowanym rewolwerem w torebce - powtarza Amanda chyba po raz setny.
- Tak.
- Widząc go, wstałaś z fotela, podeszłaś do niego i nacisnęłaś spust.
- Tak. Chyba nawet trzykrotnie.
- Bez powodu.
- Tak.
- Bo miałaś na to ochotę.
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiem, dlaczego. Może nie spodobał mi się jego wąsik?
- Nie spodobał ci się jego wąsik?!
- To tak samo dobry powód jak każdy inny - wyjaśnia Gwen Price.
- Nie drwij ze mnie.
- Przepraszam, Laleczko. Nie miałam takiego zamiaru.
- Co takiego?



Dziewczyna cofa się, jakby ktoś ją uderzył.

- Nie miałam zamiaru z ciebie drwić. Po prostu...

- Nigdy tak do mnie nie mów.

Matka wygląda na naprawdę rozgoryczoną.

- Przepraszam.

- W porządku - interweniuje Ben. - Wróćmy do sprawy, dobrze?

- Nie ma po co do niej wracać - mówi Gwen. - Zasłużyłam na więzienie, koniec kropka. Rozumiem waszą ciekawość i jestem wdzięczna, że próbujecie mi pomóc, ale...

- Ale co? - pyta córka. - A co z rodziną Johna Mallinsa, mamó? Czy nie uważasz, że dwójka jego dzieci ma prawo wiedzieć, dlaczego zamordowałaś ich ojca? Czy wdowa po Johnie Mallinsie nie zasługuje przynajmniej na kilka słów wyjaśnienia?

- Bardzo mi przykro, że sprawiłam im ból - kaja się Gwen Price, a w jej oczach nagle pojawiają się łzy.

Co to ma, do diabła, znaczyć? - zastanawia się Amanda, bardziej przerażona niespodziewanymi łzami matki niż kiedykolwiek jej złością. Kim jest ta kobieta? Za jakie sznurki próbuje pociągać?

- Kim był John Mallins, mamó? Dlaczego go zastrzeliłaś? Matka milczy jak głaz.

- Policja będzie prowadzić dochodzenie - grozi Amanda. - Na pewno dotrą do prawdy.

Na twarzy Gwen pojawia się lęk, który po chwili znika.

- Kiedy wezmę na siebie całą odpowiedzialność, nie będą musieli niczego sprawdzać. Już mają moje zeznanie, broń, z której strzelałam, i sporą grupkę naocznych świadków. Jeśli prokuratorzy bez przeszkód będą mogli mnie skazać, nikt nie będzie się zastanawiał, dlaczego zastrzeliłam tego człowieka.

- Ja będę się zastanawiać - szepcze dziewczyna.

- Przepraszam - mówi ponownie matka.

Amanda pociera czoło, spogląda w sufit i wciąga głęboko powietrze w płuca.

- Dobrze, wygrałaś. - Idzie szybko do drzwi. - Tracimy tylko czas, Benie. Chodźmy.

- Proszę - oponuje Ben.

- Zostaw ją! - wybucha dziewczyna. - Nie mam zamiaru brać udziału w tej głupiej grze. Najwyraźniej podjęła już decyzję. Jeśli chce gnąć w więzieniu przez resztę życia, to niech gnije.

Otwiera drzwi. Zatrzymuje ją głos matki:

- Amando?

Odwraca się, chociaż wciąż trzyma rękę na klamce.

- Chyba nigdy ci nie powiedziałam, jaka jesteś piękna - mówi Gwen Price.

Jej córka nie wie, czy śmiać się, czy płakać. Wybiega z pokoju, nie czekając, aż zrobi jedno albo drugie.

## 12

- Słyszałeś, co powiedziała?! - wybucha Amanda po wyjściu z więzienia, z trudem brnąc przez rozmokły śnieg na parkingu. - Jak ona miała czelność powiedzieć mi coś takiego!

- Zwolnij - mówi Ben.

- Moja matka jest sadystką. Amoralną, zdeklarowaną sadystką.

- Dokąd idziesz?

Amanda podciąga wyżej kołnierz, żeby uchronić się przed porywistym wiatrem.

Wilgotne płatki śniegu przyklejają się jej do policzków i rzęs.

- Jak ona może mówić mi takie rzeczy? „Chyba nigdy ci nie powiedziałam, jaka jesteś piękna”. Co to ma, do diabła, znaczyć? Do jasnej cholery, przecież doskonale wie, że nigdy mi tego nie mówiła. Owszem, często słyszałam, że jestem beznadziejna. Chyba milion razy byłam, jej zdaniem, „bezwartościowa”. Powtarzała wręcz, że jestem „plamą na jej honorze”. Więc co jej się teraz stało? Powiedz mi. Co jej się stało? - kręci się bezradnie w kółko. -

Gdzie, do diabła, jest ten pieprzony samochód?

Ben wskazuje na odległy kraniec parkingu.

- A tak swoją drogą, kto go tak daleko zaparkował?

Amanda pędzi w stronę corvetty.

- Uważaj. Pod śniegiem jest lód, moż...

W tej samej chwili, kiedy ostrzeżenie Bena do niej dociera, obcasy jej botków trafiają na przysypany śniegiem kawałek lodu. Kobieta czuje, że coś jednocześnie ciągnie ją do tyłu i pcha do przodu, jakby niewidzialne ręce chwyciły ją za kołnierz płaszcza, a niewidzialna noga podcinała jej stopy. Przez ułamek sekundy wisi w powietrzu, jakby znalazła się na latającym dywanie. Potem nagle obraca się w zimnym powietrzu, latający dywan ugina się pod jej ciężarem, a ona upada na chodnik jak marionetka z obciętymi sznurkami. Gdy dotyka ziemi, słyszy, jak matka woła do niej: „Laleczko!” Wybucha gorzkim płaczem.

Ben natychmiast do niej podbiega i pomaga jej wstać.

- Nic ci się nie stało?

- Nic.

Nie patrząc na Bena, Amanda strzepuje z płaszcza kilka grudek mokrego śniegu.

- Do jasnej cholery, jestem cała i zdrowa.

- Na pewno? Fatalnie upadłaś.

- Powiedziałam, że jestem cała i zdrowa.

- Chcesz wrócić do budynku i na chwilę usiąść?

- Mam wrócić do więzienia? Chyba żartujesz. Chcę się stąd wynieść tak szybko, jak to tylko możliwe.

- W porządku.

Mężczyzna bierze ją pod łokieć i ostrożnie prowadzi w stronę samochodu.

- Uważaj.

- Cholerne botki.

Ben otwiera auto i pomaga jej usadowić się na przednim siedzeniu.

- Prawdopodobnie nieźle się poobijałaś. Dobrze by było, gdybyś po powrocie do hotelu wzięła gorącą kąpiel.

Amanda bez słowa przytakuje, opiera głowę o boczną szybę i patrzy, jak Ben wyjeżdża z parkingu i skręca w Disco Road.

- Wszystko w porządku?

- Nie.

- Coś sobie złamałaś?

- Nie. Serca również, nawet jeśli jesteś zwolennikiem melodramatów. Przepraszam - mityguje się natychmiast. - Przecież to nie twoja wina.

- Jesteś zła. Dobrze cię rozumiem.

- Naprawdę? Co tak dobrze rozumiesz?

- Nie widziałaś matki od wielu lat, a teraz nagle spotkałaś ją w takich okolicznościach...

- Nie sądzisz, że wygląda cholernie dobrze jak na kobietę, która miała na sobie najbrzydszy odcień zieleni na świecie i od kilku dni nie była u fryzjera? Wciąż jest smukła i atrakcyjna. Co więcej, jak powiedziała: „dobrze sypia”.

- Chciałabyś, żeby bardziej cierpiała?

- Chciałabym, żeby smażyła się w piekle.

- Z powodu zabicia człowieka czy dlatego, iż powiedziała ci, że jesteś piękna?

Amanda gwałtownie odwraca głowę i spogląda na byłego męża.

- Och, daj spokój.

- Co cię tak wytrąciło z równowagi?

- Sama nie wiem. Może fakt, że moja matka siedzi w więzieniu za morderstwo?

- Wiesz o tym już od kilku dni - przypomina jej Ben z lekką drwiną. - Poza tym chyba raczej powinnaś rozkoszować się myślą, że zamknięto ją w celi. Co prawda to nie ogień piekielny ani siarka, ale już cholernie blisko.

- Czy twoim zdaniem moja matka wygląda, jakby cierpiała? - Wyciera nos wierzchem dłoni. - Bo ja wcale nie odniosłam takiego wrażenia. A wiesz, dlaczego? - pyta, chociaż nie czeka na odpowiedź. - Ponieważ nie cierpi. W najmniejszym stopniu nie żałuje tego, co zrobiła. To widać w jej oczach, w jej postawie. Zauważyłeś, że siedzi niemal w całkowitym bezruchu? Jest dziwnie spokojna. Jakby...

- Jakby co?

- Nie wiem. - Amanda spogląda na przednią szybę i wodzi wzrokiem za

wycieraczkami, które walczą z padającym śniegiem. - Jakby w końcu udało jej się uciszyć swoje demony. Ben zerka w jej stronę.

- Uważasz, że John Mallins był demonem?

- Nie wiem, co uważam.

- Jutro spróbujemy jeszcze raz.

- Co takiego? Chyba żartujesz. Za nic w świecie tu nie wrócę. Pochyliła się i zaczyna rozmasowywać kolano.

- Boli?

- Bardzo - odpowiada zadowolona, że Ben się nie śmieje. - Nie pozwolisz, żeby we wtorek przyznała się do winy, prawda?

- Nie jestem pewien, czy uda mi się ją powstrzymać. Pod wpływem frustracji dziewczyna potrząsa głową.

- Ona wyraźnie zwariowała.

- Słyszałaś, co powiedziała. Wiedziała, co robi, i była w pełni świadoma, że postępuje źle.

- W takim razie działała w przypiływie szaleństwa.

- Trudno mówić o przypiływie szaleństwa w przypadku kogoś, kto przez całe popołudnie czekał z rewolwerem na określonego człowieka. Nie sądzisz, że takie postępowanie wskazywałoby raczej na działanie z premedytacją?

- To może zwalić wszystko na jakąś chorobę?

- Jaką chorobę?

- Psychiczną? - Tym razem oboje się śmieją. - Myślisz, że oskarżenie poszłoby na ugode?

- Dlaczego mieliby iść na ugode? Mają czystą sprawę.

- Nie znają motywu.

- Wcale nie muszą go znać - przypomina Ben.

- Ale ja muszę.

- W takim razie, jak sędzę, powinnaś zostać tu kilka dni i poczekać, co uda nam się odkryć.

- Cholera!

Amanda masuje kark. Ben miał rację - już wszystko zaczyna ją boleć.

- Niech to diabli! W takim razie pozwól jej się przyznać do winy, jeśli tak bardzo jej na tym zależy. Guzik mnie to obchodzi.

W samochodzie rozlega się ciche dzwonięcie, sygnał telefonu odbija się od szyb. Ben sięga do kieszeni skórzanej kurtki, wyjmując komórkę i odzywa się w połowie drugiego dzwonka.

- Halo, słucham?

Opuszcza wzrok i skupia się na słowach rozmówcy.

- Kiedy to się stało?

Amanda podziwia jego skupienie; przypomina sobie, że zawsze była to jego najatrakcyjniejsza cecha. Przy nim czuła się tak, jakby była jedyną osobą, która się dla niego liczy. Teraz, słysząc w słuchawce cichy kobiecy głos, odczuwa nagły przypływ zazdrości.

Uznaje, że to wina matki. Fakt, że zobaczyła ją po raz pierwszy od tylu lat i w takich niezwykłych okolicznościach, wytrącił ją z równowagi, otworzył prawdziwą puszkę Pandory z dawnymi wspomnieniami i uczuciami.

Dziewczyna próbuje ocenić sytuację. Co właściwie czuje? Na pewno złość. Bezradność. Strach. Do tego zażenowanie. Irytację. Frustrację.

Czego nie odczuwa: żalu.

Czego nie odczuwa: współczucia.

Czego nie odczuwa: sympatii.

Za nic w świecie.

„Chyba nigdy ci nie powiedziałam, jaka jesteś piękna” - dźwięczą jej w głowie słowa matki.

Jak śmiesz - myśli Amanda, masując mięśnie szyi, aż zaczynają ją boleć palce. Jak śmiesz mówić mi teraz coś takiego? Za jaki sznurek próbujesz pociągnąć? Na co liczysz? Że ci wybaczę, bo wróciłam i zgodziłam się ponownie z tobą spotkać? Że będę ci współczuła, bo zostałam zamknięta w najbrzydszym budynku, jaki w życiu widziałam, nosisz najmniej twarzowy na świecie dres i wyglądasz w grubej bawełnie tak krucho i tak... sama nie wiem, tak... po ludzku... Chyba nie ma na to lepszego określenia.

Tymczasem wszyscy wiemy, że to nieprawda, nie sądzisz, mamo?

„Nie ma się co dziwić, że przy takiej córce ojciec dostał zawału serca” - dźwięczą jej w uszach dawne słowa.

Tak, to już bardziej pasuje do dobrze niegdyś znanej, ale nie lubianej kobiety.

„Chyba nigdy ci nie powiedziałam, jaka jesteś piękna”.

Nie, nie powiedziałaś.

- A teraz, do jasnej cholery, jest już za późno.

- Słucham? - pyta Ben, wkładając telefon z powrotem do kieszeni.

- O co ci chodzi?

- Na co jest już za późno?

- O co ci chodzi? - pyta Amanda ponownie, nie mogąc nic więcej powiedzieć.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie.

Na ustach Bena pojawia się uśmiech.

- Cholernie świetnie czy po prostu świetnie? Amanda łapie się na tym, że odpowiada

na jego uśmiech.

- Czy to była Jennifer?

- Tak.

- Sprawdzala plany na dzisiejszy wieczór?

- Właśnie dowiedziała się czegoś nowego i uznała, że może mnie to zainteresować.

- Zainteresowało?

- Wygląda na to, że pojawił się nowy świadek.

- W sprawie mojej matki?

- Czy słyszałaś cokolwiek o Corinne Nash?

- Corinne Nash? - Dziewczyna próbuje odnaleźć w pamięci to imię i nazwisko. - Nie, nie sędzę.

- Twierdzi, że jest przyjaciółką twojej mamy.

- Niemożliwe. Moja mama nie miała żadnych przyjaciół.

- Długo cię nie było, Amando.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- A niektóre tak. Porozmawiamy z nią?

- Wiesz, gdzie ta kobieta mieszka?

Ben skręca na drogę 401 i bez słowa czeka na przerwę w sznurze aut, które podążają na wschód.

Amanda uśmiecha się porozumiewawczo. Czasami warto sypiać z wrogiem - myśli.

Dom przy Whitemore Avenue jest stary i wyraźnie wymaga remontu.

Musztardowożółtym cegłom przydałoby się porządne czyszczenie, a starannie odśnieżone betonowe schody, które prowadzą na maleńką wejściową werandę, wyraźnie się sypią. Na podjeździe stoi stary model caprice, zbyt szeroki, żeby wjechać do wąskiego garażu dobudowanego do domu. Drewniane okiennice z resztkami białej farby przysłaniają małe okna, które wychodzą na ulicę. Pośrodku dębowych drzwi wisi brązowa kołatka w kształcie głowy lwa. I jedno, i drugie należałoby porządnie wypolerować.

- Wygląda znajomo? - pyta Ben, zajeżdżając przed dom.

- Nie. Wyłącza silnik.

- Pozwól, że to ja poprowadzę rozmowę - proponuje, wysiadając z samochodu. -

Amando...! - woła, kiedy jego współtowarzyszka wbiega po schodach.

- Nie powiem ani słowa - obiecuje, stukając w drzwi.

- To dobrze. Uznałaby, że jesteśmy z gestapo.

- Nic nie powiem.

- Kto tam? - słychać kobiecy głos z głębi domu.

- Nazywam się Ben Myers - odpowiada Ben, zatykając Amandzie dłonią usta. - Jestem obrońcą Gwen Price. Chciałbym kilka minut z panią porozmawiać.

Drzwi natychmiast się otwierają. Amanda uwalnia się z uchwytu Bena i wchodzi do środka, chociaż boi się stanąć twarzą w twarz z obcą kobietą.

- Jesteście adwokatami Gwen?

Kobieta ma piskliwy, niemal dziewczęcy głos, ubrana jest w staromodną brązową spódniczkę i beżowe bliźniaki. Na nogach ma śmieszne różowe kapcie.

- Proszę, wejdźcie. Jak się miewa Gwen?

- Całkiem nieźle.

W powietrzu unosi się zapach świeżo parzonej kawy. Wchodzą do małego przedpokoju, a Corinne Nash zamyka za nimi drzwi.

- Może zechcielibyście zdjąć buty...

Natychmiast spełniają jej prośbę. Amanda przy okazji ukradkiem rozgląda się po mieszkaniu. Pokoje na parterze są małe i czyste - salon na lewo, jadalnia na prawo, w głębi drzwi do małej kuchni na tyłach. Drewniane schody pokryte jasnozielonym chodnikiem prowadzą ze środka przedpokoju do pokoiów na piętrze. Szybko oblicza, że są tu tylko trzy sypialnie, pokój pana domu jest niewiele większy od pozostałych dwóch i prawdopodobnie wszyscy domownicy mają do dyspozycji tylko jedną wspólną łazienkę. Ściany zostały pomalowane na nieładny, choć tradycyjny zielony kolor, dywany na drewnianej podłodze i zasłony są w kwiatki.

- To moja asystentka - zaczyna Ben, gdy Amanda kończy zdejmować botki i podnosi głowę.

- O mój Boże! - woła Corinne Nash.

Dziewczyna cofa się w stronę drzwi, widząc, że kobieta podchodzi do niej z wyciągniętą ręką. Corinne Nash jest wysoka, ma około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, duże piersi i obfite biodra. Wskutek tego nie pasuje do niej dziewczęcy głos, który brzmi, jakby wydobywał się z jakiegoś innego miejsca w pokoju. Sięgające do ramion włosy mają ten sam złocistobrązowy odcień co oczy, a szerokie usta leżą pod krótkim, prostym nosem. Prawdopodobnie w młodości trzeba się z nią było bardzo liczyć - myśli Amanda, czując, że klamka wbija jej się w krzyż.

- Masz na imię Amanda, prawda? Amanda dopiero po sekundzie odzyskuje głos.

- Zna mnie pani?

- Oczywiście. Proszę, wejdźcie.

Corinne obejmuje Amandę i prowadzi do zagraconego salonu.

- Pozwól, że powieszę twój płaszcz. Siadajcie.

Wskazuje kwiecistą sofę obok okna i dwa krzesła z wysokimi oparciami pod drugim oknem. Przed kominkiem w odległym rogu pokoju znajduje się miękki fotel w pomarańczowo-zielone paski i identycznie obita otomana, a przy zniszczonym fortepianie stoi stare jak świat krzesło w stylu królowej Anny, z ciemnozielonym obiciem. Na ścianie

nad fortepianem wisi obraz, który przedstawia pólężącą nagą kobietę niepokojąco podobną do pani domu.

- Napijecie się kawy? Właśnie zaparzyłam.
- Bardzo chętnie, dziękujemy - odpowiada Ben za siebie i Amandę.
- Z czym?
- Z cukrem i śmietanką - odpowiadają zgodnie.
- Tak samo jak matka - mówi Corinne Nash, gdy wraca z kuchni.

Stawia na ławie tacę z trzema filiżankami parującej kawy i talerzem różnych ciasteczek.

Amanda odnotowuje w pamięci, że pora zacząć pić czarną kawę.

- Skąd mnie pani zna? - pyta, gdy kobieta siada na bliższym z dwóch krzeseł.
- Widziałam wielokrotnie twoje zdjęcia.
- Moje zdjęcia? Jakie zdjęcia? Corinne Nash jest trochę zaskoczona.
- Niech pomyślę. Jedno zostało zrobione, gdy skończyłaś szkołę średnią, na innym siedzisz przy oknie i wyglądasz przez szybę. Zwykła amatorska fotka. Prawdopodobnie ojciec pstryknął zdjęcie, kiedy nawet nie wiedziałaś. Ulubione zdjęcie Gwen. Oczywiście, nie brak też fotografii z twoich najmłodszych lat. Zdumiewające, że prawie w ogóle się nie zmieniasz. Tylko dzięki temu cię rozpoznałam. Widziałaś się z mamą? Jest z ciebie taka dumna. Na pewno się cieszy, że przyjechałaś.

Dziewczyna porywa z tacy filiżankę i szybko unosi ją do ust, żeby nie krzyknąć: „O czym pani mówi?! Moja mama nigdy nie przechowywała moich zdjęć! Nigdy nie była ze mnie dumna”. Patrzy na Bena i oczami błaga go o pomoc, ale on wygląda na tak samo zdezorientowanego jak ona.

- Proszę pani - zagaja Ben. - Z tego, co wiem, rozmawiała pani z policją.
- Owszem. Tak mi przykro. Nie wiedziałam, co robić. Nie chciałam przysparzać twojej matce dodatkowych kłopotów, dlatego odczekałam kilka dni, ale kiedy przeczytałam, że się do wszystkiego przyznała, postanowiłam zrobić to, co uznałam za słuszne. Tak mi przykro. Mam nadzieję, że jej nie zaszkoziłam.

- Co dokładnie powiedziała pani policji?
- Że byłam z Gwen w Four Seasons, gdy po raz pierwszy ujrzała tego mężczyznę.
- Była pani z nią, gdy zastrzeliła Johna Mallinsa? - pyta Ben.
- Nie, nie tego feralnego dnia. Dzień wcześniej.
- Nie rozumiem - przerywa Amanda. - Twierdzi pani, że moja mama była w hotelu dzień przed morderstwem?

- Tak. Najpierw razem obejrzałyśmy film, a potem wybrałyśmy się na podwieczorek. W foyer Four Seasons jest bardzo sympatyczna kawiarenka. Często chodziłyśmy tam na podwieczorki. Serwują wspaniałe kruche ciasteczka. - Podsuwa tacę z ciastkami. -



Oczywiście, te nie są takie dobre.

Ben bierze jedno.

- Wspaniale. Sama je pani piekła?

- Nie. Nie umiałabym niczego upiec, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Nigdy nie umiałam. Moje wnuki przy każdej wizycie bardzo się na to skarżą. Tłumaczą, że przecież babcie są po to, aby piec ciasteczka.

- Od jak dawna zna pani moją matkę? - pyta Amanda, próbując wszystko jakoś uporządkować.

- Mniej więcej od pięciu lat. Spotkałyśmy się w kinie. Obie byłyśmy same i jakimś cudem wdałyśmy się w rozmowę. Prawdę mówiąc, chyba ja zaczęłam. Gwen była bardziej nieśmiała. Przynajmniej na początku. Wyraźnie ją zmęczyłam. Okazało się, że mamy dużo wspólnego. Obie jesteśmy wdowami i byłymi alkoholiczkami. Obie mamy dorosłe dzieci, lubimy kino i teatr. Więc zaczęłyśmy się spotykać co dwa tygodnie, potem co tydzień, a czasami po filmie szłyśmy na podwieczorek.

- Tamtego dnia zobaczyłyście Johna Mallinsa? - pyta Ben, sprowadzając rozmowę z powrotem na właściwe tony.

- Tak. Prawdę mówiąc, właśnie wychodziłyśmy z kawiarni, kiedy ze śmiechem przeszli przez obrotowe drzwi i trzymając się za ręce, udali się do windy. Odwróciłam się do Gwen i powiedziałam coś w stylu: „Jaka urocza rodzina”. Gwen wyglądała, jakby ujrzała upiora. Dygotała od stóp do głów, więc uznałam, że dostała jakiegoś ataku, posadziłam ją na sofie i spytałam, czy wezwać pogotowie. Odparła, że nic jej nie będzie, chociaż wyraźnie było widać, że nie wszystko jest w porządku. Po kilku minutach wyszłyśmy. Wieczorem jeszcze do niej zadzwoniłam, żeby sprawdzić, jak się czuje. Powiedziała, że świetnie.

- To wszystko? - dąży Ben. - Nigdy nie wspominała pani nic o Johnie Mallinsie?

- Ani słowem. Prawdę mówiąc, dopiero gdy przeczytałam w gazetach, co się stało, i zobaczyłam zdjęcie Gwen, a obok podobiznę zamordowanego, skojarzyłam jedno z drugim.

- Jest pani pewna, że mężczyzna, którego widziała pani tamtego popołudnia, to John Mallins? - docieka Amanda.

- Policja pytała mnie o to samo. Jestem całkowicie pewna. Mam bardzo dobrą pamięć do twarzy. To był na pewno ten sam człowiek.

- Proszę się przez chwilę dobrze zastanowić. Czy moja mama kiedykolwiek wspomniała pani o Johnie Mallinsie?

- Nigdy. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

- W co?

- Że zastrzeliła tego człowieka. Jak powiedziałam na policji, twoja matka to najmilsza, najzyczliwsza osoba, jaką w życiu spotkałam.

Amanda czuje, że filiżanka z kawą wysuwa jej się z palców. Próbuje ją złapać, ale

szkło stacza się po jej kolanach i ciemny płyn wylewa się na kwiecisty dywan. Jak krew Johna Mallinsa - myśli, patrząc na plamę u swych stóp.

## 13

- Czy ona naprawdę powiedziała, że moja matka to najmilsza i najżyczliwsza osoba, jaką w życiu spotkała? - szepcze Amanda, gdy Corinne Nash wybiega do kuchni po ręczniki papierowe.

- Tak.

Ona jednak potrząsa głową z niedowierzaniem.

- W którym towarzystwie ta kobieta wcześniej przebywała? Hitlera? - mówi.

Opada z powrotem na sofę i niemal całkowicie znika na tle obicia w różowe kwiaty i zielone pnącza.

- Skosztuj ciasteczko - proponuje Ben. - Są naprawdę bardzo dobre.

Amanda porywa z tacy kruche ciastko i niemal w całości je połyka. Corinne Nash wbiega z powrotem do pokoju z garścią ręczników papierowych. Opada na kolana i zaczyna osuszać plamę.

- O nie - protestuje Amanda, klękając obok starszej pani. - Lepiej będzie, jak ja to zrobię.

- Nonsens. Już gotowe. - Corinne dumnie pokazuje mokre ręczniki papierowe. - Proszę skosztować jeszcze jedno ciasteczko - proponuje. - Zaraz przyniosę następną kawę.

- Nie, dziękuję - mówi dziewczyna. - Naprawdę. Już sprawiłam pani dość kłopotu.

- Idę o zakład, że nie jadłaś nic od rana, prawda? - Corinne Nash potrząsa głową. - Zupełnie jak matka.

Córka przyjaciółki uśmiecha się, chociaż czuje, że lada chwila z wysiłku pękną jej policzki. Kiedy mówi, jej słowa wydostają się z krtani jak niespokojne bulgotanie.

- Nie, w niczym nie przypominam swojej matki.

- Naprawdę? Widzę bardzo dużo podobieństw - zapewnia Corinne Nash z uśmiechem na ustach.

- Chyba powinniśmy już iść - wtrąca szybko Ben. Prowadzi Amandę w stronę drzwi i obejmuje ją mocno w pasie, żeby łatwiej mogła włożyć botki i płaszcz.

- Zaczekaj! - woła Amanda, gdy schodzą po schodach. - Właśnie coś mi przyszło na myśl.

Zatrzymuje się na przedostatnim stopniu, wciąga głęboko w płuca wieczorne powietrze i odwraca się do Corinne Nash.

- Czy przypadkiem nie ma pani kluczy do domu mojej mamy? - pyta, zniżając głos, żeby w niczym nie przypominał głosu matki.

- Mam - oświadcza Corinne z wyraźną dumą. - Kilka miesięcy temu wymieniliśmy się

kluczami. Uznałyśmy, że to dobry pomysł. No wiesz, na wypadek jakiejś awaryjnej sytuacji czy czegoś w tym stylu. Sądzę, że właśnie mamy teraz taką sytuację. Dać wam go?

- Bardzo prosimy - mówi Ben, nie czekając, aż jego towarzyszką odmówi. - To naprawdę dobry pomysł - dodaje, gdy pani Nash znika w głębi domu, żeby poszukać kluczy. Amanda ignoruje komplement.

- W niczym nie przypominam mojej matki. Jak ona mogła powiedzieć coś takiego? Prawda, że nie przypominam matki?

- Proszę - mówi pani Nash, pojawiając się ponownie na schodach i z dumą podając jej pojedynczy srebrny klucz. - Chyba dobrze byłoby podlać kwiatki.

- Zajmiemy się nimi - obiecuje Ben, jeszcze raz dziękując przyjaciółce Gwen Price.

Kiedy wsiadają do samochodu, Corinne Nash macha im na pożegnanie.

- Powiedz matce, że się za nią modlę.

- Na pewno jej przekażę - mruczy Amanda.

Jeszcze przez chwilę mamrocze coś pod nosem. Pani Nash wciąż jeszcze macha, gdy Ben wrzuca bieg i wyjeżdża na ulicę.

Dwukondygnacyjny dom po zachodniej stronie Palmerston bardzo przypomina swoją właścicielkę: jest dość stary, ale dumny, stateczny i w jakiś sposób egocentryczny. Brązowe cegły, żółte drzwi. Chodnik i zewnętrzne schody pokrywa gruba warstwa śniegu. Nikt z sąsiedztwa nie zadał sobie również trudu, żeby odśnieżyć wspólny wąski podjazd.

„Przeklinam pana, panie Walsh!” - słyszy Amanda krzyk matki, kiedy Ben zatrzymuje samochód na wspólnym podjeździe. - „Nie doczeka pan nowego roku”.

Rzeczywiście, dwa miesiące później stary pan Walsh nie żył.

W następnych latach lokatorzy sąsiedniego domu kilkakrotnie się zmieniali. Zastanawiające, kto tu teraz mieszka i czy będzie równie wściekły jak niegdyś matka, widząc czyjś samochód na środku podjazdu. Z drugiej strony przecież matka nigdy nigdzie nie jeździła - przypomina sobie, spoglądając na Bena. Przeważnie to jego corvetta stała w tym miejscu.

- Gotowa? - pyta Ben.

- Jesteś pewien, że nie będzie to włamanie ani wtargnięcie na prywatny teren?

W odpowiedzi on wyciąga klucz do frontowych drzwi.

- To był twój pomysł.

- Nie przeszkodzimy w jakimś policyjnym dochodzeniu?

- A widzisz żółtą taśmę?

Amanda wypuszcza powietrze z płuc i patrzy, jak para osiada na przedniej szybie samochodu. Oczywiście, Ben ma rację. Policja nie miała powodu, żeby przeszukiwać dom matki. Od początku dysponuje narzędziem zbrodni, a nawet jeśli nikt nie zna motywu, morderczyni nie ukrywa, że jest winna. Pani adwokat wypuszcza z płuc następny bolesny

oddech i otwiera drzwi samochodu.

- Uważaj na lód - ostrzega Ben.

Dziewczyna idzie powoli w stronę ścieżki. Udaje, że nie widzi wyciągniętego ramienia. Nie korzystając z pomocy, wchodzi po zasypanych śniegiem frontowych schodach.

- Jak sądzisz, co możemy znaleźć? - pyta, przekręcając klucz w zamku.

- Nie mam pojęcia.

Czekając, aż klucz uwolni zapadkę, Amanda wymyśla przynajmniej kilka powodów, dla których nie powinni wchodzić do środka: mają zamiar przeszukać miejsce, w którym nie powinno ich być; matka będzie wściekła, jeśli się dowie; jej córka już tu nie mieszka i nie była w tym domu od śmierci ojca; przyrzekła sobie, że jej noga nigdy więcej tu nie postanie; robi jej się niedobrze.

Po chwili dodaje do swojej listy jeszcze jeden powód: mogą coś znaleźć.

Drzwi się otwierają. Ben pewnie przekracza próg.

- Wchodzisz?

- Chyba nie powinnam.

- Może w takim razie zaczekasz na mnie w samochodzie?

Dziewczyna kręci przecząco głową; jest to jedyna część jej ciała, która potrafi w tej chwili wykonać jakikolwiek ruch. Nogi sprawiają wrażenie sopli lodu, przy najlżejszym ruchu mogą się pokruszyć.

Zimny podmuch wiatru uderza Amandę w plecy i delikatnie wypycha ją do środka. W małym przedpokoju nie może oderwać wzroku od linoleum w szaro-białą kratkę.

- Wygląda na to, że niewiele się tu zmieniło - słyszy słowa Bena.

Powoli, niechętnie unosi wzrok.

Oto co widzi: szaro-biała szachownica z przedpokoju przechodzi w wąskim korytarzu w podłogę z ciemnego drewna. Z lewej strony znajduje się salon wyłożony szarym dywanem, na prawo - gabinet z drewnianą boazerią, na tyłach schody, a obok kuchnia. Ze schodów zbiega płaczące dziecko, które próbuje uciec przed gniewem matki.

Amanda przelyka ślinę, ignorując głos, który przypomina, żeby jeszcze przy drzwiach wytarła buty w postrzępiony kawałek szarego chodnika.

- Postarajmy się zrobić to szybko, dobrze?

- Zajmę się parterem - proponuje Ben. - Poradzisz sobie z sypialniami?

Dziewczyna porusza się ostrożnie, jakby się spodziewała, że z cienia na górnym podeście schodów wyskoczy z krzykiem obłąkana osoba z nożem w rękę, jak w *Psychozie*. Słyszy, że Ben już grzebie w szafkach kuchennych. Czego on właściwie szuka? - zastanawia się Amanda. Zostawia mokre ślady na schodach. Co my tu robimy?

Dawna sypialnia Amandy znajduje się na lewo od podestu. Przez kilka długich sekund dziewczyna stoi w drzwiach, a jej wzrok wędruje od wąskiego łóżka przy jasnoróżowej

ścianie do reprodukcji Renoira. Obraz przedstawia dziewczynę na huśtawce i wisi nad biurkiem po przeciwnej stronie pokoju. Pod oknem, które wychodzi na wspólny podjazd, idealnie mieści się komoda z jasnego drewna. Typowy pokój grzecznej małej dziewczynki. Tyle że ona nie była grzeczną małą dziewczynką.

Wchodzi do pokoju i powoli obraca się wokół własnej osi. Przy każdym obrocie czuje się coraz mniejsza, jak Alicja po tajemniczej tabletki, aż w końcu przeobraża się w kilkulatkę. Słyszy śmiech, czuje, jak mocne kobiece ręce unoszą ją w górę i trzymają nad podłogą, podczas gdy ona z radością macha nogami w powietrzu.

- Kto jest moją małą laleczką? - słyszy piskliwy kobiecy głos.

Potem śmiech gwałtownie się urywa. Dziewczynka wypada z rąk kobiety i jak zepsuta lalka leży na szarym dywanie z rozłożonymi rękami i nogami. Zrozpaczona Amanda siada na łóżku.

Gdy była nastolatką, błagała rodziców, żeby pozwolili jej choć odrobinę zmienić wystrój sypialni. Przyjaciółki miały o wiele ciekawsze pokoje, z ogromnymi łóżkami i tapetą, która świadczyła o ich dojrzewaniu, a czasem również nie najlepszym guście. Dziewczyna protestowała, tłumaczyła, że jest zmęczona różowym kolorem. Zmęczona swoimi dziecięcymi drobiazgami. Dawno temu wyrosła z kolekcji mydlanych zwierzątek i szklanych przycisków do papieru. Chciała mieć czarne ściany jak Debbie Profumo. Marzyła o najnowszej wieży stereo jak Andrea Argeris.

Tymczasem usłyszała tylko ostrzeżenie, żeby nie podnosiła głosu, bo matka odpoczywa.

W ramach protestu przestała wieszać ubrania do szafy i starannie układać je w szufladach. Oblepiła swój pokój plakatami Marilyną Mansona i Seana Penna, słuchała muzyki heavymetalowej, przez całą noc puszczając głośno radio. Wreszcie kiedyś ojciec wpadł jak burza do jej pokoju, zerwał odbiornik ze ściany i rzucił nim o podłogę, tak że nie było już czego naprawiać.

- Co się z tobą dzieje? - spytał, spoglądając na tabletki antykoncepcyjne, które celowo położyła na wierzchu biurka. - Przecież wiesz, że matka nie może spać w takim hałasie.

W odpowiedzi kupiła sobie nowe radio i puszczała je jeszcze głośniejsze. Zaczęła coraz później wracać do domu, a potem prawie w ogóle nie wracała. Jeśli zaś to robiła, niezmiennie sygnalizowała swoją obecność, głośno trzaskając drzwiami wejściowymi. Zaczęła sypiać z każdym facetem, który wpadł jej w oko, bo nie mogła zwrócić na siebie uwagi mężczyzny, na którym najbardziej jej zależało. Wszystko dlatego, że jego uwaga była w stu procentach skupiona na kimś innym.

Na jej matce.

Przynajmniej tak pewnie wyjaśniłaby wszystko Oprah - myśli teraz Amanda, coraz bardziej znudzona psychologiczną amatorszczyzną. Wstaje z łóżka i ze zniecierpliwieniem

otwiera różne szuflady, szukając Bóg jeden raczy wiedzieć czego.

Oto co znajduje: kilka swetrów matki, starą biżuterię, jedwabny szalik wykończony czarnym obrąbkiem i ozdobiony kolorowymi motylami. Mnie delikatny jedwab w rękach, unosi szalik do nosa, wącha, jakby szukała zapachu matki, ale niczego nie znajduje. Bezwiednie owija szalik wokół szyi i przenosi uwagę z komody na biurko. Niecierpliwie przeszukuje pudełka z nieładną papeterią. W najniższej szufladzie znajduje stare magazyny mody i niespiesznie je przegląda.

- Nic tu nie ma - mówi na głos, wkładając z powrotem magazyny do najniższej szuflady i wracając na korytarz.

- Nie wychodź - słychać cichy głos zza pleców. Odwraca się, chociaż wie, że nikogo tam nie ma.

Druga sypialnia znajduje się tuż obok. Wygląda niemal tak samo jak kiedyś, są tam te same meble, od początku nie zmienił się też kolor ścian. Jedynie łóżko, które stoi pod przeciwległą ścianą, jest dwuosobowe, a różowa farba nieco wyblakła. Biurko zostało wciśnięte pod wychodzące na ulicę okno, a przy ścianie obok szafy stoi niska komoda. Nad łóżkiem wisi reprodukcja Renoira z polem kwiatów. Odkąd Amanda pamięta, nikt nie zajmował tego pokoju. Jej rodzice nigdy nie miewali gości. Pod wpływem impulsu podchodzi do szafy i otwiera drzwi, a potem cofa się i zasłania oczy, jakby oślepiło ją jaskrawe światło.

Na dnie pustej szafy stoi teatrzyk kukielkowy: dwie drewniane marionetki leżą na środku sceny z podniesionymi do góry nogami i z rękami złożonymi na stopach. Mają zamknięte oczy, jakby spały. Wokół nich wiją się sznurki, tworząc misterną pajęczynę.

Ostrożnie wynosi na środek pokoju wysoką na sześćdziesiąt centymetrów scenę, ustawia ją na szarym dywanie i siada obok ze skrzyżowanymi nogami. Drżącymi palcami bierze do ręki pierwszą marionetkę. Jest to chłopiec z ogromną drewnianą głową i namalowanymi czarnymi włosami, odczesanymi wysoko od czoła. Oczy kukielki natychmiast się otwierają, pojawiają się neonowozielone kule. Lalka ma mięsiste wargi i promienny uśmiech na twarzy. Ubrana jest w białą bawełnianą koszulę, sztywne dżinsy i błękitne adidas.

Amanda za pomocą sznurków porusza marionetką i obserwuje jej niezgrabny taniec. Potem bierze do ręki drugą lalkę - dziewczynkę o czerwonych policzkach, dużych, niebieskich oczach i z falami namalowanych jasnych włosów. Kukielki stają twarzami do siebie. Dzięki delikatnym ruchom sznurków drewniana dziewczynka z dużą gracją odpowiada na ukłon chłopca. Chwilę później z wdziękiem tańczy na scenie.

- Znalazłaś coś? - pyta Ben z parteru.

- Nie. A ty?

- Na razie nie. Idę do piwnicy.

- Wkrótce powinnam skończyć! - woła za nim, z poczuciem winy spoglądając na lalki.

Ostrożnie rozplątuje sznurki i układa lalki na środku sceny w poprzedniej pozycji. Po chwili leżą elegancko złożone i z zamkniętymi oczami.

- Tak jest lepiej - mówi do nich szeptem, wkładając teatrzyk na dno szafy i zamykając drzwi.

Czując kogoś za plecami, odwraca się. Widzi wykrzywioną ze złości twarz matki.

- Co ty tu robisz?! - krzyczy matka, chwytając ją za ramię i potrząsając córką, jakby była ona jedynie drewnianą kukielką.

- Tylko się bawiłam - duka dziewczynka, próbując wywinąć się z jej uchwytu. - Przepraszam.

- Wynoś się stąd! Natychmiast!

Amanda wybiega z pokoju i zatrzymuje się na środku małego korytarza. Łzy napływają jej do oczu i przywierają do tuszu na rzęsach.

- Nie - mówi, zdecydowanie ocierając łzy. - Nie zdołasz zmusić mnie do płaczu, mamo.

„Chyba nigdy ci nie powiedziałam, jaka jesteś piękna”.

- Mam cię w nosie.

- Mówiłaś coś?! - woła Ben z dolnych schodów.

Szare niebo powoli nabiera ołowianej barwy, gdy Amanda wchodzi do sypialni matki. Wkrótce będzie ciemno - myśli, włączając lampę i zerkając w stronę olbrzymiego łóżka Gwen. Kwiecista narzuta, którą pamięta z dzieciństwa, została zastąpiona prostą białą kołdrą - bardzo podobną do tej Jaką ma u siebie na Florydzie. Kiedy to zauważa, przenika ją dreszcz. Oprócz tego pokój w zasadzie się nie zmienił: jak dawniej dominuje tu wszechobecny róż ścian i szary dywan, mniejsze i większe kryształowe bibeloty poustawiane są w dwóch niszach po obu stronach łóżka. Na komodzie przed dużym bocznym oknem stoi kilka zdjęć ojca; jego wymuszony uśmiech kłóci się z wyraźnie zmartwionymi oczami. Dziewczyna bierze do ręki jedną z fotografii, muska czubkami palców twarz ojca, potem stawia zdjęcie na komodzie między dwiema swoimi podobiznami z okresu niemowlęctwa. Na szafce nocnej obok łóżka matki widać zdjęcia, o których mówiła Corinne Nash: Amanda w dniu ukończenia szkoły średniej oraz Amanda wyglądająca przez okno w salonie.

Uważnie przygląda się zdjęciu. Zastanawia się, kiedy zostało zrobione.

- Co tu robisz? - pyta nagle ojciec. - Wiesz, że nie wolno ci tu wchodzić.

- Przepraszam, tatusiu - odpowiada Amanda zdjęciu ojca. - Nie zabawię długo.

Szybko przeszukuje szuflady komody matki, grzebie między stanikami, halkami, koszulami nocnymi i piżamami.

- Tylko tam nie wchodzi - ostrzega małą dziewczynkę, która stoi przy drzwiach garderoby. - Pamiętasz, co się stało ostatnim razem.

Podbiega, żeby powstrzymać małą, ale dziecko już zdążyło uchylić drzwi. Amanda z

otwartymi ustami patrzy na pudło po butach na najwyższej półce garderoby matki.

Zastanawia się, czy zawołać Bena. Nie bądź głupia - ucisza własny niepokój. Na pewno nie ma tam rewolweru.

- Już go użyła - mówi dziewczyna na głos i niemal wybucha śmiechem.

Staje na palcach i opiera się o ubrania matki: błękitną wełnianą sukienkę, szyte na miarę granatowe spodnie, czarne, brązowe i pastelowe jedwabne bluzki, kilka rozkloszowanych dołem spódnic i brązowy sztruksowy zakiet. Wyciąga ręce i sięga po pudło. Kiedy je zdejmuje, wydaje jej się, że jest puste, mimo to nie bardzo wie, czy je otworzyć.

- Jesteś naprawdę głupia - karci sama siebie, zdejmując przykrywkę.

Rzuca ją na podłogę i zagląda do środka.

Jej wzrok pada na wydruk z Toronto Dominion Bank. Stan konta nie jest zbyt imponujący - 7,75 \$. Wyraźnie mama rzadko bywa w tym banku - myśli. Nagle coś ze stukotem wylatuje z pudełka na podłogę. Po długich poszukiwaniach Amanda w końcu dostrzega na dywanie niewielki kluczyk.

- Wygląda na klucz do skrytki depozytowej - mówi.

Słyszając kroki Bena na schodach, bez zastanowienia chowa do kieszeni książeczkę bankową i kluczyk.

- Znalazłaś coś? - pyta Ben, wchodząc do pokoju. Bez słowa pokazuje puste pudełko po butach.

- Na parterze też nic nie ma.

- No cóż, przynajmniej możemy powiedzieć, że próbowaliśmy - odpowiada Amanda, kiwając głową.

Przyglądają się sobie w coraz większym mroku. Słowa Amandy odbijają się od ścian i wiszą w nieruchomym wieczornym powietrzu.

## 14

- Weź gorącą kąpiel, zamów sobie jedzenie i idź do łóżka - radzi Ben, gdy podjeżdżają pod Four Seasons. - Zadzwoń do ciebie jutro rano.

Amanda zmusza się do uśmiechu. Właśnie miała zamiar zaproponować, żeby wybrali się gdzieś na kolację. Ja stawiam - chciała powiedzieć, nie czekając, aż Ben ją uprzedzi. Teraz uśmiecha się wyrozumiale.

- Pozdrów ode mnie Jennifer - mówi.

Wysiada z auta, przechodzi przez obrotowe drzwi i bez oglądania się za siebie pokonuje foyer. Kilka sekund później, czekając na windę i udając, że szuka kluczy do pokoju, zerka za przeszklone drzwi, biała corvetta już zniknęła.

- Gorąca kąpiel, jedzenie i łóżko - powtarza sobie z coraz większą irytacją, wchodząc do pustej windy. - Dobry pomysł.



Na chwilę zatrzymuje palec nad guzikiem piętnastego piętra, po czym naciska dwudzieste trzecie.

Prawdę mówiąc, to raczej nie jest dobry pomysł - uznaje, wychodząc z windy i idąc korytarzem, który prowadzi do południowej części budynku.

- Co dalej?

Idzie powoli i zatrzymuje się na krótko przy każdych drzwiach, mając nadzieję, że usłyszy ze środka coś, co pomoże jej wybrać odpowiedni apartament.

- Jesteś za drzwiami numer jeden czy numer dwa? - szepcze pod kremową ścianą, ale nie otrzymuje żadnej odpowiedzi.

Wie, że postępuje głupio, że nie powinna tu przychodzić i że Ben będzie potwornie wkurzony, jeśli się dowie, co zrobiła. Jeszcze nie jest za późno. Wciąż może postąpić zgodnie z jego instrukcją: wrócić do pokoju, zamówić jedzenie, wziąć gorącą kąpiel i iść do łóżka. Może nawet zdecydować się na masaż. Ten pomysł tak ją kusi, że postanawia odwrócić się na pięcie i po prostu go urzeczywistnić. Nagle na końcu korytarza otwierają się drzwi, a z pokoju wychodzi kobieta z mężczyzną. Obejmują się.

Amanda skreśla ze swojej niewidocznej listy apartament 2420 i uśmiecha się do przechodzącej pary. To znaczy, że pozostało jej do wyboru jeszcze zaledwie pięć pokoi. Wystarczy, jeśli zacznie po kolei pukać do drzwi.

- Zwariowałaś? - mówi do siebie, ale jest już za późno.

Stoi przed drzwiami apartamentu 2410 z ręką przygotowaną do pukania. „Dzień dobry - mówi w myślach do mieszkanki apartamentu. - Nie znamy się, ale wygląda na to, że moja matka zabiła pani męża. Może ma pani ochotę porozmawiać ze mną na ten temat?”

Nikt nie otwiera.

Niemożliwe, żeby pani Mallins wybrała się z dziećmi na zwiedzanie miasta.

Jeszcze jeden z głowy - mruczy Amanda pod nosem, podchodząc do następnych drzwi.

Z drugiej strony mogła je zabrać na kolację - choćby tylko po to, żeby zmienić otoczenie.

- Wątpliwe - uznaje, pukając do drzwi apartamentu 2412.

- Kto tam?! - wola kobieta ze środka. Dziewczyna wstrzymuje oddech.

- Amanda Travis - odpowiada zgodnie z prawdą, niezbyt pewna, jak się zachować w tej sytuacji.

- Kto taki? - pyta lokatorka, otwierając drzwi.

Uchyła je zaledwie na kilka centymetrów, to jednak wystarcza, żeby Amanda zobaczyła przynajmniej siedemdziesięcioletnią staruszkę, a więc z całą pewnością nie tę kobietę, o którą jej chodzi.

- Kto to taki, Bessie? - pyta siwowłosa dżentelmen, stając za żoną.

- Przepraszam - mówi Amanda. - Pomyliłam pokoje.

Mężczyzna zamyka drzwi przed jej nosem.

- Dlaczego otwierasz obcym? - poucza żonę.

Amanda idzie dalej. W pokoju 2414 nikt nie odpowiada, więc podchodzi do 2416.

Właśnie ma zamiar zapukać, kiedy słyszy, jak jakiś chłopiec mówi z wyraźnym brytyjskim akcentem:

- Mamusiu, wydaje mi się, że ktoś pukał do sypialni. Amanda nie wie, co zrobić.

Drzwi się otwierają i staje w nich ładna kobieta o ciemnych, długich do ramion włosach i przenikliwych orzechowych oczach. Jest o kilkanaście centymetrów niższa od niej i nie ma makijażu, jeśli nie liczyć odrobiny szminki. Na jej jasnej skórze wyraźnie widać ślady płaczu. Amanda szacuje, że nieznajoma ma około czterdziestu lat." Ubrana jest w czarny sweter i spodnie, bardzo podobne do tych, które ona ma pod płaszczem.

- Pani Mallins?

- Tak.

- Nazywam się Amanda Travis.

- Jest pani z policji? - pyta kobieta z tym samym delikatnym akcentem co jej syn.

- Nie, ale jestem prawniczką. Chciałabym zadać pani kilka pytań.

Pani Mallins cofa się i wpuszcza ją do środka. Znajdują się w przestronnym salonie pięknego apartamentu, który został urządony w odcieniach beżu, czerwieni i złota.

- Kto to, mamusiu? - pyta trzynasto-, może czternastoletnia córka, która wchodzi do salonu z jednej z sypialni.

Jest wysoka i smukła. Po matce odziedziczyła przenikliwe oczy i ciemne włosy.

- Amanda Travis - przedstawia gościa pani Mallins. - Pracuje w prokuraturze.

Dziewczyna ma zamiar wyjaśnić nieporozumienie, gdy w pokoju pojawia się dziesięcio-, może jedenastoletni chłopiec.

- O co chodzi? - pyta, podejrzliwie na nią zerkając.

- To Amanda Travis, a to moje dzieci, Hope i Spenser.

- Cześć - mówi Amanda, bojąc się powiedzieć coś więcej.

- Czy możemy już wrócić do Anglii? - dopytuje się Spenser.

Długa brązowa grzywka zasłania mu oczy, które są nieco jaśniejsze niż matki i siostry, ale równie przenikliwe.

- Obawiam się, że jeszcze nie - wyjaśnia Amanda. Na pucołowatej twarzy chłopca widać wyraźny zawód.

- Czy mogłybyśmy porozmawiać na osobności?

- Oczywiście.

- Co z kolacją? - pyta Spenser.

- Hope się nią zajmie - mówi pani Mallins. - Możesz, kochanie?

- Oczywiście - odpowiada dziewczynka tym samym spokojnym tonem co matka.

Bierze brata za rękę i wyprowadza z pokoju. Chłopiec zatrzymuje się w drzwiach i ponuro spogląda na intruza. Pani Mallins zamyka za nimi drzwi.

- Powiesić pani płaszcz?

- Nie, dziękuję. Pani Mallins...

- Proszę, mów mi Hayley.

- Pani Mallins... - powtarza Amanda.

- Czy jest coś nowego? Może znacie już wyniki sekcji? Pani Mallins opiera się o jedno z czerwono-złocistych krzesel.

- Nie, przynajmniej ja ich nie znam. Pani Mallins... Hayley... Posłuchaj, najmocniej przepraszam, ale zaszło pewne nieporozumienie.

- Jakie nieporozumienie?

Amanda głęboko oddycha i niechętnie wyznaje:

- Nie pracuję w prokuraturze.

- Nie jesteś prawniczką?

- Jestem - zapewnia ją, zastanawiając się, jak dużo ujawnić. - Tyle że nie pracuję w prokuraturze.

W milczeniu czeka, aż Hayley Mallins spyta, dla kogo ona, do diabła, pracuje i co robi w jej pokoju hotelowym, jednak nie pada żadne pytanie.

- Pracuję z Benem Myersem.

- Benem Myersem?

- Adwokatem Gwen Price.

Krew odpływa z twarzy Hayley Mallins. Kobieta opada na krzesło, o które się opierała, a potem otwiera i zamyka usta, chociaż nie wydobywa się z nich ani jedno słowo. Chyba lepiej nawet nie wspominać, że jestem również córką morderczyni - myśli Amanda, czekając, kiedy gospodyni poderwie się z krzesła i każe jej się wynosić. Tymczasem siedzi na skraju złocistej aksamitnej sofy między dwoma fotelami i patrzy na panią Mallins, która wyraźnie nie może odzyskać głosu.

- Nie wiem, w czym mogę ci pomóc - mówi Hayley po długim milczeniu.

Amanda znów głęboko oddycha.

- Próbujemy jak najdokładniej odtworzyć, co się wydarzyło tamtego popołudnia. Jeśli wiesz coś, co rzuciłoby światło...

- Nie wiem, w czym mogę ci pomóc - powtarza kobieta.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało? - obstaje przy swoim jej gość.

- Nie wiem, co się stało. Wiem tylko, że mój mąż został zastrzelony w foyer tego hotelu.

- Nie było cię z nim?

Hayley potrząsa przecząco głową.

- Razem z dziećmi czekałam w pokoju na jego powrót.
- Skąd miał wrócić?
- Słucham?
- Powiedziałaś, że czekałaś na powrót męża. Gdzie był?
- Dlaczego o to pytasz? To nie ma żadnego znaczenia.
- Po prostu staram się wszystko zrozumieć. Zastanawiam się, co sprowadziło was do

Toronto.

- Przyjechaliśmy na urlop.
- Do Toronto?
- Nie rozumiem.
- O tej porze roku nikt nie przyjeżdża do Toronto na urlop. Macie tu jakichś przyjaciół?
- Nie. - Kobieta waha się. - Mój mąż miał pewne sprawy do załatwienia.
- Tak? Jakie sprawy?
- Czy to ważne? Dlaczego zadajesz mi takie pytania?
- Wiem, że przeszła pani... że przeszłaś przez piekło, Hayley - poprawia się Amanda. -

Próbuję zrozumieć, jak mogło do tego dojść, jeśli nic nie łączyło twojego męża z moją...

klientką. - Odgarnia włosy za ucho i kaszle w dłoń.

- Nic ich nie łączyło - stwierdza zdecydowanie Hayley Mallins.
- Czym zajmował się twój mąż?
- Miał mały sklep. Papierosy, cukierki, czasopisma. Tego typu rzeczy.
- W Londynie?
- Nie. W Sutton.
- Sutton?

Amanda próbuje w myślach odnaleźć wymienioną miejscowość na mapie Wysp Brytyjskich. W głębi duszy przeklina, że w szkole średniej opuściła tyle lekcji geografii.

- To małe miasteczko na północ od Nottingham. Na północ od Londynu - dodaje Hayley, dostrzegając jej niepewne spojrzenie.

- Czy to właśnie interesy sprowadziły twojego męża do Toronto?
- Nie - przyznaje Hayley po chwili. - Miał tu do załatwienia sprawy osobiste.
- Osobiste?
- Rodzinne.
- Ma tu jakąś rodzinę?
- Miał - poprawia się Hayley. - Matkę Niedawno zmarła. a John przyjechał, żeby

pozałatwić sprawy majątkowe.

- Jego matka była Kanadyjką?

Hayley jest wyraźnie zaskoczona tym pytaniem.

- Chyba tak.

- Nie wiesz?
- Prawdę mówiąc, nigdy jej nie poznałam.
- Jak długo byliście małżeństwem? - pyta Amanda, starając się ukryć zdumienie.
- Dwadzieścia jeden lat.
- Musieliście chyba bardzo młodo się pobrać.
- Raczej tak.
- To znaczy, że twój mąż przyjechał pozałatwiać sprawy majątkowe matki i zabrał ze

sobą rodzinę - podsumowuje Amanda.

- Nie lubił się z nami rozstawać.
- Nie martwił się, że dzieci będą miały długą przerwę w nauce?

Hayley potrząsa głową.

- Uczą się w domu.
- Nie jest ci ciężko?
- Nie. Lubię to robić.

Amanda kiwa głową ze zrozumieniem, chociaż nie wie, jak można znajdować przyjemność w zajmowaniu się dziećmi.

- W porządku - mówi, próbując połączyć kilka faktów. - Razem z dziećmi przyłączyłaś się do męża, żeby móc trochę odpocząć w czasie, kiedy on będzie załatwiał w Toronto sprawy majątkowe matki.

- Tak.
- Z kim się kontaktował? - Kontaktował?
- Znasz nazwisko prawnika, który prowadził jego sprawy?
- Nie.
- Po śmierci męża nikt nie próbował się z tobą skontaktować?

Hayley potrząsa głową. Kosmyk jedwabistych czarnych włosów przykleja się do wydatnej dolnej wargi. Kobieta nie odsuwa go.

- Jak długo byliście w Toronto przed śmiercią twojego męża?
- Kilka dni.
- Czy w tym czasie ktoś go odwiedzał?
- Nie.
- Czy on sam do kogoś dzwonił?
- Nie wiem.
- Czy kiedykolwiek wspominał kobietę o nazwisku Gwen Price?

Hayley, która podczas rozmowy odzyskała nieco kolory, teraz ponownie zbladła.

- Nie.
- Nigdy nie wspominał o niej, nawet będąc w Anglii?
- Nie. Nigdy.

- Może to ktoś z jego przeszłości?

- Mój mąż nie miał przeszłości, o której warto mówić - upiera się Hayley bardziej wymuszonym tonem niż na początku rozmowy. - Jego rodzice się rozwiedli, gdy miał cztery latka, a on wraz z ojcem przeprowadził się do Anglii.

- Nigdy nie odwiedzał matki?

- Nie.

Dziewczyna kiwa potakująco głową. Jest w stanie zrozumieć, że dziecko nie chce mieć z matką nic wspólnego.

- Jesteś całkowicie pewna, że nigdy nie wspomniał o Gwen Price?

- Zdecydowanie.

- A jednak go zastrzeliła.

- Tak.

- Zastanawiałaś się, dlaczego?

Hayley potrząsa głową, przy okazji odklejając kosmyk włosów od ust.

- Podejrzewam, że to wariatka.

- Myślisz, że coś sobie wymyśliła?

- A czy jest jakieś inne wyjaśnienie? Ludzie nie chodzą po ulicach i nie strzelają do nieznajomych.

Właśnie - przyznaje w myślach Amanda.

- Gdzie byliście w przeddzień śmierci twojego męża? - pyta, nagle zmieniając temat.

- Słucham?

Amanda słyszała już to pytanie i wie, że mówiąc: „Słucham?”, Hayley Mallins gra na zwłokę, próbując wymyślić jakąś odpowiedź.

- Pytałam, czy wszyscy czworo wychodziliście gdzieś w przeddzień śmierci twojego męża.

W oczach Hayley widać skupienie.

- Byliśmy w CN Tower, a potem w muzeum. Spenser chciał zobaczyć dinozaury.

- Stamtąd wróciliście do hotelu?

- Tak.

- Czy policja powiedziała ci, że kiedy wracaliście, moja... Gwen Price jadła podwieczorek w kawiarni w hotelowym foyer?

- Nie. Skąd to wiesz? Czy ona ci tak powiedziała?

- Nie. Niestety, moja klientka jest bardzo zdenerwowana i nic nie chce mówić.

Hayley Mallins drży i niespokojnie oddycha. Amanda zastanawia się, czy to nie objaw jakiejś choroby.

- Dobrze się czujesz? Przynieść ci trochę wody? '

- Nie, wszystko w porządku - zapewnia Hayley, chociaż wyraźnie kłamie. - Powiedz, o

co ci właściwie chodzi?

Dziewczyna przez kilka sekund zastanawia się, jak sformułować odpowiedź.

- Według naocznego świadka, który dopiero teraz się zgłosił, Gwen Price jadła podwieczorek w hotelowej kawiarni. Kiedy zobaczyła, jak cała wasza rodzina wchodzi do hotelu, była bardzo poruszona. Następnego ranka wróciła i przez cały dzień czekała w foyer na twojego męża. Gdy go zobaczyła, wyjęła z torebki rewolwer, podeszła i trzykrotnie do niego strzeliła.

- No cóż, jest chyba tylko jedna odpowiedź - stwierdza Hayley, wstając i zaczynając niespokojnie krążyć między fotelem a drzwiami. - Musiała go z kimś pomylić.

Amanda się zastanawia, czy to możliwe, żeby matka kompletnie się pogubiła i pomyliła Johna Mallinsa z jakimś innym mężczyzną. Gwen Price czasami dziwnie się zachowywała, ale zazwyczaj doskonale orientowała się w sytuacji.

- Nic ci nie powiedziała? - pyta Hayley. - Nie wyjaśniła, dlaczego to zrobiła?

- Nie.

Hayley potrząsa głową.

- Czy to wszystko? Jeśli tak, to chciałabym zająć się dziećmi. Zerka w stronę zamkniętych drzwi sypialni.

- Jak one sobie radzą? - pyta Amanda, grając na czas.

- Całkiem nieźle, chociaż chyba wszyscy wciąż jesteśmy w szoku.

- Gdybym mogła coś zrobić...

- Chcielibyśmy jak najszybciej wrócić do domu...

- To już nie powinno długo potrwać.

- Nie rozumiem, dlaczego postanowili przeprowadzić sekcję.

Hayley Mallins krzyżuje ręce na piersiach, wkłada drżące dłonie pod pachy i zaczyna się kołysać do przodu i do tyłu.

- Przecież wiadomo, co było przyczyną śmierci mojego męża. Po co im autopsja?

- Jestem pewna, że to rutynowe postępowanie.

- Raczej barbarzyństwo. Nie wystarczy, że mój mąż został zastrzelony? Muszą go jeszcze kroić na kawałki? - Z jej krtani wrywa się szloch.

Amanda wstaje, podchodzi do Hayley Mallins i bierze ją w ramiona.

- Bardzo ci współczuję - mówi. Nawet nie wiesz, jak bardzo - myśli.

Hayley wspiera na kilka sekund głowę na ramieniu młodej kobiety i rozpaczliwie szlocha w czarny wełniany płaszcz. Dopiero po wyjściu z pokoju i dotarciu do drzwi windy Amanda uświadamia sobie, co powiedziała wdowa po Johnie Mallinsie: „Dobry Boże, co teraz z nami będzie?”

## 15

Kiedy Amanda otwiera drzwi swojego pokoju hotelowego, ma zawroty głowy i burczy jej w żołądku. Zdejmuje płaszcz, rzuca go na łóżko, podbiega do biurka i sięga po telefon.

- Muszę sobie zamówić coś do jedzenia - mówi do pustego pokoju, wykręcając numer obsługi kelnerskiej, a jednocześnie zrzucając z nóg buty i przeglądając jadłospis w skórzanej oprawie.

- Dobry wieczór, pani Travis - odzywa się czyjś głos. - Co pani zamówi na kolację?

- Poproszę średniokrwesty stek nowojorski, pieczone ziemniaki z dodatkami i sałatkę cesarską. Z podwójną porcją sosu.

- Coś do picia? Co tam, do diabła.

- Kieliszek czerwonego wina.

- Postaramy się przynieść wszystko w ciągu trzydziestu minut.

Dziewczyna odkłada słuchawkę, idzie do łazienki i puszcza gorącą wodę do wanny. Ma pół godziny. Wystarczy, żeby się porządnie wymoczyć. Gdy zdejmuje ubranie, zastanawia się, czy powinna zadzwonić do Bena i powiedzieć mu, co zrobiła.

- Nie będzie zbyt szczęśliwy - mówi do swojego odbicia w lustrze.

Powie jej, że nie powinna bez niego składać wizyty Hayley Mallins.

- Nie mogłam się powstrzymać - broni się Amanda przed wyimaginowanym Benem, którego widzi w obłoku pary unoszącej się nad wanną. - Przyzwyczaiałam się do tego, że robię różne rzeczy bez ciebie.

Może gdyby tak bardzo się nie spieszył na spotkanie z Jennifer...

- Jak dużo się dowiedziałaś dzięki swojej nieprzemyślanej wizycie? - słyszy jego pytanie.

- Niewiele - musi przyznać.

Amanda wraca naga do salonu, siada na skraju łóżka i próbuje zebrać fakty, pragnąc zaprezentować je w jak najlepszym świetle.

- Pani Mallins jest tak samo zdezorientowana jak my wszyscy. Nigdy nie słyszała o Gwen Price i nie ma pojęcia, dlaczego moja matka zabiła jej męża. Jak mi idzie?

Podrywa się na równe nogi i zaczyna krążyć między łóżkiem a biurkiem, niemal tak samo jak trochę wcześniej Hayley Mallins.

- To ładna kobieta - stwierdza.

W innych okolicznościach i przy odrobinie makijażu można by ją nawet uznać za piękną. Nie ma wątpliwości, że jej córka będzie kiedyś śliczna, a chłopiec dzięki dużym, smutnym oczom złamie niejedno serce. Biedne dzieci. Przyleciały taki szmat drogi z Anglii, by jednego dnia beztrąsko zwiedzać miasto, a nazajutrz oplakiwać ojca. Też mi urlop!

Tyle że wcale nie przyjechały na urlop. O nie. John Mallins chciał pozalátwiać sprawy



majątkowe matki.

Kłęką na skraju łóżka i z najniższej szuflady szafki nocnej wyciąga opasłą książkę telefoniczną Toronto. Potem usadawia gołą pupę na pięknym dywanie i przerzuca kartki, szukając nazwisk na „M”. Czyta: Malcolm, Malia i Malik, potem Mallin, Mailing i Mallinos.

- Mallins! Jest! - krzyczy, doliczając się sześciu abonentów o tym nazwisku.

Wspaniale. Co dalej?

- Pomyśl.

Według Hayley John Mallins nie miał tu żadnej rodziny oprócz zmarłej matki. Nie było powodu, by zakładać, że wszyscy Mallinsowie z książki telefonicznej są krewnymi zmarłego.

Niemniej pani Mallins z dziwną niechęcią mówiła o zimowej wyprawie całej rodziny do Toronto i tylko dzięki uporowi Amandy ujawniła w końcu główny powód przyjazdu.

Może więc Hayley Mallins nie mówi wszystkiego?

Może nie wie wszystkiego?

Amanda jednego jest już pewna: jej matka nie zastrzeliła Johna Mallinsa bez powodu.

„Ludzie nie chodzą po ulicach i nie strzelają do nieznajomych”.

- Kogo my tu mamy - powtarza Amanda, naśladując angielski akcent Hayley.

Spogląda na listę nazwisk: Mallins A.; Mallins Harold; Mallins L....

- O Boże, moja kapiel!

Gęsta mgła sączy się na korytarz. Amanda przeskakuje strumyczek i zakręca wodę, która kaskadą spływa po boku wanny.

- Nie, nie rób mi tego! - błaga.

Wszystkimi ręcznikami, jakie ma pod ręką, zbiera wodę z podłogi. Widzi, że ubrania, które wcześniej porzuciła po łazience, są całkiem mokre.

- Świetnie. Po prostu wspaniale.

Po dziesięciu minutach bałagan jest uprzątnięty, a sweter i spodnie - wykręcone.

Wiesza je na pręcie przy prysznicu, żeby wyschły, przypuszcza jednak, że nic z nich już nie będzie. Czyżby celowo kupowała ubrania, które nadają się tylko do czyszczenia chemicznego?

Wkłada biały frotowy szlafrok hotelowy i wraca do sypialni. Książka telefoniczna leży otwarta na podłodze.

- Nie mam czasu na poszukiwania - mówi, zamykając ją. - Jutro wyjeżdżam.

Raczej we wtorek - poprawia się w myślach, powoli znów otwierając książkę telefoniczną i patrząc, jak przerzucane kartki opadają jedna na drugą, a kolumny z nazwiskami rozmazują się, tworząc szarą plamę. Równie dobrze może zaczekać, aż matka oficjalnie przyzna się do winy i na resztę życia zostanie zamknięta w celi.

"C" "H" "L" "M"...

Malcolm, Malia, Mallinos...

„Ludzie nie chodzą po ulicach i nie strzelają do nieznajomych”.

Mallins.

Kim, do diabła, był John Mallins?

Może policja nie musi znać odpowiedzi na to pytanie - myśli Amanda - ale ona tak.

Mallins A.; Mallins Harold; Mallins L....

Podnosi słuchawkę i wybiera pierwszy numer, zastanawiając się, co, do diabła, powiedzieć Mallinsowi A.

- Dodzwoniłeś się do Alana i Marcy - zaczyna się nagrana wiadomość. - Albo jesteśmy właśnie w pracy, albo na spacerze z psem, albo jemy na mieście...

Amanda rozłącza się i wybiera drugi numer.

- Tu rezydencja państwa Mallinsów. W tej chwili nie możemy odebrać telefonu, ale jeśli zostawisz po sygnale swoje nazwisko, numer i dokładną wiadomość, oddzwonimy tak szybko, jak będzie to możliwe.

- Jak dokładna musi być wiadomość? - pyta Amanda.

Naciska widełki, po czym wybiera numer, który znajduje się w książce telefonicznej obok nazwiska Mallins L.

- Halo, słucham? - odzywa się po trzecim dzwonku młody męski głos.

- Dzień dobry, nazywam się Amanda Travis. Chcia...

- Cha, cha. Oszukałem cię - przerywa jej głos. - Jestem Lenny Mallins, a to tylko nagranie. Jeśli masz mi coś ciekawego do powiedzenia, po sygnale zostaw nazwisko i numer.

Czy informacja o zabiciu przez moją matkę obcego człowieka to ciekawa wiadomość? - zastanawia się Amanda, wybierając czwarty numer z listy. Wysłuchuje czwartego nagrania, najpierw po angielsku, a następnie w kiepskiej francuszczyźnie. Przez chwilę zastanawia się, gdzie podzieli się wszyscy Mallinsowie. Czy to możliwe, że właśnie są na jakimś wielkim rodzinnym zebraniu? Może na stypie Johna Mallinsa? - myśli, wybierając piąty numer: Mallins R.

- Halo, słucham - mówi kobieta, podnosząc od razu słuchawkę.

Amanda przez kilka sekund milczy, podświadomie czekając na następny wybuch śmiechu: „Cha, cha. Oszukałam cię”.

- Słucham - powtarza kobieta. Potem dodaje: - Mam cię w nosie.

W słuchawce zapada cisza. Amanda szybko wybiera ten sam numer. Tak jak poprzednio kobieta niemal natychmiast podnosi słuchawkę.

- Masz jakiś problem? - pyta, zamiast: „Halo, słucham?”

- Czy rozmawiam z panią Mallins?

- Panną - poprawia kobieta.

- Nazywam się Amanda Travis.

- Tak?
- Dzwonię w sprawie Johna Mallinsa, mężczyzny, który...
- No proszę.
- Słucham?
- Zastanawiałam się, kiedy w końcu, palanty, wpadniecie na to, żeby się ze mną skontaktować.
- Naprawdę?
- Sporo czasu wam to zajęło.
- Tak - potwierdza Amanda, uznając, że prawdopodobnie jest to najprostszy i najlepszy kurs. - A ja się zastanawiałam, czy mogłabym wpaść i chwilę z panią porozmawiać.
- Jasne, ale musi pani przyjść szybko. Jutro rano wyjeżdżam na Bahamy i czeka mnie jeszcze pakowanie.
- Wyjeżdża pani z miasta?
- Tak, na tydzień. Rezerwację zrobiłam sześć miesięcy temu i nie mam zamiaru odwoływać swojej wyprawy tylko dlatego, że ktoś nagle się obudził. Jeśli chce pani ze mną porozmawiać, proszę być za pół godziny.

Po raz drugi w słuchawce zapada cisza.

Taksówka podrzuca ją przed wysoki ceglany budynek, który trudno odróżnić od innych wysokich ceglanych budynków w sąsiedztwie.

- Witamy w Yonge i Eglinton - mówi taksówkarz, jakby starał się o pracę przewodnika wycieczek. - Wie pani, jak nazywają tę część miasta? Młoda i do wzięcia\* - odpowiada z chichotem, chociaż jego pasażerka się nie odzywa.

\* Gra słów. *Yonge* jest podobne do *young* - młody, a *Eglinton* przypomina *eligible* - do wzięcia (przyp. tłum).

Amanda płaci taksówkarzowi i wysiada. Zerka na zegarek i widzi, że zostało jej jeszcze pięć minut. Bardzo dobrze - myśli, ciągnąc ciężkie szklane drzwi i wchodząc do niewielkiego przedsiionka. Na liście lokatorów odnajduje Mallins R.

Potrzebowała pięciu minut, żeby się ubrać, następne pięć zajęło jej uczesanie się i zrobienie makijażu, przez cztery stała przy telefonie, zastanawiając się, czy zadzwonić do Bena. Minutę pochłonęło jej wybranie jego numeru i wysłuchanie: „Mówi Ben Myers. W tej chwili nie ma mnie w domu, ale jeśli zostawisz po sygnale swoje nazwisko i numer...”

Przez następną minutę rzucała przekleństwa, głównie pod adresem Jennifer, pięciu minut potrzebowała, żeby na jednej nodze pochłonąć kolację, którą przyniesiono, gdy właśnie miała zamiar wyjść. („Boże, co tu się stało? Zaraz przyślę jakąś sprzątaczkę”). Na szczęście pod drzwiami hotelu stał rząd taksówek, a kierowca zapewnił ją że nawet nie zdąży

mrugnąć okiem, a już będą na miejscu.

- Ben mnie zabije - mówi Amanda, naciskając odpowiedni numer.

- Proszę wejść na górę - mówi zachrypnięty głos. - Mieszkanie numer 1710.

Odzywa się dzwonek. Dziewczyna otwiera drzwi, przechodzi przez stare, skąpo wyposażone foyer i idzie w stronę zabytkowej windy, która w żółtym tempie jedzie na szesnaste piętro, gdzie zatrzymuje się ze zgrzytem. Jest minuta po wyznaczonym czasie. Amanda nie wie, czy panna Mallins R. otworzy jej drzwi.

„Zastanawiałam się, kiedy w końcu, palanty, wpadniecie na to, żeby się ze mną skontaktować”.

Co to miało znaczyć?

„Rezerwację zrobiłam sześć miesięcy temu i nie mam zamiaru odwoływać swojej wyprawy tylko dlatego, że ktoś nagle się obudził”.

Kto miał się obudzić?

- Co ja tu, do diabła, robię? - szepcze Amanda przez lekko rozchylone wargi. - Ben mnie zabije.

Chyba że wcześniej zginę z ręki panny Mallins R. - myśli i niemal wybucha śmiechem.

Drzwi się otwierają. Stoi w nich niska, pulchna kobieta w średnim wieku o kędzierzawych, kasztanowych włosach, piegopatym, boksterskim nosie i ujmującym uśmiechu. Trzyma się pod boki.

- Jest pani sama? - pyta, wyciągając szyję i zerkając w głąb korytarza.

Amandę korci, żeby wymyślić partnera, który czeka pod domem, ale wystarcza jedno spojrzenie w jasnobrązowe oczy kobiety, by uznać, że kłamstwo to kiepski pomysł.

- Tak - odpowiada zgodnie z prawdą. - Jestem sama.

- Z tego, co widzę, nadal nie traktujecie zbyt poważnie całej sprawy.

Kobieta ma na sobie pomarańczową bluzę i wyblakłe dzinsy. Wpycha gościa do niewielkiego mieszkanka, urządzonego w odcieniach błękitu i zieleni.

- Miło widzieć, że nic się nie zmienia. Proszę zdjąć płaszcz. Może pani nie zdejmować butów.

Amanda wyciera podeszwy w kawałek błękitnego chodnika przy drzwiach i zdejmuje płaszcz. Panna Mallins wiesza go w niewielkiej wnęce, która pełni funkcję szafy.

- Chyba czegoś nie rozumiem.

Spogląda w stronę dużego okna, które zajmuje niemal całą północną ścianę salonu, widzi światła w drapaczu chmur naprzeciwko i wyobraża sobie ludzi, którzy odpoczywają przy buzujących kominkach albo oglądają ulubione programy telewizyjne.

- No cóż, bo też o niczym pani nie wie - mówi R. Mallins, wzruszając ramionami. - Była pani jeszcze dzieckiem, kiedy gówno poszło na dno.

Amanda wstrzymuje oddech.

- Kiedy... jakie gówno... poszło na dno? Kobieta śmieje się i potrząsa głową.
- Co jest z wami, ludziska? Nigdy między sobą nie rozmawiacie? Wiem, że gliniarze to lekkie świrusy, ale...
- Nie jestem z policji - wyjaśnia Amanda wyraźnie zaskoczonej kobiecie.
- Nie?
- Przepraszam, jeśli uznała mnie pani za policjantkę. Kobieta składa ręce na obfitym biuście.
- W takim razie, do diabła, kim pani jest?
- Nazywam się Amanda Travis.
- Tak, to już powiedziała mi pani przez telefon, ale nie jest pani z policji.
- Nie. Pracuję w zespole adwokackim, który broni Gwen Price, kobiety...
- ...oskarżonej o zastrzelenie Johna Mallinsa.
- Tak.
- No cóż, to wspaniale.

R. Mallins uśmiecha się z wyraźnym zadowoleniem. Wskazuje ręką zielono-niebieską sofę, która stoi na jasnym parkiecie między starannie ustawionymi ciemnoniebieskimi fotelami.

- Proszę usiąść. Napije się pani czegoś?

Amanda przypomina sobie kieliszek czerwonego wina, które zostawiła nietknięte w pokoju hotelowym. Ma nadzieję, że obsługa go nie zabierze. Czuje, że po powrocie będzie go potrzebowała.

- Może trochę wody.

- Niech będzie woda - zgadza się kobieta ze śmiechem. Znika w obskurnej maleńkiej kuchni. Odkręca kurek, wyjmuje z kredensu szklankę i napełnia ją wodą.

Amanda dostrzega, że w jednej z białych szafek zniszczony uchwyt został zastąpiony czerwoną gałką, która przypomina nos kłowna. Panna Mallins wraca do salonu, jedną ręką podaje Amandzie szklankę, drugą wskazuje sofę.

- Proszę usiąść - proponuje ponownie.

Amanda posłusznie opada na sofę, przed którą leży mały, owalny jasnoniebieski dywanik.

- Panno Mallins...

- Mów do mnie po prostu Rachel.

Kobieta siada w ciemnoniebieskim fotelu i spogląda na gościa z uśmiechem, który mówi: „To będzie niezła zabawa”.

- Rachel - powtarza Amanda.

- Tak, Amando? - Na okrągłych policzkach kobiety pojawia się uśmiech.

- Dokładnie... jakie gówno... poszło na dno? Rachel Mallins wybucha śmiechem.

- Jesteś słodka - stwierdza.

Dziewczyna porusza się niespokojnie. Próbuje się nie wkurzać, chociaż nigdy nie zależało jej na tym, żeby uchodzić za słodką, nigdy też nie lubiła tego przymiotnika.

- Nic nie wiesz, prawda, Amando?

- Niewiele - przyznaje.

- Mimo to jakimś cudem do mnie trafiłaś.

- To było łatwe. Po prostu zajrzałam do książki telefonicznej.

- Znalazłaś mnie w książce telefonicznej. - Rachel Mallins ponownie wybucha głośnym, zaraźliwym śmiechem. - Mogę spytać, dlaczego mnie szukałaś?

- Rozmawiałam z Hayley Mallins, wdową po zamordowanym - zaczyna, zastanawiając się, ile wyjawić Rachel Mallins. Po chwili dochodzi do wniosku, że ukrywanie czegokolwiek nic jej nie da. - Powiedziała mi, że jej mąż przyjechał do Toronto pozałatwiać sprawy majątkowe swojej niedawno zmarłej matki, dlatego...

- Dlatego?

Rachel wychyla się do przodu, wkłada jedną dłoń w drugą i słucha z namaszczeniem. Amanda dostrzega, że jej rozmówczyni nie nosi żadnej biżuterii.

- Dlatego przyszło mi na myśl, że mogą tu mieszkać jacyś inni krewni zamordowanego, chociaż pani Mallins temu zaprzecza.

- Więc zaczęłaś poszukiwania.

- Tak.

- Dużo nas jest?

- O czym ty mówisz?

- O Mallinsach.

- Nie. Niewielu. Prawdę mówiąc, znalazłam sześć numerów telefonicznych.

- Sześć - powtarza Rachel, rozkoszując się tym słowem. - Dzwoniłaś po kolei do wszystkich?

- Byłaś piąta na liście.

- Dopisało mi szczęście. - Rachel Mallins ponownie wybucha śmiechem. - Dopisało ci szczęście.

- Jesteś krewną Johna Mallinsa?

- Tak.

Amanda wstrzymuje oddech.

- Czyli?

Przez chwilę Rachel wyraźnie się waha.

- To mój brat.

Szklanka niemal wypada Amandzie z ręki.

- Co powiedziałaś?

- Jestem siostrą Johna Mallinsa. - Uśmiech znika z twarzy kobiety. - Napij się wody.

Widzę, że zbladłaś.

Dziewczyna upija łyk, próbując uporządkować myśli i przygotować następne pytanie.

- Czegoś tu nie rozumiem - mówi w końcu, poddając się.

- Oczywiście. Nie możesz.

- Czyżby Hayley Mallins kłamała, mówiąc, że jej mąż nie miał w Toronto żadnych innych krewnych?

- Nie wiem.

- Nie wiesz, czy kłamała, czy po prostu dopuszczasz możliwość, że nie wie o twoim istnieniu? - podpytuje Amanda, próbując przyszpilić kobietę.

- W ogóle nic nie wiem o Hayley Mallins.

- Nie wiedziałaś, że twój brat jest żonaty?

- Mój brat z całą pewnością nie był żonaty - oświadcza kobieta z naciskiem. - Tego jednego jestem całkiem pewna.

- Nie rozumiem - powtarza Amanda.

Dochodzi do wniosku, że mogła zabrać ze sobą magnetofon i przy każdym oświadczeniu Rachel po prostu naciskać odpowiedź: „Nie rozumiem”. „Nie rozumiem”.

- No cóż, prawda wygląda tak, że mężczyzna zamordowany w ubiegłym tygodniu w Four Seasons nie był moim bratem.

- Nie ro...

Gryzie się w język. Odstawia szklanę na okrągły stolik ze szklanym blatem i powoli wstaje, próbując opanować ogarniającą ją wściekłość.

- W porządku. Nie wiem, w co się bawisz, Rachel, ale naprawdę nie podoba mi się, że wodzisz mnie za nos. Jeśli torturowanie prawników jest twoim ulubionym sposobem spędzania wieczoru, będziesz chyba musiała znaleźć sobie jakiegoś innego...

- Usiądź. Wydawało mi się, że chcesz się czegoś dowiedzieć o Johnie Mallinsie.

Amanda nadal stoi.

- Słucham.

Gospodyni wstaje z fotela i podchodzi do okna.

- Przypominasz mi Frasier Crane - mówi ze śmiechem. - Z telewizji.

- Rzadko oglądam telewizję.

- Nigdy nie oglądałaś *Frasier*? Efektu ubocznego *Cheers*. Musiałaś to widzieć.

- Możemy wrócić do Johna Mallinsa? Rachel sprawia wrażenie urażonej.

- Wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu. Ściśle rzecz biorąc, przed dwudziestu pięciu laty.

Kobieta znów się uśmiecha, chociaż tym razem jest to prawie uśmiech przez łzy.

- Co się stało?

Jej rozmówczyni przez chwilę milczy.

- Mój brat i ja dorastaliśmy w czymś, co obecnie określa się mianem rodziny dysfunkcyjnej. Mówiąc wprost, nasi rodzice pili na umór, a mój brat i ja właściwie wychowywaliśmy się sami. Z mizernym skutkiem. - Wzrusza ramionami. - Uwierzysz, że przed ukończeniem trzydziestki byłam dwukrotnie mężatką i dwukrotnie się rozwiodłam?

- Zdarza się - odpowiada Amanda, kiedy w końcu udaje jej się odzyskać głos.

- Chyba tak. Jesteś mężatką?

- Nie.

- Oczywiście, jesteś bystra. Widzę to. Za bardzo zależy ci na karierze, żeby tracić czas na głupstwa. Ja nigdy nie zrobiłam kariery. Gdy miałam czternaście lat, marzyłam o medycynie. W końcu jakoś udało mi się ukończyć szkołę średnią.

Kobieta próbuje się uśmiechać, ale jej wargi odmawiają posłuszeństwa.

- John rzucił szkołę, gdy tylko skończył szesnaście lat. Zaczął się zadawać z nieodpowiednimi ludźmi, pić, zażywać narkotyki i robić tego typu rzeczy. Nie potrafił utrzymać pracy. Ciągłe pakował się w jakieś tarapaty. Kilkakrotnie był aresztowany, chociaż policja nigdy nie mogła mu niczego udowodnić. Kiedy ostatni raz go widziałam, opowiadał mi, że spotkał wspaniałego faceta, który weźmie go pod swoje skrzydła, i że teraz wszystko będzie inaczej. A potem...

- A potem?

- Zniknął z powierzchni ziemi.

- Co to znaczy zniknął?

- To znaczy, że nigdy więcej go nie zobaczyłam.

- Poszłaś na policję?

- Oczywiście. Myślisz, że naprawdę starali się go znaleźć? - Rachel potrząsa głową. - Tak samo im na tym zależało jak teraz na rozmowie ze mną.

Amanda próbuje pozbierać do kupy to, co powiedziała Rachel.

- Dlaczego policja miałaby z tobą rozmawiać, skoro twierdzisz, że zamordowany w ubiegłym tygodniu John Mallins wcale nie był twoim bratem?

- Bo człowiek, który został zamordowany, to nie John Mallins - mówi kobieta prosto z mostu.

Amanda nie odzywa się ani słowem. Kiwa głową, jakby wszystko, co Rachel powiedziała, miało sens, a potem siada z powrotem na sofie i czeka na dalszy ciąg.



- Mam ochotę na coś mocniejszego - oznajmia Rachel, uderzając dłońmi o biodra. - A ty?

- Też - zgadza się Amanda.

Gospodyni idzie do kuchni i klęka przy szafce obok lodówki. Przy tym ruchu głośno strzelają jej kolana.

- To są typowe problemy człowieka niskiego i grubego - mówi Rachel, przesuając kilka butelek wina. - Nie może postawić alkoholu na wysokich półkach, bo po niego nie sięgnie, a schyłanie się dosłownie jest w stanie go zabić. Chyba powinnam poustawić butelki na ladzie, ale tak właśnie robili moi rodzice. Prawdopodobnie traktowali je jak swego rodzaju rzeźbę. Może być czerwone?

- Świetnie.

Rachel uśmiecha się ujmująco i sięga do najwyższej szuflady po korkociąg.

- Kiedy po raz pierwszy zamieszkałam sama, z dala od rodziców, którzy przypadkiem zgodnie przeprowadzili się do wspaniałego saloonu w niebiesiech, za nic w świecie nie chciałam trzymać w domu żadnego alkoholu. Byłam taka cnotliwa. Nie piłam ani nie paliłam. Wciąż nie palę.

Rachel z ogromną wprawą otwiera butelkę. Amanda widzi, że to nie byle jaki alkohol.

- Pewnego wieczoru miałam randkę z chłopakiem, na którym bardzo mi zależało, dlatego zaprosiłam go do siebie na kolację. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego to zrobiłam, bo jedyną rzeczą, jaką umiałam wtedy przyrzadzić, był placek pasterski. Na szczęście mój wybrany lubił tę potrawę. - Śmieje się i sięga po dwa kieliszki. - Przyniósł ze sobą butelkę wina, ale nie mogliśmy jej otworzyć, bo nie miałam korkociągu.

Potrząsa głową z niedowierzaniem, wyraźnie podczas rozlewania wina do kieliszków odtwarzając w myślach dawną scenę.

- Musiałam pożyczyć go od sąsiada. - Rachel wraca do salonu i podaje Amandzie wino. - A tak przy okazji, nie jestem alkoholiczką, nie musisz się więc martwić, że stara pijaczka pod byle pretekstem wciąga cię w nałóg.

- Nie martwię się - mówi Amanda, chociaż właśnie to sobie pomyślała.

- Nie, wiele lat temu złożyłam sobie solenną przysięgę, że nigdy nie będę taka jak matka.

Amanda przytakuje. W końcu coś rozumie.

- Dlatego pijam alkohol tylko w niewielkich ilościach. Ot, od czasu do czasu kieliszek wina, i to przy specjalnej okazji. Myślę, że dziś mamy specjalną okazję, nie sądzisz?

- Nie wiem, co uznajesz za specjalną okazję. Rachel unosi kieliszek.

- To, że mężczyzna, który podawał się za Johna Mallinsa, w końcu dostał to, na co sobie zasłużył. Na zdrowie!

- Na zdrowie!

Trącają się kieliszkami. Zapada chwila ciszy. Amanda czeka, aż nowa znajoma podejmie opowieść. Bez skutku.

- Dlaczego mówisz, że dostał to, na co sobie zasłużył?

- Przecież to oczywiste, że ten drań zabił mojego brata. Czy to naprawdę jest takie oczywiste? - zastanawia się

Amanda, upijając kilka łyków wina, a dopiero potem zadając pytanie.

- Mówiłam ci już, że na krótko przed zniknięciem mój brat spotkał jakiegoś faceta, który miał całkowicie odmienić jego życie. Uważam, że ten człowiek zabił mojego brata. Teraz, po dwudziestu pięciu latach, twoja klientka wyprawiła go do piekła.

Amanda próbuje nadać za tą pokrętną logiką.

- To chyba trochę naciągane - mówi w końcu.

- Dlaczego? Pod jakim względem naciągane? Dwadzieścia pięć lat po zniknięciu mojego brata nagle w tym samym mieście, w którym on mieszkał, pojawia się mężczyzna, który nazywa się John Mallins i jakimś cudem ma dokładnie tyle lat, ile powinien mieć mój brat, a nawet jest do niego trochę podobny. Nie uważasz, że to mocno podejrzane?

- To może być zbieg okoliczności.

- Gówno prawda, nie zbieg okoliczności. Ten człowiek zabił mojego brata i przywłaszczył sobie jego tożsamość.

- O kurczę! Zaczekaj chwilę. Owszem, ten człowiek nazywał się tak samo jak twój brat, ale to wcale nie znaczy, że go zabił. Nie sądzisz, że może być kilku Johnów Mallinsów?

- Uważam, że to niemożliwe. Szukałaś nas w książce telefonicznej. W trzymilionowym mieście było zaledwie sześciu abonentów o tym nazwisku.

- To wcale nie oznacza, że na całym świecie jest tylko jeden John Mallins. Ten, który został zastrzelony, pochodził z małego miasteczka w Anglii, położonego na północ od Nottingham - tłumaczy Amanda, przypominając sobie wcześniejszą lekcję geografii u wdowy po zamordowanym.

- I wrócił tutaj, żeby załatwić sprawy majątkowe swojej matki. Tak twierdził, prawda?

- Tak.

- O ile chcesz się założyć, że jeśli sprawdzisz klepsydry z kilku ostatnich tygodni, nie znajdziesz nikogo o nazwisku Mallins? Do diabła, możesz sprawdzić nawet cały rok.

- To jeszcze niczego nie dowodzi.

Rachel unosi rękę; wino wylewa się z kieliszka.

- Cholera! Zawsze jesteś taka uparta?

- Po prostu próbuję ci powiedzieć, że... - Amanda urywa. Co właściwie próbuje

powiedzieć? - Jeśli naprawdę wierzysz, że John Mallins jest oszustem i mordercą, dlaczego nie poszłaś na policję?

- Co miałam im powiedzieć?

- Dokładnie to, co powiedziałaś mnie. Rachel Mallins potrząsa głową.

- Policja jest jeszcze bardziej uparta niż ty. Do diabła, poszłam do tych drani dwadzieścia pięć lat temu, zaraz po zniknięciu Johna. Błagałam i prosiłam, żeby szukali mojego brata. Wiesz, co mi powiedzieli: „Nie martw się o Johnny'ego. Znajdzie się. Tacy jak on zawsze się znajdują”. - Łyka wino. - Wtedy mi nie pomogli. Dlaczego teraz ja miałabym im pomóc? - pyta, kładąc nacisk na słowo „ja”. - Poza tym już nie odzyskam Johnny'ego. Jest na to o dwadzieścia pięć lat za późno.

Amanda dopija wino z kieliszka i pozwala, by Rachel jej dołała.

- Czy nie ma choćby cienia możliwości - zaczyna Amanda powoli - że mężczyzna, który został zastrzelony, jest twoim bratem? - Szybko kończy, nie czekając na protest Rachel.

- Jak sama powiedziałaś, minęło dwadzieścia pięć lat. W takim czasie ludzie bardzo się zmieniają. Starzeją się, przybierają na wadze, zapuszczają wąsy.

- Nie znikają bez powodu.

- Może miał powód. Mówiłaś, że ciągle pakował się w jakieś tarapaty. Może coś przeszkrobał i musiał w pośpiechu opuścić miasto? Może wołał ci o tym nie mówić? Może chciał rozpocząć nowe życie? Może w końcu przeprowadził się do Anglii, otworzył niewielki sklepik, ożenił się, założył rodzinę...

- Nie mógł się ożenić ani założyć rodziny.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Bo mój brat był gejem - wyjaśnia Rachel, nalewając sobie drugi kieliszek wina. - Tylko, proszę, nie mów mi, że geje często się żenią i zakładają rodziny, bo o tym wiem, ale wiem również, że mężczyzna, którego zastrzeliła twoja klientka, nie jest moim bratem.

- W takim razie jest jakiś inny John Mallins.

Amanda czuje, że kręci jej się w głowie. Nic dziwnego - myśli, stawiając kieliszek na podłodze. Rozmowa wciąż obraca się w kółko.

Długa cisza.

- O ile chcesz się założyć, że jeśli zajrzysz do paszportu Johna Mallinsa, zobaczysz, że urodził się czternastego lipca?

Amanda milczy. Dziwne ssanie w żołądku mówi jej, że jeśli przyjmie zakład, przegra.

- Powiedziałaś, że bronisz kobiety, która zabiła tego drania. Może powinnaś po prostu ją spytać, kogo swoim zdaniem nafaszerowała kulkami?

Dlaczego twierdzisz, że to ja jestem uparta! - chce krzyknąć Amanda.

- Czy wiesz coś o facecie, z którym związał się twój brat? Czy Johnny powiedział, jak ten człowiek się nazywał?

Rachel potrząsa głową.

- Nie. Mówił na niego Turk. Najwyraźniej to jakieś przezwisko.

- Nie cierpię przezwisk - mruczy Amanda.

- Ja też. Odpowiada mi to wino. Dolać ci?

Amanda wyciąga pusty kieliszek i przytrzymuje go, czekając na dolewkę.

- Dzięki - mówi, wypijając wszystko w kilku łykach. - Chyba powinnam już iść i pozwolić ci się spakować.

- Och, nigdzie się nie wybieram. Skłamałam, żebyś szybciej ruszyła tyłek. - Rachel podchodzi do szafy i przynosi jej płaszcz. - Nie zimno ci w nim? Wygląda na beznadziejny.

Dziewczyna dochodzi do wniosku, że to odpowiednie określenie nie tylko dla jej płaszcza, ale i życia. Wsuwa ręce w rękawy.

- Nie, dziękuję. - Otwiera drzwi i wychodzi na korytarz. - Jeszcze raz dziękuję za wino.

- Amando! - woła Rachel, gdy ta podchodzi do wind na końcu korytarza. Imię czepia się pleców młodej kobiety jak haczyk na ryby. - Daj mi znać, czy miałam rację, jeśli chodzi o czternastego lipca, dobrze?

Otwierają się drzwi windy i wchodzi do środka.

Amanda jest niezmiernie wdzięczna, bo:

1) obsługa hotelowa wytarła podłogę w łazience, zmieniła ręczniki i zasadniczo przywróciła pokój do wcześniejszego, nieskazitelnego stanu,

2) zostawiono jej kieliszek wina.

Wypija je, porównując z poprzednim i zastanawiając się, czy zadzwonić do Bena. Nie będzie zbyt szczęśliwy, jeśli Amanda mu opowie o swojej ostatniej wyprawie. „Coś ty zrobiła?” - niemal słyszy pytanie. „Coś ty zrobiła?” Postąpiła wystarczająco źle, bez jego zgody składając wizytę Hayley Mallins, ale z pewnością palmę pierwszeństwa trzeba przyznać jej następnemu wyczynowi, czyli samodzielnej wyprawie i rozmowie z kobietą, która prawdopodobnie jest jedynie zbzikowaną alkoholiczką. Gdzie się podział zdrowy rozsądek Amandy? Na litość boską, mogła zostać zamordowana. Przecież Ben kazał jej zamówić kolację do pokoju, wziąć kąpiel i iść do łóżka.

- Próbowałam - tłumaczy się słabo, kończąc wino, siadając na brzegu wanny i sięgając do kurka z gorącą wodą. - Ale mi się nie udało.

Śmieje się. Wino szumi jej w głowie, zakłócając już i tak kruchą równowagę. Zdejmuje sweter przez głowę, wraca do sypialni i staje przy telefonie. Jak się okazuje, jest nie tylko naga, ale i mocno wstawiona.

- Mówi Ben Myers. Obecnie nie ma mnie w domu, ale jeśli zostawisz po sygnale nazwisko i numer, oddzwonię do ciebie tak szybko, jak to możliwe. Dziękuję. Pamiętaj, żeby zaczekać na sygnał.

Cały Ben. Z góry zakłada, że Amanda nie będzie miała pojęcia, na jakich zasadach działa poczta głosowa. Jakby ktoś mógł nie wiedzieć, że trzeba poczekać na sygnał.

- Cześć, Benie - mówi, nie czekając na sygnał. - No nie, chyba nie jestem zbyt dobrym słuchaczem, prawda? - Śmieje się i tym razem czeka na sygnał. - Cześć - mówi ponownie. - Dzwonię... dlaczego dzwonię?... A tak, dzwonię, żeby cię przeprosić, bo byłam niegrzeczna i nie zrobiłam tego, co mi kazałeś. A właściwie, co mi kazałeś? Nie pamiętam. Mam nadzieję, że sobie przypomnę, nim odbierzesz tę wiadomość i oddzwonisz. Słyszałeś? Oddzwoń. To ważne. Tak mi się przynajmniej wydaje. - Śmieje się, gdy sygnał przerywa jej w połowie ostatniego słowa. - No cóż, to nie było zbyt grzeczne z jego strony - mówi, odkładając słuchawkę. - Nawet nie miałam szansy poprosić, żeby pozdrowił ode mnie Jennifer. - Pozdrów ode mnie Jennifer! - krzyczy w stronę telefonu. W tym momencie słyszy przytłumiony odgłos wody z łazienki. - O nie!

Potykając się o własne stopy, biegnie do łazienki i dociera do wanny w chwili, kiedy woda właśnie ma zamiar zacząć się przelewać przez górną krawędź. Wkłada rękę do wrzątku i wyjmuje korek.

- Cholera! Jakie to gorące!

Poziom wody natychmiast zaczyna się obniżać, a ona macha zaczerwienioną ręką i próbuje ją ochłodzić. Czeką, aż poziom wody wystarczająco się obniży, potem wkłada korek i dolewa zimnej wody.

- Chyba ktoś tu trochę za dużo wypił - oznajmia, wchodząc do wanny i odsuwając od siebie cichy głos, który podpowiada, że ostatnio zbyt często jej się to zdarza. - To była specjalna okazja - mówi, przypominając sobie słowa Rachel. - Mężczyzna, który podawał się za Johna Mallinsa, dostał to, na co sobie zasłużył.

Mężczyzna, który podawał się za Johna Mallinsa - powtarza w myślach, sięgając po kostkę mydła i przesuwając ją między piersiami. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że mydło wciąż jest w opakowaniu.

- O kurczę!

Z piskliwym śmiechem rozpakowuje je i przez chwilę patrzy, jak papier unosi się na powierzchni wody, chociaż mydło opadło na dno. Czy to możliwe, że Rachel Mallins powiedziała prawdę? Że mężczyzna, który podawał się za Johna Mallinsa, wcale nim nie był? Że był oszustem, który dwadzieścia pięć lat temu zabił prawdziwego Johna Mallinsa i ukradł jego tożsamość?

Nawet jeśli tak, czy to coś zmienia? Kogo obchodzi, czy mężczyzna, którego zabiła jej matka, nazywa się John Mallins, czy nie? Fakty pozostają faktami, a faktem jest, że Gwen Price go zabiła. Nieważne, czy nazywał się John Mallins, czy jakoś inaczej.

- Niezależnie od tego, kim był, już nim nie jest - oświadcza Amanda, wyławiając mydło z dna wanny i pocierając nim o skórę.

Tylko jeśli to nie był John Mallins, to kto? Czy znalezienie odpowiedzi na to pytanie wyjaśni inne sprawy? Na przykład: dlaczego matka go zastrzeliła? „Mówił na niego Turk. Najwyraźniej to jakieś przezwisko”.

- Nienawidzę przezwisk - szepcze Amanda do myjki, którą rozkłada na twarzy.

Aksamit przywiera do jej ust i nozdrzy jak śmiertelna maska. „Laleczko!” - słyszy czyjeś wołanie. „Laleczko! Laleczko!” Gwałtownie zrywa myjkę z twarzy, z trudem wstaje i wychodzi z wanny. Ociekając wodą, idzie do sypialni i podnosi słuchawkę.

- Proszę połączyć mnie z hotelem Metro Convention Center - prosi telefonistkę. - Pokój Jerroda Sugara - podaje recepcjonistce. - Witaj, Jerrodzie Sugarze - mówi do mężczyzny, który odpowiada po drugim dzwonku. - Tu Amanda Travis. Możesz uznać, że to twój szczęśliwy wieczór.

O drugiej w nocy budzi ją pukanie do drzwi.

Traktuje je jako dalszy ciąg snu. We śnie siedzi sama w starej, chybotliwej łódce, która szybko zanurza się w oceanie. Gorączkowo wybierając wodę, widzi krążące wokół rekiny. Jeden z nich znika pod łodzią i uderza o kruche dno. Raz. Drugi...

Siada gwałtownie na łóżku. Dudnieniu w głowie wtóruje łomotanie w drzwi. Zerka na stojący na szafce nocnej zegarek i zastanawia się, kto, do diabła, może się do niej dobijać o drugiej w nocy. Czy to pożar? Przespała alarm przeciwpożarowy? Może ktoś chce jej powiedzieć, żeby opuściła budynek, nim będzie za późno?

Wstaje z łóżka, zarzuca na siebie frotowy szlafrok, pędzi do drzwi, zakłada łańcuch i zerka przez szczelinę.

- Co się, do diabła, dzieje, Amando?

- Ben? - Amanda uwalnia łańcuch i szybko wychodzi na korytarz. - Co ty tu robisz? Coś się stało?

- To ty mi powiedz.

Amanda z napięciem wpatruje się w młodego przystojnego mężczyznę, który kiedyś był jej mężem. Widzi, że jest ubrany w dzinsy i gruby, robiony na drutach irlandzki sweter, ma nieuczesane, przyprószone śniegiem włosy, zmęczoną twarz i zatroskaną minę. Próbując skupić wzrok na obliczu Bena, dziewczyna zdaje sobie sprawę, że w jego oczach dostrzega coś dziwnego. Kiedy uświadamia sobie, że to złość, chwyta klamkę za plecami.

- Jaką wiadomość próbowałaś mi zostawić na poczcie głosowej?

- Wiadomość...?

- Nie pamiętasz?

Amanda usiłuje uporządkować myśli.

- Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałam. Prawie śpię. Obudziłeś mnie.

- Piłeś?

- Nie. Mocno spałam.

- Przez cały wieczór pracowałem nad sprawą, którą mam jutro rano. Jestem śmiertelnie zmęczony. Po drodze do łóżka postanowiłem jeszcze sprawdzić wiadomości...

- Nie byłeś na mieście z Jennifer?

- Wtedy cię usłyszałem. W twoim głosie wychwyciłem... Sam nie wiem...

- Co takiego?

- Rozpacz - mówi w końcu.

Młoda kobieta cofa się, jakby Ben wymierzył jej siarczysty policzek.

- Potwornie się przestraszyłem.

- Zapewniam cię, że nie jestem ani trochę zrozpaczona.

- W porządku. Posłuchaj, chyba oddaliśmy się od sprawy. Amanda niespodziewanie czuje, że do oczu napływają jej łzy.

Szybko opuszcza głowę, wbija wzrok w gołe palce u nóg i stara się zapanować nad głosem.

- Przepraszam, że cię przestraszyłam. Nie miałam takiego zamiaru. Posłuchaj, naprawdę jest mi przykro. Idź do domu, prześpij się. Pogadamy jutro rano.

Ben odgarnia włosy z czoła i ze złością zamyka oczy.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

- Wspaniale.

- Czemu do mnie zadzwoniłaś?

- O co ci chodzi?

- Powiedziałaś, że to ważne.

- Może poczekać do jutra.

- Powiedziałaś, że byłaś niegrzeczna, niezależnie od tego, co to, do diabła, miało znaczyć, i nie zrobiłaś tego, co ci kazałem. Co zrobiłaś?

Amanda zerka przez ramię w stronę pokoju, przy każdym ruchu coraz bardziej dudni jej w głowie. Co się ze mną dzieje? - zastanawia się. Dlaczego sama wyrządzam sobie taką krzywdę?

- Wejdźmy do środka - proponuje Ben. - Nie będziemy kłócić się na korytarzu.

- Nie. Naprawdę. Myślę, że powinieneś już iść - protestuje Amanda.

Nie zważając na jej słowa, Ben otwiera drzwi i włącza światło.

- Co się stało dziś wieczorem? - pyta głośno w skąpanym w blasku pokoju.

Gdzieś za ich plecami rozlega się szelest pościeli. Na środku łóżka siada upiorna, biała postać.

- Jezu! - mówi Jerrod Sugar, osłaniając oczy przed światłem. - Co się tu dzieje?

Na policzkach Bena pojawiają się rumieńce jak po odmrożeniu. Mężczyzna zaciska pięści i zgrzyta zębami.

- W porządku. Już wszystko w porządku - mówi, niespokojnie przestępując z nogi na

nogę. - Przepraszam, że przeszkadzam. Mój błąd.

Gasi światło i trzaskając drzwiami, wychodzi z pokoju. Amanda stoi w całkowitym bezruchu.

- Co to było? - pyta Jerrod Sugar po wyjściu Bena.

Amanda nie rusza się przez kilka sekund, potem wraca do łóżka, wciąż mając w uszach trzask drzwi.

- Nic - mówi.

Naciąga kołdrę na uszy, żeby nie słyszeć tego odgłosu, i zamyka oczy.

## 17

Budynek sądu w Toronto - nazywany nowym gmachem sądu, chociaż ma ponad trzydzieści lat - mieści się na rogu University i Armoury. Nazywa się go nowym w odróżnieniu od starego gmachu sądu, który znajduje się w ratuszu, na skrzyżowaniu Bay i Queen. Nowy ratusz, którego budowę ukończono w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, stoi po drugiej stronie ulicy i składa się z dwóch budynków z szarego granitu. Jego dumę stanowi ogromna, niegdyś niezwykle kontrowersyjna rzeźba Henry'ego Moore'a, brązowa bryła, która przypomina kurczaka bez głowy, i duże lodowisko, na którym już jeżdżą ludzie, chociaż jest dopiero jedenasta przed południem.

Amanda dowiaduje się o tym wszystkim dzięki temu, że taksówkarz zawozi ją w nieodpowiednie miejsce.

- Powiedziała pani „nowy ratusz” - broni się kierowca z wyraźnym angielskim akcentem.

- Powiedziałam „nowy sąd”.

- Sąd znajduje się w starym ratuszu.

- Owszem, „stary sąd”, a ja chcę się dostać do nowego sądu.

- To nie tutaj - odpowiada mężczyzna.

Łamiąc przepisy, zawraca na Bay o sto osiemdziesiąt stopni i jedzie tam, skąd przyjechali.

To moja wina - myśli Amanda, opierając wciąż bolącą głowę o brudną boczną szybę taksówki i obserwując nieciekawe budynki centrum miasta na tle paskudnie szarego nieba. Powinna bardziej uważać.

Na wiele innych rzeczy również - uznaje z żalem, przypominając sobie nocną wpadkę.

- Jak mogłam do tego dopuścić?

- Stało się coś złego, proszę pani? - pyta z rezerwą taksówkarz.

Mruży ciemne oczy i spogląda w lusterko wsteczne, jakby przeczuwał, że ona lada chwila zmieni zdanie.

No cóż, spróbujmy podsumować - myśli Amanda. Moja matka jest w więzieniu. Ja



mam potwornego kaca. Właśnie przespałam się z nieznajomym, a mój były mąż uważa, że jestem dziwką. Uściślijmy: mój „stary” były mąż. Kto by się zresztą przejmował tym, co on myśli?

- Nie - odpowiada taksówkarzowi. - Nic się nie stało.

Prostuje plecy i opiera się o siedzenie; ciemnozielona derma skrzypi w zetknięciu z czarnym płaszczem. Wracając do sprawy, jakim prawem Ben próbuje ją osądzać? Czyż Amanda nie ma w tej chwili na głowie dość problemów? Owszem, była pijana. Miała do tego prawo. Tak samo jak może sypiać, z kim zechce. Nawet jeśli w rzeczywistości wcale nie ma na to ochoty. Niech cię diabli, Benie Myersie. Dlaczego musiałeś wpaść do mnie w nocy jak błędny rycerz, który spieszy na pomoc księżniczce na bardzo, bardzo starym rumaku? Czy prosiłam cię, żebyś mnie ratował?

- Czy ja wyglądam jak ktoś, kogo trzeba ratować? - pyta głośno.

Przestraszony taksówkarz gwałtownie skręca w lewo; Amanda traci równowagę i musi oprzeć się o boczne drzwi.

- Oto nowy gmach sądu - oznajmia kierowca, zatrzymując się przed okazałym budynkiem z szarego kamienia.

Amanda przez chwilę odzyskuje równowagę, a potem wysiada z auta.

- Co ja tu robię? - mówi w kołnierz płaszcza.

Zastanawia się, jak Ben zareaguje na jej widok. Ma nadzieję, że lepiej niż w nocy. Nabiera w płuca ogromny haust lodowatego powietrza i wchodzi do budynku, sprawdzając na kartce numer sali.

- 204 - szepcze.

Przechodzi przez detektor metalu, wsiada do windy tuż przy wejściu i patrzy, jak parter znika jej z pola widzenia.

Wychodząc z windy, wpada na atrakcyjną blondynkę w czarnej toczce, jaką noszą kanadyjscy prawnicy, kiedy prowadzą sprawę przed sądem. Jennifer? - zastanawia się, dostrzegając pod togą zarys kształtnych łydek, kiedy kobieta pewnym krokiem wchodzi na salę numer 201. Czy to ty? Dlaczego nie spędziłaś wczorajszego wieczoru z Benem?

Przynajmniej nie miałabym wtedy tak cholernych wyrzutów sumienia z powodu Jerroda Sugara. Chociaż zupełnie nie rozumiem, dlaczego w ogóle mam wyrzuty sumienia z powodu Jerroda Sugara. Mogę sypiać, z kim zechcę. Nikt nie ma prawa mnie oskarżać, że zdradzam mężczyznę, który od ośmiu lat nie jest moim mężem.

„W porządku. Już wszystko w porządku” - słyszy słowa Bena, a po nich głośne trzaśnięcie drzwi.

Amanda dostrzega mężczyznę w średnim wieku. Zagubiony i wyraźnie zatroskany, siedzi na ławce między salami sądowymi. Jego mina mimo woli przywodzi na myśl wyraz twarzy skonfundowanego Jerroda Sugara, kiedy zobaczył przy łóżku Bena. Wciąż pamięta,

jak waliło mu serce, kiedy położyła mu na klatce piersiowej otwartą dłoń, próbując go zatrzymać po zniknięciu Bena. Wyszedł kilka minut później, twierdząc, że jest zbyt roztrzęsiony, by zasnąć. Nie skusiła go nawet obietnica następnych igraszek miłosnych. Z trudem wciskając się w ubranie, zapewnił, że bardzo mu przykro, ale czeka go pracowity tydzień. Spróbuje zadzwonić przed wyjazdem z Toronto, może spotkają się gdzieś po powrocie na Florydę. Do widzenia, było wspaniale, dzięki, że o mnie pomyślałaś.

Cała przyjemność po mojej stronie - myśli Amanda, strzepując niewidoczny śnieg z butów i wlokąc się długim korytarzem. Chociaż, prawdę mówiąc, nie było żadnej przyjemności. Amanda próbuje sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni seks naprawdę dostarczył jej rozkoszy; zatrzymuje się, bo przed oczami staje jej Ben.

- O nie. To już przerabiałaś. Nie warto tam wracać - upomina samą siebie, otwierając drzwi sali 204 i wchodząc do środka.

Sala jest nowoczesna, ale zwyczajna. Za stołem siedzi sędzia w toczce, obok niego protokolanci, którzy sprawiają wrażenie trochę znudzonych. Miejsce dla świadków zajmuje policjant, który spogląda na pustą ławę przysięgłych na lewo od siebie. Kilku widzów przycupnęło na drewnianych ławkach poustawianych w głębi sali. Pani prokurator, przysadzista młoda kobieta o ziemistej cerze i niesfornych ciemnych włosach, teatralnym gestem przesuwa dokumenty. Ma taką minę, jakby cierpiała na zaparcie, lecz pokazuje to z taką dumą, jak brylantowy naszyjnik, którego za nic w świecie nie ma zamiaru zdjąć. Amanda pochyla głowę i siada obok starszej pani, która przesuwając między trzęsącymi się palcami paciorki różańca. Amanda wyciąga szyję i przygląda się ludziom, których ma przed sobą. Ben szepcze coś do ładnej, młodej dziewczyny, która siedzi obok niego. Poklepuje jej dłoń, potem przeciąga się i obojętnie spogląda przez ramię. Zatrzymuje wzrok na byłej żonie.

Co ty tu robisz? - pytają jego oczy.

Mam ci coś do powiedzenia - odpowiada ona w milczeniu, ale Ben już kieruje uwagę na przednią część sali, bo pani prokurator zgłosiła sprzeciw w kwestii prawnej.

Oskarżycielka ma niemiły, nosowy głos i za każdym razem, kiedy spogląda na młodą ładną oskarżoną, mruży oczy, z trudem ukrywając wściekłość. Używając zagmatwanych prawniczych określeń, w rzeczywistości mówi: „Ja ci jeszcze pokażę. Myślisz, że długie, lśniące włosy, droga, obcisła sukienka i idealna, szczupłutka figura mogą ci pomóc. Jesteś rozkapryszonym dzieckiem z dobrego domu, wydaje ci się, że życie to ogromny puchar z lodami, którymi można się rozkoszować bez zastanawiania się nad ewentualnymi konsekwencjami. Jestem tutaj po to, by raz na zawsze przekłuć tę bańkę mydlaną. Żeby ci pokazać, jak naprawdę wygląda życie”.

Amanda stara się uważać, ale po dziesięciu minutach beznadziejnej fanfaronady pani prokurator poddaje się i wraca do rzeczywistości dopiero wtedy, gdy Ben zgłasza sprzeciw. W toczce wygląda niemal tak samo dobrze jak w irlandzkim swetrze robionym na drutach -

myśli, gdy sędzia podtrzymuje sprzeciw Bena. Co mogłoby się między nimi wydarzyć, gdyby w nocy w jej łóżku nie było Jerroda Sugara?

Czy chciałyby, żeby coś się wydarzyło?

Zdecydowanie nie.

Już to przerabiałaś. Pamiętasz?

Znowu wmawia sobie, że reaguje nietypowo, bo po długiej nieobecności znalazła się ponownie w rodzinnym mieście, a niecodzienne okoliczności zmuszają ją do spędzania czasu z mężczyzną, którego kiedyś kochała. Nic więc dziwnego, że co chwila ożywają wspomnienia z okresu ich małżeństwa i mimo woli wracają dawne uczucia. Może Ben przeżywa to podobnie i dlatego w nocy pod wpływem niepokoju przybiegł, zamiast zadzwonić. Amanda zamyka oczy, próbując zapomnieć szok i niepokój, które dostrzegła na twarzy Bena, gdy włączył światło i zobaczył w łóżku Jerroda Sugara.

Sędzia ogłasza godzinną przerwę na lunch. Amanda zerka na zegarek. Ku jej zaskoczeniu jest już po wpół do pierwszej. Sędzia zamasztyłym krokiem opuszcza salę sądową, a Ben podchodzi do pani prokurator.

- Daj spokój, Nancy - mówi swoim najłagodniejszym tonem. - Dlaczego tak się upierasz? To dobra dziewczyna, tylko zakochała się w nieodpowiednim facecie. Po raz pierwszy weszła w kolizję z prawem. Pozwól jej na jakąś pracę społeczną.

- Traci pan czas, panie obrońco - odpowiada kobieta przez zaciśnięte wargi.

- Zgódź się na pracę społeczną, a wszyscy na tym skorzystają.

W odpowiedzi pani prokurator unosi krzaczaste brwi, zbiera papiery i wychodzi z sali.

- Jest urocza - stwierdza Amanda, wsłuchując się w echo, które odpowiada stukotowi ciężkich butów kobiety.

- Co ty tu robisz? - pyta Ben, nie patrząc na nią.

- Twoja sekretarka powiedziała mi, że tu będziesz.

- Panie Myers? - Obok pojawia się kobieta z różańcem. - Czy mogę zabrać Selenę na lunch?

- Na litość boską, mamusiu, odłóż ten różaniec.

- Tylko proszę za godzinę przyprowadzić ją z powrotem - odpowiada Ben.

Starsza pani obejmuje dziewczynę ramieniem i wyprowadza ją z sali.

- Musi jej być bardzo ciężko - mówi Amanda, patrząc na wychodzące kobiety.

Ben milczy.

- A co z tobą? - pyta Amanda odważnie. - Mogę cię zabrać na lunch?

- Nie jestem głodny, ale dziękuję za zaproszenie.

- Benie...

On patrzy jej prosto w oczy po raz pierwszy od chwili, kiedy weszła.

- Posłuchaj, jeśli chodzi ci o wczorajszą noc, nie musisz mnie za nic przepraszać.

Twoje życie to twoja sprawa.

- Zgadzam się z tobą. Nie przyszłam, żeby przeproszać. Sprawia wrażenie zaskoczonego, może nawet trochę rozczarowanego.

- W takim razie po co przyszłaś?

- Czy mógłbyś dla mnie sprawdzić, czy John Mallins urodził się czternastego lipca?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Po prostu mam pewne przeczucie.

- Trochę dziwne przeczucie, nawet jak na ciebie.

- Chodzi o to, że wczoraj rozmawiałam z kobietą, która powiedziała...

- Z jaką kobietą?

Mruży oczy, jakby próbował pytać: Czy w nocy w twoim łóżku była kobieta?

Amanda w dużym skrócie relacjonuje swoje spotkanie z Rachel Mallins, przez cały czas bacznie obserwując twarz Bena. Widać na niej całą gamę uczuć, od ciekawości po niedowierzanie, od podziwu po złość.

- Chyba żartujesz - mówi Ben po wysłuchaniu długiej opowieści.

- Wiem, że nie powinnam iść tam sama. Nie musisz mi tego mówić, ale nie sądzę, by Rachel mnie oszukała. Dziś wczesnym rankiem poszłam prosto do biblioteki - ciągnie Amanda, nie dopuszczając Bena do głosu. - Przez godzinę przeglądałam klepsydry wszystkich osób, które zmarły w Toronto w ciągu ostatniego miesiąca, i nie znalazłam nikogo o nazwisku Mallins.

- A dlaczego miałybyś kogoś znaleźć?

- Bo Hayley Mallins powiedziała mi, że jej mąż przyjechał do Toronto pozałatwiać sprawy majątkowe matki.

- Hayley Mallins? Kiedy rozmawiałaś z Hayley Mallins?

- Poszłam do niej zaraz potem, gdy podrzuciłeś mnie do hotelu.

Ben kręci głową, próbując uporządkować świeże informacje.

- Widzę, że wczoraj bardzo ciężko pracowałaś.

- Niczego nie zaplanowałam. Uwierz mi. Wszystko jakoś rozgrywało się samo.

- A co się rozgrywało?

Amanda opisuje swoją wizytę u Hayley Mallins.

- Nie mogę uwierzyć, że w ogóle chciała z tobą rozmawiać.

- Chyba ją zaskoczyłam.

- Tak, rzeczywiście potrafisz zaskakiwać ludzi. - Przez kilka sekund stoją twarzą w twarz. - W porządku - mówi Ben po chwili. - Możesz postawić mi lunch.

Siedzą w restauracji w pobliskim hotelu i popijają gorącą zupę brokułową.

- Pani prokurator to chyba prawdziwa suka na kółkach - mówi Amanda, a potem wybucha gromkim śmiechem.

Ożywa stare jak świat wspomnienie i przemyka przez jej głowę jak pieszy przechodzący między dwoma zaparkowanymi samochodami.

- Co cię tak śmieszy?

Amanda potrząsa głową, jakby próbowała odsunąć dawną wizję, ale obraz za nic w świecie nie chce zniknąć.

- Kiedy byłam małą dziewczynką - zaczyna z wahaniem - moja mama powiedziała o jednej z sąsiadek, że to „suka na kółkach”. Od tego czasu potwornie bałam się tej kobiety. Czasami musiałam się nieźle natrudzić, żeby nie przechodzić obok jej domu. Zdarzało się, że w tym celu obchodziłam cały kwartał. Przerazał mnie fakt, że nie tylko była suką, ale jeszcze dodatkowo „na kółkach”. - Amanda śmieje się ze swojej dziecięcej naiwności.

Na ustach Bena pojawia się uśmiech.

- Nancy wcale nie jest taka zła.

- Naprawdę?

- Po prostu robi, co do niej należy. Znasz prokuratorów. Nie tak dobrze jak ty - myśli Amanda, próbując sobie wyobrazić jego przyjaciółkę Jennifer.

- Lubią skazywać ludzi - uściśla Ben.

- Byle ich tylko skazać - przyznaje Amanda. - Czy twoja klientka jest winna?

- Jej wina polega na tym, że jest młoda i głupia. Wszyscy by skorzystali, gdyby wyznaczono jej pięćdziesiąt godzin pracy społecznej, zamiast skazywać ją na więzienie.

- Wygląda na to, że takie rozwiązanie nie wchodzi w rachubę.

- Tylko dlatego, że osoby, od których zależy decyzja, są jeszcze głupsze niż ona.

- Myślisz, że masz szansę?

Ben wybucha śmiechem i wbija zęby w gorącą bułeczkę.

- Ostatnie słowo będzie należeć do mnie. Przyłapałem ich na uchybieniach formalnych. Gdy tylko dopuszczą mnie do głosu, dziewczyna będzie wolna.

- Ach, ta sprawiedliwość!

- Tak się dzieje, kiedy ludzie stają się zbyt zachłanni.

Czy Jennifer stała się zbyt zachłanna? - zastanawia się Amanda.

- Świetnie prezentujesz się w todze - stwierdza.

- Ty też. - Ben się uśmiecha. Wraz z jego uśmiechem znikają między nimi ostatnie oznaki napięcia. - Przepraszam, że wpakowałem ci się w nocy do pokoju. Chyba zachowałem się, jakbyś do mnie należała.

- Trochę. A tak swoją drogą, chyba to ja powinnam cię przeprosić.

- Podobno nie przyszłaś mnie przeproszać.

- I nie przepraszam - mówi Amanda. - Powiedziałam tylko, że chyba powinnam.

Ben wybucha śmiechem.

- Chyba po prostu mnie zaskoczyłaś. Nie wiedziałem, że znasz jeszcze kogoś w

Toronto.

- Nie znam.
- Czy ten facet to jedna z tych osób, które poznałaś wczoraj wieczorem?
- Prawdę mówiąc, spotkałam go w samolocie.

Ben trawi najświeższą wiadomość razem z resztą bułeczki.

- Nie sądzisz, że jest dla ciebie trochę za stary?
- Lubię starszych panów.
- Nie wiedziałem.
- Mój drugi mąż był ode mnie znacznie starszy.
- Jaki był?

Tym razem to Amanda wybucha śmiechem.

- Nie wiem. Prawdę mówiąc, nigdy dobrze go nie poznałam.
- Dlaczego?

Amanda wywraca oczami. Nie miała zamiaru się w to pakować.

- Chyba nie chciałam. To znaczy był... nadal jest... bardzo przystojny. Bogaty.

Kulturalny. Nawet miły. Myślę, że wtedy to mi wystarczało.

- Kiedy przestało?
- Gdy zaczął mówić o dzieciach.
- Nie lubisz dzieci?

- Do diabła, nie. To ja miałam być jego dzieckiem. Z jakiego innego powodu kobieta wychodzi za mąż za mężczyznę starszego od siebie o dwadzieścia pięć lat?

Urywa i rozgląda się po zatłoczonym pomieszczeniu, zastanawiając się, czy któraś z obecnych tu kobiet właśnie opowiada swojemu pierwszemu mężowi o drugim.

- Na początku wszystko szło jak po maśle. Dzięki niemu ukończyłam studia prawnicze, kupował mi wszystko, czego pragnęłam, brał mnie wszędzie, gdzie chciałam. Nie dawał mi się we znaki. Był ze mnie dumny, co mi się podobało. Potem nagle uznał, że skoro skończyłam studia, powinniśmy pomyśleć o założeniu rodziny. A ja na to: „Zaraz, zaraz, zaczekaj chwileczkę. Kto mówił o zakładaniu rodziny?” Żartowałam, że nic nie wiem o rodzeniu dzieci, okazało się jednak, iż mówił poważnie! Chciał mieć dzieci. Ja nie.

Wspomniał też coś, że najwyższy czas rozwiązać „problemy” z moją matką, bo dopóki tego nie zrobię, nie wydorosłeję. Zaoponowałałam, wykazując niesamowitą dojrzałość: „Pieprzę cię, Charlie Brownie!”... Niech to diabli. Chociaż właściwie to bez znaczenia, co które z nas powiedziało. Małżeństwo się rozpadło.

- Ale zachowałaś jego nazwisko.

- A czyjego miałam używać? - marszczy czoło. - Nigdy nie lubiłam być Amandą Price.

Nie bardzo mogłam wrócić do Amandy Myers, prawda? - Kończy zupę i prosi kelnera o

drugą kawę. - Poza tym Sean był dobrym człowiekiem. To nie jego wina, że miałam pewne

„problemy”. - Unosi filiżankę ze świeżą kawą i zdmuchuje parę. - Powiesz mi coś o Jennifer? Jak sądzisz, czy w przyszłości będziesz chodził z wózkiem dzieciennym?

Ben wzrusza ramionami.

- Chyba wszystko jest możliwe.

Zła odpowiedź - myśli Amanda, wbijając nóż w masło, a potem rozsmarowując je na bułeczce, którą wyjęła z koszyka.

- Czy kiedykolwiek występowałeś przeciwko niej w sądzie?

- Kilka razy.

- Kto wygrywa?

- Myślę, że jest remis.

- To znaczy, że Jennifer ma ile... dwa punkty przewagi nad tobą?

- Trzy. Śmieje się.

- Miło nam się rozmawia - przyznaje Ben.

- Tak.

- Mimo to nadal jestem na ciebie wściekły, że wczoraj postąpiłaś tak nieroztropnie.

Amanda uśmiecha się i nie dodaje: „przynajmniej tak to wyglądało”, chociaż sądząc po błysku w oku Bena, on myśli dokładnie to samo.

- Myślisz, że trafiłam na jakiś trop?

- To znaczy?

- Sama chciałabym wiedzieć.

Znów się śmieją, a dziewczyna dostrzega, że za każdym razem przychodzi im to z coraz większą łatwością.

- Może spróbowalibyśmy wszystko zrekapitulować... Ben odkłada łyżeczkę i skupia całą uwagę na Amandzie.

- W porządku. W ubiegłym tygodniu moja matka ze swoją przyjaciółką Corinne Nash jadła podwieczorek w foyer w Four Seasons. Zobaczyła, jak John Mallins i jego rodzina wracają do hotelu. Według Corinne moja matka wyglądała, jakby ujrzała upiora, co oznacza, że dopatrzyła się w Johnie Mallinsie kogoś znajomego. Na razie wszystko w porządku?

Ben kiwa głową,

- Następnego dnia wróciła do hotelu, zaczekała na Johna Mallinsa, a kiedy się pojawił, uraczyła go kilkoma kulkami. To oznacza, że John Mallins był nie tylko kimś, kogo znała, ale też tak bardzo nienawidziła, że postanowiła go zabić. - Amanda przerywa i próbuje uporządkować myśli, żeby zaprezentować je w odpowiedniej kolejności. - Według Hayley Mallins jej mąż przyjechał do Toronto uporządkować sprawy majątkowe po swej zmarłej matce. Tymczasem w miejscowych gazetach nie ma żadnej wzmianki o śmierci kogoś o nazwisku Mallins. Nadaje to wiarygodności teorii Rachel Mallins, że mężczyzna, który podawał się za Johna Mallinsa, wcale nie był Johnem Mallinsem, lecz człowiekiem, którego

ona zna tylko jako „Turka” i który, jej zdaniem, dwadzieścia pięć lat temu zamordował jej brata, prawdziwego Johna Mallinsa, żeby móc się posługiwać jego imieniem i nazwiskiem. Nadążasz?

- Z trudem - przyznaje Ben. - Zwłaszcza że z daniem Hayley Mallins jej mąż po rozwodzie rodziców wyjechał wraz z ojcem do Anglii.

- Może tylko tak jej powiedział.

- Ale też tak może wyglądać prawda. Amanda przytakuje.

- Podsumowując: albo moja matka zastrzeliła niewłaściwego człowieka, albo jest szalona, co do czego chyba wszyscy się zgadzają.

- A co ty o tym sądzisz?

- Sądzę, że musimy się dowiedzieć, kim naprawdę jest ów tajemniczy Turk.

## 18

Po lunchu Amanda towarzyszy Benowi w drodze powrotnej do gmachu sądu, obserwuje, jak on oddala sprawę z powodu uchybień formalnych, i czerpie prawdopodobnie większą radość, niż powinna, z niepokoju, który pojawia się na twarzy pani prokurator, co sprawia, że jej oblicze staje się jeszcze mniej atrakcyjne niż w rzeczywistości.

- Gratuluję, panie Myers - mówi.

Selena oraz jej matka ściskają Bena i dziękują mu. Amanda broni się przed chęcią zrobienia tego samego.

- Bułka z masłem.

Jego arogancja jest jeszcze bardziej atrakcyjna niż dziesięć lat temu - przyznaje Amanda z uśmiechem na ustach.

- Co teraz?

- Mam nadzieję, że dziewczyna będzie się trzymać z dala od kłopotów.

- Myślałam o nas. - Wybuchła nerwowym śmiechem, po czym niepotrzebnie chrząka. - Jakie mamy plany na resztę popołudnia?

- No cóż, nie wiem, jakie ty masz plany, ale ja muszę wracać do biura.

Ben wkłada gruby plik papierów do aktówki i szybko idzie w stronę windy. Amanda z trudem dotrzymuje mu kroku.

- Co z moją matką?

- A co ma być?

- Myślałam, że się do niej wybierzemy.

- Dzisiaj nie mogę.

- Przecież jutro jest jej rozprawa.

- Wystarczy, jeśli porozmawiamy z nią przed wejściem na salę.

W milczeniu zjeżdżają windą na parter. Amanda właśnie ma zamiar spytać, dlaczego



nagle tak bardzo spieszy mu się do biura, gdy Ben wskazuje korytarz na lewo.

- Pokój 102. Spróbuj być tam za piętnaście minut.

- Zaczekaj!

Dogania Bena, który zmierza w stronę wyjścia i otwiera drzwi. Czując chłodny podmuch wiatru na policzkach, krzyczy z powodu bólu i szoku.

Ben staje.

- Coś ci się stało?

- Mógłbyś zrobić coś z tą pogodą?

- O co ci chodzi? Nie lubisz minus dwudziestu stopni?

- A jak sądzisz, dlaczego przeprowadziłam się na Florydę?

- Nie wiem, dlaczego - odpowiada szczerze. - A ty wiesz? Amanda lekceważy pytanie i ewentualne implikacje.

- Chyba zostanę w Toronto jeszcze na kilka dni.

- Sądzę, że to dobry pomysł - zgadza się Ben.

Jego głos jest chłodny jak otaczające ich powietrze. Typowy głos prawnika - myśli Amanda - taki, jakim rozmawia się z klientami.

- Posłuchaj, co byś powiedział na kolację dziś wieczorem?

Stara się, żeby jej zaproszenie brzmiało niezobowiązująco, jakby ta myśl właśnie wpadła jej do głowy. Cieszy się, że szczykanie zębami maskuje drżenie głosu.

- Dziś nie mogę.

Ben idzie University Avenue, nie podając żadnych wyjaśnień.

- Uważam, że naprawdę powinniśmy porozmawiać o mojej matce - mówi Amanda szybko, jakby to właśnie był powód zaproszenia Bena na kolację.

- O czym mielibyśmy rozmawiać?

Dziewczyna chwyta Bena za rękę i zatrzymuje go na rogu University i Queen.

- Nie pozwolisz jej jutro przyznać się do winy, prawda?

- Nie.

- Jak masz zamiar ją powstrzymać?

- To tylko rozprawa dotycząca zwolnienia za kaucją. Aż do piątku twoja matka nie będzie miała szansy do niczego się przyznać.

Amanda odczuwa coś w rodzaju ulgi, a potem dziwi się, dlaczego.

- W porządku, dzięki temu przynajmniej zyskujemy trochę na czasie.

- Jeśli masz zamiar zostać, może powinnaś kupić sobie coś innego? - podpowiada Ben.

- O czym ty mówisz?

- O nowym płaszczu.

Ben uśmiecha się, a potem szybko przechodzi przez ulicę, nie czekając, aż zmienią się światła, i bez oglądania się macha ręką na pożegnanie.

Następne godziny Amanda spędza w Eaton Center, ogromnym, trzykondygnacyjnym centrum handlowym. Przypomina sobie czasy, kiedy było to największe centrum handlowe w Kanadzie. Niestety, podczas jej nieobecności wszystko się zmieniło. Niegdyś wielce szanowana sieć domów towarowych ogłosiła upadłość i została przejęta przez największego konkurenta. Ani na minutę nie można spuścić cię z oczu - myśli, widząc na wystawie jakiegoś sklepiku długą czarną kurtkę z kapturem. Wchodzi do środka.

- W czym mogę pani pomóc? - pyta młoda sprzedawczyni, nie czekając, aż klientka rozejrzy się po sklepie.

Sądząc po plakietce, dziewczyna ma na imię Monica. Może się poszczycić ogromną ilością jasnych loków i biodrówkami, które odsłaniają goły brzuch.

- Nie jest pani zimno? - pyta Amanda, nie mogąc się powstrzymać.

Sprzedawczyni jest najwyżej o pięć lat młodsza, niemniej Amanda odnosi wrażenie, że należy do całkiem innego pokolenia. Zastanawia się, od kiedy czuje się tak staro.

Monica potrząsa głową, jasne loki podskakują na jej czole tuż nad osadzonymi blisko siebie szaroniebieskimi oczami.

- Tutaj jest raczej dość ciepło. Szuka pani czegoś konkretnego?

- Podoba mi się kurtka na wystawie...

- Długa, czarna?

Przytakuje. Sprzedawczyni prowadzi ją między gęsto porozstawianymi wieszakami na tyły sklepu, do podszytych owczą wełną kurtek. Amanda szybko zdejmuje płaszcz i upuszcza go na podłogę. Później pozwala, by Monica pomogła jej ubrać się w czarną kurtkę, a potem przegląda się w wysokim lustrze na tylnej ścianie.

- Nie wolałaby pani czerwonej? - pyta Monica.

- Czerwonej?

- Czerń jest ładna i w ogóle... proszę mnie źle nie zrozumieć, bardzo dobrze pani w czerni... ale czerwien jest po prostu bajeczna. Powinna pani spróbować.

- Nie mam ochoty.

- Proszę mi zaufać - mówi Monica.

Na ustach Amandy błąka się uśmiech. Odkąd to można zaufać blondynkom z poskręcanyimi włosami i do tego w biodrówkach? Po chwili bez protestu wymienia czarną kurtkę na czerwoną.

- Wiedziałam - cieszy się Monica. - Wygląda pani wspaniale. Naprawdę w czerwieni jest pani bardzo do twarzy.

Amanda bacznie przygląda się swojemu odbiciu w lustrze. Jest zaskoczona, że podoba jej się to, co widzi. Gdzieś zniknęła przegrana kobieta, która jeszcze przed chwilą na rogu ulicy z żalem machała byłemu mężowi. Zamiast niej pojawiła się współczesna wersja kobiety o złej sławie, kobiety, którą w dawnych czasach społeczeństwo skazywało za cudzołóstwo na

noszenie na ubraniu szkarłatnej litery.

- Wezmę tę.

- Świetnie. - Monica z dziecięcym entuzjazmem klaszcze w dłonie. - Coś jeszcze?

- Nie wiem. Może coś mi pani podpowie?

- Mam fantastyczny fioletowy sweter.

- Fioletowy?

- Proszę mi zaufać - powtarza Monica.

Pół godziny później Amanda ze zdumieniem i zażenowaniem patrzy, jak dziewczyna podlicza w kasie jej zakupy. Po co mi zimowe ubrania na Florydzie?

- Popatrzmy, co tu mamy. Fioletowy moher, błękitny kaszmirowy golf, granatowe spodnie, czarne skórzane rękawiczki i, oczywiście, bajeczną czerwoną kurtkę. Będzie pani płacić gotówką czy kartą?

Amanda wyjmuje kartę kredytową i wręcza ją Monice.

- Czy mogę od razu ubrać się w tę kurtkę?

- To pani kurtka - przypomina Monica z uśmiechem, odsłaniając dwa rzędkie idealnych zębów. - Proszę. Tylko zdejmę metki.

Z ogromną wprawą odcina metki, potem podsuwa Amandzie czerwoną kurtkę.

- Jeśli pani chce, mogę zapakować płaszcz razem z pozostałymi rzeczami.

- Nie. Nie będę go zabierać.

- Słucham?

- Proszę dać go komuś, komu jeszcze się przyda.

- Jest pani pewna?

- Zdecydowanie.

- To bardzo miło z pani strony... pani Amando - mówi Monica, odczytując imię z karty kredytowej i drukując rachunek. - Kupiła pani piękne rzeczy. Mam nadzieję, że będzie się w nich pani dobrze czuła.

- Dziękuję.

Wsusza ręce w rękawy nowej kurtki i zapina ją, rozkoszując się cudownym ciepłem. Kto by się przejmował Benem Myersem? - myśli, nakładając na głowę podbity owczą wełną kaptur i wychodząc ze sklepu.

- Pani Amando! - woła sprzedawczyni. - Przepraszam panią, pani Travis!

Amanda odwraca się, przyciskając kurtkę do piersi na wypadek, gdyby Monica próbowała ją jej odebrać. „Pomyliłam się” - słyszy wyimaginowane przeprosiny dziewczyny. „Niestety, ta kurtka jest już sprzedana. Musi mi ją pani oddać”.

- Chyba pani czegoś zapomniała - mówi Monica, wyciągając rękę.

Na otwartej dłoni sprzedawczyni Amanda widzi wydruk bankowy i mały kluczyk.

- Wygląda na kluczyk od skrytki depozytowej.

- O mój Boże!

Zdaje sobie sprawę, że całkowicie zapomniała o kluczyku i wydruk z banku, które wyjęła z pudła po butach w garderobie matki.

- Dobrze, że sprawdziłam kieszenie.

- Bardzo dobrze - przyznaje Amanda.

- Na pewno chce pani zostawić ten płaszcz?

- Zdecydowanie.

- W takim razie jeszcze raz dziękuję.

- To ja dziękuję.

- Życzę miłego dnia.

Nie sądzę, by był dobry - myśli Amanda, wychodząc ze sklepu - ale teraz z pewnością stał się bardziej interesujący.

Tuż przed czwartą Amanda podjeżdża pod bank wymieniony na książeczce bankowej. Znajduje się on trzydzieści pięć minut jazdy od centrum miasta.

- Gdzie jesteśmy? - pyta taksówkarza.

Widzi na liczniku czternaście dolarów i siedemdziesiąt pięć centów, o siedem dolarów więcej niż kwota na koncie matki. Wyjmuje z torebki banknot dwudziestodolarowy i podaje go kierowcy. Ta wyprawa drogo będzie ją kosztowała.

- W North York - odpowiada mężczyzna z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem.

Dlaczego matka wybrała bank tak daleko od miasta, chociaż w centrum miała ich pod dostatkiem?

- Radzę się pospieszyć - podpowiada mężczyzna. - Za dwie minuty zamykają.

Cholera - myśli Amanda, widząc, jak kilka osób opuszcza bank. Zastanawia się, czy ją jeszcze wpuszczą.

- Proszę zachować resztę - mówi taksówkarzowi, po czym otwiera drzwi samochodu i pędzi do wejścia.

Widzi, jak pracownica banku idzie w stronę drzwi z dużym pękiem kluczy.

- Nie będę długo - obiecuje chudej, młodej kobiecie, która dzięki kędzierzawym włosom sprawia wrażenie wyższej przynajmniej o siedem centymetrów.

- Proszę się nie spieszyć - odpowiada kobieta z miękkim akcentem typowym dla Jamajki, zamykając drzwi za Amanda.

Była żona Bena szybko rozgląda się po wnętrzu banku, próbując zaplanować następny ruch. Bank jest stosunkowo przestronny i nowoczesny, tu i ówdzie kręci się jeszcze kilku klientów. Może fakt, że to koniec dnia, zadziała na jej korzyść? Kasjerzy i kasjerki dokonują ostatnich rozliczeń. Jest szansa, że dzięki temu nie zwrócą uwagi na całkiem obcą osobę i nie będą zbyt uważnie przyglądać się podpisowi, który ma jej umożliwić zajrzenie do skrytki w

skarbcu na tyłach banku. Oczywiście, Amanda ma spore szanse na to, żeby ich oszukać. Przez tyle lat w szkole średniej podrabiała podpisy matki, że stała się w tej dziedzinie ekspertem.

„Widzę, że teraz w dodatku podrabiasz podpis matki, chcąc włamać się do jej skrytki depozytowej - słyszy pełen dezaprobaty szept Bena. - Za coś takiego mogą cię pozbawić uprawnień adwokackich”.

Zdejmując nowe czarne, skórzane rękawiczki, Amanda dostrzega, że ze zdenerwowania drżą jej ręce. Przechodzi wzdłuż kas przy jasnofioletowej, zachodniej ścianie banku.

- Chciałabym dostać się do swojej skrytki - wyjaśnia kobiecie, która przerzuca plik czeków po drugiej stronie lady.

- Proszę chwileczkę poczekać - mówi urzędniczka, nie podnosząc głowy.

Świetnie - myśli Amanda. Podoba mi się pani podejście. Żadnego uśmiechu ani pytania, jak się miewam. Proszę mi tylko nie życzyć miłego dnia. Niech pani po prostu łaskawie przespaceruje się ze mną i wpuści mnie do tego cholernego skarbcza.

Kobieta wzdycha z wyraźną frustracją i niecierpliwym gestem przeczesuje palcami krótkie brązowe włosy.

- Dlaczego mi się nie zgadza? - mamrocze pod nosem. Wiem, co pani czuje - pociesza ją Amanda, przestępując z nogi na nogę i rozkoszując się ciepłem nowej kurtki. Słyszy dobiegający zza pleców podniesiony głos, więc ogląda się przez ramię.

- Nie rozumiem, dlaczego musi pani sprawdzać mój czek? - pyta oburzona klientka.

- To nie jest czek stąd, proszę pani - wyjaśnia kasjerka. - Tak wygląda procedura w naszym banku.

- Jestem waszą klientką od ponad trzydziestu lat. Od czasu, kiedy jeszcze nie było pani na tym świecie.

- Bardzo mi przykro, ale...

- Chcę rozmawiać z dyrektorem.

Amanda patrzy na krzyżujące się mokre ślady butów na ciemnej podłodze. Tak samo długo klientką tego banku jest moja matka - myśli, pokonując chęć ucieczki. Może uda mi się podrobić jej podpis, ale nikogo nie zdołam przekonać, że jestem Gwen Price. Może któryś z kasjerów zna moją matkę. Może przeczytał w gazecie o strzelaninie, a przynajmniej przypomni sobie nazwisko. Wtedy zorientuje się, że udaję kogoś, kim nie jestem. Co wtedy zrobią? Wyrzucą mnie? Zadzwonią na policję? Ben będzie wściekły, jak się dowie.

Zrozpaczona kasjerka odkłada czeki i ze znużonym uśmiechem unosi głowę.

- Chce się pani dostać do skarbcza? - pyta, podsuwając jej formularz do podpisu.

Jeszcze jednego mogę być pewna: teraz już za późno, żeby się wycofać.

Amanda wpisuje na formularzu nazwisko matki, a potem wstrzymuje oddech, kiedy

kasjerka sprawdza podpis z tym, który widnieje w dokumentach.

- Tędy, proszę - mówi urzędniczka.

Bez zmruczenia oka prowadzi Amandę w stronę imponującego stalowego skarbca w tylnej części pomieszczenia. Nagle zatrzymuje się, odwraca głowę i bacznie przygląda się Amandzie.

- Och! - mówi.

Amanda czuje się tak, jakby ręce kobiety zacisnęły się na jej szyi. Powiedz kasjerce, że to pomyłka i że ostatnio robisz dziwne rzeczy. Amanda przypomina sobie niego czy też mężczyznę, który podawał się za Johna Mallinsa. Ostatnio naprawdę robię dziwne rzeczy - myśli i niemal wybucha śmiechem. To chyba zaraźliwe.

- Pani kurtka - mówi kasjerka.

- Moja kurtka?

- Tak. Bardzo mi się podoba. Gdzie ją pani kupiła?

- W małym sklepiku w Eaton Center.

- Jest bajeczna. Bardzo lubię ten kolor.

Otwiera skarbiec, cofa się i wpuszcza Amandę przodem.

- Dziękuję.

- Nie mogę nosić czerwieni, chociaż bardzo bym chciała. Błado w niej wyglądam. -

Otwiera sejf za pomocą swojego klucza, a potem Amandy. - Może pani wejść tam. -

Wskazuje na maleńką przestrzeń osłoniętą kurtyną. - No cóż, zna pani zasady.

Długie stalowe pudło ciąży w rękach Amandy.

- Dziękuję. To nie potrwa długo.

- Nie ma sprawy.

To pani tak sądzi - mówi Amanda w myślach, patrząc, jak kobieta się oddala, a potem wchodzi do maleńkiej kabiny i zaciąga jasnioletową kotarę. Przez kilka sekund wbija wzrok w długą stalową skrzynkę, jakby to wystarczyło, by poznać jej zawartość.

- Daj spokój. Na co czekasz?

Czekam, aż wpadną tu gliniarze i mnie aresztują. Po chwili dochodzi do wniosku, że w takim razie może przynajmniej dać im powód do aresztowania, więc otwiera skrzynkę i zagląda do niej.

Z pewnością nie tego się spodziewała.

Ciężko dyszy i opiera się o zasłonę. Jest jej jednocześnie gorąco i zimno, kręci jej się w głowie i ma nogi jak z ołowiu.

- Dobry Boże! - wzdycha, sięgając do skrzynki i muskając palcami pliki studolarówek.

- Co się tu, do diabła, dzieje?

Skąd matka wzięła tyle pieniędzy? Jest tu przynajmniej sto tysięcy dolarów - oblicza szybko. Tymczasem stan konta wynosi zaledwie siedem dolarów i siedemdziesiąt pięć

centów. Co jest, do diabła, grane?

Wpatruje się w pieniądze. Po jakimś czasie zza kurtyny dobiega szuranie stóp, a potem dyskretne kasznięcie.

- Przepraszam najmocniej, czy wszystko w porządku? - pyta głos.

Amanda zamyka skrzynkę, przez chwilę stara się opanować, a dopiero potem odciąga kurtynę i wychodzi ze sztucznym uśmiechem na ustach.

- Przepraszam - mówi kasjerka. - Normalnie raczej nie przerywamy klientom, ale siedzi pani tu tak długo, a...

Dziewczyna zerka na zegarek i ze zdumieniem stwierdza, że minęło ponad dwadzieścia minut.

- Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest już tak późno.

- Po prostu chcielibyśmy już zamknąć.

- Rozumiem.

Wręcza skrzynkę kasjerce i patrzy, jak kobieta ostrożnie wsuwa sejf na swoje miejsce. Amanda wzdycha w myślach: „Proszę, Boże, pozwól mi stąd wyjść, nim zemdleję”.

- Czy chciałaby pani coś jeszcze dziś u nas załatwić? - pyta kasjerka, prowadząc ją z powrotem do głównego pomieszczenia.

Amanda z ogromnym trudem stawia stopę przed stopą.

- Nie. Myślę, że na dzisiaj wystarczy.

Młoda kobieta z kluczami odprowadza ją do drzwi wejściowych.

- Piękna kurtka - mówi, otwierając je.

Dziewczyna czeka, aż drzwi za jej plecami zostaną zamknięte, a potem siada na krawężniku i ukrywa twarz w dłoniach.

- Dlaczego jutro muszę się wyprowadzić? - pyta z niedowierzaniem recepcjonistę w Four Seasons.

Młody człowiek uśmiecha się cierpliwie.

- Prawdę mówiąc, powinna się pani wyprowadzić dziś rano.

- Postanowiłam zostać do końca tygodnia.

- Bardzo chciałbym pani pomóc. Naprawdę. Niestety, zrobiła pani rezerwację tylko na dwa dni. Jeszcze dzisiaj możemy panią przenocować, ale, niestety, od jutrzejszego południa wszystkie pokoje są zarezerwowane.

- Nie macie żadnego wolnego miejsca?

- Niestety, nie. Może zadzwonić do któregoś z pobliskich hoteli...

- Nie, nie ma sprawy. Dziękuję. Amanda odsuwa się od biurka.

Kiedy wchodzi do czekającej windy, przez jej głowę przelatują różne myśli: moja matka trzyma sto tysięcy dolarów w banknotach studolarowych w bankowym sejfie po przeciwnej stronie miasta; powinnam zadzwonić do swojego biura i powiedzieć, że wrócę

dopiero w przyszłym tygodniu; muszę znaleźć pokój w innym hotelu; moja nowa kurtka jest cudownie ciepła; od dziś moim nowym ulubionym kolorem jest czerwień; moja matka trzyma sto tysięcy dolarów w banknotach studolarowych w bankowym sejfie po przeciwnej stronie miasta...

## 19

Nazajutrz Amanda ponownie przyjeżdża do nowego gmachu sądu, tym razem dokładnie za piętnaście dziewięta. Na korytarzach są już tłumy ludzi - głównie osobników, którzy wyglądają na zmęczonych prawników w niedopasowanych garniturach. Z pełną rozwagą biegają oni z jednego końca korytarza na drugi i zatrzymują się na krótką pogawędkę z kolegami po fachu albo rozmowę z klientem. Policjanci w mundurach tworzą niewielkie niebieskie grupki i podejrzliwie zerkają na źle wychowanych, przygarbionych młodych mężczyzn w zbyt obszernych dżinsach. Nie brak też zdenerwowanych rodziców, którzy siedzą na niewygodnych drewnianych ławkach poustawianych pod wysokimi ścianami, powstrzymują łzy i próbują zapewniać się nawzajem, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy spaceruje po korytarzu, rozglądając się za Benem, czuje, że wszyscy na nią patrzą. Wyróżniam się w tłumie jak rajski ptak - myśli, rozpinając czerwoną kurtkę i poprawiając torbę, która ciąży jej na ramieniu. Raczej jak dojrzały pomidor - poprawia się. Po chwili ulega pokusie, jaką stanowi pusta ławka. Siada na niej, stawia torbę podróżną na podłodze i zamyka oczy. W nocy dość kiepsko spała, czemu trudno się dziwić. W jej głowie kotłowały się sprzeczne myśli. W jednej chwili próbowała sobie wmówić, że jej matka zawsze była ekscentryczką, nic więc dziwnego, że przechowuje taką furę pieniędzy w skrytce depozytowej w banku za miastem; po chwili przypominała sobie, że ekscentryzm i szaleństwo to nie to samo, a trzymanie tak dużej sumy pieniędzy w ukryciu to raczej czyste szaleństwo. A zresztą dlaczego Gwen Price trzyma sto tysięcy dolarów w studolarówkach i co łączyło ją z Johnem Mallinsem - jeśli w ogóle coś ją z nim łączyło i jeżeli John Mallins to naprawdę John Mallins, a jeśli nie, to kim on, do diabła, był, i czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? Na razie jednak jedyna rzecz, która naprawdę ma jakieś znaczenie, to gdzie ona ma się zatrzymać na kilka następnych dni.

- Co ja tu, do diabła, ciągle robię? - szepcze w kaptur nowej kurtki.

Przypomina sobie, że tego ranka odwołała rezerwację na samolot powrotny, i wciąż słyszy wyraźne zadowolenie w głosie swojej sekretarki, kiedy powiedziała jej przez telefon, że wróci dopiero w przyszłym tygodniu.

- Jak się czujesz po ponownym spotkaniu? - spytała Kelly konspiracyjnym szeptem.

- Po jakim ponownym spotkaniu? - odpowiedziała Amanda pytaniem, mając nadzieję, że władczy ton ostudzi ciekawość młodej kobiety.

- Z Benem Myersem - uściśliła Kelly, nie wychwytyjąc delikatnej aluzji.



- Dziwnie.

Wypowiedziawszy to słowo, Amanda zdała sobie sprawę, że jest ono nieodpowiednie. Co prawda sytuację, dzięki której odnowiła kontakty z Benem, rzeczywiście można było uznać za dziwną, trudno jednak to samo określenie zastosować do wspólnie spędzanych chwil. Początkowe skrepowanie szybko przerodziło się w dobrą komitywę, której źródłem była stara znajomość i obopólny, choć chwilami niechętny szacunek. Mówiąc wprost, dobrze się czuła w towarzystwie Bena - jakby wróciła do domu.

- Zostaję tu do weekendu - powiedziała sekretarce, machnięciem ręki odpędzając od siebie przykre uczucie.

Co się ze mną dzieje? - zastanawia się teraz Amanda. Otwiera oczy, gdy słyszy odgłos kroków, a potem znów je zamyka, bo mężczyzna, który usiadł na drugim końcu ławki, to nie Ben. Skąd bierze się obsesja na punkcie człowieka, od którego odeszłam osiem lat temu? - pyta samą siebie. Ben z całą pewnością nie traci czasu na rozmyślanie o mnie. Nie, mili państwo. Ben ma swoje biuro, swoje sprawy i swoją Jennifer. „Dziś wieczorem nie mogę” - odpowiedział, gdy zaprosiła go na kolację. Co więcej, nawet nie próbował się usprawiedliwiać. Mimo to tak dziwnie na nią patrzył, jakby...

- Nic z tego. Już to kiedyś przerabiałś.

- Słucham? - pyta mężczyzna z drugiego końca ławki. - Mówiła pani do mnie?

- Co takiego? Nie, nie. Przepraszam.

Mężczyzna kiwa głową i odwraca się. Chwilę później na ławce między nimi siada kobieta w grubej kurtce. Z trudem wciska się na wolne miejsce i zerka na nią.

- Ładna kurtka - mówi.

Amanda dziękuje jej uśmiechem, a potem patrzy na zegarek. Jest pięć po dziewiątej, a Bena wciąż nie ma. Poprzedniego wieczoru po powrocie do hotelu powinna do niego zadzwonić i powiedzieć mu o wyprawie do banku oraz szokującym odkryciu. Dlaczego tego nie zrobiła? Bo wiedziała, że Ben będzie zły? Bo zataiła przed nim, że znalazła kluczyk do skrytki depozytowej? Bo poszła do banku bez niego? Bo podrobiła podpis matki i pod fałszywym pretekstem otworzyła jej sejf? Bo wiedziała, że usłyszy w jego głosie dezaprobatę?

A może bała się, że w ogóle nie usłyszy jego głosu?

Po chwili dziewczyna przypomina sobie, że Ben już wcześniej miał jakieś plany na wieczór. Plany, które nie uwzględniały jej osoby.

Czy dlatego właśnie nie zadzwoniła?

- Dlaczego przyszłaś do sądu z taką ogromną torbą? - słyszy nagle pytanie.

Otwiera oczy. Przed nią stoi Ben w granatowym garniturze i ciemnopopielatym płaszczu. Ze zdumieniem przygląda się torbie podróźnej.

- O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że masz zamiar zostać do końca tygodnia.

Amanda podrywa się z ławki.

- Wywalili mnie z hotelu. Spóźniłeś się.

- Przepraszam - mówi bez wyjaśnienia. - Nowa kurtka?

- Podoba ci się?

- Wspaniały kolor. - Ben bierze torbę podróżną, ujmuje ją pod ramię i prowadzi ją korytarzem. - Twoja matka jest w sali na parterze. - Wskazuje na koniec korytarza. - Za kilka minut powinni wprowadzić ją tymi schodami.

- Zanim ją zobaczę, chcę ci coś powiedzieć - zaczyna Amanda.

Obok nich przechodzi mężczyzna w średnim wieku z przerzedzonymi siwymi włosami.

- Cześć, Sam - mówi Ben. - Wszystko w porządku? Mężczyzna, nie zatrzymując się, potrząsa głową.

- Wygląda na to, że mój szacowny klient wpadł w nocy w szal i omal nie zabił swojego współtowarzysza z celi. Normalne gówno. A co u ciebie?

- Też normalne gówno - zgadza się Ben, po czym ponownie kieruje całą uwagę na Amandę.

- To było bardzo pochlebne określenie.

Ben uśmiecha się promiennie. W kącikach jego oczu pojawiają się kurze łapki.

- O czym to mówiłaś? Amanda przez chwilę się waha.

- Powiedz mi, gdzie mogłabym się zatrzymać na kilka dni. Już obdzwoniłam kilka hoteli. Wygląda na to, że nigdzie nie ma miejsc.

- Nie widzę problemu.

- Naprawdę?

- Wydaje mi się, że rozwiązanie jest całkiem oczywiste.

- W takim razie słucham.

Nigdy nie byłam dobra w tym, co oczywiste - przyznaje w myślach, przypuszczając, że Ben zaproponuje jej, by zatrzymała się u niego. Zastanawia się, czy to naprawdę byłby taki dobry pomysł. Nie chce zaczynać czegoś, co trudno byłoby jej skończyć. Owszem, nie miałyby nic przeciwko przelotnemu romansowi, ale Ben już dawno temu udowodnił, że nie nadaje się do przelotnych romansów.

- Przecież masz klucz - wyjaśnia Ben, przerywając jej wewnętrzny monolog.

- Słucham? - Skąd on wie o kluczu? - Skąd wiesz?

- Jak możesz pytać, skąd wiem? Widziałem, jak ci go dała.

- O czym ty mówisz?

- O Corinne Nash.

- Corinne Nash?

- Dobrze się czujesz, Amando?

Prawda powala ją jak niespodziewany lewy sierpowy.

- Mówisz o kluczu do domu mojej matki?

- A o jakim innym kluczu miałbym mówić?

- Nie mogę się tam zatrzymać.

- O jakim innym kluczu miałbym mówić? - powtarza Ben, zaciskając palce na jej łokciu i zatrzymując ją. - Amando, o czym ty mówisz?

- Znalazłam klucz do skrytki depozytowej mojej matki - przyznaje Amanda.

- Co takiego? Gdzie?

- W pudełku po butach w jej garderobie.

Na twarzy Bena widać dezorientację, przeblysk zrozumienia i ponownie dezorientację.

- A nie powiedziałaś mi o tym, bo...

- Bo wrzuciłam kluczyk do kieszeni i całkiem o nim zapomniałam.

Amanda uznaje, że w jej słowach jest przynajmniej część prawdy. Rzeczywiście wrzuciła kluczyk do kieszeni. I rzeczywiście o nim zapomniała.

- Myślę, że to nie koniec twojej opowieści.

- Wczoraj poszłam do banku i otworzyłam skrytkę depozytową.

- Proszę, powiedz, że żartujesz.

- Nie uwierzysz, co znalazłam.

- Owszem, nie uwierzę, ale w to, że mogłaś zrobić coś tak głupiego.

- Znalazłam pieniądze, Benie.

- Złamałaś prawo, Amando.

- Sto tysięcy dolarów.

- Co takiego?

- Sto tysięcy dolarów w banknotach studolarowych. Jak sądzisz, co to może oznaczać?

- pyta Amanda w ciszy, która nagle zapada.

Ben potrząsa głową.

- Nie mam pojęcia.

- Oto i ona.

Wskazuje brodą na matkę, która pojawia się na górnym podeście schodów.

Gwen Price stoi w środku niewielkiej grupki więźniarek. Wszystkie mają takie same brzydkie, ciemnozielone dresy z neonoworóżowymi wypustkami. Policjantka po kolei ostrożnie zdejmuje więźniarkom kajdanki.

- Możesz w to uwierzyć? - szepcze Amanda, obserwując scenę jak część niemiłego snu. - Ona się uśmiecha.

- Jest bogata - przypomina Ben, prowadząc Amandę przez przeszklone drzwi do pomieszczenia, w którym czekają więźniarki. - Ben Myers - przedstawia się policjantce, pokazując dowód. - Jestem adwokatem Gwen Price. To Amanda Travis. Chcielibyśmy przez

kilka minut porozmawiać z naszą klientką na osobności.

Jest w tym przynajmniej część prawdy - myśli ponownie Amanda, gdy policjantka odprowadza ich nieco na bok, żeby zapewnić im odrobinę prywatności, a jednocześnie nie stracić oskarżonej z pola widzenia. Ben rzeczywiście jest adwokatem Gwen Price. A ona rzeczywiście jest Amandą Travis.

- Ślicznie wyglądasz - mówi matka, wyraźnie ucieszona widokiem córki. - Do twarzy ci w tym kolorze.

Amanda otwiera usta, żeby się odezwać, ale nie wypowiada żadnych słów. Zastanawia się, kim jest ta kobieta.

- Jak się pani dzisiaj miewa? - pyta Ben.

Gwen Price masuje nadgarstki wciąż czerwone po kajdankach.

- Świetnie, dziękuję, Benie. Chociaż cieszę się, że nie cierpię na klaustrofobię. W tej ponurej suce, czy jak oni ją tam nazywają, nie ma ani odrobiny powietrza, a my byliśmy ściśnięte jak sardynki i trudno było oddychać. Czy stało się coś złego? - pyta Amandę.

- Złego? Dlaczego miałyby się stać coś złego? - odpowiada córka z niedowierzaniem w głosie.

Przypomina sobie *Inwazję łowców ciał*, stary film, w którym przybysze z kosmosu opanowują podczas snu ludzkie ciała. Przyszedłeś za późno - mówi w myślach do istoty pozaziemskiej, którą dostrzega w oczach matki. Za późno.

- Musimy omówić kilka spraw, proszę pani.

- Naprawdę nie mam nic do powiedzenia, Benie. Chcę jedynie przyznać się do winy.

- Dzisiaj rozpatrywana będzie sprawa zwolnienia za kaucją - próbuje wyjaśnić Ben. - Chcemy spróbować wyciągnąć panią z więzienia, przynajmniej do procesu.

- Nie będzie żadnego procesu. Mam zamiar przyznać się do winy.

- Jest to jeszcze jedna ze spraw, o której musimy porozmawiać.

- W takim razie nie mamy o czym rozmawiać - powtarza z uporem Gwen Price.

- Mamo - przerywa Amanda.

- Tak, kochanie?

„Kochanie”?! Kim jest ta kobieta? - zastanawia się Amanda.

- Dlaczego trzymasz sto tysięcy dolarów w skrytce depozytowej w North York?

Twarz matki staje się szara jak popiół i wyraźnie odcina się od ciemnozielonego stroju więziennego.

- O czym ty mówisz?

- Znalazłam pieniądze, mamo.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie wierzę ci.

- Gówno mnie to obchodzi.

W końcu - myśli Amanda. Oto kobieta, którą znam i której nie cierpię.

- W pudle po butach w twojej garderobie znalazłam kluczyk. Dokładnie w tym samym pudle, w którym kiedyś przez przypadek odkryłam...

- Dlaczego przeszukiwałaś moją garderobę? - przerywa jej ze złością matka.

- Dlaczego trzymasz taką gotówkę?

W odpowiedzi matka odwraca się do okna i odgarnia ręką włosy.

- Dlaczego te pieniądze leżą ukryte w bankowym skarbcu kawał drogi za miastem?

Amanda czuje na ramieniu nacisk dłoni Bena - milczące ostrzeżenie, żeby mówiła ciszej.

- Uważam, że mam prawo trzymać pieniądze tam, gdzie mi się podoba - oświadcza matka.

- Jak sądzisz, co zrobi policja, kiedy się o nich dowie?

- Pieniądze to nie ich sprawa - zapewnia matka spokojnie. - Ani twoja.

- Skąd je masz?

- Czy to coś zmienia?

- Czy mają coś wspólnego ze śmiercią Johna Mallinsa?

- Jak sądzisz, Benie - mówi Gwen Price, odwracając się od córki - czy nie powinniśmy wejść na salę?

- Czy ktoś ci zapłacił za zamordowanie tego człowieka?

Wypowiedziane na głos pytanie szokuje Amandę niemal w takim samym stopniu jak jej matkę. Czyżby naprawdę myślała, że Gwen Price jest najemnym mordercą?

- Ależ skąd! - odpowiada Gwen ze śmiechem. - To śmieszne.

- Nie tak śmieszne jak zastrzelenie człowieka bez żadnego powodu.

- Nikt mi nie zapłacił za zastrzelenie Johna Mallinsa.

- W takim razie skąd wzięłaś tyle pieniędzy? Matka wzdycha, ale niczego nie wyjaśnia.

Amanda wbija wzrok w sufit i unosi ręce na znak, że się poddaje.

- Jesteś niewiarygodna.

- A ty zupełnie niepotrzebnie się denerwujesz. Może weszlibyśmy do środka i mieli już wszystko z głowy?

- Zawołają nas, gdy będą gotowi - zapewnia Ben.

- Kim jest Turk, mamó? - pyta Amanda.

Szara twarz matki robi się śmiertelnie blada, jakby gwałtownie odpłynęła z niej krew. Oczy Gwen robią się okrągłe, usta otwierają się, wargi drżą. Starsza pani sprawia wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć, mimo to milczy, choć nie zamyka ust.

- Kto to taki, mamó?

Nagle matka odzyskuje rezon. Głęboko oddycha raz i drugi, potem zamyka usta, a na jej twarzy pojawia się wymuszony uśmiech.

- Przepraszam, o jakie nazwisko ci chodzi?

- Turk - powtarza Amanda ze znużeniem.

Zdaje sobie sprawę, że dalsza rozmowa jest bezsensowna, że odsłoniła wszystkie karty, pokazała, co ma na ręku, i nie zostawiła sobie żadnego asa w rękawie. Matka przez chwilę była wyraźnie zaszokowana, ale potem szybko się opanowała. Trudno oczekiwać od niej jakichś rewelacji.

- Wydaje mi się, że nie znam nikogo takiego.

- Myślę, że znasz.

Matka przymyka oczy i udaje, że się zastanawia.

- Nie sądzę, kochanie.

Jeśli jeszcze raz powie do mnie „kochanie”... - myśli Amanda, zaciskając pięści.

- Nie wierzę ci.

- Masz do tego prawo.

- Nie tylko dobrze wiesz, kim był Turk - ciągnie Amanda zachrypniętym szeptem - ale myślę, że to właśnie jego zastrzeliłaś w foyer Four Seasons.

Matka próbuje się roześmiać, ale przez zaciśnięte gardło wydobywa się jedynie dźwięk, który bardziej przypomina wycie.

- A ja myślę, że w dzieciństwie musiałaś przeczytać zbyt dużo książek Nancy Drew.

- Skąd możesz wiedzieć, co robiłam w dzieciństwie?

Nagła wściekłość, którą słysząc w głosie córki Gwen, odbija się echem od ścian i płynie wzdłuż korytarza.

- Amando... - ostrzega Ben.

- Jak śmiesz - wyrzuca z siebie Amanda, czując, że łzy zasnuwają jej oczy, płyną po policzkach i wsiąkają w turkusowy golf nowego kaszmirowego swetra. - Jak śmiesz twierdzić, że cokolwiek o mnie wiesz?

- Przepraszam - mówi matka i wbija wzrok w podłogę.

- Amando - wtrąca Ben łagodnie - to nie czas ani miejsce.

- Jakież problemy? - pyta policjantka, podchodząc ostrożnie i dając znak stojącemu w pobliżu koledze, by się do niej przyłączył.

- Nie, wszystko w porządku - zapewnia Ben.

- Nic nie jest w porządku - oponuje dziewczyna po cichutku.

- Na pewno nie potrzebuje pan pomocy? - Policjantka przenosi wzrok z Bena na Amandę, potem na jej matkę, a na koniec wraca do Bena.

- Myślę, że to już koniec naszej rozmowy - mówi Gwen.

- Myślę, że dopiero początek - protestuje jej córka.

- Dajcie nam jeszcze kilka minut - prosi Ben policjantów, którzy cofają się o kilka kroków, ale teraz bacznie ich obserwują.

- Ona jest bardzo ładna, prawda? - pyta Gwen, jakby to był najlogiczniejszy dalszy ciąg dotychczasowej rozmowy.

- O kim ty mówisz, mamó?

- O policjantce. Ma na imię Kolleen, przez „K”. Gdyby nie mundur, nikt by się nie domyślił, że jest policjantką.

- Proszę pani...

- Człowiek sobie wyobraża, że policjanci to wysocy, potężnie zbudowani faceci o grubych szyjach, a potem spotyka kogoś takiego jak Kolleen. Ona ma mniej więcej tyle samo wzrostu co ty, Amando - ciągnie Gwen, nie patrząc na córkę - jest drobnutka, szczuplutka, niezbyt muskularna, chociaż widać, że nie brakuje jej siły. Myślę, że ma czarny pas w karate albo coś w tym stylu.

- Gównó mnie obchodzi Kolleen - przerywa Amanda, wściekła, że nie jest w stanie opanować łez.

- A mnie gównó obchodzi facet o nazwisku Turk - odpowiada matka.

- Ale z pewnością wiesz, kto to taki.

Gwen Price odwraca się w stronę córki, uśmiecha się smutno i powoli do niej podchodzi. Opuszkami palców delikatnie ociera jej łzy z twarzy.

- Przykro mi, że byłam dla ciebie taką złą matką - szepcze, a jej oczy również zasnuwają się łzami.

Amanda gwałtownie odpycha rękę matki i cofa się, jakby otrzymała potężny cios.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - pyta.

Otwierają się drzwi sali sądowej 102. Na korytarz wychodzi potężnie zbudowany mężczyzna o zaskakująco wysokim głosie.

- Gwen Price! - woła, spoglądając w stronę więźniarek. Gwen kiwa głową.

- To ja - odpowiada beztrząsco, po czym odwraca się do Bena. - Czy możemy już wejść?

## 20

Wchodząc do środka za matką i Benem, Amanda uznaje, że sala sądowa jest bardzo podobna do wczorajszej. Może trochę mniejsza i nieco mniej zatłoczona, ale wypełniają ją tak samo poważne twarze i jest tak samo duszno.

- Chcesz, żebym zeznawała? - pyta Bena, gdy siadają w pierwszym rzędzie ławek dla widzów.

- Chyba żartujesz - odpowiada Ben kąciakiem ust. - Sama powiedziałaś, że jeśli to zrobisz, w Kanadzie natychmiast zostanie przywrócona kara śmierci.

- Będę grzeczna - zapewnia Amanda. - Pozwól mi.

- O czym rozmawiacie? - pyta matka, gdy po raz drugi pada jej imię i nazwisko.

Ben prowadzi Gwen na miejsce dla oskarżonego w przedniej części sali, wysuwa krzesło i czeka, aż starsza pani usiądzie.

- Oddaję głos obronie - mówi sędzia.

Amanda próbuje zapamiętać jego dużą głowę, cofającą się linię włosów i zebrane na samym środku twarzy oczy, usta i nos, wskutek czego wygląda, jakby bez przerwy był ściskany przez zamykające się drzwi windy.

- Panie sędzio... - zaczyna Ben.

- Przyznaję się do winy - oświadcza Gwen, wstając z krzesła.

- Słucham?

Brwi sędziego przesuwają się w stronę nasady bulwiastego nosa. Mężczyzna przygląda się oskarżonej z mieszaniną rozbawienia i niedowierzania.

- Proszę usiąść - mówi Ben do swojej klientki. Gwen uparcie stoi.

- Chcę się przyznać do winy, panie sędzio.

- Nawet jeśli tak - informuje ją sędzia - dzisiaj spotkaliśmy się nie po to, by rozpatrywać pani winę, lecz żeby zastanowić się nad ewentualną kaucją...

- Nie chcę wychodzić na wolność za kaucją, panie sędzio - upiera się Gwen.

- Panie obrońco, może dam panu kilka minut, żeby przedyskutował pan tę sprawę ze swoją klientką?

- Nie ma takiej potrzeby, panie sędzio - zapewnia go Gwen. - Nie zależy mi na zwolnieniu za kaucją. Jestem winna i powinnam siedzieć w więzieniu.

- Panie sędzio - wtrąca się Ben. - Jeśli pan pozwoli, proszę o pięć minut przerwy...

- Nie chcę żadnej przerwy - protestuje Gwen. - Żądam, żeby z powrotem umieszczono mnie w więzieniu.

- Wygląda na to, panie Myers, że pańska klientka już podjęła decyzję.

- Panie sędzio, moja klientka przechodzi przez bardzo trudny okres.

- To kłamstwo - zapewnia Gwen.

- Siadaj, Gwen! - Tym razem głos Bena jest szorstki i urywany. Wyraźnie słychać w nim frustrację.

Gwen wzrusza ramionami i niechętnie siada.

- Panie obrońco, pańska klientka jest oskarżona o morderstwo. Twierdzi, że jest winna. Uważam, że jeśli chce wrócić do więzienia, powinniśmy jej na to pozwolić.

- Panie sędzio, pomimo okropnego przestępstwa, o które jest oskarżona - wtrąca szybko Ben - pani Price nie jest osobą groźną dla otoczenia i z pewnością nigdzie nie ucieknie...

- Zastrzeliłam zupełnie obcego człowieka - przypomina Gwen. - Czy to oznacza, że rzeczywiście nie jestem groźna dla otoczenia?

- Na litość boską, mamó...



Amanda podrywa się z ławki i wychodzi na środek sali.

Sędzia stuka młotkiem, a woźny sądowy próbuje ją zatrzymać.

- To córka oskarżonej, panie sędzio - wyjaśnia Ben. - Pracuje jako adwokat na Florydzie. Wzięła urlop, żeby w trudnym okresie być z matką. Jest gotowa zostać i zaopiekować się Gwen Price...

- Nie potrzebuję niczyjej opieki! - Oskarżona rumieni się z oburzenia.

- Lepiej by było, gdyby się pani nie odzywała - zwraca jej uwagę sędzia. - Takimi wyskokami nie pomaga pani swojej sprawie.

- I o to chodzi, panie sędzio. Nie chcę pomagać swojej sprawie. Chcę się przyznać do winy. Chcę iść do więzienia.

- W porządku. - Sędzia zdecydowanie uderza młotkiem. - Nie zgadzam się na zwolnienie za kaucją. Proszę wyprowadzić więźniarkę.

- Dziękuję, panie sędzio.

Gwen Price z uśmiechem spogląda na policjanta, który podchodzi, żeby wyprowadzić ją z sali.

- Wpadnę później, żeby z panią porozmawiać - zapowiada Ben.

- Nie ma takiej potrzeby - rzuca Gwen przez ramię. - Cieszę się, że cię znów zobaczyłam, Amando. Życzę miłej drogi powrotnej na Florydę.

- Cholera! - klnie Amanda po cichutku.

Sędzia kręci głową, jakby chciał powiedzieć: „Czegoś takiego jeszcze nie widziałem”. Potem wybucha gromkim śmiechem.

- Powodzenia, panie Myers - mówi, po czym każe woźnemu sądowemu obwieścić początek następnej sprawy.

- Co dalej? - pyta Amanda, wychodząc za Benem z sali sądowej i idąc długim korytarzem.

- Wyraźnie wyczerpują się nam możliwości.

- Wpadliśmy na trop, Benie - stwierdza Amanda, czując to w kościach. - Dlatego mamie tak bardzo zależy, żeby szybko zamknąć sprawę. Widziałeś jej twarz, gdy wymieniłam nazwisko Turk? Ona coś o nim wie.

Ben zatrzymuje się przed bocznym wyjściem.

- I co z tego? - mówi zdecydowanie.

- Nie rozumiem.

- John Mallins, Turk, William Szekspir. Jaka to różnica? Ten człowiek nie żyje, a twoja matka z radością informuje wszystkich, że go zabiła. Widziałaś, jak zachowywała się w obecności sędziego? Uważa, że powinna - co więcej, chce iść do więzienia. Szczerze mówiąc, nie jesteśmy w stanie w żaden sposób jej powstrzymać. Gwen nie chce naszej pomocy, czego dowodzi jej dzisiejszy występ.

- Co w takim razie zrobimy?
- Amando, wydaje mi się, że mnie nie słuchasz.
- Słucham. Po prostu się nie zgadzam.
- Nie wiem, czy mamy jakiś wybór.
- Zawsze jest jakiś wybór.
- Tak, tylko czasami należy do kogoś innego.
- W takim razie co proponujesz? - pyta Amanda.
- Wiesz, co proponuję. Być może nadeszła pora, abyś wykorzystała bilet powrotny na

Florydę. Prawdę mówiąc, wcale nie chciałaś tu przylatywać. Właściwie ściągnąłem cię niemal na siłę.

- Tak, ale teraz tu jestem i... co? Chcesz rzucić ręcznik na ring? Masz zamiar pozwolić, żeby moja matka siedziała w więzieniu do końca życia?

- Kilka dni temu nie mogłaś się doczekać, kiedy to się stanie.

- W ciągu kilku dni dużo się zmieniło.

- Co się zmieniło, Amando?

„Chyba nigdy ci nie powiedziałam, jaka jesteś piękna” - brzmi w uszach Amandy.

- Nie wiem.

„Ślicznie wyglądasz. Do twarzy ci w tym kolorze”.

- Po prostu nic nie ma sensu.

„Przykro mi, że byłam dla ciebie taką złą matką”.

- Nie mogę wrócić na Florydę, Benie. Kupiłam tyle różnych ciuchów. Nie włożę ich na Florydzie.

- O czym ty mówisz?

Amanda bezradnie zaczyna się kręcić w kółko.

- Z moją mamą dzieje się coś złego, Benie. Jest inna i dobrze o tym wiesz.

- Zastrzeliła człowieka. Coś takiego może każdemu nieźle pomieszać w głowie.

- A może już wcześniej coś jej się pomieszało? Albo ma guza mózgu? Nie pomyśleliśmy o tym. Możemy załatwić jej rezonans magnetyczny?

Ben wzdycha i z utęsknieniem spogląda w stronę wyjścia. Jego westchnienie mówi: Jakim cudem dałem się w to wszystko wpakować?

- Mogę złożyć podanie, ale wątpię, by twoja matka się zgodziła, a bez jej przyzwolenia...

- ...którego na pewno nam nie udzieli...

- ...mamy związane ręce.

- Cholera!

Przekleństwo Amandy, głośniejsze, niż zamierzała, odbija się od ścian i płynie korytarzem.

Ben nerwowo rozgląda się wokół siebie.

- W porządku, posłuchaj. Może napilibyśmy się kawy.

Nie czekając na odpowiedź, bierze ją pod łokieć, wyprowadza bocznym wyjściem i przechodzi na drugą stronę ulicy do kafejki, w której poprzedniego dnia jedli lunch.

- Musimy się dowiedzieć, kim jest Turk - mówi Amanda po chwili, rozrywając muffina z borówkami i zdmuchując parę znad swojej kawy. - On jest kluczem do całej sprawy.

- Jak chcesz to zrobić?

- Nie mam pojęcia.

Patrzy na byłego męża, a na jej ustach powoli pojawia się uśmiech.

- Co cię tak śmieszy?

- Po prostu nie widziałam cię nigdy wcześniej w garniturze.

- I jak brzmi werdykt?

- Bardzo ci w nim do twarzy - oznajmia Amanda teraz już z promiennym uśmiechem na ustach.

Ben potrząsa głową.

- Kto by pomyślał - mówi, używając swego starego powiedzonka.

- Kto by pomyślał - wtóruje mu Amanda. - A tak swoją drogą, dlaczego postanowiłeś zostać prawnikiem?

- Mam powiedzieć prawdę?

- Jeśli uważasz, że ją przeżyję.

- Zawsze chciałem być prawnikiem.

- Co takiego? Nigdy mi się nie przyznałeś. Ben wzrusza ramionami.

- Jak miałem się do tego przyznać? Zrozum, byłem niegrzecznym chłopcem, buntowałem się przeciwko wszystkim i wszystkiemu, więc nie mogłem zostać prawnikiem jak mój ojciec. To po prostu nie wchodziło w grę. A tymczasem kim w głębi duszy chciałem zostać?

- Prawnikiem jak twój ojciec - odpowiada Amanda.

- Właśnie.

- A tak swoją drogą, jak się miewa twój tata?

- Świetnie. Jest teraz w Paryżu. Prawdę mówiąc, w podróży poślubnej.

- W podróży poślubnej?

- Pięć lat temu zmarła moja matka - wyjaśnia Ben. - Na raka.

- Przykro mi. Nie wiedziałam.

- Skąd miałaś wiedzieć? Od lat nie utrzymywaliśmy kontaktu.

Amanda upija łyk kawy i czuje, jak gorący płyn parzy jej podniebienie. Chciałaby, żeby odretwienie w ustach objęło całe jej ciało.

- Łączyła cię z mamą bliska więź? Ben przytakuje.

- Z czasem byliśmy sobie coraz bliżsi.  
- Czyli już po moim wyjeździe?  
- Mniej więcej - potwierdza Ben.  
- Z tego, co pamiętam, nie bardzo mnie akceptowała.  
- Po prostu uważała, że byliśmy za młodzi.  
- Matka zawsze wie lepiej - przyznaje Amanda, ale po chwili kręci głową. - Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

- Może naprawdę wie lepiej - mówi Ben, po czym zmienia temat rozmowy z matki na Amandę. - Czy nie byłoby lepiej, gdybyś zapomniała o tym, co złe?

- Nie mogę.

- Jedynie pogarszasz sprawę.

Ona śmieje się, ale jest to śmiech pełen bólu, który rozcina powietrze jak maczeta.

- Z kim się ożenił twój ojciec? Z kimś, kogo znam?

- Nie wiem, czy uwierzysz, ale tak. - Ben kończy kawę i prosi kelnerkę o dolewkę. - Pamiętasz panią MacMahon? Twoją nauczycielkę historii z jedenastej klasy?

- Żartujesz.

- Jej mąż rozstał się z tym światem mniej więcej w tym samym czasie co moja matka. Jakiś rok temu wspólni znajomi ułatwili im spotkanie... i cóż mogę powiedzieć? Reszta jest...

- Nie mów tego.

Śmieją się, tym razem beztrąsko.

- Mogę się zatrzymać u ciebie?

Pytanie samo wyrywa się Amandzie z ust, nie pozostawiając jej czasu na rozważenie jego konsekwencji ani reperkusji.

- Co takiego?

- Tylko na kilka dni. Póki sprawa się nie rozstrzygnie. Uważasz, że to byłoby mądre rozwiązanie?

- To byłoby głupie rozwiązanie.

- Nie proponuję, żebyśmy razem spali - ciągnie szybko. - Oczywiście, wystarczy mi kanapa. Poza tym obiecuję, że będę schodzić ci z drogi, jeśli Jennifer...

- Nie możesz się u mnie zatrzymać. Amanda kiwa głową. Oczywiście, Ben ma rację.

- Powiem swojej sekretarce, żeby obdzwoniła hotele. Na pewno uda jej się coś znaleźć.

Może tutaj mają jakiś pokój - dodaje, spoglądając przez drzwi kafejki do foyer sąsiedniego hotelu.

- Nie, dzięki. Jestem już dużą dziewczynką. Na pewno coś wymyślę.

- Po prostu nie sędzę, żeby zamieszkanie u mnie było dobrym pomysłem.

- Oczywiście. Rozumiem. Masz absolutną rację. To była głupia propozycja.

- Choć interesująca - przyznaje Ben po chwili.

- Tak mi się wydawało.
- Może byśmy...
- Benie! - woła kobiecie głos.

Amanda słyszy za plecami szelest materiału, czuje przytłaczający, cytrynowy zapach perfum. Po chwili widzi, jak atrakcyjna kobieta w ciemnozielonym płaszczu pochyła się i całuje Bena w policzek. Długie do ramion włosy opadają na pięknie zarysowane kości policzkowe.

- Już skończyłeś sprawę w sądzie? - pyta kobieta chrapliwym, niskim głosem.
- Tak.
- Sędzia nie zgodził się na zwolnienie za kaucją.
- Nawet nie miał szans.

Kobieta uśmiecha się, jakby rozumiała, po czym odwraca się i mierzy wzrokiem Amandę. Ma oczy w kolorze kawy. Nim Ben ma szansę otworzyć usta, ona już wie, że to Jennifer.

- Amando, to Jennifer Grimes. Jennifer, chciałbym ci przedstawić Amandę Travis, córkę Gwen Price - przedstawia je sobie Ben.

Amanda spokojnie przygląda się twarzy kobiety: ciemne oczy, długi, orli nos, koralowe wargi.

- I byłą żoną Bena - dodaje, wyciągając rękę. - Na wypadek, gdyby zapomniał o tym powiedzieć.

Ku zaskoczeniu Amandy Jennifer ściska jej dłoń i energicznie nią potrząsa.

- Nie zapomniał. Tak mi przykro, że poznajemy się w takich okolicznościach.
- Tak, ciężkie czasy - wzdycha Amanda. - Przyłączysz się do nas?

Jennifer Grimes macha ręką do dwóch koleżanek, które czekają przy drzwiach.

- Spotkamy się za kilka minut - mówi do nich, po czym przyciąga najbliższe krzesło i z trudem przysiadła się do stolika dla dwojga. - Prawdę mówiąc, dobrze, że na was wpadłam. Udało mi się sprawdzić coś z tych rzeczy, o które prosiłeś mnie wczoraj wieczorem. - Zerka z ukosa na Amandę. - Byliśmy na najnudniejszym przyjęciu pod słońcem. Mówił ci?

- Powiedział, że było zbyt nudne, aby cokolwiek o nim mówić - wyznaje Amanda z uśmiechem.

Ciemne oczy Jennifer robią się okrągłe. Skupia uwagę z powrotem na Benie.

- Przyszedł wynik autopsji Johna Mallinsa.
- I co? - pytają razem Ben i Amanda.
- Jest kilka ciekawych szczegółów.
- To znaczy? - próbuje uściślić Ben.
- Co to znaczy „ciekawych”? - wtóruje Amanda.
- No cóż, na razie nie są jeszcze do końca pewni i będą musieli przeprowadzić dalsze

badania...

- Co to znaczy „ciekawych”? - powtarza Amanda.
- Po pierwsze, pan Mallins był prawdopodobnie starszy, niż początkowo myślano.
- O ile starszy?
- O dziesięć, a może nawet piętnaście lat. Tak przynajmniej oceniają na podstawie

stanu organów wewnętrznych.

Ben patrzy na Amandę.

- To znaczy, że byłby...
- ...mniej więcej w tym samym wieku co moja matka - kończy Amanda jego myśl.
- Czy to ma jakieś znaczenie? - pyta Jennifer. Oboje wzruszają ramionami.
- Na tym nie koniec.
- Słuchamy.
- Wygląda na to, że pan Mallins przeszedł operację plastyczną.
- Jaką?
- Korekcję nosa, lifting twarzy. Obie przeprowadzono jakiś czas temu.

Amanda kładzie łokcie na stoliku i opiera twarz na dłoniach. Co to wszystko oznacza? Czy John Mallins był tak bardzo zdesperowany, czy jedynie próżny? Próbował zachować pozory czy ukryć własne rysy twarzy?

- Starał się wyglądać na człowieka w takim wieku, na jaki wskazywał paszport - konkluduje Amanda na głos.

Paszport, który ukradł prawdziwemu Johnowi Mallinsowi, kiedy go zabił i przejął jego tożsamość. Dobry Boże, kim był ten mężczyzna?

- Jest jeszcze coś - mówi Jennifer.
- Co takiego? - pytają jedno przez drugie. Jennifer sprawia wrażenie nieco zaskoczonej.
- Interesowała cię data jego urodzenia.
- I co? - pytają zgodnie.
- No więc miałeś rację. Według paszportu urodził się czternastego lipca.
- Cholera! - klnie Amanda, opuszczając ręce na kolana.
- Cholera! - wtóruje jej Ben, opierając się o krzesło.
- A tak swoją drogą, skąd to wiedziałeś?

Ani Ben, ani Amanda nie odzywają się słowem.

- Co się tutaj dzieje? Znów milczenie.
- No cóż, miło było posiedzieć i pogadać...

Jennifer przenosi wzrok z jednego na drugie. Po dłuższej chwili odsuwa krzesło i wstaje. Ben natychmiast podrywa się na równe nogi.

- Dzięki - mówi ze szczerego serca.
- Za co?

- Nie jestem pewien.

Jennifer z czułością muska policzek Bena, wywołując tym gestem skrzywienie na twarzy Amandy. Potem wyciąga do niej rękę.

- Cieszę się, że cię poznałam, Amando. Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

- Ja też.

Jennifer staje na czubkach palców, żeby musnąć wargi Bena.

- Zadzwoń do mnie później?

- Oczywiście.

Potem idzie do drzwi, zostawiając za sobą cytrynowy zapach.

## 21

- Jesteśmy na miejscu. To tutaj - mówi Amanda, gdy taksówkarz zatrzymuje się na rogu Bloor i Palmerston.

Wręcza kierowcy nowiutki fioletowy banknot dziesięciodolarowy i mówi, żeby zatrzymał prawie cztery dolary reszty. Co tam, do diabła - myśli, wysiadając z auta i wpadając w ponadsiedmiocentymetrową warstwę świeżego śniegu. Wszystko wygląda jak gra w kolory. Błękitne pięciodolarówki, fioletowe dziesięciodolarówki, zielone dwudziestki, różowe pięćdziesiątki i brązowe setki. Poza tym jedno- i dwudolarowe monety, które określane są odpowiednio jako *loonies* i *toonies*. Niech zatem będą *Looney Tunes*\* - myśli Amanda, uznając, że monety można uznać za trafną metaforę jej życia.

\* *Looney Tunes* to ogólna nazwa kreskówek z Bugsem, Tweetie, kaczorem Duffym i innymi bohaterami. W Polsce są one znane jako *Zwariowane melodie* (przyp. tłum.).

Przerzuciwszy torebkę przez jedno ramię, a torbę podróżną przez drugie, idzie powoli szeroką ulicą, obsadzoną z obu stron gigantycznymi dębami i oświetloną przez cudowne, staroświeckie lampy gazowe. Śnieg pokrywa gałęzie drzew jak ciężki lukier, nic zatem dziwnego, że uginają się jak witki wierzby płaczącej. Amanda wyobraża sobie te same gałęzie wiosną, pokryte pączkami, które lada chwila gotowe są wypuścić młode listki. Na jej twarzy pojawia się uśmiech.

Wiosna zawsze była jej ulubioną porą roku: stopniowe przejście od chłodu do nieco wyższych temperatur, kiedy zima jeszcze bardzo niechętnie rozluźnia mocny uchwyt; pierwszy kusicielski podmuch ciepłego wiatru, który pojawia się pod koniec marca i niemal natychmiast zostaje pokonany na początku kwietnia przez burzę śnieżną; resztki śniegu zmywane przez deszcz; lśniące krople na żółtych żonkilach i czerwonych tulipanach, które wypychają cienkie, ale zdumiewająco silne lodygi z wilgotnego gruntu, pnąc się ku słońcu.

Zmiana pór roku jest prawdopodobnie jedyną rzeczą, za którą tęskniła Amanda,

mieszkając na Florydzie, gdzie o nadejściu następnego sezonu świadczy jedynie groźba huraganów. Palmy zawsze pokryte są liśćmi, a słońce świeci z monotonną regularnością. Może w lipcu panuje większa wilgotność, a w styczniu jest trochę chłodniej, ale w zasadzie Floryda to kraina, w której króluje wieczne lato.

Przypomina sobie, że właśnie dlatego tam się przeprowadziła. Z pełną rozważą wbija obcasy w ciekłą warstewkę lodu, który pęka jak szkło, a potem rozsypuje się na kawałki. Co ona robi? Kto w ogóle przejmowałby się zmianami pór roku? Owszem, niegdyś cieszyła się z pierwszego ożywczego podmuchu chłodnego powietrza, które odpędzało sierpniowe upały, a swego czasu podziwiała nagłą listopadową zamieć, która pokryła miasto delikatnym białym puchem, ale doświadczenie nauczyło ją, że chłodne podmuchy wiatru szybko zamieniają się w lodowate wichry, a dziewiczy śnieg przeobraża się w paskudne błoto. Pory roku szybko się starzeją.

Nie, teraz jej domem jest Floryda i Amanda wcale nie chce, żeby było inaczej. Mam tam wszystko - myśli. Zsuwa torbę podróżną z ramienia i na chwilę napina mięśnie szyi, a potem poprawia swój bagaż i idzie dalej. Na Florydzie jest słońce, nawet jeżeli sama unika go niemal z religijnym nabożeństwem. Jest ocean, chociaż rzadko chodzi na plażę i nigdy nie pływa w niebezpiecznych wodach - wystarczy pomyśleć o rekinach, skorupiakach i niewidocznych cofających się falach, nie mówiąc o zdarzających się od czasu do czasu plamach ropy, która zanieczyszcza piasek i brudzi podeszwy stóp. Są centra handlowe, chociaż znajdują się w nich te same sklepy, które można znaleźć wszędzie, i każdy z nich wygląda dokładnie tak samo jak jego najbliższy sąsiad. Do diabła, Eaton Center robi takie samo wrażenie jak wszystkie centra. Jest kultura - wystarczy wspomnieć o Kravis Center i Royal Poincianna Playhouse - być może, teatralna dzielnica Toronto ustępuje jedynie nowojorskiej, ale nawet jeśli tak, to co z tego? Jest sztuka - tak, cudowna Norton Gallery, kilka naprawdę bajecznych pawilonów wystawowych i mnóstwo uroczych galeryjek, chociaż jeśli zobaczy jeszcze jedną porcelanową żabę, z pewnością zaczną krzyczeć - prawdę mówiąc, jak oni w ogóle mogą nazywać to sztuką?

- Co ja robię? - pyta Amanda.

Słowa same wymykają jej się z ust i ślizgają w chłodnym powietrzu jak dzieci na saneczkach, tak że prawie widać je wypisane na obłoczku pary.

- Kocham porcelanowe żaby. Są jeszcze inne pozytywy.

Oto, czego na Florydzie nie ma: jej matki.

Oto, czego na Florydzie nie ma: Bena.

Czy nie dlatego się tam przeprowadziła?

Idzie Palmerston na południe, w stronę Harbord, zastanawiając się, dlaczego nie kazała taksówkarzowi podjechać pod sam dom matki.

- Bo do pewnych rzeczy trzeba dochodzić stopniowo - mówi w kołnierz kurtki. -



Niektóre należy traktować ze spokojem i rozwagą. Tylko głupcy się spieszą - szepcze, uśmiechając się do starszego mężczyzny, który idzie ostrożnie po oblodzonym chodniku.

- Cholerna zima - narzeka mężczyzna na głos, mijając ją.

- Cholerna zima - zgadza się z nim Amanda, ale się nie poddaje.

Skoro już o tym mowa - cholerny Ben, cholerna matka i cholerna Jennifer. A tak swoją drogą, skąd się wzięła ta kobieta ze swoją króciutką, modną fryzurką i nieskazitelną cerą? Jakim prawem na powitanie pocałowała Bena w policzek? Nie mówiąc już o tym, że na odchodnym całkiem niepotrzebnie cmoknęła go w usta, jakby chciała powiedzieć: On teraz należy do mnie. „Zadzwonisz do mnie później?” Dla czyich uszu były przeznaczone te słowa? Z pewnością nie Bena. A co odpowiedział na to Ben? „Oczywiście”. Czy naprawdę tak łatwo dał się ogłupić? Czy nie widzi, że pod pozorami spokoju i pewności siebie ukrywa się... co? Spokój i pewność siebie? No to co? Co komu po spokoju i pewności siebie, skoro może mieć pewność siebie i totalny chaos? Czyż to nie o wiele zabawniejsze? Niech to wszystko diabli! On nie może kochać tej kobiety.

Chyba że jednak ją kocha.

Kopie stertę śniegu. Niewielkie wzniesienie rozsypuje się jak kupka dziecięcego pudru. Nawet jeśli jest zakochany w Jennifer, to co z tego? Czy to coś zmienia? Fakt, że niegdyś krótko był jej mężem - chociaż byli wówczas za młodzi, żeby wiedzieć, co chcą ze sobą zrobić, nie mówiąc już o tym, z kim chcą spędzić resztę życia - nie daje jej prawa wyłączności do jego uczuć. Zresztą Amanda wcale tego nie pragnie. To, co czuje - co właściwie czuje? - wynika jedynie z okoliczności. Gdy tylko wróci na Florydę, uczucia do byłego męża - swoją drogą, jakie to uczucia? - się rozwieją. Czuje coś dziwnego - co? - bo jest zagubiona, nieodporna psychicznie, a poza tym nie przywykła do mężczyzn, którzy mówią „nie”. „Nie możesz się u mnie zatrzymać” - powiedział. Co prawda istniała szansa, że zmieni zdanie. „Może byśmy...” - zaczął, kiedy pojawiła się spokojna, pewna siebie Jennifer.

Może byśmy co?

- Chyba nigdy się nie dowiemy.

Amanda zatrzymuje się przed domem z brązowej cegły, z żółtymi drzwiami. Nigdy nie dowiemy się wielu rzeczy - myśli, idąc w stronę schodów przysypanych grubą warstwą śniegu. Stąpa ostrożnie, starając się wyczuwać beton pod czubkami botków. Może nigdy się nie dowiemy, kim naprawdę był John Mallins ani dlaczego zdecydował się na operację plastyczną, nie poznamy prawdy o facecie, który zwał się Turk, chociaż najwyraźniej matka go zna.

„Przykro mi, że byłam dla ciebie taką złą matką”.

Co to ma, do diabła, znaczyć?

Idzie po śniegu, który leży na podeście schodów, i zatrzymuje się przed drzwiami, jakby czekała, że ktoś ją wpuści. Jeszcze nie jest za późno - myśli. Jeszcze może odwrócić się

na pięcie, złapać następną taksówkę, wrócić do centrum i poszukać jakiegokolwiek hotelu, choćby Metro Convention Center. Potem może ponownie zadzwonić do Jerroda Sugara, spytać, czy ma ochotę spędzić następną noc lub dwie w jej towarzystwie.

Jasne - myśli Amanda, odsuwając od siebie wspomnienie ostatniego spotkania z Jerrodem, chociaż prawdę mówiąc, pamięta tylko, jak owa noc się zakończyła. Ona była zbyt pijana, on za bardzo napalony - wszystko skończyło się za szybko. Albo za wolno - poprawia, uśmiechając się na wspomnienie niezapowiedzianej wizyty Bena. Przypomina sobie, jak walił w środku nocy w jej drzwi, a potem - pomimo jej protestów - wdarł się do hotelowego pokoju i włączył światło. Kiedy zdał sobie sprawę, że Amanda nie jest sama, na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, a w oczach... co? Złość? Zawód? Żal?

Co mogło się zdarzyć tamtej nocy, gdyby w jej łóżku nie było Jerroda Sugara?

- Chyba nigdy się nie dowiemy - powtarza, szukając w torebce klucza do domu matki.

Dlaczego uległa namowom Bena i zgodziła się tu zamieszkać? To fakt, że głupotą byłoby wydawać pieniądze na hotel, gdy dom, w którym kiedyś mieszkała, stoi pusty. Trzeba również przyznać, że dzięki temu będzie miała dodatkową możliwość tym razem dokładnego przeszukania rzeczy matki. W końcu poprzednio przejrzeliby poszczególne pomieszczenia dość pobieżnie, a biorąc pod uwagę wszystko, czego się dowiedzieli w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, prawdopodobnie warto byłoby przeszukać dom trochę uważniej. „Nigdy nic nie wiadomo. Może coś znajdziesz” - powiedział Ben, wsadzając ją do taksówki i obiecując, że zadzwoni później.

„Zadzwonisz do mnie później?”

„Oczywiście”.

- Oczywiście chrzanienie - mruczy Amanda, otwierając drzwi wejściowe i chwiejnym krokiem przechodząc przez próg, jakby balansowała na skraju wysokiego urwiska.

„Na co czekasz? - słyszy głos matki, która woła z piętra. - Albo wejdz, albo wyjdz. Nie wpuszczaj do środka zimnego powietrza”.

Tu zawsze w środku było zimne powietrze - myśli Amanda, wnosząc torbę podróżną do przedpokoju i obcasem zamykając za sobą drzwi.

Nagle widzi zbliżającego się do niej ojca. Palec wskazujący mocno przyciska do ust, sugerując, żeby mówiła cicho. „Co robisz? - szepcze. - Wiesz, że matka odpoczywa”.

- Zawsze odpoczywa - protestuje Amanda teraz, tak samo jak robiła to przed laty, patrząc, jak cień ojca odwraca się do niej plecami i idzie zająć się żoną. - To znaczy odpoczywa, jeśli właśnie nie zabija ludzi.

Amanda się śmieje. Chichot objaja się echem po pustym domu i wywołuje następny krzyk matki i kolejną groźbę ojca.

Kobieta zrzuca z nóg buty i wiesza nową kurtkę w szafie w przedpokoju, a potem wchodzi do salonu i bezwiednie muska palcami szaro-żółtą sofę, która zajmuje dużą część

niewielkiego pomieszczenia. Małe kropki w małych trójkątach, które znajdują się w niewielkich kwadratach - ten sam wzór powtarza się również na obiciach dwóch żółtych foteli po obu stronach kominka. Rzadko bywał używany - przypomina sobie, podziwiając wysoki kwiatek w odległym kącie salonu. W tym momencie przychodzi jej na myśl słowa Corinne Nash, która prosiła o podlanie roślin.

Dziewczyna opada na jeden z foteli i spogląda przez białe żaluzje na drugą stronę ulicy. Gdy była dzieckiem, nigdy nie pozwalano jej siadać w tym pokoju, a tym bardziej bawić się w nim. Jeśli miała ochotę na zabawę, musiała zejść do sutereny, żeby żaden hałas nie przeszkadzał matce. Dziewczynka nie lubiła sutereny. Było tam zimno, wilgotno i ponuro - nie pomagało nawet zapalenie wszystkich świateł. Czasami pojawiały się cienie, których się bała, chociaż ojciec zapewniał ją, że nie ma powodu do strachu.

Pewnego razu znalazła tam kilka pacynek. Ktoś wrzucił je do pudła za piecem. Lalki miały zakurzone głowy i ubranka; Amanda zaczęła kichać, próbując włożyć je na ręce. Zabrała więc kukielki na parter i delikatnie wyprała je nad zlewem. Niestety, zlew się zabrudził.

Wiedziała, że matka się zdenerwuje, kiedy zobaczy bałagan, a przecież za nic w świecie nie wolno było jej denerwować ani niepokoić. Tata zawsze to powtarzał, ale teraz był w pracy, mama spała, a wyczyszczone pacynki wyglądały o wiele ładniej i jak się obudzi, na pewno będzie zadowolona. Tylko wciąż jeszcze miały włosy w nieładzie, przydałoby im się porządne strzyżenie. Amanda wiedziała, gdzie mama trzyma nożyczki, zdawała sobie jednak sprawę, że nie może strzyć lalek tutaj, w kuchni, bo matka słyszałaby każdy jej ruch. Niestety, w suterenie było zbyt ciemno, żeby zrobić to dobrze. Odpowiedni był tylko salon. Dywan z pewnością stłumi odgłosy kroków, a dzięki światłu, które wpada przez okna, wszystko będzie dobrze widać - zresztą strzyżenie nie potrwa długo. Może gdy pokaże mamie, jak ładnie teraz wyglądają stare pacynki, ta przestanie być smutna, uśmiechnie się i będzie nawet szczęśliwa. Wtedy Amanda urządzi jej przedstawienie kukielkowe, a ona będzie się śmiała jak kiedyś. Tak, pamiętała czasy, kiedy mama się śmiała. Przypomniała to sobie, wnosząc lalki do salonu. Obcięła im włosy, nie zważając na to, że żółte nitki opadają na szary dywan jak drobinki żółtego kurzu. Teraz mama znów będzie się śmiała.

Niestety, matce wcale nie było do śmiechu. Płakała i krzyczała. W końcu rzuciła pacynkami przez pokój z taką wściekłością, że plastikowa główka jednej z nich rozpadła się na kawałki, a świeżo przycięte włosy rozprysnęły się we wszystkie strony. „Coś ty zrobiła? - szlochała matka bez końca. - Coś ty zrobiła? Coś ty zrobiła?”

„Chciałam, żeby były ładniejsze” - odparła córeczka przez łzy, a potem chwyciła się za brzuch, odwróciła od matki i zwinęła wóół, jakby otrzymała potężny cios.

„Coś ty zrobiła? - brzmiała jedyna odpowiedź matki. - Coś ty najlepszego zrobiła?”

- Co zrobiłam? - pyta Amanda teraz, podrywając się na równe nogi. - Co właściwie

wtedy zrobiłam? Cholera jasna, miałam zaledwie sześć lat. Byłam dzieckiem.

Nie na długo - przypomina sobie, dochodząc do wniosku, że nie może tu zostać. Wraca do przedpokoju, wkłada botki, a potem wyjmuję z szafy kurtkę. W tym momencie grzbietem dłoni dotyka czegoś zimnego i twardego. Odsuwa kilka płaszczy i kurtek matki, po czym znajduje nowiutką szuflę z jasnoczerwoną rączką i metką na cienkim drewnianym uchwycie. Nigdy nie była używana - stwierdza dziewczyna, wyciągając łopatę z szafy i bacznie się jej przyglądając. Nie, matka była ostatnio zajęta strzelaniem do ludzi, nie miała czasu na odgarnianie śniegu ze schodów.

- Co tam, do diabła? Równie dobrze mogę z pożytkiem wykorzystać nadmiar czasu.

Pani adwokat usuwa metkę ze sklepu żelaznego - szufla kosztowała dziewiętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów - wychodzi na werandę, zostawia za sobą otwarte drzwi, wsuwa szuflę pod warstewkę śniegu i ciągnie ją po betonie, po czym wyrzuca śnieg na trawnik. Pracuje miarowo i spokojnie. Po kilku minutach podest jest czysty, a Amanda odśnieża schody, dokładnie zdrapując śnieg z poszczególnych stopni. Gorzej idzie jej oczyszczanie ścieżki, bo śnieg jest tu bardziej zbity, a w dodatku łatwo poślizgnąć się na lodzie. Gdy dociera do chodnika, ma spoconą twarz, a w plecach odczuwa dziwne klucie. Teraz przydałaby mi się gorąca kąpiel - myśli, przypominając sobie radę, jakiej udzielił jej Ben poprzedniego wieczoru: „Weź gorącą kąpiel, zamów jedzenie do pokoju i idź do łóżka”. Jasne.

- Co ja tu, do diabła, robię?

- Przepraszam! - woła ktoś z przeciwnej strony ulicy. Amanda odwraca się w kierunku, z którego dochodzi głos.

Widzi młodą kobietę w futrze z szopa i czarnym, wykończonym futerkiem kapeluszu. Stoi na środku chodnika po drugiej stronie ulicy i wyczekująco na nią spogląda.

- Przepraszam. Mówiła pani coś do mnie?

Kobieta rozgląda się w prawo i w lewo, a potem przechodzi przez ulicę. Amanda szacuje, że nieznajoma jest mniej więcej w jej wieku, chociaż trudno powiedzieć, jak wygląda, bo widać tylko okrągłe policzki, mały, zadarty nosek i cienkie błyszczące, jasnoczerwone wargi.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale babcia zobaczyła panią przez okno i jest bardzo poruszona. Kazała mi się dowiedzieć, kim jest kobieta, która odgarnia śnieg u Gwen Price. - Głową wskazuje dom za swoimi plecami.

Amanda patrzy na drugą stronę ulicy, a potem na stojącą przed nią młodą kobietę. Nagle widzi, jak z twarzy nieznajomej znikają lata, a w końcu zostaje tylko pucołowata buźka dziewczynki o rumianych policzkach, dużych brązowych oczach i miłym uśmiechu.

- Sally?

Nieufność ustępuje miejsca ciekawości.

- Czy ja panią znam?

- Jestem Amanda. Amanda Tra... Amanda Price.

Panieńskie nazwisko brzmi w jej ustach obco, jakby należało do kogoś innego.

- Amanda! O mój Boże, Amanda! Witaj, Amando. Jak się masz?

- Świetnie. To znaczy... chyba słyszałaś o mojej mamie...

- Tak. Nie mogę w to uwierzyć. Jak się miewa?

- Jakoś się trzyma - odpowiada. Lepiej niż „jakoś”. - Co u ciebie?

- Wszystko w porządku.

- A jak radzi sobie twoja babcia?

- Tak sobie.

- Coś jej dolega?

- Spytaj raczej, co jej nie dolega.

Amanda wyobraża sobie starszą panią MacGiver z siwymi włosami i rękami pokrytymi błękitnymi żyłami. Zawsze wydawała się stara jak świat, nawet gdy ona była dzieckiem.

- Przykro mi to słyszeć.

- No cóż, nic na to nie poradzimy. Ma osiemdziesiąt sześć lat.

- Czy nadal lubi piec?

Przypomina sobie ciasto cytrynowe, które pani MacGiver przyniosła po śmierci ojca.

- Już nie tak bardzo. Teraz przeważnie siedzi w swoim pokoju i ogląda telewizję, ale czy myśli o sprzedaniu domu i przeniesieniu się do jakiegoś ośrodka dla ludzi starszych, gdzie miałyby zapewnioną stałą opiekę, a nam wszystkim byłoby łatwiej?

Pytanie wisi w powietrzu, a jedyną odpowiedzią jest milczenie.

- Mieszkasz z nią?

- Nie. Tylko wpadłam, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. Kiedy cię zobaczyła, natychmiast kazała mi tu przyjść.

- Cieszę się, że cię spotkałam.

- Ja też. Naprawdę serdecznie ci współczuję z powodu twojej matki. Przechodzi jakieś załamanie czy coś w tym stylu?

Coś w tym stylu - myśli Amanda, dostrzegając, że po schodach domu po przeciwnej stronie ulicy szybko schodzi przygarbiona postać w długiej bawełnianej koszuli nocnej i błękitnych kapciach.

- O mój Boże! Sally, twoja babcia... Proszę zaczekać, proszę pani. Tu jeżdżą auta...

Kierowca nadjeżdżającego samochodu naciska klakson, mimo to pani MacGiver bez rozglądania się wychodzi na jezdnię, nie zważając, że jej kapcie toną w śniegu.

- Co jest, do diabła! - krzyczy kierowca przez szybę.

- Wstrzymaj swoje rumaki - odpowiada krzykiem pani MacGiver, po czym uderza w przedni błotnik auta i odpycha wyciągnięte ramiona wnuczki.

Mruży oczy w promieniach zimowego słońca i bacznie przygląda się Amandzie.

- Kim jesteś?

- Na litość boską, babciu, wracaj do domu. Zamarzniesz na śmierć.

- Znam cię - mówi pani MacGiver, nie odrywając jasnoniebieskich oczu od Amandy.

- Babciu, wracaj do środka.

Sally próbuje objąć ją ramieniem, ale starsza pani zwinnie jej się wywija.

- Nazywam się Amanda Price - przedstawia się Amanda, a mimo powtórki jej panięskie nazwisko nadal brzmi dla niej obco. - Jestem córką Gwen.

Sally szybko zdejmuje płaszcz i zarzuca go na ramiona babci.

- Przynajmniej włóż to.

- Nienawidzę futer z szopa - gdera kobieta.

- Daj spokój, babciu, szopy wcale nie są gatunkiem zagrożonym.

- Ha! Chciałabym, żeby były. Nienawidzę tych zwierzaków.

Amanda wybucha śmiechem, zastanawiając się, czy życie może być jeszcze bardziej absurdalne.

- Cieszę się, że panią widzę, sądzę jednak, że Sally ma rację. Jest za zimno, żeby wychodzić z domu w koszuli nocnej i kapciach.

- Jest mi potwornie zimno - popiera ją Sally, szczękając zębami.

Pani MacGiver robi kilka kroczków i wrzecionowatymi palcami dotyka policzka Amandy.

- Laleczka? - pyta.

Amanda bierze szybki, głęboki wdech. Czuje, że powietrze zamarza jej w płucach, gdy palce pani MacGiver muskają ją po twarzy.

- Laleczka - powtarza starsza pani, tym razem poruszając palcami w powietrzu, jakby pociągała za sznurki marionetki. - Tak, Laleczka - mówi, chichocząc. - Laleczko, laleczko. Kto jest moją małą laleczką?

- Dobrze, już wystarczy. Nie powinnaś tu przychodzić, babciu - tłumaczy Sally i obraca staruszkę. - Czasem coś kojarzy, czasem nie - wyjaśnia na odchodnym, przeprowadzając babcię z powrotem na drugą stronę ulicy. - Cieszę się, że cię znów spotkałam - zapewnia, machając ręką, po czym delikatnie wpycha staruszkę do domu i zamyka za nią drzwi.

Amanda próbuje nie odtwarzać w myślach całej sceny, ale jeszcze długo po zniknięciu obu kobiet, po powrocie do domu matki, po zamknięciu drzwi wejściowych i drzwi do swojej dawnej sypialni, po schowaniu się pod kołdrę słyszy słowa, które odbijają się echem w nieruchomym powietrzu. „Laleczka” - szepczą ściany, gdy przyciska do uszu obszyty falbankami, różowy jasiek. „Laleczko. Laleczko. Kto jest moją małą laleczką?”

Co dziwne, Amanda zapada w sen i budzi się dopiero o ósmej wieczorem.

- On chyba źle chodzi - uznaje, wstając z łóżka i spoglądając w ciemności na swój zegarek.

Stuka delikatnie w tarczę, a potem unosi go do ucha. Słyszy tykanie.

- Coś mu się zdecydowanie pokręciło. Na pewno źle chodzi.

Włącza ostrożnie lampkę w białe i różowe kwiatki, stojącą obok łóżka, i ponownie sprawdza czas.

- Nie, to niemożliwe.

Za oknem jest jednak ciemno, a wysoko na niebie półksiężyc błyszczy wśród okruchów migocących gwiazd. Czy naprawdę może być ósma wieczorem? Czyżby przespała całe popołudnie? Chyba niemożliwe.

Schodzi na parter do kuchni, po drodze włączając wszystkie światła, po czym porównuje czas na dużym białym zegarze na ścianie obok pieca z czasem na swoim zegarku na nadgarstku. Różnica wynosi zaledwie trzy minuty.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówi w pustym pomieszczeniu.

Słyszy, że burczy jej w brzuchu. Żołądek przypomina, iż od dawna nie jadła. Otwiera lodówkę i zagląda do środka. Widzi duży karton soku pomarańczowego i mniejszy pojemniczek chudego mleka, a także kilka jajek, jabłek i starą, zwiędłą sałatę, którą od razu wrzuca do kosza na śmieci pod zlewem.

- Nie ma nic do jedzenia. Dlaczego mnie to nie dziwi?

Sprawdza zamrażarkę. Znajduje kilka torebek mrożonego groszku i kukurydzy. W końcu trafia na dużą paczkę bułeczek i zapiekanek z makaronem i serem.

- Dzięki Ci, Boże - mówi na głos.

Żołądek burczeniem wyraża uznanie, kiedy Amanda wkłada paczuszkę do kuchenki mikrofalowej. Kilka minut później stoi obok piecyka i kęs po kęsie pochłania prosto z opakowania pokryty kremem makaron, po czym wydrapuje resztki, nie zostawiając ani kropelki sosu.

- Wszystko zniknęło - oznajmia dumnie, popijając zapiekanek szklanką wody.

Nagle dochodzi do wniosku, że równie dobrze może w końcu zająć się kwiatkami. Wmawia sobie, że nie ma smutniejszego widoku niż dom pełen zwiędłych roślin. Odnajduje konewkę, napełnia ją letnią wodą, a potem niebezpiecznie kołysze się na krześle, próbując podlać rządki roślin, które stoją na szafkach. Następnie przechodzi do jadalni i salonu, by zająć się resztą.

To zabawne - myśli, wracając do kuchni, żeby napełnić ponownie konewkę. Nigdy by nie powiedziała, że jej matka ma tak dobrą rękę do kwiatków. Niemniej rośliny radzą sobie

zadziwiająco dobrze, mają gałązki pokryte pięknymi, zielonymi liśćmi, lśnięcymi i zdrowymi, tak idealnymi, jakby były sztuczne. Kilka minut później, kiedy przez brzeg porcelanowej doniczki na gzymsie nad kominkiem zaczyna się przelewać woda, dziewczyna uświadamia sobie, że wszystkie kwiatki są naprawdę sztuczne.

- Boże, nie do wiary, nie ma tu ani jednego żywego kwiatka.

Wpada do kuchni, odrywa kilka papierowych ręczników i szybko wyciera wodę z gzymsu, żeby nie było plam. Potem wraca tam, skąd przyszła, sprawdza liście wszystkich sztucznych kwiatów, które już podlała, i starannie sprząta po sobie. Wycierając niewidoczne kropelki, bez przerwy ogląda się przez ramię, jakby się bała, że lada chwila matka może zejść ze schodów i zbesztać ją za bezmyślność i głupotę.

Po uporządkowaniu wszystkiego siada po turecku na szarym dywanie w salonie i zastanawia się, w którym momencie przestała odróżniać to, co prawdziwe, od tego, co prawdziwe nie jest. Czasami mówi się, że prawda bywa dziwniejsza od fikcji, ale odkąd tak trudno jej odróżnić jedno od drugiego?

Może stało się to mniej więcej w tym czasie, kiedy jej matka zaczęła strzelać do zupełnie obcych ludzi?

Chociaż z drugiej strony mężczyzna, który podawał się za Johna Mallinsa, wcale nie był dla matki człowiekiem obcym. Tego Amanda jest pewna.

Spoglądając w stronę maleńkiego przedpokoju, dochodzi do wniosku, że chyba powinna zadzwonić do Bena. Z pewnością się zastanawia, co się z nią dzieje. Przecież obiecała, że do niego zatelefonuje, gdy tylko się rozgości. Podchodzi do swojej torebki, która wciąż stoi oparta o torbę podróżną na środku przedpokoju, tam gdzie rzuciła wszystko ponad osiem godzin temu, i wyjmuje telefon komórkowy. Po kilku długich sekundach wrzuca go z powrotem do torebki. Do diabła, przecież Ben zna numer. Jeśli chce z nią porozmawiać, to niech zadzwoni. Wyraźnie nie chce - uznaje pani adwokat, ponownie wyjmując telefon, by sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości. Nie ma.

Co dalej?

Przespała całe popołudnie, zjadła mrożoną kolację i podlała sztuczne kwiatki. Co zostało jej jeszcze do zrobienia?

- Co byś powiedziała na drinka? - pyta, idąc w stronę barku w jadalni.

Niestety, stoi w nim tylko dwanaście kryształowych kieliszków i kilka półmisek na owoce.

- Nie ma w tym domu żadnego alkoholu? - zastanawia się na głos, wracając do kuchni i przeszukując szafki.

Swoją drogą, kiedy matka przestała pić? A w ogóle czy nie mogłaby trzymać czegoś na przyjazd ewentualnych gości? Dlaczego wszędzie są tylko herbatki ziołowe?

- No cóż, czemu nie?



Amanda uznaje, że ostatnio sama chyba trochę za dużo piła, dlatego napełnia czajnik elektryczny, potem go włącza i czeka, aż woda się zagotuje.

Popijając zaskakująco dobrą herbatkę brzoskwiniowo-malinową, przeszukuje szuflady kuchenne. W pierwszej z nich znajduje kolekcję pożółkłych ze starości i poplamionych tłuszczem przepisów wyciętych ze starych gazet. Jest przepis na prawdopodobnie wyjątkowo pyszną zupę kremową z awokado na zimno, na suflet borówkowo-pomarańczowy, który może być boski. Obok znajduje się gruby plik pomysłów na dania z kury. Amanda czyta je wszystkie, próbując skojarzyć wyraźnie często używane przepisy ze swoją matką, która rzadko przygotowywała coś innego niż kolacje z mrożonek, a za najlepszy deser uznawała koktajl owocowy z puszki, o ile w ogóle pamiętała o deserze.

Dwie następne szuflady są wypełnione typowym wyposażeniem kuchennym: nierdzewnymi sztucami, kolorowymi bawełnianymi ściereczkami, okrągłymi plastikowymi podkładkami w jaskrawofioletowe i czerwone jagody, białymi papierowymi serwetkami z błękitnym i różowym szlaczkiem. Z kolejnej szuflady wprost wysypują się instrukcje obsługi i gwarancje do różnych urządzeń kuchennych, niższa ugina się pod ciężarem drewnianych pałeczek i plastikowych sztuców z różnych restauracji, które sprzedają dania na wynos. W szufladzie pod telefonem jest notes z adresami i telefonami. Amanda przerzuca strony. Nie dziwi jej, że pod większością liter nie ma żadnych nazwisk. Pod M nie ma Mallinsów, pod T Turka. Za to Corinne Nash jest i pod C, i pod N. Pod wpływem impulsu Amanda sprawdza A. Z zaskoczeniem spogląda na wyraz AMANDA, który przecina dwie strony: na jednej jest AMA, na drugiej - NDA. Pod jej imieniem widnieje długa lista z wszystkimi telefonami, jakie kiedykolwiek miała od czasu, kiedy się wyprowadziła - jakby matka podążała za nią z miejsca na miejsce, od mężczyzny do mężczyzny. Nie brakuje nawet aktualnego numeru domowego i w biurze na Florydzie. Po co to wszystko, skoro matka nigdy nie skorzystała z żadnego z zapisanych numerów? Amanda cmoka lekceważąco, potem wrzuca notes z powrotem do szuflady. Gdy ją zamyka, pod notesem adresowym dostrzega dużą brązową teczkę.

- Tylko tracę czas - mówi, przypominając sobie, że Ben przeszukał już dokładnie wszystkie szuflady i niczego nie znalazł.

Ale przecież zrobił to przed jej rozmową z Rachel Mallins, nim dowiedzieli się o mężczyźnie zwanym Turk. Co więcej, nie znali wtedy zagadkowego wyniku sekcji. Bardzo możliwe, że Ben, nie mając pojęcia, czego szukać, mógł coś przeoczyć. Amanda otwiera teczkę i rozkłada znajdujące się w środku papiery.

Są to świadectwa. Amanda siada na ławie, która stoi pod ścianą w niewielkiej wnęce śniadaniowej, i rozkłada je na laminowanym blacie stołu. PALMERSTON PUBLIC SCHOOL. Imię i nazwisko: Amanda Price. Oceny: A = celujący, B = bardzo dobry, C = dobry, D = dostateczny, NA = niedostateczny. Potem lista ocen. Celujący z czytania, pisania,

zadań domowych, ortografii i matematyki. Celujący z zachowania i systematyczności, ale zaledwie dobry z udziału w lekcji.

„Amanda jest spokojną i pilną uczennicą, cieszę się, że mam ją w klasie. W tym semestrze znów napisała kilka wspaniałych wypracowań, łącznie ze skomplikowanymi i dobrze ułożonymi opowiadaniem. Mimo to chciałabym, żeby częściej brała udział w lekcji”.

„Jestem bardzo zadowolona z postępów Amandy. Zawsze na czas oddaje prace domowe, recenzje przeczytanych przez nią książek są przemyślane, chociaż dobrze by było, gdyby poprawiała swoje prace, wtedy z pewnością udałoby jej się uniknąć niepotrzebnych błędów. W klasie jest bardzo cicha, chociaż żyje w zgodzie z innymi dziećmi”.

„Amanda jest spokojna, miła, pracowita i cieszę się, że mogłam ją uczyć w piątej klasie. Bardzo dobrze opracowała i zaprezentowała swój referat na temat Japonii”.

- Co to ma być, do diabła? - pyta siebie na głos, przeglądając nieskończoną liczbę podobnych świadectw, od przedszkola po ostatnią klasę szkoły średniej. Zachowała je wszystkie? Nie, to niemożliwe. Pewnie ojciec je zostawił albo matka nie zadała sobie trudu, żeby je wyrzucić.

Z pewnością jak zwykle był to dla niej zbyt duży wysiłek - myśli, przeglądając resztę świadectw. Dostrzega coraz większą troskę w uwagach nauczycieli, odkąd przeszła do gimnazjum.

„Co prawda ma dobre oceny, ale trochę niepokoi mnie podejście Amandy do nauki”. Nauczyciele z liceum wykazują już większe zniecierpliwienie. „Dobrze by było, gdyby Amanda była bardziej pracowita i systematyczna. Chętnie wykorzystuje wrodzoną inteligencję, natomiast brakuje jej zdyscyplinowania. Dużo do życzenia pozostawia również jej frekwencja”.

- Przeszłam, prawda? - pyta.

Energicznie zamyka teczkę, podrywa się na równe nogi i wrzuca wszystko wraz ze świadectwami do stojącego pod zlewem kosza na śmieci.

- Dostałam się na prawo, czyż nie? Niemal idealnie zdałam LSAT\*. Co wy na to?

**\* LSAT - egzamin, który umożliwia podjęcie studiów prawniczych (przyp. tłum.).**

Zastanawia się, co ona właściwie robi. Wyjmuje świadectwa z kosza na śmieci, odkleja od teczki kilka zwiędłych liści sałaty i wkłada wszystko z powrotem do szuflady. Zaczynam świrować - uznaje. Choć dlaczego nie?

- To rodzinne - mówi na głos w pustym domu.

Wraca do przedpokoju, zarzuca torebkę na jedno ramię, torbę podróżną na drugie i niesie je na piętro, z trudem stawiając jedną nogę przed drugą. Mięśnie jęczą, jakby pięła się pod stromą górę. Równie dobrze mogę wrócić do łóżka - decyduje, nagle odczuwając

potworne zmęczenie.

Może coś złapałam - myśli. Może zaraziłam się czymś w samolocie. Powszechnie wiadomo, że samoloty to wylęgarnia zarazków. Duszne powietrze. Ludzie stłoczeni w niewielkiej, zamkniętej przestrzeni. Wystarczy, że ktoś kaszlnie lub kichnie. W dodatku ekstremalna zmiana pogody, zimne powietrze, od którego dawno temu się odzwyczaiła - nie mówiąc już o okolicznościach, które sprowadziły ją do Toronto, ponownym spotkaniu z matką i byłym mężem oraz niemiłych wspomnieniach, które tak bardzo chciała zostawić za sobą. Każdego by to zmęczyło. Na domiar złego jeszcze odgarniała ten cholerny śnieg. Nic dziwnego, że bolą ją ręce i ma sztywne plecy. Nic dziwnego, że jest wyczerpana i że pragnie tylko jednego - położyć się do łóżka i zasnąć.

W jej dawnej sypialni wciąż się pali światło. Amanda podchodzi do okna i wygląda na podjazd między dwoma domami - jej matki i najbliższych sąsiadów. Przypomina sobie starego pana Walsha i stara się odtworzyć rysy jego twarzy. Niestety, pamięta tylko zmarszczki, które niczym ciężka kurtyna pokrywały całe jego oblicze, luźne kosmyki siwych włosów, opadających z czubka niemal łysej głowy, i potężne brzuszysko, które latem napierało na guziki koszuli z krótkimi rękawami i przelewało się nad paskiem wiecznie zabrudzonych bermudów. Chociaż sylwetka pana Walsha jest całkiem wyraźna, rysy jego twarzy wyglądają tak, jakby ktoś, robiąc zdjęcie, ustawił ostrość na tło, dlatego główny obiekt stanowi jedynie niewyraźną plamę. Amanda przypomina sobie, jak ciemnozielony sedan zatrzymywał się na środku wspólnego podjazdu, a następnie potężnie zbudowany mężczyzna z trudem wysiadał z auta. Pot spływał mu z czoła, kiedy ukradkiem zerkał przez ramię w stronę domu matki i szyderczo prychał. Przez moment wydaje się jej nawet, że w kącikach jego ust dostrzega kpiący uśmiech.

- Ty żaloszny sukinsynu - mówi na głos. - Celowo tak parkowałeś.

Nic dziwnego, że mama rzuciła na ciebie klątwę.

- Nie, to niemożliwe, żebym brała stronę matki - jęczy na głos Amanda, rozpakowując torbę i rzucając swoje rzeczy na łóżko. - Teraz już wiem na pewno, że muszę być chora.

Z całą pewnością byłam w delirium, kupując te wszystkie szmaty - myśli, rozkładając przed sobą nowy fioletowy sweter. Fiolet, na litość boską. Do tego moher. Kiedy ona będzie to nosić?

- Włożę go zamiast pizamy - oznajmia na głos.

Rozbiera się i wciąga sweter przez głowę. Czuje na skórze miły, ciepły dotyk. Bierze szczoteczkę do zębów, idzie do łazienki i przygląda się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką. Nie może uwierzyć, że tak jej do twarzy w fioletowym swetrze, który doskonale pasuje do jasnych włosów i podkreśla delikatne rumieńce na policzkach.

„Chyba nigdy ci nie powiedziałam, jaka jesteś piękna”.

Z pewnością teraz wcale nie wyglądam pięknie - myśli Amanda, myjąc zęby i buzię.

Potem zbliża twarz do lustra i przygląda jej się uważnie w poszukiwaniu drobniutkich zmarszczek.

- Człowiek nigdy nie jest za młody, żeby zacząć używać kremów nawilżających - mówi do swojego odbicia.

Otwiera apteczkę i przez chwilę z otwartymi ze zdumienia ustami patrzy na rząd fiolek z lekarami.

Między sprzedawanymi bez recepty specyfikami znajduje kilka buteleczek z tylenolem 3 i percodanem, a także sprzedawanymi na receptę znanymi antydepresantami. Kilka z nich, jak wykazały ostatnie badania, u alarmująco wielu ludzi spowodowało psychozę. Czy matka padła ofiarą przemysłu farmaceutycznego? Czy pod wpływem jednego, a może nawet kilku z owych silnie działających środków odurzających zastrzeliła Johna Mallinsa? Amanda sprawdza na buteleczkach terminy przydatności do spożycia. Okazuje się, że wszystkie lekarstwa dawno temu straciły ważność. Możliwe, że matka faszerowała się nimi przez długi czas, a potem nagle przestała je zażywać, co spowodowało zaburzenie równowagi chemicznej, a co za tym idzie - niemożność racjonalnego myślenia. Czy można więc uznać, że działała w stanie ograniczonej poczytalności i nie powinna odpowiadać za swoje czyny?

Amanda wbiega z powrotem do sypialni i wyjmuje z torebki telefon komórkowy. Ma zamiar zadzwonić do Bena i podzielić się z nim swoim najświeższym odkryciem. Chce go nawet przeprosić, że poprzednim razem nie sprawdziła apteczki. Co się z nią dzieje? Jak mogła pominąć coś tak ważnego?

Chociaż...

Jeśli nawet matka nadużywała przepisanych leków, jakie to ma znaczenie, skoro uparcie twierdzi, że dobrze wiedziała, co robi, i była w pełni świadoma, że postępuje źle? Mogła być całkiem niepoczytalna i działać pod wpływem leków, które dawno temu straciły ważność, ale z pewnością nie zgodzi się na użycie argumentu o ograniczonej poczytalności.

Mimo to...

Amanda wykręca numer Bena, słucha kolejnych sygnałów, po czym rozłącza się, nie czekając na zgłoszenie się poczty głosowej. Nie ma sensu zostawiać wiadomości. Nim Ben wróci do domu, Amanda z pewnością będzie mocno spać. Co więcej, niewątpliwie wróci z przyklejoną do boku Jennifer. Dlaczego nie? Czemu nie mieliby być razem? Jennifer jest atrakcyjna i bystra, a poza tym z pewnością jej matka nie krąży po mieście i nie strzela do ludzi w hotelowym foyer. Tak, Jennifer to rozsądniejszy i bezpieczniejszy wybór. Z pewnością matka Bena by ją zaaprobowwała. Ojciec także - myśli, wyobrażając sobie przystojnego starszego pana Myersa, który obecnie przebywa w podróży poślubnej z jej byłą nauczycielką historii.

Jak zabawnie wszystko się w życiu układa!

Zdaje sobie nagle sprawę, że ojciec Bena jest prawie w tym samym wieku co jej były

mąż. Krzywiąc się pod wpływem niepokojącej myśli, idzie do sypialni matki i włącza światło. A tak swoją drogą, dlaczego wyszła za męża za Seana? Co więcej, dlaczego Sean się z nią ożenił? To fakt, że była młoda i ładna, ale na Florydzie nie brakuje młodych i ładnych dziewcząt, dlatego niełatwo oczarować inteligentnych i eleganckich mężczyzn - takich jak Sean. W takim razie co w niej widział? I jak mógł ją kochać - jak w ogóle jakikolwiek mężczyzna naprawdę mógł ją kochać? - jeśli ojciec był wobec niej całkiem obojętny, a matka właściwie jej nie zauważała i twierdziła, że nie ma za co kochać córki?

Amanda podchodzi do wnęki obok łóżka matki, ogląda małe kryształowe bibeloty na półce i muska palcami szklanego pudełka z czarnymi koralikami zamiast oczu i nosa.

- Dobrze, dość tego dobrego. Takie rozważania prowadzą donikąd.

Amanda idzie do garderoby matki i zaczyna niecierpliwie przeszukiwać szuflady.

- Wszystko to samo, co wtedy, kiedy po raz ostatni tu zaglądałam - oznajmia, zamykając ostatnią z szuflad.

Wygląda przez okno, w stronę domu pani MacGiver po drugiej stronie ulicy. Ktoś stoi w oknie na piętrze. Amanda cofa się o krok, chociaż jednocześnie wychyla całe ciało do przodu, żeby lepiej zobaczyć.

- Czy to pani, pani MacGiver? - szepcze, podchodząc nieco bliżej do okna i opierając czoło o zimną szybę.

Postać w oknie naprzeciwko cofa się i znika za zasłonkami. Kilka sekund później w pokoju gaśnie światło.

Amanda stoi kilka minut i spogląda w ciemność, zastanawiając się, ilu dawnych sąsiadów wciąż mieszka w pobliżu i czy któryś z nich teraz ją obserwuje. Może powinna przejść jutro wzdłuż ulicy i porozmawiać z ludźmi, którzy znają jej matkę. Może ktoś byłby w stanie rzucić nowe światło na całą sprawę. Ludzie często wiedzą więcej, niż im się wydaje, chociaż w zasadzie wiedzą mniej.

- W porządku, dość tego dobrego - mówi do wszystkich, którzy mogą ją obserwować. - Informuję osoby, które się mną interesują, że idę do łóżka. A tak przy okazji, jak wam się podoba mój nowy sweter? Odpowiada wam kolor? Czy fiolet to nie przesada? Dobrze. W porządku. Śpijcie smacznie, miłych snów.

Wyłącza światło, wraca do swojego dawnego pokoju i kładzie się do łóżka.

- Kogo właściwie próbuję oszukać? Na pewno nie zasnę - stwierdza i niemal natychmiast zapada w sen.

- Amando?

Kiedy otwiera oczy, widzi chudego chłopca z ogromną drewnianą głową i pomalowaną na czarno czupryną. Chłopiec idzie w jej stronę. Ma na sobie czystą, wyprasowaną białą koszulę, sztywne, niebieskie dżinsy, zielone oczy i promienny uśmiech na twarzy.

- Zatańcz ze mną - proponuje, wysuwając przed siebie ręce. Amanda wstaje z łóżka i

pochyla głowę, chłopiec odpowiada głębokim ukłonem. Kilka sekund później młodą kobietę otaczają drewniane ręce, a partner wiruje z nią po wysokiej scenie.

- Podoba mi się twój nowy sweter - mówi tancerz.

Chłodny podmuch wiatru muska jej twarz, zamraża uśmiech i sprawia, że jej skóra twardnieje jak lód. Ręce i nogi zaczynają się poruszać w nieskoordynowany sposób - bezmyślnie i bez odrobiny wdzięku. Najpierw w powietrze unosi się prawe kolano, potem lewa ręka, następnie obie nogi jednocześnie. Po chwili prawa ręka wyskakuje w bok, usta się otwierają i zamykają, chociaż głos, który się z nich wydobywa, nie należy do niej.

- Laleczko, laleczko - skanduje ktoś.

Amanda czuje drżenie mięśni pleców, jakby między jej łopatkami tkwił haczyk na ryby.

- Kto jest moją małą laleczką?

- Cholera! - mówi Amanda.

Podrywa się i zapala lampkę przy łóżku. Następnie patrzy, jak resztki snu znikają w promieniach jasnego światła. Przeczesuje palcami włosy i czeka, aż ustanie szalone bicie serca. Zaczynają ją boleć wszystkie mięśnie.

- Nie powinnam odgarniać tego cholernego śniegu.

Chociaż już nie śpi, w głowie wciąż dźwięczy jej jakiś dziwny głos. Czyj to głos? - zastanawia się, wstając z łóżka i idąc korytarzem.

Potrząsa ramionami, próbując uwolnić się od przykrego uczucia, że ktoś wciąż pociąga za jej sznurki.

## 23

Powłócząc nogami, Amanda wchodzi do łazienki, odkręca kran i kilkakrotnie przemywa twarz zimną wodą. Nagle ze zdumieniem zdaje sobie sprawę, że z jej oczu płyną łzy.

- Dlaczego, do diabła, płacę? - pyta niecierpliwie swoje odbicie, obserwując w lustrze dobrze sobie znane potrząsanie głową.

Kręci nią gorączkowo z boku na bok, aż w końcu włosy przyklejają się jej do oczu, jakby ktoś niespodziewanie podszedł od tyłu i mówił: „Zgadnij, kto to”.

Potem przez kilka sekund stoi z pochyloną głową i włosami przyklejonymi do mokrej twarzy, a z każdym oddechem z jej gardła wyrywa się głośny szloch, uparty jak tykanie bomby zegarowej niezgrabnie przypiętej pasami do piersi. Amanda sięga na oślep lewą ręką w stronę wieszaka na ręczniki. Przy okazji dostrzega, że kładąc się do łóżka, zapomniała zdjąć zegarek. Ku swojemu zaskoczeniu widzi, że jest po jedenastej.

- Nawet nie ma jeszcze północy - narzeka.

Wyciera twarz szorstkim białym ręcznikiem, napełnia wodą różowy plastikowy kubek,

który stoi nad umywalką, i jednym haustem wypija jego zawartość.

- Co będę robić do rana?

Zastanawia się, czy nie zejść na parter i czegoś nie zjeść, ale na wspomnienie zawartości lodówki matki dochodzi do wniosku, że jabłka z pewnością nie dodadzą jej otuchy. Są zbyt zdrowe. Zbyt dobre, żeby pomóc w kryzysowej sytuacji, kiedy człowiek marzy o czymś tłustym i wysokokalorycznym, takim jak zapiekanka, którą niedawno zjadła. Oczywiście, może się ubrać i poszukać całodobowego sklepu spożywczego, chociaż nie jest pewna, czy w Toronto taki by znalazła. Może też po prostu zamówić pizzę. Na pewno są jeszcze jakieś otwarte restauracje, które pomimo późnej pory chętnie dostarczą jej coś do jedzenia. W końcu nie ma jeszcze północy. Inna możliwość to Swiss Chalet. Kiedy po raz ostatni jadła ich kurczaka z frytkami zalanymi sosem? Bardzo, bardzo dawno temu. Wraca do sypialni i sięga do torebki po komórkę. Już na samą myśl o jedzeniu napływa jej ślinka do ust. Właśnie ma zamiar zadzwonić na informację z prośbą o podanie numeru telefonu, kiedy dostrzega, że ma nagraną jakąś wiadomość.

- Cześć, to ja, Ben - słychać głos z taśmy.

Ben mówi spokojnie, chociaż fakt, że uznał za konieczne podać swoje imię, można potraktować jak swego rodzaju wyrzut.

- Właśnie byłem ciekaw, jak sobie radzisz, ale gdzieś się włączysz, więc prawdopodobnie wszystko w porządku. - Pauza, a potem: - Zadzwon do mnie rano.

- Gdzieś się włączysz - powtarza Amanda z kanadyjskim akcentem Bena, dzięki czemu wychodzi „gdzieeś się włoócysz”. - Taak, gdzieeś się włoócę. Włoócę się na golasa, jeśli nie liczyć nowego moherowego swetra, łażę po korytarzach na piętrze w domu mojej mamy jak jakiś wielki fioletowy duch - dodaje niemal szeptem. - I ślinię się na myśl o tłustej, niezdrowej kolacji, drugiej tego wieczoru, więc najwyraźniej dopisuje mi apetyt, czyli dobrze się miewam. Bardzo dziękuję za to, że się o mnie niepokoiłeś.

Trzykrotnie odtwarza wiadomość Bena, a potem ją kasuje.

- A tak swoją drogą, ciekawe, kiedy dzwoniłeś - zwraca się z pytaniem do telefonu, zła na siebie, że idąc tak wcześnie do łóżka, nie wyjęła maleństwa z torebki i dlatego potem nie usłyszała dzwonka.

Ponownie zerka na zegarek i dochodzi do wniosku, że nie jest za późno, aby oddzwonić. Ben na pewno nie chodzi spać przed północą.

„Zadzwonisz do mnie później?”

„Oczywiście”.

Amanda wybiera numer Bena, ale trzyma palec w pogotowiu, żeby się rozłączyć, nim odezwie się automatyczna sekretarka.

- Halo, słucham? - odpowiada Ben jeszcze w trakcie pierwszego dzwonka.

Jego głos jest ciepły, serdeczny. Amanda chciałaby się w niego wtulić.

- To ja.

W przeciwieństwie do swojego byłego męża nie uściśla owego „ja”.

- Właśnie odebrałam twoją wiadomość.

- Gdzie jesteś?

- W domu - mówi, czując, że to słowo dziwnie brzmi w jej ustach. - W domu mojej mamy - poprawia się natychmiast. - Kiedy dzwoniłeś?

- Kilka godzin temu.

- Zasnęłam. Nie słyszałam telefonu.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Jestem trochę głodna. Ben wybucha śmiechem.

- Myślę, że nie masz ochoty na wyprawę do jakiejś restauracji.

- Nie mogę - odpowiada Ben bez dalszych wyjaśnień. Amanda dochodzi do wniosku, że to wkurzający obyczaj.

Wyobraża sobie patrzącą na niego z drugiej strony pokoju Jennifer, która przekrzywia głowę na bok, jakby chciała spytać: „Kto dzwoni o tak późnej porze?” Amanda machnięciem ręki odsuwa niemiłą wizję na bok. Widzi, jak Jennifer leci w powietrzu i rozpryskuje się jak tani fajerwerk, po czym pochłania ją nocne niebo.

- Udało ci się rozejrzeć po domu? - pyta Ben, gdy tymczasem ona usiłuje sobie przypomnieć, co robiła przez cały dzień. - Znalazłeś coś, co poprzednio przeoczyliśmy?

- Tak - mówi i aż podnosi głos z podniecenia, gdy przypomina sobie zawartość apteczki matki. - Znalazłam tabletki.

- Tabletki?

- Przynajmniej dziesięć buteleczek. Antydepresanty, środki przeciwbólowe... wszystko, co przyjdzie ci na myśl. Większość straciła ważność kilka lat temu, ale to wcale nie znaczy, że ich nie brała. Czy kiedykolwiek wspomniała o jakimś leczeniu?

- Mówiła tylko o calcium - wyjaśnia Ben.

Amanda niemal widzi, jak jej były mąż kręci głową ze zdumienia.

- Jak sądzisz, czy można mówić o ograniczonej poczytalności?

- Z pewnością warto się nad tym zastanowić. Znalazłeś coś jeszcze?

- Nie - mówi Amanda. - Ale okazało się, że wszystkie rośliny są plastikowe.

Ben znów się śmieje; serdeczny dźwięk przebiega po kablach i pięści policzek Amandy, która za nic w świecie nie chce, żeby się rozłączył. Co prawda już się wykazała i nie ma nic więcej do zaoferowania, ale pragnie przedłużyć rozmowę.

- Masz jakieś kwiaty? - pyta, mocno ściskając telefon, jakby próbowała w ten sposób zatrzymać Bena.

- Nawet kilka, ale kiepsko rosną. Chyba mają za dużo słońca. Amanda próbuje sobie wyobrazić mieszkanie Bena w Harborside: okna od podłogi do sufitu, widok na jezioro.



Niestety, widzi jedynie maleńką klitkę, w której kiedyś mieszkali. Mieściła się na pierwszym piętrze i miała tylko jedną sypialnię. Mieszkanie znajdowało się w budynku z żółtej cegły. Dom ten nawet wówczas miał już dobre czasy za sobą. Nie było klimatyzacji, zmywarki do naczyń, a do sypialni z trudem weszło dwuosobowe łóżko, dlatego oboje nie mogli jednocześnie się po niej poruszać. Niewiele większy był salon. Królowała w nim skrzypiąca stara sofa, którą wybrali w Goodwill, a ich sąsiad z parteru wiecznie walił miotłą w sufit, dając im w ten sposób do zrozumienia, że zbyt głośno puszczają wieżę - była to ich jedyna własność i jedyna rzecz, która miała jakąś wartość.

- Pamiętasz nasze mieszkanie przy Vaughan Road? - słyszy Amanda własne pytanie.

- Czy mógłbym zapomnieć? - odpowiada Ben po chwili milczenia.

- Było okropne.

- Owszem.

- Mimo to je lubiłam.

- Ja też.

Następna przerwa. Dłuższa od pierwszej. Przez chwilę Amanda boi się, że ich rozłączyło.

- Ben?

- Tak?

- Nic. - Potrząsa głową, jakby mógł ją zobaczyć. - Po prostu bałam się, że cię tam już nie ma.

- Jestem.

Na jej ustach pojawia się smutny uśmiech. Spowodowała taki chaos. Chciałaby go przeprosić za to, że w taki a nie inny sposób od niego uciekła, za wszystkie zawirowania, które spowodowała w jego życiu, za ból, który mu zadała. Zamiast tego pyta:

- Co teraz zrobimy?

- Jutro rano muszę być w sądzie - odpowiada Ben, nie zwracając uwagi na szerszy kontekst pytania. - Sądzę jednak, że po południu powinniśmy pojechać do twojej matki. Oczywiście, jeśli ci to odpowiada. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tych prochach.

- O której?

- Możesz przyjść do mojego biura o drugiej?

- Oczywiście.

- To dobrze. W takim razie jesteśmy umówieni.

- Jesteśmy umówieni - powtarza Amanda, nie chcąc kończyć rozmowy.

- Życzę ci miłych snów, Amando.

- Ja tobie też.

Potem zapada okropna cisza, która oznacza, że ktoś się rozłączył. Amanda wsłuchuje się w nią przez kilka sekund, starając się usłyszeć oddech Bena po drugiej stronie linii. W

końcu niechętnie przyjmuje do wiadomości, że go tam nie ma, energicznie zamyka telefon i wrzuca go do torebki. Niemal natychmiast go wyjmuje i kładzie na szafce nocnej na wypadek, gdyby Ben chciał jeszcze zadzwonić.

Siada na niskim łóżku i spoglądała na reprodukcję Renoira na ścianie po przeciwnej stronie. W dzieciństwie często leżała w nocy i patrzyła na ten obraz - na radosną, beztroską młodą kobietę w długiej, falbaniastej sukni, bawiącą się na huśtawce w zatłoczonym parku. Wychyla się w stronę słońca, jej okrągła twarz jest zaróżowiona i spokojna, a z całej sylwetki emanuje szczęście. Zawsze zazdrościła dziewczynie, która z taką samą dumą obnosiła się ze swoją radością jak z ciemnoniebieskimi kokardami, które zdobiły przodzik jej kremowej sukienki, a miała tyle pewności siebie, że nie bała się stać na huśtawce. Ileż to razy Amanda modliła się, żeby zamienić się miejscami, stać się dziewczyną skąpaną w promieniach słońca, otoczoną przez wielbicieli, a nie dzieckiem, które noc w noc drży samotnie pod kołdrą.

Prawdę mówiąc, kiedy była mała, liczyła, że jeśli wystarczająco zbliży się do obrazu, może zostanie przez niego wchłonięta. Pewnego wieczoru wdrapała się na biurko i uklękła przed reprodukcją, przyciskając do niej nos, aż zaczął ją boleć, a szybką przysłoniła mgiełka jej oddechu. Dziewczyna na huśtawce w ogóle nie zwróciła na nią uwagi, dlatego mała przeklęła egoizm młodej kobiety.

- Mam nadzieję, że spadniesz i skręcisz kark - syknęła w stronę ściany, a potem rozplakała się i zasnęła.

Niestety, następnego ranka dziewczyna wciąż stała na huśtawce i sprawiała wrażenie tak samo zadowolonej i spokojnej jak zawsze. Najwyraźniej Amanda nie miała takiej mocy niszczenia jak jej matka.

- Chcesz się założyć? - pyta teraz.

Wyobraża sobie, że ściąga młodą kobietę z huśtawki, widzi, jak damulka upada na ziemię, brudzi elegancką sukienkę, a na jej czole pojawia się głęboka rana, skąpana w miękkiej impresjonistycznej palecie jasnych czerwieni. Amanda kładzie się na łóżku i z zadowoleniem zamyka oczy. Spytaj Bena, czy naprawdę nie potrafię wszystkiego zniszczyć. Spytaj Seana. Spytaj ojca.

Głośno jęczy i obraca się na brzuch, próbując znaleźć wygodną pozycję, ale kołdra jak kochanek zajmuje w łóżku więcej miejsca, niż powinna, i bez przerwy się do niej przymila, więc po dziesięciu minutach niespokojnego przewracania się z boku na bok i unikania jej dotyku rezygnuje z myśli o zaśnięciu. Może obejrzy coś w telewizji? Gdzieś musi być jakiś mecz hokejowy. Wstaje z łóżka i wychodzi na korytarz.

Wcale nie miała zamiaru zaglądać do środkowej sypialni, dlatego jest zaskoczona, gdy łapie się na tym, że stoi w jej drzwiach. Nie miała zamiaru zbliżać się do garderoby, dlatego nie może uwierzyć, że stoi przed nią z ręką na klamce. Na pewno nie chciała wynosić teatrzyku kukielkowego na środek pokoju, mimo to nagle siedzi na podłodze, rozdziela

sznurki marionetek i rozwiesza wysokie drewniane tło sceny.

- Cześć, ludziska - mówi, patrząc, jak kukielki grzecznie jej się kłaniają.
- Cześć, ślicznotko - odpowiada drewniany chłopiec, lekko unosząc drewnianą głowę.
- Gdzie byłeś? - pyta uprzejmie drewniana dziewczynka.

Amanda wzrusza ramionami i każe lalkom tańczyć na scenie.

Poruszają się razem z ogromną łatwością, z wdziękiem płyną w powietrzu. Głowa dziewczyny spoczywa na ramieniu chłopca, a on opiekuńczo otacza ją ramieniem, ich kończyny powoli się splatają, sznurki się płaczą, owijają jeden wokół drugiego jak bluszcz wokół pnia drzewa. W końcu dwie marionetki stają się jedną; nie można ich oddzielić bez spowodowania dużych szkód. Tak wygląda prawdziwa miłość - myśli Amanda z utęsknieniem, wyobrażając sobie siebie w ramionach Bena, czując jego policzek przy swoim, jego silne ramię na swoich plecach.

Nikt wcześniej ani później nie działał tak na nią jak Ben. Tylko on, dotykając jej ciała, docierał prosto do jej duszy.

Niestety, wcale nie chciała, żeby ktokolwiek dotarł do jej duszy, bo gdyby naprawdę to zrobił, odkryłby, że w środku nic nie ma - nie ma nikogo, kogo warto byłoby poznać, kogo warto byłoby pokochać. Przecież jeśli człowieka nie kocha własna matka...

- Co ja robię? - pyta Amanda, jakby obudziła się z długiego snu. - Co ja do diabła robię.

Zrywa sznurki z palców; lalki gwałtownie odsuwają się od siebie. Rzuca nimi ze złością. Uderzają o ścianę i upadają na łóżko, jedna na drugą, jakby mimo wszystko chciały skończyć to, co zaczęły. Amanda kręci się bezradnie w kółko, coraz bardziej wstrząśnięta.

- Cholera jasna! Co się z tobą dzieje?

Pochyliła się i podnosi drewnianą scenę, potem obraca się po raz ostatni i rzuca teatrzyk w stronę okna jak lekkoatleta pchający kulę. Na szczęście scena nie trafia w szybę, tylko rozbija się o ścianę. W kilku miejscach odpryskuje różowa farba. W powietrzu fruważą kawałki drewna.

Amanda patrzy na spowodowany przez siebie bałagan. Niewielkie deseczki leżą na blacie biurka. Przypominają batoniki, które kolekcjonowała w dzieciństwie. Podłoga sceny odpadła od boków i niebezpiecznie zawisła na skraju biurka. Kołysze się, lada chwila upadnie. Wszędzie pełno drzazg.

- Świetnie - mruczy Amanda. - Znów naśmiecilałam.

Wychodzi z pokoju i idzie do kuchni po odkurzacz. Najpierw kwiatki, a teraz teatrzyk.

- Wszędzie, gdzie się pojawię, sięję spustoszenie. Może mama miała rację, trzymając mnie na dystans?

Po chwili wraca do pokoju z odkurzaczem i zielonym workiem na śmieci. Podłoga sceny spadła już z biurka i leży na szarym dywanie, a z jej boku wysypują się trociny.

- Przepraszam - mówi Amanda.

Wrzucając kawał drewna do worka na śmieci, dostrzega róg kartonika. Okazuje się, że to wizytówka wetknięta w długą szczelinę w desce.

Systemy Oczyszczania Wody - głoszą czarne litery. Walter Turofsky, dyrektor handlowy.

- Co to jest, do diabła?

Amanda potrząsa drewnkiem. Na podłogę wypadają następne wizytówki.

Biuro nieruchomości, spółka, George Turgov, prezes.

Materiały podłogowe, Milton Turlington, przedstawiciel handlowy.

Materiały wodoodporne, spółka, Rodney Tureck, wicedyrektor.

- Co tu się dzieje?

Amanda spogląda to na jedną, to na drugą wizytówkę. Co to za firmy? Kim, do diabła, są ci mężczyźni? Turofsky, Turgov, Turlington, Tureck?

- Turk - mówi na głos, nagle doznając olśnienia. - Turk - powtarza, tym razem niemal wypluwając z ust to nazwisko. - Cholera jasna, wiem, że to ty. Wiem, że jesteś mężczyzną, z którym związał się prawdziwy John Mallins tuż przed swoim zniknięciem. Co ty tu robisz?

Sprawdza, czy nie ma jeszcze czegoś w maleńkiej szparce w podłodze sceny. Otwór jest zbyt wąski i ciemny, żeby można było coś zobaczyć. Nawet bardzo mocne potrząśnięcie kawałkiem drewna nie daje żadnego rezultatu.

- Co tam, do diabła! - wybucha i uderza deską o bok biurka.

Scena rozpada się na dwie części. Z resztek teatrzyku kukielkowego wystaje rozek błyszczącego papieru. Amanda ostrożnie wysuwa kartkę, nie chcąc jej rozerwać, a potem obraca na drugą stronę.

- O mój Boże! Co to? - sapie, siadając na dywanie pokrytym drzazgami.

Trzyma w ręku zdjęcie.

Chociaż jest wyblakłe, zniszczone i pomięte, Amanda od razu poznaje twarze. Na fotografii widać mężczyznę z dziewczynką na kolanach. Oboje są uśmiechnięci i szczęśliwi, prawdopodobnie śmieją się z jakiegoś kawału. Mężczyzna to człowiek, którego zastrzeliła matka Amandy. Na kolanach trzyma swoją córeczkę Hope.

Po co matka przechowywała to zdjęcie? Skąd je wzięła? Dlaczego w ogóle je miała? Jak długo je ukrywała?

Sądząc po stanie fotografii, została ona zrobiona przynajmniej trzy, cztery lata temu. Hope wygląda na niej na dziewięć, dziesięć lat, chociaż w zasadzie ma taką samą twarz jak kilka dni temu, gdy Amanda widziała ją w hotelu: te same ciemne włosy i to samo przenikliwe spojrzenie. Ojciec jest szczuplejszy i przystojniejszy niż na zdjęciu w gazetach, chociaż cienka rysa na papierze przebiega przez jego policzek jak blizna.

- Turk? - pyta Amanda uśmiechniętą twarz. - To ty, prawda? Odnosi wrażenie, że

mężczyzna na zdjęciu uśmiecha się jeszcze promiennie, jakby z niej szydził.

Zastanawia się, jaka tajemnica kryje się za tą fotografią.

- Dowiem się - obiecuje Turkowi.

Uważnie ogląda zdjęcie, szukając jakichś wskazówek, ale niczego nie znajduje. Widzi ojca i córkę, którzy siedzą pod dużym drzewem chyba na jakimś podwórku. Mają na sobie letnie ubrania, ale oprócz tego nic nie można powiedzieć. W tle nie ma charakterystycznych budynków, u ich stóp nie rosną żadne rzadkie kwiaty, w głębi widać tylko błękitne niebo.

- Dowiem się, czy nazywasz się George Turgov, Rodney Tureck, Milton Turlington, Walter Turofsky, czy jeszcze jakoś inaczej. Odkryję, co zrobiłeś z Johnem Mallinsem. Mam również zamiar sprawdzić, skąd moja matka wzięta twoje zdjęcie - mówi Amanda, zaskoczona i zdumiona własną determinacją. - Nawet gdyby to mnie miało zabić.

## 24

Niecałe pięć minut później Amanda w fioletowym swetrze i czarnych spodniach zbiega ze schodów z torebką przerzuconą przez ramię i telefonem komórkowym przy uchu.

- Odezwij się, do jasnej cholery - mamrocze pod nosem, docierając do przedpokoju i wciągając botki. - No, Benie. Nie mogę czekać przez całą noc.

Ktoś odbiera telefon po czwartym sygnale.

- Halo, słucham? - odzywa się zaspany głos.

Amanda zdaje sobie sprawę, że to kobieta, ale świeży dopływ adrenaliny zagłusza poczucie zawodu.

- Cześć, Jennifer. Przepraszam, że dzwonię tak późno. Chciałabym rozmawiać z Benem.

- Kto mówi?

- Amanda - odpowiada, nie kryjąc złości.

Co się z tą kobietą, do diabła, dzieje? Kto inny może dzwonić do Bena o tak późnej porze?

- Kto?

- Jennifer, daj mi, do diabła, Bena. Mam do niego bardzo pilną sprawę.

- Dzwoni pani do Bena i Jennifer? Chyba pani żartuje - mówi kobieta, po czym w słuchawce Amandy zapada śmiertelna cisza.

- Do Bena i Jennifer... Niech to cholera! - krzyczy Amanda. Przed jej oczami przemyka sławetna para taneczna z Hollywood.

- Świetnie, po prostu świetnie.

Machnięciem ręki odsuwa od siebie przykry obraz i ponownie naciska przyciski, tym razem o wiele staranniej. Niestety, zapomina wybrać numer kierunkowy - od ośmiu lat go nie potrzebowała - i słyszy, jak bezczelny automat mówi jej, żeby zadzwoniła ponownie.

- Nie chcę dzwonić ponownie.

Amanda ostrożnie wrzuca telefon do torebki, nie chcąc uszkodzić zdjęcia i wizytówek. Włożyła je do różowej koperty ze szlaczkiem w kwiatki, wyjętej z papeterii z najniższej szuflady swojej dawnej komody. Wsuwając bose stopy w botki, czuje na palcach grubą, miękką i ciepłą wyściółkę. Sięga do szafy po kurtkę, zarzuca ją na ramiona, otwiera drzwi i wychodzi na zewnątrz. Wsuwa dłonie w rękawy, czując, że lodowaty wiatr zacina śniegiem w oczy.

- Czy nie dałoby się coś zrobić z tą pogodą?! - krzyczy w czarne niebo.

Zbiega ze schodów i pokonuje ścieżkę, którą wcześniej odśnieżyła. Dochodzi do wniosku, że na Bloor powinno być mnóstwo taksówek. Nie dzwoni już do Bena. Woli stanąć w jego drzwiach i osobiście mu pokazać, co przed chwilą odkryła. Nawet gdyby była z nim Jennifer, no to co? Czy to coś zmienia? Tak czy inaczej wkrótce będzie już po wszystkim, w piątek wsiądzie w pierwszy samolot na Florydę i już nigdy więcej nie zobaczy Bena, niezależnie od tego, ilu obcych ludzi zabiłaby jej matka.

Prawdę mówiąc, nawet wolałabym, żeby Jennifer była z Benem - myśli Amanda, docierając na róg Palmerston i Bloor. Przeszukuje wzrokiem obie strony ulicy. Nigdzie nie ma żadnej taksówki. - Tak, trzeba raz na zawsze położyć kres wszystkim romantycznym bzdurom. Nigdy przecież nie miała cierpliwości do romansów.

Dostrzega taksówkę, która jedzie za zbliżającym się autem. Macha wyciągniętą wysoko ręką, starając się zwrócić na siebie uwagę taksówkarza, ale kierowca albo jej nie widzi, albo celowo ją ignoruje. Tak czy inaczej nie zatrzymuje się. To samo robi następny, który przejeżdża obok, tyle że ten ma na tylnym siedzeniu pasażera.

- Niech to diabli - mruczy dziewczyna pod nosem.

Stuka czubkami butów. Pomimo owczego futerka jej bose stopy już zdążyły zmarznąć. Powinnam włożyć skarpetki - myśli, idąc Bloor na wschód.

- Co się z wami dzieje? - szlocha, gdy samochody mijają ją z warkotem silników. - Gdzie się podziali wszyscy cholerni taksówkarze?

W końcu dostrzega taksówkę po drugiej stronie ulicy. Auto właśnie rusza w przeciwnym kierunku.

- Nie! - krzyczy Amanda, przebiegając przez ulicę i machając gorączkowo rękami. - Nie tam. Tutaj. Tutaj.

Taksówka staje, a ona, ślizgając się na zamrzniętym błocie, dociera do auta.

- Dziękuję - szepcze zachrypniętym głosem, wsiadając do środka.

Automatycznie sprawdza na identyfikatorze imię i nazwisko kierowcy. Byłoby zabawnie - myśli - gdyby się okazało, że ten człowiek to Walter Turowski, George Turgov, Milton Turlington albo Rodney Tureck. Niemal wybucha śmiechem, widząc, że ma do czynienia z Igorem Lavinskym.

- Dokąd? - pyta mężczyzna, oglądając się przez ramię.

Ma bladą, pokrytą głębokimi zmarszczkami twarz. Gęste brązowe włosy opadają mu na czoło i zasłaniają niesłychanie ciemne oczy. Między wargami sterczy wypalony do połowy papieros, zadając kłam karteczce, która nakazuje pasażerom powstrzymanie się od palenia.

- Harborside - mówi Amanda, poruszając palcami stóp, żeby choć trochę je rozgrzać.

Opiera się i wydycha powietrze z płuc, a potem obserwuje jasny obłoczek, który przypomina dzina wypuszczonego z butelki.

- Dobrze się pani czuje? - pyta kierowca, mrużąc oczy w lusterku wstecznym. - Mam nadzieję, że nie zwymiotuje pani w moim samochodzie.

- Nie. O nie. Po prostu jest mi zimno.

- Zimno. Tak, rzeczywiście jest bardzo zimno, ale pani kurtka wygląda na bardzo ciepłą.

- Jest bardzo ciepła - przyznaje Amanda, podświadomie naśladowując wyraźny rosyjski akcent mężczyzny, a jednocześnie stawiając kołnierz kurtki. - Bajecznie ciepła.

- I ładna - dodaje taksówkarz.

Po chwili włącza w radiu jakąś melodię, którą ktoś gra na saksofonie, kończąc w ten sposób rozmowę.

Pięć minut później Amanda wysiada z taksówki i podbiega do przeszklonych drzwi domu, w którym mieszka Ben. Wiatr wiejący od jeziora rozrzuca jej włosy i setkami niewielkich kosmyków uderza ją w twarz. Dziewczyna z ogromnym trudem otwiera ciężkie drzwi. Wiatr najpierw utrudnia jej zadanie, a potem wciska się wraz z nią do marmurowego foyer, jakby i on rozpaczliwie chciał uciec przed zimnem. Drży, odgarnia włosy z oczu i przegląda listę lokatorów. Znajduje imię i nazwisko Bena, po czym naciska odpowiedni guzik.

- Wejść. Dziesięć dwanaście, na wypadek, gdybyś zapomniała - mówi Ben przez domofon, nawet nie pytając, kto to.

Czyżby widział przez okno taksówkę? Czy jego mieszkanie jest narożne, dzięki czemu ma widok na jezioro Ontario i Lake Shore Boulevard? Odzywa się dzwonek, Amanda otwiera wewnętrzne drzwi i przebiega przez przestronne, marmurowe foyer, nie zwracając uwagi na gustownie dobrane meble i kolorowy współczesny gobelin, który wisi na ścianie obok wind. Na szczęście winda czeka, ma nawet otwarte drzwi. Wchodzi do środka i naciska guzik dziewiątego piętra.

Gdy staje przed drzwiami Bena, prawie nie czuje palców u nóg. Chętnie wypiłabym filiżankę herbaty brzoskwiniowo-malinowej - myśli, pukając energicznie.

- Czemu to tak długo trwało? - pyta Ben, otwierając drzwi. Nagle - zaskoczony - zamiera w bezruchu. Jego twarz kamienieje.

- Amanda?

- Nikt ci nie mówił, że niebezpiecznie jest wpuszczać ludzi do budynku, nie pytając, kto to?

- Zakładałem, że wiem.

Ben zerka na korytarz.

- Nigdy niczego nie zakładaj. Nie nauczyli cię tego na prawie? Nie zaprosisz mnie do środka?

On ponownie wygląda na korytarz, jakby miał zamiar powiedzieć „nie”, ale potem odsuwa się na bok i wpuszcza Amandę do mieszkania.

- Co ty tu robisz? - pyta, patrząc, jak jego gość opiera się o wysoki, czarny stolik pod owalnym lustrem w małym przedpokoju i zdejmuje buty. - Dobry Boże, wyszłaś na taką pogodę bez skarpetek?

- Spieszyłam się. - Amanda zrzuca z ramion kurtkę. - Mogę ją powiesić?

- Możesz mi powiedzieć, co tu robisz?

- Chcę ci coś pokazać.

- Oprócz fioletowych palców u nóg?

- Przynajmniej pasują do swetra - żartuje Amanda.

Wchodząc do salonu, odczuwa zaskakujący spokój. To dziwne, zważywszy na okoliczności. Jest zmarznięta, zbliża się północ, w dodatku ona stoi na środku mieszkania swojego byłego męża z bosymi stopami i zdrętwiałymi palcami u nóg, a były mąż z wyraźnym niepokojem czeka na swoją aktualną dziewczynę. Co więcej, Amanda kurczowo ściska torebkę aż ciężką od najnowszych, szokujących informacji. Tymczasem czuje... co? Szczęście. Spokój. Nawet harmonię. Zdaje sobie sprawę, że czuje się jak dziewczyna Renoira na huśtawce, dlatego wychyla się do przodu, w stronę wyimaginowanych promieni słońca.

- Piłaś? - pyta Ben, wchodząc za nią do salonu.

- Nie, chociaż chętnie bym z czegoś skorzystała.

Wzrusza ramionami, jakby w końcu zdał sobie sprawę, że już nie jest panem w swoim własnym domu.

- Czego się napijesz?

- Może herbaty?

- Masz ochotę na herbatę?

- Jeśli to możliwe, brzoskwiniowo-malinową.

- Brzoskwiniowo-malinową - mruczy Ben.

Kręcąc z niedowierzaniem głową, idzie w stronę kuchni.

Amanda omiata wzrokiem ładnie urządzonego salon i jadalnię. Widzi kremowe ściany i miękką sofę obitą brązowym zamszem, który nie najlepiej pasuje do czarnych foteli po przeciwnej stronie. W części jadalnej wokół prostokątnego stołu ze szklanym blatem stoi



sześć szarych plastikowych krzeseł, a na ścianach naprzeciwko okien, które sięgają od podłogi do sufitu i wychodzą na jezioro, wisi kilka abstrakcyjnych, geometrycznych obrazów. Dziewczyna podchodzi do okna, opiera czoło o szybę i spogląda w ciemność. Wydaje jej się nawet, że słyszy szum lodowatych fal jeziora Ontario.

- Nie mam herbaty brzoskwińowo-malinowej - oznajmia Ben z kuchni. - Jest tylko *red rose*.

- Niech będzie *red rose*.

Amanda idzie w stronę kuchni, staje w progu i obserwuje, jak Ben napełnia czajnik wodą, a następnie wrzuca torebkę do kubka ze słonecznikami.

- Podoba mi się twoje mieszkanie - mówi, siadając przy małym stole kuchennym ze szklanym blatem.

- Po co nrzvszłaś?

- Wiem, kim jest Turk.

- Co takiego? Skąd to wiesz?

- Znalazłam coś w domu matki.

Ben siada na krześle po drugiej stronie stołu, opiera się łokciami o blat i całkowicie skupia uwagę na Amandzie. Ma na sobie dżinsy i niebieską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Amanda dochodzi do wniosku, że jej były mąż nigdy tak dobrze się nie prezentował.

- Co znalazłaś?

- To.

Wyjmuje z torebki różową kopertę, wyciąga wizytówki i rozkłada je na stole.

- Co to takiego?

- Sam zobacz.

- Systemy oczyszczania wody, Walter Turowski, dyrektor handlowy - czyta Ben, a potem z rezerwą spogląda na pozostałe wizytówki. - Materiały podłogowe, Milton Turlington, prezes... Rodney Turecki... George Turgov. - Ben unosi głowę i spogląda na Amandę.

- Turk - mówi Amanda, patrząc mu prosto w oczy.

- Gdzie je znalazłaś?

- W sypialni gościnniej - mówi zgodnie z prawdą, uznając, że lepiej oszczędzić mu zbędnych szczegółów i nie opowiadać, jak dokonała swego odkrycia. - Za pierwszym razem musiałam je przeoczyć.

- Masz coś jeszcze? Podsuwa Benowi zdjęcie.

- To nasz człowiek z córką Hope. Prawdopodobnie zostało zrobione jakieś cztery lata temu.

- Skąd twoja matka je wzięła?

- Nie wiem.
- Myślisz, że sama je zrobiła?
- Nie wiem. Ben się uśmiecha.
- Rozumiem. Proszę, proszę.

Gwizdek sygnalizuje, że można parzyć herbatę. Ben wstaje i wlewa wrzątek do kubka.

- Mleko, cukier? Przytakuje.
- Jak myślisz, co to znaczy?

Amanda oplata kubek palcami i czuje, jak słoneczniki rozgrzewają wnętrza jej dłoni.

- Powinniśmy spytać o to twoją matkę.
- Myślisz, że coś nam powie?
- Nie wiem. - Ben ukradkiem zerka na zegarek. - Pij.
- Próbujesz się mnie pozbyć?

Następuje chwila ciszy, złagodzona jedynie przez uśmiech.

- Prawdę mówiąc, wciąż nie wiem, co ty tu właściwie robisz.

Dziewczyna pokazuje leżące na stoliku rzeczy.

- Myślisz, że to nie wyjaśnia mojej obecności?
- Uważam, że mogło poczekać do rana.

Amanda odczuwa łagodne napomnienie tak, jakby Ben mocno potrząsnął nią za ramiona. Oczywiście, były mąż ma rację. Znaleźiska z pewnością mogły poczekać do rana. Nie musiała przyjeżdżać do niego o północy. Wyraźnie opacznie zrozumiał jej entuzjazm. Założył, że pojawiła się ze względu na niego, a nie na matkę. Amanda zdaje sobie sprawę, że zrobiła z siebie idiotkę. Patrząc na siebie jego oczami, widzi, że jest godna pogardy, a nawet... jak to kiedyś powiedział? - zrozpaczona. Pora iść. Dopija herbatę, przy okazji parząc się w język i czując, że para, która unosi się do jej oczu, wywołuje łzy.

- Cholera. Sparzyłam się w język.
- Chciałem, żebyś wypila herbatę, a nie połykała ją jednym haustem.
- Niczego nie umiem dobrze zrobić, prawda?
- Wcale tego nie powiedziałem.
- Widzę, że koniecznie chcesz się mnie stąd pozbyć. W porządku. Wychodzę.

Podrywa się na równe nogi, ale ręce trzęsą się jej ze złości, dlatego bezskutecznie próbuje włożyć zdjęcie i wizytówki do ładnej, różowej koperty. Po kilku sekundach poddaje się i wrzuca je luzem do torebki.

- Dziękuję za herbatę. Przepraszam, że zawracałam ci głowę.

Idąc do jadalni, po drodze uderza biodrem o róg szklanego blatu stołu.

- Cholera! - klnie, wyobrażając sobie fioletowy siniec. Przyspiesza kroku. Ben jest tuż za nią, chwyta ją za łokieć.

- Zaczekaj, Amando. Co robisz?

- Wychodzę, nim przyjdzie następna zmiana.

Odpycha jego rękę, przechodzi przez salon i dociera do przedpokoju.

- Czy nie tego właśnie się boisz, że Jennifer może zobaczyć nas razem i wyciągnąć pochopne wnioski?

Wpycha stopę do wciąż lodowatego botka, a potem szamocze się z drugim.

- Zaczekaj, Amando - powtarza Ben.

- Co jeszcze?

Unosi głowę i spogląda na niego z prawą nogą w połowie już w bucie, w połowie na zewnątrz.

- Czy jej wnioski naprawdę byłyby takie pochopne? - pyta Ben szczerze.

Przez chwilę w cichym przedpokoju słychać tylko ich oddechy.

- O czym ty mówisz?

- Nigdy cię nie rozumiałem, więc może i tym razem robię z siebie kompletnego idiotę.

- Robisz z siebie kompletnego idiotę - zgadza się Amanda.

- Ale zrozum, w środku nocy pojawiaasz się nagle w moim mieszkaniu...

- Północ trudno uznać za środek nocy.

- ...z informacjami, które chociaż rzeczywiście są bardzo intrygujące, mogłyby...

- Przepraszam, że ci przeszkodziłam. Myślałam, że cię to zainteresuje.

- ...zaczekać do rana.

- Gdy po raz ostatni zataiłam przed tobą pewne informacje, byłeś zły.

- Byłem zły, bo prawie pijana poszłaś sama do obcej osoby. Byłem zły, bo się narażałaś.

- Teraz nic mi nie grozi - mówi Amanda.

- Ale to nie ja jestem zły.

Amanda zrzuca but wiszący na prawej stopie.

- Dobrze, w ten sposób daleko nie zajdziemy. Nigdy nie byłam dobra w bawieniu się w subtelności, więc wal. O co ci chodzi? Myślisz, że przyszłam, by cię uwieść?

- A po to przyszłaś?

- Przyszłam, bo znalazłam coś, co uznałam za ważne. Pewnie mogło poczekać do rana, ale ja nie mogłam. Być może postąpiłam egoistycznie, ale byłam podekscytowana i zdezorientowana, a poza tym wiedziałam, że już na pewno nie zasnę. Próbowałam do ciebie zadzwonić, ale wybrałam zły numer, za drugim razem zapomniałam o numerze kierunkowym, a potem nie mogłam już ani chwili dłużej zostać w domu. Doprowadzał mnie do szaleństwa. Musiałam stamtąd wyjść. Gdzie miałam przyjść, jeśli nie tutaj? Naprawdę, bardzo mi przykro. Przepraszam, że cię niepokoję. Przepraszam, że odniosłeś mylne wrażenie. Przepraszam za całe zło, jakie ci wyrządziłam.

- Przepraszasz za to, że wyszłaś za mnie za męża?

To pytanie tak ją zaskakuje, że przez chwilę brakuje jej tchu. Potrząsa przecząco głową.

- Nie. Tego nie żałuję. Ben odpowiada uśmiechem.

- W takim razie przyjmuję twoje przeprosiny.

Amanda również próbuje zdobyć się na uśmiech, ale poprzestaje na delikatnym wykrzywieniu ust.

- Dziękuję.

- Ja też przepraszam.

- Za co?

- Za to, że byłem takim niegodziwcem i egoistą.

Wzrusza ramionami. Potem jego ręce unoszą się i zawisają w powietrzu między nimi, jakby nie wiedziały, co począć.

- Może to klasyczny przykład myślenia życzeniowego. Amanda ponownie czuje, że brakuje jej powietrza.

- O czym ty mówisz?

- A jak sądzisz?

- Nie wiem, co sądzić. Lepiej mi powiedz.

- Co mam ci powiedzieć? Że tak bardzo chcę cię przytulić, iż nie potrafię myśleć o niczym innym? Że odkąd tu weszłaś, chcę zedrzeć z ciebie ten głupi fioletowy sweter?

- Nie lubisz fioletowego koloru?

Amanda ściąga sweter przez głowę i rzuca go na czarny stolik w przedpokoju. Stoi przed swoim byłym mężem z jedną nogą w grubym skórzanym bucie, drugą bosą, a jej nagie piersi unoszą się i opadają w oczekiwaniu.

- Czy teraz mogę cię uwieść?

W ułamku sekundy jest w jego ramionach, czuje, że ma miażdżone usta, więc lekko rozchyła wargi, żeby wpuścić delikatny język Bena. Odnosi wrażenie, jakby całowali się po raz pierwszy. Każdy pocałunek wywołuje ten sam delikatny niepokój, tyle że teraz jest lepiej, bo ręce, które ją pieszczą, są wprawne i wiedzą, co mają robić, jakby nigdy nie przestawały wędrować po jej ciele, jakby oboje nigdy się nie rozstawali, jakby tak między nimi było zawsze, jakby tak miało być zawsze.

Nagle odzywa się dzwonek.

Odskakują od siebie.

Zawsze dobiegło końca.

- Cholera! - klnie Ben, wbijając wzrok w podłogę.

- Cholera! - zgadza się Amanda, bacznie mu się przyglądając.

Stoją w bezruchu do drugiego dzwonka.

- Nie musisz odpowiadać - mówi Amanda.

- Jeśli nie odpowiem, Jennifer odejdzie.

- I o to chodzi.

- A ty? - pyta Ben, odrywając wzrok od podłogi i patrząc Amandzie prosto w oczy. - Kiedy ty odejdiesz?

Amanda nabiera powietrza w płuca. Na usta cisnie jej się słowo: „nigdy”, odpowiada jednak:

- W piątek. Najpóźniej w sobotę. Ben podnosi jej sweter z podłogi.

- Tak właśnie myślałem - stwierdza, kiedy dzwonek odzywa się po raz trzeci.

- Uratował cię przysłowiowy ostatni dzwonek. Dziewczyna bierze sweter i zaczyna go wciągać, tymczasem

Ben sięga do domofonu.

- Jennifer? - słyszy Amanda, wsuwając głowę w gruby moher jak żółw w skorupę.

Delikatne włoski łaskoczą ją w nos.

W przedpokoju rozlega się głos Jennifer:

- Jesteś. Już zaczynałam się martwić.

- Przepraszam. Byłem w łazience. Wejź na górę. Mieszkanie 1012.

- Już jadę.

- Już jadę - naśladuje ją Amanda, wysuwając głowę ze swetra i wypluwając kilka wełnianych kłaczek.

Chwyta z podłogi drugi but, potem kurtkę z wieszaka, otwiera drzwi i wychodzi na korytarz.

- Nie martw się. Nie zobaczy mnie.

- Dokąd idziesz?

- Och, na pewno znajdę kogoś, kto zechce się ze mną przespać.

- Amando...

- Nic mi nie będzie, Benie. To był tylko kaprys. Nie udało się. Żaden problem.

Naprawdę.

Ben kiwa ze zrozumieniem głową.

- Zobaczymy się jutro?

- Punktualnie o drugiej.

Oddała się bez pożegnania. Staje za załomem korytarza. Słyszy nadjeżdżającą windę i otwierające się drzwi. Ciche kroki szybko milkną na grubym dywanie. W oddali ktoś wychodzi na korytarz.

- Cześć - mówi z miłością kobiecy głos.

- Cześć - odpowiada Ben.

Gdy głosy cichną w głębi mieszkania, Amanda podchodzi do windy i naciska guzik. Drzwi natychmiast się otwierają. Czuć jeszcze zapach cytryny.

Amanda budzi się raptownie o wpół do dziesiątej następnego ranka i zastanawia się: (a) jaki to dzień, (b) gdzie jest i (c) kim jest. Na pierwsze dwa pytania o wiele łatwiej udzielić odpowiedzi niż na to ostatnie. Jest środa, ona sama znajduje się w domu matki, w salonie, w którym leżała od północy na niewygodnej sofie, patrzyła na sztuczne kwiatki na gzymsie nad kominkiem i myślała o przegranej potyczce z Benem.

- To wcale nie był mój ostatni wieczór - oświadcza zdecydowanie.

Wstaje, chwiejnym krokiem podchodzi do okna, rozsuwa zakurzone białe kotary i osłania oczy przed zdumiewająco mocnymi promieniami słońca.

Widzi pustą ulicę, która wygląda jak żywcem wzięta z bożonarodzeniowej kartki. Po obu stronach drogi biały śnieg przykrywa trawniki przed domami i błyszczy jak polerowany metal. Ludzie na chybił trafił poodgarniali rozmokły śnieg ze środka drogi na skraj chodnika, dlatego teraz w nieregularnych odległościach leżą spore hałdy, które przypominają pijanych wartowników i niemal całkowicie uniemożliwiają parkowanie. Kilka samochodów zostawiono prawie na środku ulicy, tylne zderzaki niebezpiecznie sterczą z chodników.

- Wygląda na to, że jest zimno - mruczy Amanda pod nosem.

Obejmując się rękami i czując delikatne łaskotanie moheru na dłoniach, próbuje nie wyobrazić sobie, że palce Bena zagłębiają się w jej ciele przez delikatną wełnę.

Co ją naszło?

- Muszę wejść pod prysznic - oznajmia pustym ścianom.

Idzie w stronę schodów, po których poprzedniego wieczoru nawet nie próbowała się wspinać ze strachu i zmęczenia, chociaż nie umiałaby powiedzieć, czego właściwie tak się bała. Czyżby myślała, że gdy położy się do łóżka, marionetki będą chciały jej się zrewanżować za to, że bezmyślnie zniszczyła ich teatrzyk? A może się obawiała, że znajdzie jakieś inne rzeczy ukryte w dziwnych miejscach?

- Na przykład swoje serce? - drwi, szerokim łukiem obchodząc sypialnię i idąc prosto do łazienki. - Nie ma takiej możliwości, do jasnej cholery!

Odkręca prysznic i wsuwa rękę pod staroświecką słuchawkę. Przypomina sobie, że kiedyś bardzo długo trzeba było czekać, nim z prysznica popłynęła ciepła woda. Uśmiecha się, gdy na wyciągniętej dłoni czuje zimny strumień. Dziwnie uspokaja ją myśl, że przynajmniej niektóre rzeczy się nie zmieniają. Robiąc minę do lustra nad umywalką, zauważa, że fiolet swetra ładnie podkreśla błękit jej oczu. Potem zdejmuje moher przez głowę i rzuca go do przedpokoju, odtwarzając swój gest z poprzedniego wieczoru.

- O Boże - jęczy.

Unosi twarz do sufitu i przypomina sobie dotyk warg Bena, jego ręce na swoich piersiach i pośladkach, palce szamocące się z zamkiem spodni.

- Niech to diabli! - przeklina.

Szybko ściąga spodnie i staje nago na środku łazienki matki. Jak to dobrze, że Jennifer pojawiła się w najodpowiedniejszej chwili! W życiu Amandy panuje teraz potworny chaos. Przespanie się z byłym mężem tylko by go pogłębiło.

Nie może sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni odtrącił ją jakiś mężczyzna.

Dlaczego w takim razie nie pojechała taksówką do hotelu Metro Convention Center i nie zaoferowała Jerrodowi Sugarowi następnej nocnej uczty?

- Już to przerabiałam - mówi, wzruszając ramionami, gdy mała łazienka napełnia się parą.

Co więcej, przy następnej nocnej niespodziance Jerrod Sugar mógłby dostać zawału serca. Amanda z uśmiechem na ustach wchodzi do wanny i zaciąga zasłonki. Przypomina sobie zdumioną minę Jerroda, gdy Ben niespodziewanie pojawił się w środku nocy u jej drzwi.

- Dzięki temu jesteśmy na remis - uznaje, wsuwając głowę pod strumień gorącej wody, która napełnia jej usta. - Jedna niespodziewana nocna wizyta dla ciebie, jedna dla mnie.

Rachunki wyrównane. Koniec, kropka. Tyle że nie tym razem, i Amanda dobrze o tym wie. Bierze szampon z brzegu wanny i myje włosy. Piana spływa jej do oczu, dzięki czemu łatwo wytłumaczyć łzy.

- To czysta głupota. Jesteś głupia - powtarza, ze złością masując głowę palcami. - Jak to się dzieje, że masz obsesję na punkcie faceta, którego rzuciłaś wiele lat temu?

Szampon spływa po jej włosach i ramionach jak jedwabna szarfa, potem przywiera do piersi. Czuje palce Bena na brodawkach, więc chwyta mydło z mydelniczki i niecierpliwie zmywa pianę.

- Już to przerabiałaś. Pamiętasz?

Po wyjściu spod prysznica wyciera się cienkim białym ręcznikiem, a potem w szafce pod umywalką szuka suszarki do włosów. Po prostu odezwała się w niej chęć rywalizacji, a nie stara, ukryta miłość. Nie lubi przegrywać z innymi kobietami. To wszystko.

Pod otwartą paczką tamponików z waty, kilkoma czepkami pod prysznic i sporą liczbą rolek białego papieru toaletowego znajduje starą jak świat suszarkę. Oprócz niej nie ma niczego, co miałoby jakieś znaczenie.

- Dzięki Ci, Boże - szepcze.

Kieruje wylot suszarki na włosy, naciska włącznik jak spust rewolweru i czuje na skroni podmuch gorącego powietrza. W ułamku sekundy mokre włosy oblepiają jej twarz. Tak samo jak poprzedniego wieczoru przed domem Bena - myśli.

- O nie. Już tam nie wrócę.

Kończy suszenie włosów, całkowicie skupiając się na warkocie silniczka, a potem ubiera się w nowe granatowe spodnie i niebieski sweterek. Wie, że powinna posprzątać

gościnną sypialnię, w której wciąż leżą porozrzucone kawałki teatrzyku kukielkowego, nie mówiąc już o samych lalkach, które całą noc spędziły na łóżku. Teraz należałoby je odłożyć z powrotem na swoje miejsce i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Później - mówi.

Idzie do kuchni, robi sobie omlet z trzech jajek i przegryza go jabłkiem, jednocześnie grzebiąc w torebce w poszukiwaniu wizytówek, które znalazła poprzedniego wieczoru. Rozkłada je na stole kuchennym i długo ogląda każdą z nich. Walter Turofsky, Milton Turlington, Rodney Tureck, George Turgov. Bez wątpienia fałszywe wizytówki, którymi posługiwał się mężczyzna zwany Turkiem. Które z tych imion i nazwisk było prawdziwe? A może żadne z nich? Może w rzeczywistości był kimś zupełnie innym? Czy można się tego jakoś dowiedzieć?

- Zastanów się - nakazuje sobie zdecydowanie. - Jesteś mądrą dziewczynką. Na pewno rozwiążesz tę zagadkę.

Z przeciwnej strony pokoju spogląda na nią kobieta o okrągłej twarzy otoczonej kasztanowymi lokami.

- Rachel Mallins - przypomina sobie Amanda.

Wstaje od stołu i przerzuca książkę telefoniczną.

- Malcolm, Malia, Mallinos, Mallins A.... Mallins L.... Mallins R.

Rachel podnosi słuchawkę po pierwszym dzwonku, zupełnie jakby czekała na telefon.

- Halo, słucham?

- Witaj, Rachel, mówi Amanda Travis.

- Miałam rację, prawda? - pyta natychmiast Rachel.

- Sprawdziłam w gazetach nekrologi z ostatniego miesiąca. Nie znalazłam matki Johna Mallinsa.

- A on sam? Udało ci się sprawdzić jego datę urodzenia?

- W paszporcie widnieje czternasty lipca. Miałas rację w obu sprawach. - Cisza. - Rachel? Jesteś tam?

- Jestem - odpowiada kobieta łamiącym się głosem, wyraźnie bliska łez. - Coś jeszcze?

- Podczas sekcji stwierdzono, że John Mallins był o dziesięć, może nawet piętnaście lat starszy, niż wynikałoby to z daty w paszporcie, miał lifting twarzy i operację plastyczną nosa.

- To znaczy, że ten drań naprawdę zabił mojego brata.

- Rachel, czy twój brat kiedykolwiek wspomniał kogoś o nazwisku Walter Turofsky?

- Walter Turofsky? Nie, myślę, że nie.

- A Milton Turlington?

- Nie.

- Rodney Tureck? George Turgov?

- Nie. Kim są ci mężczyźni?



- Pomyśl - mówi Amanda. - Turofsky. Turlington. Tureck. Turgov...  
- Turk - szepcze Rachel. - Uważasz, że to pseudonimy?  
- Kryminaliści zazwyczaj są bardzo leniwi i pozbawieni wyobraźni. Chętnie trzymają się tego, co znają.

- Skąd wzięłaś te nazwiska?  
- Znalazłam kilka fałszywych wizytówek. Były ukryte w domu mojej matki.  
- Twojej matki? - Głos Rachel świadczy o tym, że kobieta jest w szoku. - Co ma z tym wspólnego twoja matka?

Szok udziela się Amandzie.

- Moja matka? - O czym Rachel mówi? - O czym ty mówisz?  
- Powiedziałaś, że znalazłaś kilka fałszywych wizytówek w domu swojej matki.  
- Mojej matki? Nie. Powiedziałam: mojej klientki. Milczenie.  
- Och, przepraszam. Mój błąd. Co teraz? Wrócisz do klepsydr w gazetach?  
- Co takiego? - Amanda słyszy drżenie w swoim głosie. Czyżby naprawdę powiedziała „matka”? - Dlaczego miałabym ponownie sprawdzać klepsydry?

- Pomyśl - radzi Rachel tak samo jak przed chwilą Amanda. - Przeglądając je poprzednim razem, szukałaś kobiety o nazwisku Mallins, tymczasem jego matka musiała się nazywać Turlington, Turgov czy jak tam jeszcze.

- Tureck albo Turofsky.  
- Tak czy inaczej Tur... i coś tam.

Dziewczyna wzdycha. Nie ma zbyt wielkiej ochoty na ponowną wizytę w bibliotece publicznej.

- Pomóc ci? - pyta Rachel, rozumiejąc westchnienie.  
- Nie - odpowiada szybko Amanda.

Tę sprawę musi załatwić sama. Zresztą i tak już powiedziała za dużo. Jak mogła się pomylić i użyć słowa „matka” zamiast „klientka”? Dobrze, że Rachel jak większość ludzi z taką łatwością zignorowała to, co usłyszała.

- Będziesz informować mnie na bieżąco?  
- Oczywiście.  
- Dzięki. Jeszcze jedno, Amando - dodaje, gdy ta chce się rozłączyć.  
- Tak?  
- Gdy następnym razem spotkasz się z matką, mocno ją ode mnie uściskaj, dobrze? - mówi i odkłada słuchawkę.

- Cholera! - klnie Amanda. - Cholera. - Przez kilka sekund siedzi w całkowitym bezruchu. - Mam mocno uściskać swoją matkę - powtarza ze zdumieniem. - To dopiero byłby dzień.

Czuje serdeczny uścisk matki.

„Chyba nigdy ci nie powiedziałam, jaka jesteś piękna”.

- O rany! Dość tego dobrego!

Ponownie otwiera książkę telefoniczną, przerzuca błękitną część z urzędami i znajduje ratusz. Musi być jakiś łatwiejszy sposób zdobycia informacji na temat zmarłych - myśli, odsuwając na bok niechciane obrazy i myśli. Z pewnością ktoś prowadzi ogólną listę. Amanda wykręca numer i czeka, przygotowując się, że nagrany na taśmę głos będzie jej radził, do kogo powinna się zwrócić w jakiej sprawie.

- Ratusz. Mówi Davia.

- Davia? To znaczy, że jest pani prawdziwa?

- Z krwi i kości - odpowiada kobieta.

Przed oczami Amandy pojawia się następny niechciany obraz - tym razem Bena - więc natychmiast zastępuje go wymyśloną przez siebie Davią: wysoką, smukłą brunetką o wysokim czole i ogromnych piersiach.

- Z kim mam panią połączyć?

Amanda waha się, przez jej głowę przelatuje tyle niechcianych myśli, że nie może sobie przypomnieć, w jakim celu dzwoni.

- Halo? Jest tam pani?

- Czy prowadzicie rejestr zmarłych?

Pytanie wyskakuje z ust Amandy niczym kula z rewolweru.

- Nie, obawiam się, że nie - odpowiada Davia, jakby codziennie słyszała to pytanie.

- W takim razie jak mogę znaleźć kogoś, kto zmarł w Toronto w ubiegłym miesiącu?

- Może najlepiej byłoby przejrzeć nekrologi w gazetach - radzi Davia zgodnie z przewidywaniami Amandy. - W bibliotece publicznej znajdzie pani niezłą paradę umrzyków.

Amanda wybucha śmiechem, słysząc to określenie.

- A jeśli ktoś nie zamieścił w gazetach nekrologu?

- No cóż, w takim przypadku prawdopodobnie należałoby się zwrócić z prośbą do władz prowincji, chociaż oni ujawniają dane dopiero siedemdziesiąt lat po czyjejś śmierci.

- Siedemdziesiąt lat? Nie, ta osoba zmarła niedawno. Nie rozumiem, dlaczego to jest takie trudne. Czy w aktach państwowych nie odnotowuje się śmierci?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Czy to tajemnica?

- Nie, po prostu nie są to dane urzędowe.

- Och!

- Przykro mi, że nie mogę pani pomóc.

- Dziękuję - mówi Amanda zamiast „do widzenia”. - Skorzystam z biblioteki publicznej.

Wciągając botki i wkładając kurtkę, zastanawia się, czy nie zadzwonić do Bena, ale jej były mąż jest w sądzie. Poza tym co miałyby mu właściwie powiedzieć? „Idioto - nie wykorzystalesz okazji”?

- To chyba byłby kiepski pomysł - stwierdza.

Drży z zimna na samą myśl o wyjściu na zewnątrz, dlatego opuszcza głowę, chcąc osłonić twarz przed lodowatym wiatrem.

Tyle że wiatr wcale nie jest lodowaty. Nawet nie wieje i chociaż trudno mówić o miłej pogodzie, jest znacznie cieplej niż poprzedniego dnia. Idąc ścieżką, Amanda ma nadzieję, że to dobry znak. Gdy skręca w Bloor, widzi, że starsza pani MacGiver wygląda przez frontowe okno.

- Nie zwracaj na nią uwagi - szepcze w kołnierz kurtki. - Idź przed siebie.

Na przekór własnym słowom wchodzi po schodach domu pani MacGiver i dzwoni do drzwi. Co ja, do diabła, robię? - zastanawia się, zaglądając w okna salonu, zdziwiona, że nikt nie otwiera. Niczego nie widać. Czyżbym ją przestraszyła? Może biedna staruszka zmarła ze strachu, widząc, że tu idę. A jeśli tak, to co? Czy jej rodzina, której zdaniem starsza pani i tak żyje już za długo, zechce umieścić w gazecie jej nekrolog?

Skrzypi zamek, potem drzwi uchylają się na kilka milimetrów. W szczelinie pojawia się głowa staruszki otoczona aureolą siwych włosów, które sterczą jak chwasty z suchej, różowej skóry na czaszce.

- To ja, Amanda. Córka Gwen Price - przedstawia się dziewczyna. - Wychodzę na kilka godzin. Może po drodze coś pani kupić?

- Przydałaby mi się para czerwonych butów - odpowiada kobieta.

- Co takiego?

- W najbliższą sobotę w Royal York jest bal - wyjaśnia pani MacGiver.

Nagle ożywiona, szeroko otwiera drzwi. Ma na sobie starą żółtą podomkę z plamami po kawie i grube, szaro-białe skarpetki sportowe.

- To mój bal maturalny. W tym roku urządzają go w Royal York. Nie mogę się doczekać.

- Proszę pani...

- Początkowo tata nie chciał mnie puścić. Jest surowy. Bardzo surowy - powtarza i potrząsa głową, wyraźnie obojętna na panujący chłód. - Nie lubi Marshalla MacGivera, chociaż moja mama uważa, że to bardzo miły młody człowiek. Dlatego namówiła tatę, żeby pozwolił mi iść. Kupiła mi nawet nową sukienkę. - Staruszka spogląda na swoje stopy. - Ale nie mogę iść na bal maturalny, nie mając odpowiednich butów, prawda?

- Niestety, proszę pani, dzisiaj nie dam rady wybrać się do sklepu z obuwem. Może jutro - proponuje Amanda, próbując się wycofać.

- Dokąd się wybierasz? - pyta pani MacGiver szorstkim, niemal oskarżycielskim

tonem.

- Do biblioteki.
- Nie potrzebuję żadnych książek.
- Tak, wiem. Po prostu myślałam, że może trzeba kupić pani sok pomarańczowy, mleko albo herbatę.

Kobieta uśmiecha się, ukazując braki w górnym uzębieniu.

- Przydałaby mi się herbata. Amanda oddycha z ulgą.
- W takim razie w porządku. Kupię pani herbatę.
- Tak, kup mi herbatę. *Red rose*, jeśli tylko będą mieli.

Dziewczyna przypomina sobie herbatę, którą poprzedniego wieczoru poparzyła sobie język.

- Będzie *red rose*.
- Nie wiedziałam, że w bibliotece sprzedają artykuły spożywcze - dziwi się pani

MacGiver.

- Powinna pani wracać do domu. Przeziębili się pani.
- Tak, rzeczywiście jest chłodno - przyznaje staruszka. - No cóż, dzięki, że wstąpiłaś.

Dobra z ciebie dziewczyna, Laleczko.

Drzwi zamykają się przed nosem Amandy.

Biblioteka publiczna to piękny budynek ze szkła i czerwonej cegły, usytuowany przy Yonge Street 789, o przecznicy na północ od Bloor. Został zaprojektowany pod koniec lat siedemdziesiątych przez zdobywcę wielu nagród, architekta Raymonda Moriyamę. Teraz mieści się w nim prawie cztery i pół miliona wolumenów, z których bez trudu korzysta milion czytelników rocznie. Amanda przekonała się o tym dwa dni temu podczas swojej poprzedniej wizyty. Wchodzi przez szklane drzwi do przestronnego foyer, które wyglądem i funkcją przypomina plac, następnie pokonuje jasne, wysokie na cztery piętra atrium, okrąża przejrzyste, stanowiące ozdobę oczko wodne, które zajmuje znaczną część parteru i jest obrosnięte prawdziwymi roślinami, po czym kieruje się na schody, które prowadzą w dół. Woda szemrze uspokajająco, płynąc po kamieniach i betonowych blokach do płytkiego zagłębienia, a z małej kafejki po lewej stronie dochodzi zapach kawy, chociaż napis nad wejściem oznajmia, że dalej nie wolno wносить żadnych przekąsek ani napojów.

Na wprost znajduje się informacja, ale Amanda już wie, gdzie się skierować. Idąc po beżowym dywanie, mija dwie okrągłe, przeszklone windy, potem schodzi krętymi schodami z fioletowym dywanem i ze zdumieniem stwierdza, że chociaż na głównym poziomie biblioteki znajduje się sto komputerów, wszystkie są zajęte. Co więcej, już ustawia się kolejka osób, które chcą skorzystać z darmowego dostępu do Internetu.

Jak to możliwe, że tyle lat mieszkała w Toronto i nigdy nie była w tym wspaniałym budynku? O ironio, więcej dowiedziała się o swoim rodzinnym mieście w ciągu kilku

ostatnich dni niż podczas dwudziestu spędzonych tu lat. Dlaczego żeby docenić to, co mamy, musimy to stracić? - zastanawia się. Kręci głową, nie chcąc myśleć o starym komunale i próbując nie widzieć twarzy Bena w obliczu młodego mężczyzny, który mija ją na schodach.

U podstawy schodów znajduje się Toronto Star Newspaper Centre - „Centre” pisane przez „re”, nie przez „er”. Jest to ogromna, otwarta przestrzeń otoczona szkłem, jasna, choć znajduje się w podziemiach. Przed przeszklonymi drzwiami stoi rzeźba z siatki drucianej. Przedstawia gazety wyrzucone w powietrze przez wyimaginowany podmuch wiatru. Amanda wchodzi do środka i lustruje wzrokiem czytelnię, w której znajduje się czternaście skórzanych, złoto-fioletowych foteli. Stoją pod wygiętą w łuk ścianą, na której można znaleźć gazety z najdalszych zakątków świata. Główna sala, wyłożona dziwnie delikatnym, złoto-fioletowym perskim dywanem i ogromnymi szklanymi panelami, na których wyryto kopie pierwszych stron starych ksiąg, wypełniona została szklanymi pulpitemi, które przypominają otwarte książki na stalowych stojakach. Poustawiano przy nich nowoczesne drewniane krzesła. Szklane pulpity tworzą niewielkie grupki po sześć sztuk, a każdy pulpit jest wystarczająco duży, żeby zmieściła się na nim rozłożona gazeta. Wzdłuż przeszklonych ścian głównej sali stoją komputery, dalej jest salka z mikrofilmami. Amanda nie musi przeglądać mikrofilmów. Podczas poprzedniej wizyty przekonała się, że w czytelnicy jest dostępna prasa z ostatnich trzech miesięcy. Oczywiście, ostatnio szukała kobiety o nazwisku Mallins. Dziś spróbuje odnaleźć panią Turlington, Tureck, Turgov albo Turowski. Tylko nazwiska się zmieniły - myśli, podchodząc do siedzącej za biurkiem pulchnej kobiety w średnim wieku.

- Dzień dobry. Wróciłam - oznajmia, zastanawiając się, czy bibliotekarka pamięta ją z poprzedniej wizyty. - Poproszę wszystkie numery „Globe” i „Star” z poprzedniego miesiąca, licząc od ostatniego tygodnia. Tak samo jak poprzednio - dodaje, mając nadzieję, że kobieta ją rozpozna.

- Jednorazowo możemy pani udostępnić tylko dwa tygodnie - przypomina kobieta.

- Oczywiście. Przepraszam. Zapomniałam.

Kobieta, która według plakietki na biurku nazywa się Wendy Kearns, uśmiecha się blado i wychodzi zza biurka, żeby przynieść prasę z magazynu na tyłach. Po chwili wraca z naręczem elegancko zbindowanych numerów. Podaje je Amandzie.

- Życzę miłej zabawy.

- Dzięki.

Amanda niesie gazety na wyciągniętych rękach, na wszelki wypadek podpierając je brodą, podchodzi do najbliższego wolnego miejsca i opuszcza ciężar na szklany blat. Stara się zrobić to jak najdelikatniej, mimo to mężczyzna siedzący obok ze złością unosi głowę.

- Przepraszam - szepcze, ale jej sąsiad już z powrotem wsadził nos w gazetę.

Dosłownie. Wyraźnie musi mieć bardzo słaby wzrok - myśli Amanda, zarzucając

kurtkę na oparcie krzesła i siadając. Kilka razy głęboko oddycha i otwiera pierwszą gazetę z wierzchu.

- W porządku. Zaczynamy.

Siedzący obok niej mężczyzna głośno chrząka.

- Przepraszam - mówi szybko dziewczyna. - Spróbuję się nie odzywać.

Przegląda informacje o narodzinach i zgonach. Znajdują się one tuż za częścią sportową „Globe”, można więc uznać, że ktoś chyba miał dość dziwne poczucie humoru. Odczytuje nazwiska. Avison Laura, Danylki w Dimitri, Parnass Sylvia, Ramone Ricardo, Torrey Catherine, Tyrrell Stanley. Żadnego Turlingtona, Turova, Turecka ani Turofsky'ego.

- To oczywiste - mruczy pod nosem. - Przecież wcale nie zakładałam, że to będzie proste.

W „Star” znajduje te same nazwiska i wiele innych. Wyraźnie ludzie wolą żegnać się z bliskimi za pośrednictwem tej gazety. Amanda po kolei przegląda wszystkie numery. Bez skutku. Wraca do bibliotekarki i prosi o gazety z następnych dwóch tygodni. Co tam, do diabła - poddaje się w końcu - co mi szkodzi przejrzeć trzy miesiące?

Przed jej zmęczonymi oczami przesuwiają się nazwiska zmarłych. Taggart, Timmons, Toolsie, Trent, Vintner, Young. Najbliższa, jej zdaniem, jest Margaret Tulle, która zmarła drugiego grudnia po długiej walce z rakiem, mając pięćdziesiąt jeden lat. Niestety, to nie ona.

- Bez skutku? - pyta Wendy Kearns, gdy oddaje jej ostatnią partię gazet.

- Miałam niewielkie szanse. - Dziewczyna wzrusza ramionami. - Ma może pani książkę telefoniczną?

Wendy Kearns sięga do dolnej półki za biurkiem.

- Czy mogę zajrzeć do niej tam? - Amanda wskazuje czytelnię ze złoto-fioletowymi fotelami.

Kobieta zgadza się i wręcza jej opasłe tomisko. Amanda usadawia się z nim w sąsiednim pomieszczeniu, zajmując fotel pod najdalszą ścianą, pod dwoma wycinkami gazetowymi w ramach. Otwiera książkę telefoniczną i śmieje się, widząc stronę zatytułowaną *Adwokaci*.

- Nie szukam żadnego z tych wrednych typków - szepcze, zerkając w stronę pozostałych czterech czytelników.

Na szczęście albo są całkowicie pogrążeni w lekturze, albo drzemią. To niezły pomysł - myśli, czując, że ze zmęczenia kleją jej się oczy.

- Później - mówi, widząc *Biżuterię, Blacharstwo i Brokerów*. Przeskakuje do *Cmentarzy*. - Oho! Tego mi tylko brakowało. - Przerzuca kilka następnych stron. *Cukiernie patrz: Ciastkarnie*. - Jasne. - *Dietetycy. Domy akademickie. Domy spokojnej starości*.

- Mam - mówi.

Wyjmuje z torebki telefon komórkowy i wybiera pierwszy numer z dwukolumnowej

listy, zastanawiając się, co też, do diabła, ma powiedzieć.

- Zakład opieki Bayview - słyszy od razu jakiś kobiecy głos.

- Przepraszam, od kogo mogłabym uzyskać informacje dotyczące starszej pani, która może do niedawna była waszą pensjonariuszką? - pyta Amanda.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, o co pani chodzi. Kobieta mówi z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem.

- Interesuje mnie kobieta, która jeszcze nie tak dawno mogła u was mieszkać.

- Jak się nazywa?

- Turlington, Turgov, Tureck albo Turowski. Jej nazwisko zaczyna się na „Tur”. Halo?

- pyta, gdy w słuchawce zapada cisza.

- Czy to jakiś żart?

- Nie. Proszę mi uwierzyć. Nie żartuję.

- A kto mówi?

- Proszę posłuchać. Wiem, że to dość dziwna prośba, ale bardzo zależy mi na zdobyciu jakiejś informacji. Gdyby mogłaby pani mi powiedzieć, czy w ostatnim miesiącu nie zmarła u was staruszka o nazwisku Turlington, Turgov...

Kobieta się rozłącza.

- Widzę, że czeka mnie wspaniała zabawa.

Amanda głęboko oddycha i wybiera następny numer z listy. Potem następny i następny, i następny...

## 26

- Nazywała się Rose Tureck i zmarła trzydziestego pierwszego stycznia na rozległy zawał serca. Miała dziewięćdziesiąt dwa lata - mówi Amanda, wchodząc punktualnie o drugiej po południu do biura Bena na dwudziestym trzecim piętrze Royal Bank Tower.

Jej głos brzmi rześko, niemal radośnie. Ćwiczyła go od wyjścia z biblioteki. Próbuje w ten sposób powiedzieć: „To, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, nie ma żadnego znaczenia”. Do tego: „Nie martw się o mnie, nie czuję się zraniona ani skrzywdzona”. Na koniec: „To całkiem zwyczajna sprawa”.

Ben podrywa się z fotela za biurkiem, przy okazji zrzucając na podłogę teczkę z dokumentami, nad którymi pracował.

- O czym ty mówisz?

- O Rose Tureck, matce Rodneya Turecka *alias* Turka. Czy twoja sekretarka mogłaby przynieść mi filiżankę kawy, nim wybierzemy się na spotkanie z moją matką?

Ben wygląda tak, jakby przed chwilą rozjechała go ciężarówka.

- Sandy! - wola przez otwarte drzwi. - Mogłabyś przynieść pani Travis filiżankę kawy? Z cukrem i śmietanką.

- Jasne! - odkrzykuje Sandy.

- Powiesz mi w końcu, co jest grane?

Ben wskazuje jej krzesło przed biurkiem z drewna dębowego i wiśniowego.

Amanda siada, odgarnia włosy z twarzy i patrzy Benowi prosto w oczy. Następna rzecz, którą ćwiczyła od opuszczenia biblioteki. Szczere spojrzenie, które ma go poinformować, że nic albo prawie nic dla niej nie znaczy i że właściwie już zapomniała o tym, co stało się między nimi poprzedniego wieczoru... no, co prawie się stało... co powinno się stać.

- Dziś rano znów wybrałam się do biblioteki - zaczyna.

- Dobrze się czujesz? - przerywa jej nagle Ben. Amanda sztywnieje.

Czyżby nie zwrócił uwagi na jej czysto profesjonalny ton i obojętność na twarzy?

- Oczywiście. Dlaczego miałabym się źle czuć?

- Wczorajszy wieczór...

- ...to sprawa zamknięta. Było, minęło. Proszę kontynuować, panie obrońco.

Uśmiecha się. Jej uśmiech mówi: „Opanuj się. Zbyt poważnie traktujesz pewne sprawy. Zawsze to robiłeś”. W odpowiedzi Ben blado się uśmiecha.

- W porządku. Więc wybrałaś się do biblioteki... - powtarza, siadając i czekając na dalsze wyjaśnienia.

Amanda rozpiera się wygodnie i zakłada nogę na nogę.

- Poszłam do biblioteki, bo myślałam, że uda mi się znaleźć klepsydry pani Turlington, Turgov, Tureck albo Turofsky.

- I znalazłaś Rose Tureck?

- Guzik znalazłam - szybko zaprzecza Amanda. - Ponad godzinę zajęło mi przeglądanie cholernych lokalnych gazet z ostatnich trzech miesięcy i nie natknęłam się ani na jednego cholernego Turlingtona, Turgova, Turecka albo Turofsky'ego.

Niemal wybucha śmiechem. Tak często i od tak dawna powtarza te nazwiska, że zaczynają brzmieć jak grupa rockowa.

W drzwiach pojawia się sekretarka Bena. Drobniutka młoda kobieta w brązowej skórzanej minispódnicy pokonuje całą szerokość pomieszczenia i podaje Amandzie filiżankę parującej kawy.

- Mam nadzieję, że nie jest za słodka.

- Na pewno będzie idealna. Dziękuję.

Amanda upija spory łyk. Na jej języku natychmiast zbiera się kilka tysięcy drobinek cukru o smaku trocin. Zamyka oczy. Robi to, bo jest zmęczona, ale jeszcze bardziej obawia się, że jeśli dalej będzie patrzeć na cudowną twarz Bena, rzuci się przez biurko w jego ramiona, zadając kłam wcześniejszym zapewnieniom i wprawiając oboje w ogromne zakłopotanie. Niech go diabli! Czy musi tak samo przystojnie wyglądać w garniturze w



drobne prążki jak w dzinsach?

- A tak swoją drogą, ile bierzesz? - pyta.
- O czym ty mówisz?
- Ile bierzesz za godzinę?
- Dwieście dolarów. Dlaczego pytasz? Wzrusza ramionami.
- Z czystej ciekawości.

Dochodzi do wniosku, że nawet więcej od niego zarabia. Upija następny łyk potwornie słodkiej kawy i stara się opanować drżenie.

- No cóż, wygląda jednak na to, że coś znalazłaś - mówi Ben, zachęcając ją do dalszych zwierzeń.

- Ale nie w gazetach.
- Powiesz mi sama czy chcesz, żebym błagał?
- Uwielbiam, jak błagasz. Ben wybucha śmiechem.
- W porządku. Błagam.

Tym razem uśmiech Amandy jest szczery. Jeszcze raz udało im się przełamać lody i niemal na przekór sobie wrócić do dobrej komitywy.

- No dobrze. Kiedy gazety zawiodły, działając pod wpływem impulsu, postanowiłam poszukać informacji w domach spokojnej starości. Według Hayley Mallins jej mąż przyjechał tutaj pozałatwić sprawy majątkowe matki. Doszłam więc do wniosku, że musiała to być pani w bardzo zaawansowanym wieku, w dodatku prawdopodobnie samotna, skoro nikt nie zamieścił w gazetach jej klepsydry. Uznałam, że mogła mieszkać w jakimś domu spokojnej starości albo na osiedlu dla ludzi starych. Tak czy inaczej postanowiłam spróbować i zaczęłam dzwonić. Po kolei, od „A”. No nie, prawdę mówiąc, pierwsze było „B”, bo dyrekcja „Bayview” zamieściła dużą reklamę, ale potem wróciłam do „A” i dzwoniłam po kolei, póki nie dotarłam do „X”. Ściślej mówiąc, do „Kensington Gardens”. Dzięki Bogu nie musiałam powtarzać swoich pytań w tysiącach „Złotych Jesieni”, które zamykały listę. I wiesz co? W „Kensington Gardens” powiedziano mi, że w ostatnich dwóch latach mieszkała u nich kobieta o nazwisku Rose Tureck. Jej jedyny syn Rodney mieszkał w Anglii. Mieli się z nim skontaktować w razie jej śmierci. Rodney Tureck *alias* Turk *alias*...

- John Mallins - stwierdza Ben.

Błysk w jego oku zdradza, że spokojny ton głosu to tylko pozory.

- Na to wygląda.

Ben wstaje, obchodzi biurko, wyjmuje filiżankę z rąk Amandy i kierując się do wyjścia, stawia resztki kawy na biurku sekretarki .

- Musimy porozmawiać z twoją matką.

Pół godziny później podjeżdżają na parking Metro West Detention Center.

- Uważaj - ostrzega Ben, gdy Amanda otwiera drzwi samochodu.

To jego pierwsze słowo od chwili, kiedy wsiadł do wozu i zapiął pasy.

- Jest ślisko - przypomina.

Dziewczyna reaguje przesadnym ziewnięciem, jakby chciała mu powiedzieć, że jeszcze nie do końca przebudziła się z drzemki, którą udawała przez całą drogę.

Tak było łatwiej. Nie musieli tracić energii na prowadzenie błażej rozmowy albo - co gorsza - na powrót do nieszczęsnych wydarzeń z poprzedniego wieczoru. Dlatego po prostu zamknęła oczy i udała, że śpi. Posunęła się nawet tak daleko, że po cichutku pochrapywała, jednocześnie próbując nie wyobrażać sobie, co się działo po jej wyjściu w mieszkaniu Bena.

Idąc przez parking, Amanda udaje również, że nie dostrzega wyciągniętej pomocnej dłoni Bena. Podają swoje dane wartownikowi, który długo ogląda ich prawa jazdy, by w końcu pozwolić im złożyć podpisy. Potem następuje dobrze już znana procedura, to znaczy detektor metalu oraz przeszukiwanie torebki i aktówki. Po pokonaniu długiego, dusznego korytarza wchodzi do maleńkiej salki, która nie ma żadnych okien i służy jako miejsce spotkań więźniów z adwokatami.

- Dobrze się czujesz? - pyta Ben tak samo jak poprzednio. Dlaczego wciąż mnie o to pyta? - zastanawia się Amanda z rozdrażnieniem. Czy wyglądam na chorą? Czy chciałby, żebym w jego obecności trzęsła się jak galareta?

- Dobrze.

Zdejmuje kurtkę, rzuca ją na oparcie jednego z krzeseł i zaczyna chodzić tam i z powrotem. Co się z nią dzieje?

- Dlaczego pytasz?

- O co?

- Dlaczego wciąż mnie pytasz, czy dobrze się czuję? Ben jest wyraźnie zaskoczony jej pytaniem.

- Bez powodu.

- Bez powodu? Mężczyzna kręci głową.

- Postaraj się nie dążyć do konfrontacji - mówi.

- Uważasz, że dążę do konfrontacji?

- Nie w stosunku do mnie.

- O czym ty mówisz?

- Chodzi mi o to, żebyś nie dążyła do konfrontacji ze swoją matką.

- Nie mam takiego zamiaru.

- To dobrze.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy?

- Amando...

- Mówię poważnie, Benie. Dlaczego zakładasz, że będę dążyła do konfrontacji?

- Uważam, że to zbędne.

- Dlaczego więc to mówisz?
- Bo wyczuwam, że jesteś trochę zdenerwowana - przyznaje po chwili.
- Wyczuwasz, że jestem trochę zdenerwowana?
- Czyżbym się mylił?
- Może?
- Dobrze. Mylę się. Przepraszam. Mój błąd.
- Co się z tobą dzieje?
- Sądzę, że po prostu zachowuję się jak adwokat.
- Zachowujesz się jak dupek.

Ben krzywi się, jakby oberwał policzek.

- W porządku. Jak sądzisz, czy możemy już przestać?
- Co mamy przestać?
- To, co, do diabła, właśnie robimy.
- To ty zacząłeś.
- Świetnie. W takim razie kończę.
- Świetnie.
- Dobrze.
- Dobrze.

Patrzą na siebie z przeciwnych krańców salki.

- Co się właściwie stało? - pyta Ben.

Amanda bierze głęboki wdech, a potem powoli wypuszcza powietrze z płuc.

- Chyba to była nasza pierwsza kłótnia.
- O co?
- Nie mam pojęcia.

Śmieją się, chociaż ich śmiech jest przytłumiony i słychać w nim pewne zażenowanie.

- Jak sądzisz, moglibyśmy się pocałować na zgodę?
- To by cię kosztowało dolara - odpowiada Ben z uśmiechem.
- Dolara? To całkiem tanio. Więcej sobie liczysz jako adwokat niż jako kochanek?
- Jako adwokat jestem większym kutasem - mówi. Tym razem Amanda śmieje się ze

szczerego serca.

- Przepraszam za swoje wcześniejsze zachowanie. To całkowicie moja wina.
- Nie. Nie powinienem mówić tego, co powiedziałem.
- To była dobra rada.
- Tyle że nieco prowokacyjna. Amanda przytakuje.
- W porządku. Ty zachowałeś się prowokacyjnie, a ja dążyłam do konfrontacji.
- Stanowimy świetny zespół.

Tak, to prawda - myśli dziewczyna, odwracając głowę. Słychać kroki. Drzwi małej

salki się otwierają, a do środka wchodzi Gwen Price.

- Witaj, Benie. Cześć, Amando. Uśmiecha się pytająco.
- Czemu zawdzięczam waszą niespodziewaną wizytę?

Strażnik zamyka drzwi. Gwen Price prostuje plecy w swoim okropnym zielonym dresie i podchodzi do stołu na środku pomieszczenia. Ben natychmiast wysuwa dla niej krzesło. Matka Amandy siada, składa ręce na kolanach i z rezerwą przygląda się gościom, czekając na wyjaśnienia.

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań - tłumaczy Ben.

- Strzelaj - mówi Gwen, a potem wybucha śmiechem. - Przepraszam. Chyba użyłam niewłaściwego słowa.

- Uważasz, że to takie zabawne? - pyta jej córka.

- Amando... - ostrzega Ben.

- O co chcecie mnie spytać?

Amanda wyjmuje z torebki trzy fałszywe wizytówki i rzuca je na stół.

Gwen przez chwilę im się przygląda, a potem podnosi wzrok.

- Co to jest?

- Prawdopodobnie fałszywe wizytówki - odpowiada Amanda, siadając na krześle naprzeciwko matki i starając się z całych sił wypatrzeć choćby najmniejszy objaw zaniepokojenia na nieruchomej twarzy starszej kobiety.

- Uważasz, że powinnam je znać?

- To ty mi powiedz.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Walter Turofsky, George Turgov, Milton Turlington - wymienia Amanda powoli. -

Czy te imiona i nazwiska nic ci nie mówią?

- Nie. Nic.

Amanda rzuca na stół ostatnią wizytówkę.

- A co powiesz na tę?

Gwen Price blednie, ale jej twarz pozostaje kamienna.

- Rodney Tureck - wymawia starannie Amanda. - Coś gdzieś dzwoni?

- Nie.

- Nie wierzę ci.

- Guzik mnie to obchodzi.

- Powiedz mi, mamo, kim on jest.

- Nie wiem, do diabła, kim on jest.

- Niech mnie diabli, jeśli nie wiesz.

- Amando... - ostrzega Ben.

- Rodney Tureck znany również jako John Mallins. Czy teraz coś ci dzwoni?

- Chyba zastrzeliłam kogoś, kto nazywał się John Mallins.

- John Mallins, znany również jako Rodney Tureck *alias* Turk - obstaje przy swoim Amanda, ignorując sarkazm matki. - Syn Rose Tureck.

- Sukinsyn - przeklina Gwen cicho, ale tak, że ją słychać. Amanda, nie odwracając głowy, spogląda na Bena.

- Kto to jest, mamó?

- Skąd wzięłaś te wizytówki?

- Znalazłam je w domu.

- W moim domu?

- Tak. Kiedyś też w nim mieszkałam, chociaż prawdopodobnie tego nie pamiętasz...

- Amando... - po raz kolejny ostrzega Ben.

- Nie miałaś prawa grzebać w moich rzeczach.

- A ty nie miałaś prawa strzelać do ludzi! Gwen Price z trudem wstaje.

- Rozmowa skończona.

- Ona nie żyje, wiesz?

- Co takiego? O kim ty mówisz?

- O Rose Tureck. Zmarła kilka tygodni temu. Z powodu rozległego zawału serca. Miała dziewięćdziesiąt dwa lata.

Gwen przetrawia ostatnie informacje, ale nic nie mówi.

- Jej syn wrócił do Toronto, żeby pozłatwić sprawy majątkowe matki.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną - obstaje przy swoim Gwen.

- Zabiłaś tego człowieka, mamó.

- Tak. Przynajmniej tu się zgadzam. Czy mogę już iść? Amanda teatralnym gestem sięga do torebki.

- Dopiero wtedy, gdy nam powiesz, skąd to masz.

Rzuca na stół fotografię Rodneya Turecka i jego córki. Matka bierze drżącymi rękami zdjęcie, łzy napływają jej do oczu. Co dziwne, nie próbuje ich zetrzeć.

- Gdzie je znalazłaś?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Musisz z tym skończyć - ostrzega córkę.

- Z czym?

- Z grzebaniem w moich rzeczach.

- A ty musisz zacząć być wobec nas szczerą, bo inaczej nie będziemy mogli ci pomóc.

- Nie chcę waszej pomocy! - krzyczy Gwen. - Nie rozumiesz? Chcę, żebyś stąd wyszła i zostawiła mnie w spokoju.

- Oczywiście! - odkrzykuje Amanda, czując, że do oczu napływają jej łzy. - Zawsze tylko tego ode mnie chciałaś!

- Nie. - Matka energicznie potrząsa głową. - Nie, to nieprawda.

- Ależ prawda. Co więcej, możesz być pewna, że gdy tylko zaczniesz udzielać mi logicznych odpowiedzi, natychmiast wsiądę w pierwszy samolot lecący na Florydę i nigdy więcej nie będziesz musiała na mnie patrzeć.

- Myślisz, że tego pragnę?

- Nie wiem, czego pragniesz.

- Proszę - mówi matka z płaczem. - Wiem, że starasz się mi pomóc, i jestem ci za to wdzięczna, naprawdę...

- Nie potrzebuję twojej wdzięczności.

- ...ale w rzeczywistości tylko pogarszasz sprawę.

- Jak można jeszcze pogorszyć sprawę?

- Można.

Amanda odczuwa bezradność i frustrację, dlatego zaczyna wyrywać sobie włosy z głowy. Po chwili odgina głowę do tyłu i wystawia brodę do przodu.

- Dobrze, mamó. Powiem ci, co wiemy. Wiemy, że mężczyzna, którego zastrzeliłaś, wcale nie nazywał się John Mallins. Wiemy, że prawdziwy John Mallins zniknął dwadzieścia pięć lat temu. Wcześniej zaprzyjaźnił się z kimś, kto przedstawiał się jako Turk. Wiemy, iż ów Turk to w rzeczywistości Rodney Tureck i że prawdopodobnie zabił Johna Mallinsa, po czym przejął jego tożsamość. Sekcja wykazała, że miał operację plastyczną. Może próbował w ten sposób wyrzeć wrażenie na młodej żonie, ale bardziej prawdopodobne, że chciał ująć sobie nieco lat, bo zgodnie z paszportem John Mallins miałby teraz czterdzieści siedem lat. To wiemy. - Amanda bierze głęboki wdech, po czym kontynuuje. - Nie wiemy natomiast, jaka jest twoja rola w tej całej łamigłówce.

- Może żadna? Może nie ma znaczenia, czy ten facet to John Mallins, Rodney Tureck czy George W. Bush. Pozostaje faktem, że niezależnie od wszystkiego był dla mnie obcym człowiekiem.

- Faktem jest, że trzymałaś w domu jego zdjęcie. Kłóci się to z twoim twierdzeniem, że wysłałaś do piekła kogoś zupełnie obcego.

- Gdzie jest jego miejsce - mówi Gwen, ocierając łzy i wbijając wzrok w ścianę przed sobą.

Milczenie.

- Przyznaje się pani, że go pani znała? - pyta cicho Ben.

- Przyznaję się tylko do tego, że go zabiłam.

- A co powiesz o swoich tabletkach? - pyta Amanda.

- Jakich tabletkach?

- W twojej apteczce znalazłam fiołki z antydepresantami.

- Od lat ich nie biorę.

- Dlaczego w ogóle je brałaś?

- To nie twoja sprawa.

- Och, na litość boską...

- Proszę pani - przerywa Ben łagodnie. - Wszystko, co nam pani powie, zostanie tylko między nami.

- To duża pociecha, ale powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia.

- Świetnie. - Amanda unosi ręce, łącząc w jednym geście bunt i poczucie porażki. - Skoro ty nie chcesz z nami rozmawiać, może Hayley Mallins powie nam, kim naprawdę był jej mąż.

Bierze kurtkę z oparcia krzesła i energicznym krokiem idzie w stronę drzwi.

- Chodź, Benie. Tracimy tylko czas.

- Nie! - woła matka w chwili, kiedy córka dotyka klamki. - Zaczekaj!

Amanda wstrzymuje oddech. Nie jest w stanie poruszyć się ani odwrócić.

- Nie wciągajcie w to pani Mallins. Prawdopodobnie nic nie wie o dodatkowej działalności swojego męża.

Dziewczyna powoli odwraca się twarzą do matki.

- A ty wiesz?

- Przynajmniej powinnam - odpowiada matka. - Przez ponad dziesięć lat byłam jego żoną.

Amanda wraca w głąb pokoju i opada na puste krzesło. Nie wie, czego się spodziewała, ale z całą pewnością nie tego.

- Co powiedziałaś?

Gwen Price uśmiecha się smutno i siada na drugim krześle.

- Chyba właśnie podałam wam motyw morderstwa.

## 27

Amanda zerka na Bena, który na całe szczęście sprawia wrażenie tak samo zaskoczonego jak ona.

- Chyba lepiej będzie, jeśli po kolei wszystko nam wyjaśnisz - proponuje, niechętnie przenosząc wzrok na matkę.

- Tak, myślę, że powinnam - zgadza się Gwen, chociaż sama z własnej woli niczego więcej nie wyjawia.

- Była pani żoną Johna Mallinsa? - pyta szeptem Ben, jakby przesłuchiwał przestraszonego świadka.

- Johna Mallinsa, Waltera Turowsky'ego, Miliona Turlingtona, George'a Turgova, Rodneya Turecka - recytuje apatycznie Gwen Price. - Naprawdę nazywał się Rodney Tureck. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- To znaczy, że znała pani jego różne tożsamości?

Znów to Ben zadaje pytanie. Amanda dziękuje mu skinieniem głowy, zwłaszcza że głos uwiązał jej w gardle jak klucha nieprzeżutego mięsa.

- Tak, ale poznałam je dopiero po wyjściu za niego za mąż.

- Kiedy to było? - pyta Amanda.

Żeby wymówić te słowa, wcześniej musiała chrząknąć, mimo to nadal ma zachrypnięty głos.

- Dawno temu.

- Jak dawno?

- Wyszłam za niego za mąż, mając dziewiętnaście lat. Uśmiecha się do córki. Jej uśmiech mówi: Byłam w tym samym wieku co ty, gdy brałaś ślub z Benem.

Amanda czuje, że przenika ją dreszcz. Odwraca głowę.

- Chyba powinnam być mądrzejsza - przyznaje Gwen. - Ale co mogę powiedzieć na swoją obronę? Był bardzo czarującym i charyzmatycznym mężczyzną - jak wielu kanciarzy, którzy instynktownie wiedzą, jaki guzik nacisnąć, jakie słowo powiedzieć. Bardzo mi się podobał. Wszystkim się podobał. Nawet moja matka uważała, że jest wspaniały. Oczywiście, dopóki podstępnie nie pozbawił mojego ojca oszczędności całego życia.

Amanda całą uwagę skupia na ustach matki, przygląda się prawie niewidocznym zmarszczkom, które biegną wzdłuż wydatnej górnej wargi niczym seria cudzysłowów. Dostrzega głębokie rowki, które podłużają kąciki ust i sprawiają, że blada skóra Gwen wygląda jak spieczona ziemia popękana w promieniach bezlitosnego słońca. Na podbródku starszej pani rosną małe jasne włoski, przypominające meszek brzoskwini, a jej ciało jest miękkie i niemal przezroczyste ze starości. Gwen Price naprawdę teraz wygląda na swoje prawie sześćdziesiąt dwa lata, chociaż wciąż można jeszcze dostrzec ślady dawnej urody, zwłaszcza w przenikliwości jej jasnyniebieskich oczu. Amanda czuje na sobie ich badawcze spojrzenie, chociaż cały czas skupia uwagę na ustach matki.

- Nie pamiętam twoich rodziców - mówi Amanda, próbując przypomnieć sobie twarze dziadków.

- Nie mogłaś ich zapamiętać. Zmarli, nim się urodziłaś.

- W jaki sposób Rodney Tureck podstępem pozbawił pani ojca oszczędności całego życia? - pyta Ben, krążąc po sali.

- W taki sam, w jaki oszukiwał wszystkich. Fałszywe przedsiębiorstwa, zmyślone fundusze inwestycyjne. Namówił mojego tatę, żeby ulokował wszystkie swoje pieniądze we właśnie uruchomionej przez siebie firmie produkującej materiały izolacyjne. Powiedział, że zysk pokryje wszystkie rachunki za leczenie matki i nie tylko. W tym czasie mama przechodziła chemioterapię, więc ojciec prawdopodobnie nie był tak roztropny i ostrożny, jak powinien.



- Ile stracił?

- Prawie wszystko. Ponad sto tysięcy dolarów.

- Czyli tyle, ile jest w twojej skrytce depozytowej w banku - stwierdza Amanda, przypominając sobie plik studolarowych banknotów.

- To był ostatni gwóźdź do trumny, jeśli chodzi o nasze małżeństwo - ciągnie Gwen Price.

Nie zwraca uwagi na słowa córki; składa ręce na podolku i ze złością przeżuwa dolną wargę.

- Oczywiście, przez całe lata mnie zdradzał. Za każdym razem robił to coraz bardziej bezwstydnie. Później dowiedziałam się, iż zawsze miał na boku przynajmniej dwie inne kobiety i że odczuwał jakąś dziwną satysfakcję, zabierając je tam, gdzie bywaliśmy razem. Wdał się nawet w romans z pewną panią, która cierpiała na poważne zaburzenia emocjonalne. Mieszkała w naszym bloku. Jej histeryczne telefony w środku nocy zmusiły mnie w końcu do spakowania walizek. Potem umarła moja mama, a kilka miesięcy po niej - ojciec. Po prostu pewnego popołudnia przewrócił się na ulicy i zmarł, nim przyjechało pogotowie.

- Czyli w stosunkowo krótkim czasie straciła pani męża i oboje rodziców. To ciężkie przeżycie - mówi Ben ze współczuciem. - Nic dziwnego, że wpadła pani w depresję.

- Wyszłam z tego.

- Ale to Rodneya Turecka winiłaś za śmierć swojego ojca - Amanda bardziej stwierdza, niż pyta. - Dlaczego nie rzuciłaś na niego klątwy tak jak na starego pana Walsha?

- Rzuciłam klątwę na pana Walsha? - pyta matka z uśmiechem. - Nie przypominam sobie.

Jasne - myśli Amanda. Jedno z najważniejszych wydarzeń z mojego dzieciństwa, a ona niczego nie pamięta. To było do przewidzenia.

- A pieniądze w twoim sejfie? - słyszy własne pytanie.

- O co ci chodzi?

- Skąd je wzięłaś?

- Potraktowałam je jako odszkodowanie za rozwód.

- Naprawdę nim były?

- W pewnym sensie.

- To znaczy? - naciska Amanda.

- Rod Tureck był kanciarzem - przypomina matka po długiej przerwie, podczas której wykrzywiła usta, poprawiała włosy i kilkakrotnie zmieniała pozycję na krześle. - Ukradł te pieniądze mojemu ojcu, więc mu je po prostu odebrałam.

- Co to znaczy „odebrałaś”?

Następne skrzywienie ust, następne poprawienie włosów.

- Rod był mistrzem wszelkich machinacji. Upierał się, żeby płacono mu gotówką, i my również płaciliśmy w ten sam sposób. O ile w ogóle płaciliśmy za cokolwiek. Nie wiem. Zawsze ktoś nas ścigał. Rod bez przerwy mnie zapewniał, że to pomyłka, że nie powinnam się martwić i że on się wszystkim zajmie. Rzeczywiście się zajmował. Problemy pojawiały się nagle i równie nagle zniknęły. Nigdy nie mieliśmy kont bankowych jak normalni ludzie. Co tydzień dawał mi pieniądze na dom. Był hojny, a ja nie należałam do najmądrzejszych. Co mogę powiedzieć? To były dawne czasy, rzeczywistość wyglądała inaczej niż teraz.

- Proszę mówić dalej - proponuje Ben, gdy Amanda wywraca oczami z rozdrażnienia.

- Rod miał gotówkę ulokowaną w różnych bankach. Oczywiście, nigdy nie mieszkaliśmy długo w jednym miejscu, bo od czasu do czasu w naszych drzwiach pojawiali się wierzyciele i inne podejrzane osoby. Rod zawsze miał proste i logiczne wytłumaczenie. Twierdził, że jest niespokojnym duchem i dostaje szału, gdy zbyt długo przebywa w jednym miejscu. Więc o co mi chodzi? Czyżby nie pociągała mnie przygoda? Czy nie lubię poznawać nowych ludzi, zawierać nowych przyjaźni? Tyle że ilekroć zawarliśmy nowe przyjaźnie, mój mąż robił kolejny przekręt i musieliśmy się wyprowadzać. Oczywiście, zawsze twierdził, że to nie jego wina. Nigdy nie zrobił nic złego, nigdy nikogo nie oszukał. Owszem, nie mamy żadnych przyjaciół, ale tylko dlatego, że wszyscy zazdroszczą mu sukcesu. Potem zaczęłam sama zawierać przyjaźnie i zachowywać je tylko dla siebie.

- Pieniądze, mamó - przypomina Amanda, starając się nie współczuć matce i nakierować ją z powrotem na główny temat.

- Tak. Właśnie do tego zmierzam - kontynuuje Gwen Price niechętnie. - Kiedy zdałam sobie sprawę, że wcześniej czy później nasze małżeństwo i tak się rozpadnie, postanowiłam jakoś zabezpieczyć się na przyszłość. Otworzyłam własne konto i zaczęłam powoli odkładać pieniądze. Oczywiście, niedużo. Nie chciałam wzbudzać podejrzeń Roda. Po prostu co jakiś czas wpłacałam dwieście dolarów. W końcu uzbierałam pięć tysięcy dolarów i zaprzyjaźniłam się w banku z jedną z kasjerek, która również miała problemy małżeńskie. Powiedziała mi, że Rod ma w tym samym banku skrytkę depozytową. Pewnego wieczoru, kiedy nie było go w mieście, pogrzebałam w jego rzeczach i znalazłam pudełko po cygarach, a w nim różne kluczyki od skrytek depozytowych. Pudełko leżało w jego szufladzie ze swetrami, a wszystkie kluczyki były starannie opisane, więc po prostu wzięłam tylko ten, na którym mi zależało. Moja przyjaciółka wpuściła mnie do skarbcza. Wyszłam z niego z pieniędzmi.

- Ukradłaś sto tysięcy dolarów swojemu byłemu mężowi? - pyta Amanda, czując, że zaczyna jej się kręcić w głowie.

- To były pieniądze mojego ojca - wyjaśnia Gwen bez cienia skruchy.

Amanda boi się zadać matce następne pytanie.

- Co było potem? - pyta Ben.

- Otworzyłam własną skrytkę depozytową w innym banku, umieściłam w niej pieniądze, a oryginalny kluczyk włożyłam z powrotem do pudełka po cygarach. Nigdy więcej nie widziałam tych pieniędzy na oczy. Nie o to mi przecież chodziło.

- Powiedz mi w takim razie, o co naprawdę chodziło - docieka Amanda.

- O to, żeby w końcu uwierzyć w siebie - wyjaśnia matka.

- A jak zareagował Rodney Tureck? Gwen Price macha lekceważąco ręką.

- Kiedy odkrył, że w skrytce nie ma pieniędzy, było już za późno. Mieliśmy za sobą rozwód, moja przyjaciółka z banku przeprowadziła się do Chicago, a on nie mógł donieść o tym na policję, prawda?

- Nie przyszedł do ciebie?

- Owszem, przyszedł, ale udawałam, że o niczym nie wiem. Powiedziałam mu, że nie mam pojęcia, o czym mówi. Jaka skrytka depozytowa? Jakie pieniądze? Czy wyglądam na kogoś, kto szasta pieniędzmi na prawo i na lewo? - pytałam. Pracowałam jako sekretarka i ledwo wiązałam koniec z końcem. Nie uwierzył mi. Powiedział, że wie, iż to ja zabrałam mu pieniądze i że w taki czy inny sposób będę musiała za to zapłacić.

- Groził ci?

Gwen zerka w stronę drzwi i milczy.

- Czy dlatego go zastrzeliłaś, mamó? - pyta Amanda. - Bałaś się o swoje życie?

- Zastrzeliłam go, bo był beznadziejnym sukinsynem, który zasłużył na śmierć, ściągając na ludzi wiele nieszczęść.

- Nie - mówi Amanda zdecydowanie, czując, że górę bierze w niej obrońca. -

Posłuchaj. Zastrzeliłaś go, bo podczas ostatniego spotkania groził ci, że cię zabije, a kiedy zobaczyłaś go w foyer Four Seasons, byłaś przekonana, że wrócił i ma zamiar spełnić swoje groźby. - Stara się nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie. - Całkiem niezłe uzasadnienie działania w obronie własnej, nie sądzisz, Benie? - Szuka wsparcia u Bena.

- To wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu - przypomina matka, nie czekając na odpowiedź Bena. - Nie sądzę, żeby przekonało ławę przysięgłych...

- Zostawmy Benowi martwienie się o ławę przysięgłych - powiedziała jej córka.

- Nikt nie uwierzy...

- W co? Że byłaś żoną mężczyzny, który bez skrupułów okradł swojego teścia? Że strata oszczędności całego życia bezpośrednio doprowadziła twojego ojca do przedwczesnej śmierci? Że przez wiele lat brałaś antydepresanty, bo Rod Tureck maltretował cię psychicznie, zarówno podczas waszego małżeństwa, jak i po rozwodzie? Że ci groził? Że przez całe życie bałaś się, iż pewnego dnia wróci i spełni swoją groźbę? Dlaczego przysięgli nie mieliby uwierzyć, że gdy zobaczyłaś go ponownie, spanikowałaś? Że zastrzeliłaś go z rewolweru, który trzymałaś od lat z myślą o obronie własnej? Nie mów mi, że ława przysięgłych w to nie uwierzy - mówi Amanda w nagłym przypiływie radosnego podniecenia.

- Na pewno uwierzą.

- A ty uwierzyłaś? - pyta matka.

Córka prostuje się w krześle; jej radość nagle znika.

- Dlaczego nie? To ma sens.

- Nie o to pytałam.

- Nie ma znaczenia, czy w to wierzę, czy nie - zapewnia Amanda po chwili. - Liczy się tylko to, czy zdołamy przekonać ławników.

Matka kręci głową.

- Nie.

- Co to znaczy „nie”?

- Nie zgadzam się.

- Dlaczego się nie zgadzasz?

- Bo to nie jest cała prawda.

- Co z tobą, do diabła?! - wybucha Amanda.

- Amando... - mityguje ją Ben.

- Postawmy sprawę jasno: nie miałaś oporów, gdy trzeba było popełnić kradzież czy morderstwo, ale łamiesz się na myśl o niewielkim rozminięciu się z prawdą. Czy o to właśnie ci chodzi?

- Proszę posłuchać. Teraz mamy coś, z czym możemy iść do prokuratora - protestuje Ben spokojnie. - Wyszło na jaw tyle okoliczności łagodzących, że będą musieli dobrze się zastanowić nad całą sprawą. Może nawet zechcą pójść na ugodę.

- Musiałbyś im powiedzieć to, co właśnie wam wyjawiałam, prawda?

- Tak, oczywiście.

- Zapewniłaś mnie przecież, że to, co powiem, zostanie tylko między nami.

- Muszą poznać fakty, mamo.

- Nie.

- Nie?

- Dla policji jestem szaloną kobietą, która zastrzeliła w hotelu obcego człowieka. To mi odpowiada.

Spogląda w stronę drzwi, jakby się zastanawiała, czy nie zawołać strażnika.

- No cóż, do pewnego stopnia policja ma rację. Naprawdę jesteś szalona.

- Amando...

- Czy mógłbyś wlać choć trochę oleju do głowy tej wariatce? Podrywa się z krzesła i ponownie zaczyna niespokojnie krążyć po małej salce.

- Proszę pani - zaczyna Ben, siadając na opuszczonym przez Amandę krześle. - Czy może nam pani zdradzić, dlaczego tak zdecydowanie wytrąca nam pani z ręki każdą możliwość przyjęcia jakiejś linii obrony?

Gwen uśmiecha się słodko do byłego zięcia.

- Bo jestem winna - stwierdza. - Zastrzeliłam człowieka i nie wchodzi tu w rachubę żadne okoliczności łagodzące. Nie nadużywałam antydepresantów. Nie bałam się jego śmiertelnych gróźb. Po prostu chciałam go zastrzelić, bo był złym człowiekiem, który zasłużył na śmierć. To całkiem proste.

- W tym nie ma nic prostego - zwraca jej uwagę córka.

- Tylko dlatego, że uparcie próbujesz wszystko komplikować.

- Ja próbuję wszystko komplikować?

- Wiem, że chcesz dobrze, skarbie...

- Skarbie?

- Amando...

- Nic o mnie nie wiesz!

- To chyba prawda - przyznaje Gwen szczerze skruszonym głosem. - Wiem natomiast, że z zimną krwią zastrzeliłam człowieka i powinnam pójść za to do więzienia. Możemy na tym poprzestać?

- Coś przed nami ukrywasz - domyśla się Amanda, rzucając się w stronę matki jak orzeł ścigający zdobycz.

Jednak ona kręci przecząco głową.

- Powiedziałam wam wszystko.

- Ile czasu minęło od rozvodu, nim poznałaś mojego ojca? - Amanda zmienia taktykę.

- Mniej więcej rok. Dlaczego pytasz? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Powiedz mi coś o tym.

- O czym?

- O moim ojcu - prosi Amanda.

Opiera się o ścianę małej salki, mając nadzieję, że dzięki niej nie osunie się na podłogę.

- Nie widzę sensu.

- Proszę - mówi Amanda, chociaż nie jest w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

Matka zgadza się z ciężkim westchnieniem, a na jej drżących wargach pojawia się uśmiech.

- Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Bardzo go kochałam.

- Wiedział, że byłaś wcześniej mężatką?

- Oczywiście. Nigdy bym tego przed nim nie ukryła.

- Powiedziałaś mu o pieniądzach?

- Nie.

- To znaczy, że nie wiedział o groźbach Roda Turecka?

- Wiedział, że boję się Roda.

- A co ze mną?

- Z tobą? Byłaś małym dzieckiem. Nie miałaś więcej niż dwa latka.

- Wtedy właśnie zaczęłaś brać antydepresanty?

Matka znów przez chwilę milczy, a potem odwraca głowę.

- Mamo?

- Nie pamiętam.

- Dlaczego byłaś taka przygnębiona, mamo?

- Nie pamiętam.

- W takim razie powiem ci, co ja pamiętam - oznajmia Amanda, ponownie zmieniając taktykę. - Pamiętam śmiech. - Robi pauzę, pozwalając matce na powrót do wspomnień i wychwycenie ironii. - To moje najwcześniejsze wspomnienie. Śmieję się. Czy to nie dziwne? Bawimy się. Machasz tuż przed moją twarzą jakąś pacynką, trącasz mnie nią w nos. Śmiejemy się.

Urywa. Przez chwilę się zastanawia, czy jej wspomnienie jest prawdziwe, czy tylko wyobraziła sobie tę scenę.

- Innym razem trzymałaś ręce nad moją głową i zmuszałaś mnie, żebym tańczyła. Nazywałaś mnie swoją małą laleczką. „Kto jest moją małą laleczką?” - drażniłaś się ze mną, a ja ze śmiechem odpowiadałam: „Jaja”. Byłyśmy szczęśliwe. Pamiętam, że byłyśmy szczęśliwe. Potem nagle wszystko się zmieniło, a w moich wspomnieniach są już tylko płaczący ludzie. Dlaczego, mamo?

- Nie wiem.

- Do diabła, na pewno wiesz.

- Amando... - ostrzega Ben.

- Co się stało, mamo?

- Cóż mogę powiedzieć? - odpowiada Gwen Price. - Ustał śmiech.

- Dlaczego?

- Jakże to ma znaczenie?

- Dlaczego?

Matka wzdycha, prosi wzrokiem Bena o pomoc, ale on nie spuszcza oczu z Amandy i nic nie mówi.

- Zażywałam wredne tabletki - wyjaśnia Gwen po długiej pauzie. - Czułam się po nich jak jakiś cholerny zombi. Kiedy próbowałam je odstawić, było jeszcze gorzej. Dostawałam ataków szału, a potem popadałam w całkowite odrętwienia. To był koszmar.

- Dlaczego brałaś antydepresanty, mamo? Następane westchnienie. Następane długa przerwa.

- Jak powiedziałaś, dużo przeszłam. Straciłam rodziców, rozwiodłam się...

- Wyszłaś ponownie za mąż za cudownego człowieka, którego bardzo kochałaś. Miałaś córeczkę.

- Cierpiałam na depresję poporodową.
- Tak, to bardzo wygodne wytłumaczenie.
- Zapewniam cię, że nic wtedy nie było wygodne.
- Ciekawe, że nigdy wcześniej o tym nie wspomniałaś.
- To były inne czasy. Nikt nie rozmawiał na takie tematy. Nie tak jak dzisiaj.
- Tak, to były inne czasy - mówi Amanda, powtarzając słowa matki.

Gwen przytakuje.

- Potem Rod mnie odnalazł, zaczął mi grozić i to chyba przelało kielich goryczy.

Amanda otwiera z niedowierzaniem usta i patrzy na matkę.

- Chrzanisz.

- Amando... - błaga Ben.

- Za kogo ty mnie uważasz, mamó? Za policjantkę? Naprawdę liczysz, że uwierzemy w to gównó?

Matka odwraca się bez słowa.

- Chcesz wiedzieć, czemu ci nie wierzymy? - Amanda uderza pięścią w stół, żeby z powrotem skupić na sobie uwagę matki. - Bo to nie ma sensu.

- Przykro mi, że tak uważasz.

- Nie tylko nie ma żadnego sensu, ale też nie wyjaśnia, po co ci to zdjęcie. - Szybko pokazuje matce fotografię Rodneya Turecka i jego córki. - Co z nim robiłaś, mamó? Skąd je wzięłaś?

W odpowiedzi matka powoli wstaje.

- Jestem zmęczona. Mam nadzieję, że mi wybaczycie. Podchodzi do drzwi i stuka na strażnika.

- To jeszcze nie koniec - mówi Amanda.

Plecy Gwen Price wyraźnie sztywnieją. Potem w otwartych drzwiach pojawia się strażnik i wyprowadza więźniarkę z salki.

## 28

- Jesteś w stanie w to uwierzyć? - szepcze Amanda przez zaciśnięte zęby, idąc więziennym korytarzem u boku Bena. - Nie tylko znała tego człowieka, ale jeszcze była jego żoną! Przez dziesięć pieprzonych lat! Jesteś w stanie w to uwierzyć?

- Chyba lepiej będzie, jeśli na razie odłożymy tę sprawę i omówimy ją w samochodzie.

Ben głową wskazuje na strażnika, który bacznie im się przygląda zza przeszklonej przegrody przy wejściu.

- Ukradła mu sto tysięcy dolarów!

- Naprawdę, odłożmy...

- Była uzależniona od cholernych prochów!

- Amando...

- Najpierw nie mieliśmy żadnego motywu morderstwa, a teraz mamy ich tysiąc.

- Czy trzeba państwu w czymś pomóc?

Nagle obok nich pojawia się wartownik, zwabiony wyraźnym zamieszaniem. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyłania się zza załomu ściany i idzie powoli w ich stronę z jedną ręką zawieszoną nad kaburą.

- Nie. Najmocniej dziękujemy.

Ben przez grubą kurtkę wbija palce w ramię Amandy.

- Poradzimy sobie.

- Powiedziała do mnie „skarbie”!

Amanda pokonuje drzwi i maszeruje przez parking, a potem zatrzymuje się, obraca i wybuchą pełnym złości płaczem.

- Kim, do diabła, jest ta kobieta?

Ben kiwa ze zrozumieniem głową, a sądząc po jego oczach, jest dokładnie tak samo zdezorientowany jak jego towarzyszka.

Teraz naprawdę mógłbyś otoczyć mnie ramieniem - myśli Amanda, przysuwając się do niego.

Ben wyciąga w jej stronę prawą rękę, ale, zamiast wziąć ją w ramiona i spróbować pocieszyć, jedynie chwyta ją za łokieć i prowadzi przez roztopiony śnieg na parking, jakby pokonywali śmiertelnie niebezpieczne fale oceanu. W drugiej ręce trzyma kluczyki do białej corvetty.

- Dobrze się czujesz? - pyta, gdy już siedzą w aucie.

Silnik starego grata wyrzuca obłoki trującego dymu w już i tak szare powietrze.

- Chyba tak.

- Co sądzisz o jej opowieści?

- Uważam, że jak na psychopatkę zaskakująco kiepsko kłamie.

- Myślisz, że wszystko, co nam powiedziała, to kłamstwo? Amanda przecząco kręci głową.

- Myślę, że naprawdę była żoną Rodneya Turecka. Myślę, że jej mąż był kanciarzem i rzeczywiście okradł jej ojca. Wierzę nawet, że mszcząc się, odebrała sobie te pieniądze, natomiast cała reszta nie ma sensu.

- Tak, chyba wiele rzeczy przed nami ukrywa.

- W takim razie jak się tego dowiemy?

Ben zastanawia się przez chwilę. Wodzi wzrokiem tam i z powrotem po przedniej szybie, jakby miał na niej wypisane różne możliwości.

- Zrobimy właśnie to, czym zagroziłaś matce, gdy nie chciała być wobec nas szczerą.

Ben urywa i czeka, aż jego słowa dotrą do Amandy.



- Złożymy wizytę Hayley Mallins - szepcze dziewczyna, potem zapina pas i usadawia się wygodnie w fotelu.

Na Gardiner Expressway był wypadek - ciężarówka z naczepą złożyła się jak scyzoryk i zablokowała wszystkie nitki prowadzące na wschód, dlatego powrót do centrum miasta zajmuje im prawie dwie godziny. To gorsze niż I-95 - myśli Amanda, ale nie mówi tego na głos, bo w rzeczywistości nie ma gorszej drogi niż I-95. Poza tym trudno cokolwiek powiedzieć, bo Ben włączył radio niemal na cały regulator. Jak ja to dobrze znam - myśli Amanda, kiwając głową. Ben daje w ten sposób sygnał, że nie chce rozmawiać, pragnie być sam na sam ze swoimi myślami albo w ogóle nie chce myśleć. Przypomina sobie, że identycznie postępował za dawnych, spędzanych wspólnie lat. Chciałaby umieć z taką samą łatwością odgrodzić się od wszystkiego. Przez chwilę próbuje, w myślach powtarzając mantrę swojej przyjaciółki Ellie, która pewnego razu zapłaciła tysiąc dolarów za czterodniowy kurs medytacji transcendentalnej. *Kir-rell, kir-rell, kir-rell*. Niestety, albo Amanda nie grzeszy zbyt cierpliwością, albo jest to po prostu mantra Ellie, a nie jej, co więcej przyjaciółka, ujawniając ją, złamała jakąś przysięgę. Tak czy inaczej magiczne słowo nie działa. *Kir-rell, kir-rell*. Po trzydziestu sekundach Amanda ponownie znajduje się w okropnej, dusznej, maleńkiej salce więziennej, a jej matka wyznaje, że przez ponad dziesięć lat była żoną Rodneya Turecka *alias* Johna Mallinsa - *kir-rell, kir-rell* - że Rod pozbawił jej ojca oszczędności całego życia - *kir-rell, kir-rell* - potem ona ukradła mu te pieniądze - *kir-rell, kir-rell* - a późniejsza depresja zmieniła jej życie w koszmarne świat antydepresantów. *Kir-rell, kir-rell!!!*

Chyba raczej w pieprzone piekło.

Amanda rezygnuje z mantry, która unosi się w powietrzu jak westchnienie i tworzy obłoczek na przedniej szybie. Z każdą minutą i każdym przejechanym kilometrem opowieść matki coraz bardziej traci znamiona prawdy.

Będę mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę - myśli dziewczyna ze znużeniem.

- Tylko prawdę - mówi na głos.

Niepewnie zerka na Bena, ale albo jej nie słyszał, albo udaje, że nic do niego nie dotarło. Najwyraźniej podczas pierwszej godziny powrotu do miasta wysłuchał już dość pełnych frustracji słów Amandy. Teraz siedzi wyprostowany, patrzy prosto przed siebie, w miarę możliwości spokojnie posuwa się do przodu i wystukuje palcami na kierownicy rytm muzyki rockowej z radia. Chyba Coldplay - myśli Amanda, ale nie jest pewna. Prawdę mówiąc, już dawno temu przestała się orientować w muzyce swojego pokolenia.

Przypomina sobie, jak Sean mówił: „Nie mów mi, że naprawdę podobają ci się te kawałki”, po czym bez pytania przełączał kanał w jej samochodzie na muzykę poważną. To i tak było lepsze niż okropna muzyka country, której tak chętnie słuchał. „To cała Ameryka” - powtarzał, ignorując jej głośnie protesty, i wyśpiewywał refreny, które niezmiennie miały coś

wspólnego z niewiernymi kobietami i autami ciężarowymi. - „Sól tej ziemi”.

„Raczej jej gówno” - myśli Amanda, ale cztery lata małżeństwa wystarczyły, by zaczęła śpiewać refreny razem z nim. „Jest jeszcze dla ciebie jakaś nadzieja” - żartował Sean. Może właśnie dlatego tak bardzo chciała od niego odejść? Teraz śmieje się na myśl, że muzyka country zniszczyła jej drugie małżeństwo. Ktoś powinien napisać piosenkę country właśnie na ten temat.

Oczywiście, nie była to prawda, cała prawda i tylko prawda. Ich małżeństwo rozpadło się nie z powodu odmiennych gustów muzycznych czy filmowych, różnicy wieku ani nawet sprzecznych poglądów na temat dzieci. Nie, było ono skazane na porażkę od chwili, kiedy Amanda powiedziała sakramentalne „tak”. Bo prawda, cała prawda i tylko prawda wyglądała tak, że odpowiedź powinna brzmieć „nie”.

Zamyka oczy i widzi twarz matki. „Przez ponad dziesięć lat byłam jego żoną”. Najwyraźniej liczne małżeństwa to tradycja rodzinna - myśli i wybucha śmiechem.

- Co cię tak cieszy? - pyta Ben, wyciszając radio.

- Nic.

Ben bez protestów przyjmuje jej odpowiedź, jakby miała jakiś sens.

Gdy dojeżdżają do Four Seasons, późnopołudniowe niebo powoli zaczyna się już ściemniać.

- Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? - pyta Amanda, nie mając najmniejszej ochoty na rozmowę z Hayley Mallins.

Gdy wchodzi do foyer, Ben wkłada kluczyki od samochodu do portfela.

- Masz lepszy?

Amanda zerka w stronę zatłoczonego baru hotelowego po lewej stronie.

- Chętnie bym się czegoś napiła.

- Taaak, to zdecydowanie lepszy pomysł.

Mijają sofy i fotele, na których czekała jej matka, żeby zastrzelić swojego byłego męża, potem pokonują kilka schodków prowadzących do baru i usadawiają się przy małym stoliku przy oknie.

- Czego się napijesz? - pyta Ben.

- Herbaty brzoskwiniowo-malinowej - decyduje Amanda, gdy podchodzi do nich kelner.

Ben wybucha śmiechem.

- Jedna herbata brzoskwiniowo-malinowa i jeden kieliszek wytrawnego czerwonego wina - mówi do młodego mężczyzny, a potem odwraca się do Amandy. - Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać.

- Czy to dobrze?

Ben wzrusza ramionami i nie próbuje nawet odpowiedzieć.

- Naprawdę nie chcesz nic mocniejszego?
- Chcę mieć trzeźwą głowę. Ben przytakuje.
- Niezły pomysł.
- A tak swoją drogą, co powiemy Hayley Mallins?
- No cóż, najpierw podamy prawdziwe nazwisko jej męża. Zobaczymy, jak zareaguje.
- A jeśli moja matka miała rację? Jeśli Hayley Mallins nic nie wie o przeszłości

swojego męża?

- Naprawdę wierzysz, że to możliwe?
  - Sama nie wiem, w co mam wierzyć. Odnoszę wrażenie, że już nic nie ma sensu.
  - To wszystko ma sens - poprawia ją Ben. - Po prostu jeszcze wielu rzeczy nie wiemy.
- Po kilku minutach kelner wraca z napojami i stawia je na małym okrągłym stoliku.

Amanda czuje delikatny aromat owoców.

- Mniam. Czujesz, jak pięknie pachnie? Ben wacha swoje wino.
- Tak. - Unosi kieliszek w stronę filiżanki. - Na zdrowie!
- Na zdrowie!

Amanda stuka porcelanową filiżanką w kieliszek Bena i zastanawia się, czyje właściwie zdrowie pija.

- Co zrobimy, jeśli Hayley Mallins wpadnie w rozpacz?
- To zależy, co będzie miała nam teraz do powiedzenia.
- A jeśli nic nie powie?
- Pokażemy jej zdjęcie.
- Dowodząc w ten sposób prawdy zawartej w starym porzekadle, że jak nie kijem go,

to pałką?

Ben przytakuje i wypija spory łyk wina.

- A jeśli również o nim nic nie będzie wiedziała? Jeśli nie ma pojęcia, w jaki sposób moja matka zdobyła fotografię ani co z nią robiła? Jeśli jedynie przysporzymy biedaczce dodatkowego bólu i okaże się, że moja matka miała rację? Czy naprawdę jest sens zadawać komuś cierpienie?

- Na pewno dobrze się czujesz? - pyta Ben tak samo jak poprzednio, zerkając na nią znad górnego brzegu kieliszka.

- Tak. Dlaczego pytasz?
- Nigdy wcześniej nie przejmowałaś się, że możesz zadać komuś cierpienie.
- Masz rację - zgadza się Amanda.

Co się z nią dzieje? Czyżby naprawdę powiedziała, że matka może mieć rację? W jakiegokolwiek sprawie?

- Wszystko przez tę herbatę.

- Posłuchaj - mówi Ben. - Nawet jeśli nie dowiemy się niczego ważnego, uznaj, że wypełniamy misję.

- Jaką misję?

- Dzięki nam Hayley Mallins przynajmniej dowie się o majątku swojej teściowej i być może wróci do Anglii jako bardzo bogata kobieta.

- Tak sądzisz?

- Sądzę, że powinnaś skończyć herbatę. - Ben dopija resztę wina i wstaje. - Załatwmy, co mamy do załatwienia.

Kilka minut później wysiadają z windy na dwudziestym trzecim piętrze.

- Tędy - mówi Amanda, która jest już w połowie korytarza.

- Zaczekaj! - woła za nią Ben. - Obiecuj mi, że nie wpadniesz w szal.

Córka Gwen Price, nie zwalniając kroku, ogląda się przez ramię.

- Obiecuję, że nie będę dążyć do konfrontacji.

- Po prostu postaraj się zachować rozwagę. Podchodzą do drzwi apartamentu Mallinsów.

- Przecież zawsze tak postępuję.

- Cholera! - słyszy przekleństwo Bena, gdy unosi rękę, by zapukać do drzwi.

- Mamusiu! - słychać po chwili chłopięcy głos. - Ktoś puka.

Słychać niepewne kroki, ktoś się zatrzymuje. Potem odzywa się ostrożny, pełen strachu kobiecy głos.

- Kto tam?

- To ja, Amanda Travis. Rozmawiałyśmy kilka dni temu... Drzwi się lekko uchylają, ale są zabezpieczone łańcuchem.

Ciemne oczy wyglądają na korytarz i robią się okrągłe, gdy dostrzegają, że Amanda nie jest sama.

- A to kto?

- Ben Myers. A...

- ...adwokat kobiety, która zastrzeliła mojego męża - kończy za nią Hayley Mallins.

- Czy możemy wejść do środka na kilka minut, proszę pani? - pyta Amanda. -

Chcielibyśmy porozmawiać z panią o kilku sprawach.

- Na przykład?

Łańcuch uparcie tkwi na swoim miejscu.

- Choćby o tym.

Dziewczyna sięga do kieszeni czerwonej kurtki, wyjmując zdjęcie i przykłada je do szczeliny w drzwiach. Widoczne w otworze oczy robią się jeszcze bardziej okrągłe, pojawia się w nich przerażenie. Drzwi zamykają się przed nosem Amandy.

- I to byłoby na tyle, jeśli chodzi o zachowanie rozwagi - mówi Ben.

- Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać. Podnosi rękę i zdecydowanie puka w drzwi.

- Idźcie sobie - dobiega natychmiastowa odpowiedź.

- Pani Mallins... Hayley. Proszę...

- Idźcie albo wezwę policję.

- Bardzo dobrze - oznajmia głośno Ben. - Myślę, że policja chętnie zobaczy to zdjęcie.

Zapada chwila całkowitej ciszy, podczas której nikt nie ma odwagi oddychać. Potem słychać brzęk łańcucha, klamka opada i drzwi się otwierają. Hayley Mallins odsuwa się i wpuszcza ich do środka.

- Dobry sposób - szepcze Amanda, spoglądając z podziwem na Bena.

Przechodzi przez próg i rozgląda się po pokoju. Widzi, że normalnie jasna skóra Hayley jest upiornie biała, jakby kobieta wynurzyła się z kadzi z wybielaczem, rękawy zbyt obszernego swetra w kolorze zielonego mchu okrywają całe jej ręce oprócz czubków drżących palców, sweter luźno zwisa nad zbyt szerokimi spodniami z brązowego sztruksu, a włosy jak anemiczne, ciemne niteczki wiją się wokół brody. Pani Mallins wygląda na wyjątkowo kruchą, nawet rysy jej twarzy straciły zdecydowanie, jakby lada chwila miały się rozpląnąć. Kobieta nerwowo zerka w stronę zamkniętych drzwi sypialni z lewej strony. „Nie sądzisz, że Victor ma prawo poznać prawdę?” - pyta kobieta za drzwiami. „Proszę - odpowiada jej rozmówczyni. - Sama nie wiesz, co robisz”.

Amanda rozpoznaje głosy bohaterki swojej ulubionej niegdyś opery mydlanej. Na chwilę uspokaja ją myśl, że przynajmniej pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Kobiety od początku świata nie mówią o wszystkim Victorowi. Oczywiście, w końcu on i tak poznaje prawdę, a wszyscy drogo płacą za kłamstwo. Ciekawe, kiedy wyciągną z tego jakieś wnioski.

- Jak miewają się dzieci? - pyta Amanda.

- Bardzo chcą już wrócić do Anglii. - Hayley zaciska i rozluźnia pięści w zbyt długich rękawach swetra. - Czego ode mnie potrzebujecie?

- W domu mojej klientki znaleźliśmy to zdjęcie. Czy wie pani, w jakim celu je trzymała? - pyta Ben, biorąc zdjęcie z wyciągniętej ręki Amandy i podając je pani Mallins.

Hayley Mallins przez sekundę wygląda tak, jakby miała zemdleć. Chwyta się oparcia najbliższego fotela w złoto-czerwone paski i powoli na nim siada.

- Dobrze się pani czuje? Przynieść pani trochę wody?

Kobieta potrząsa głową, na jej policzki powoli wracają kolory. Zerka na zdjęcie, chociaż wyraźnie nie chce zatrzymać na nim wzroku na dłużej.

- Co to ma znaczyć?

- Mamy nadzieję, że pani nam powie.

Hayley wbija wzrok w swoje kolana i milczy jak głaz.

- Znaleźliśmy coś jeszcze - mówi Amanda. - Kilka fałszywych wizytówek.

- Nie rozumiem.

- Czy mówi pani coś nazwisko Rodney Tureck?

Hayley głośno wciąga powietrze w płuca. Lekki rumieniec, który wrócił na jej policzki, błyskawicznie znika.

- Nie. Nic.

- W takim razie powiem, co wiemy - proponuje Amanda.

- Naprawdę nie chcę wysłuchiwać waszych urojeń - protestuje Hayley.

- Wiemy, że pani mąż wcale nie nazywał się John Mallins.

- Jesteście w błędzie.

- Wiemy, że jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Rodney Tureck.

- Absurd.

- Miała pani rację, mówiąc, że mąż przyjechał do Toronto pozałatwiać sprawy majątkowe matki - ciągnie Amanda - tyle że jego matka nazywała się Tureck, nie Mallins.

- Może ponownie wyszła za mąż. Wzięliście pod uwagę taką możliwość?

- Na podstawie sekcji zwłok pani męża stwierdzono, iż był dziesięć, a może nawet piętnaście lat starszy, niż twierdził, i przeszedł operację plastyczną twarzy.

- Kłamiecie.

- Proszę zadzwonić na policję. Na pewno potwierdzą moje słowa.

- Uważam, że powinniście wyjść.

- Wiemy coś jeszcze - mówi szybko Amanda.

- Następne bzdury - obstaje przy swoim Hayley.

- Wiemy, że pani mąż nie był dla Gwen Price człowiekiem obcym. Prawdę mówiąc, byli kiedyś małżeństwem.

Hayley wstaje i gwałtownie kręci głową.

- Chyba postradaliście zmysły.

- To prawda.

- Czy ona wam to powiedziała? Albo kłamie, albo jest szalona. Jak możecie wierzyć w cokolwiek, co ona mówi?

- Łatwo będzie to udowodnić - zapewnia Ben.

- Chcę, żebyście stąd wyszli. Natychmiast.

Drzwi sypialni się otwierają. Do pokoju wchodzi chłopiec, a za nim jego starsza siostra, która niespokojnie trzyma rękę na jego ramieniu. Są podobnie ubrani: mają na sobie szare bluzy i dzinsy, a ich przerażone oczy przeskakują z matki na jej gości i z powrotem. W tle nadal słychać pełną złości rozmowę. „Jak mogłaś wpuścić tę kobietę do domu po tym wszystkim, co zrobiła”.

- Cześć, Hope. Witaj, Spenserze - mówi Amanda.

- Pamiętajcie Amandę Travis - wtrąca Hayley uprzejmie, jakby przypominała dzieciom

swoją starą przyjaciółkę.

- A to Ben Myers, mój...

- ...wspólnik - kończy Ben szybko, wyciągając dłoń. - Jak się macie?

- Stało się coś złego? - pyta Hope matkę, ignorując Bena i Amandę. - Słyszeliśmy odgłosy kłótni. Zagłuszyliście nawet telewizor.

- Wszystko w porządku, kochanie. Ci państwo właśnie wychodzą.

- Chcieliśmy kilka minut porozmawiać z waszą matką - wyjaśnia Ben.

Wygląda na to, że mama wcale nie ma na to ochoty - stwierdza Spenser, odsuwając się od siostry i stając między matką a jej niemile widzianymi gośćmi.

- Spenserze... - zaczyna Amanda.

- Proszę stąd wyjść, bo inaczej będziemy zmuszeni wezwać policję.

Amanda z uśmiechem na ustach zastanawia się, czy to angielski akcent chłopca, czy formalne sformułowanie sprawiają, że jego słowa brzmią wyjątkowo dojrzałe.

- Już wszystko w porządku, Spenserze. - W uśmiechu Hayley można się dopatrzeć matczynej dumy. - Poradzę sobie. Wracajcie z Hope do swojego programu.

Hope odwraca się w stronę sypialni. „To wina Victora, i dobrze o tym wiesz”.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Oczywiście. Zaraz przyjdę.

Hope kiwa głową i kiwnięciem wskazuje bratu drzwi. Spenser krzyżuje ramiona na piersi, rozstawia nogi i wyraźnie nie ma zamiaru ruszyć się z miejsca.

- Naprawdę sobie poradzę - zapewnia Hayley syna. - Idź już, Laleczko.

Krew dudni w uszach Amandy, pokój eksploduje, a potem zapada ogłuszająca cisza.

## 29

- Co pani powiedziała? - pyta Amanda, gdy w końcu udaje jej się odzyskać głos.

Spenser cofa się o krok, wyraźnie przestraszony tonem Amandy.

- O co chodzi? - pyta Hayley, czując, że coś wisi w powietrzu, i ze znużeniem spoglądając na Bena.

- Spenserze - mówi Ben. - Może dotrzymałbyś towarzystwa siostrze.

To wyraźny rozkaz, nie prośba.

- Idź, kochanie - nakłania matka.

- Nigdzie nie pójdę.

- Proszę, skarbie. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Chłopiec nadal się waha.

- Krzyknij, jeśli będziesz potrzebowała pomocy.

- Nie będzie takiej potrzeby - zapewnia go Ben. Amanda stara się nie krzyknąć.

Chłopiec niechętnie opuszcza matkę i powoli idzie w stronę drzwi sypialni.

- Jak go pani nazwała? - pyta Amanda, idąc za nim i energicznie zamykając drzwi.

- Nie rozumiem - duka Hayley, błagając oczami Bena o pomoc.
- Nazwała go pani Laleczką.
- Tak. Chyba tak. I co z tego?
- Może pani mi to wyjaśni.
- Nie rozumiem. To tylko zwyczajne przydomko.
- Wcale nie takie zwyczajne.
- Obawiam się, że nie rozumiem.

Amanda przez chwilę milczy, próbując się opanować. Czy to możliwe, że „Laleczka” jest bardziej powszechnym przydomkiem, niż jej się wydaje? Czy występuje równie często jak „Słoneczko” czy „Skarb”? Że jest niezależna od kraju i kultury? Że Hayley użyła tego określenia tylko przez przypadek? Czy to naprawdę możliwe?

- Moja matka kiedyś tak mnie nazywała - wyznaje Amanda. - Gdy byłam mała.
- Naprawdę? - Hayley mówi tak cicho, że prawie jej nie słychać. - No cóż, widać to stosunkowo powszechne przydomko.
- Myślę, że tak - potwierdza Amanda, odpowiadając na swoje wcześniejsze pytanie.
- No cóż... - zaczyna Hayley, ale nie kontynuuje wypowiedzi.
- Kiedy byłam mała, uwielbiałam lalki... marionetki... obojętnie, jak się je nazwie.

Moja mama często trzymała mnie za ręce i poruszała czubkami palców, mówiąc: „Laleczko, laleczko...”

Twarz Hayley staje się trupio blada.

- „Kto jest moją małą laleczką?” - kończy szeptem. Przez dobrą chwilę obie kobiety nie odrywają od siebie wzroku. Odgłos ich płytkich oddechów odbija się echem po pokoju.
- Kim jesteś?
- Nazywam się Amanda Travis - odpowiada Amanda powoli, ostrożnie odmierzając każde słowo.

Przerywa, nie dla dramatycznego efektu, ale dlatego, że rozpaczliwie brakuje jej powietrza w płucach.

- Jestem córką Gwen Price.

Hayley potyka się o najbliższe krzesło, sięga ręką do piersi.

- Mandy?

To słowo samo wyrywa się jej z ust. Amanda czuje, że wszystkie włosy stają jej dęba, jakby poraził ją prąd.

- Mój Boże! - Hayley bacznie przygląda się twarzy Amandy. - Aż trudno mi uwierzyć, że niczego nie skojarzyłam.

Ta robi krok do przodu.

- Czego nie skojarzyłaś?

Kobieta przez chwilę milczy, jedynie przeskakuje wzrokiem między Amandą a



drzwiami na korytarz, jakby zastanawiała się nad ucieczką.

- Znałam cię tylko jako Mandy. O mój Boże! Nie pamiętasz mnie?

- A powinnam?

Hayley potrząsa głową. Nie wie, gdzie spojrzeć.

- Nie, oczywiście nie. Kiedy po raz ostatni cię widziałam, byłaś maleńka.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - pyta Amanda, rzucając rozmówczyni jej własne pytanie.

- Twoja matka ci nie powiedziała? Dziewczyna kręci przecząco głową.

- Kim jesteś? - pyta ponownie.

Hayley waha się, spogląda w stronę okna, jakby szukała odpowiedzi w jasnych światłach wielkiego miasta. Potem szybko odwraca wzrok.

- Kiedyś nazywałam się Hayley Walsh.

- Walsh?

- Mieszkałam w sąsiednim domu na Palmerston.

Amanda widzi potężnie zbudowanego mężczyznę o zarozumiałym uśmiechu na środku wspólnego podjazdu między dwoma domami.

- Byłaś córką starego pana Walsha?

- Gdy byłaś mała, często się tobą opiekowałam. Nazywałam cię swoją małą laleczką, bo miałaś niezłego świra na punkcie cholernych kukielek.

- To ty nosiłaś mnie po domu?

- „Laleczko, laleczko. Kto jest moją małą laleczką?” - powtarza Hayley.

Nagle z jej oczu płyną łzy i błyszczą na szarych jak popiół policzkach. Patrzy na Amandę, jakby miała ochotę ją połknąć.

Amanda podchodzi do sofy, opada na miękkie poduszki i pokonuje pragnienie, żeby się położyć i zapaść w głęboki sen. Przychodzi jej na myśl, że tylko śni, a jeśli podkuli nogi i zamknie oczy, surrealistyczna wizja zniknie równie szybko, jak się pojawiła. Powoli je zamyka. Kiedy po kilku sekundach znowu otwiera, Hayley Mallins wciąż siedzi na najbliższym krześle, a od mocnego ściskania oparcia ma potwornie białe kostki palców.

- Nie przypominam sobie, by pan Walsh miał córkę - mówi w końcu Amanda, niechętnie akceptując fakt, że to wszystko dzieje się naprawdę, i próbując przetrwać ostatnie odkrycie.

- To oczywiste. Byłaś jeszcze bardzo mała, gdy go opuściłam.

- Opuściłaś?

- Uciekłam - poprawia się.

- Uciekłaś? Dlaczego? Dokąd?

Hayley opuszcza głowę i wbija wzrok w kolana.

- Do Anglii. - Jej oddech niespokojnie rozchodzi się w dusznym pomieszczeniu. - Z Rodneyem Tureckiem.

Amanda dopiero po kilku sekundach przyjmuje do wiadomości to, co usłyszała.

- Nie rozumiem - przyznaje w końcu, spoglądając na Bena. - Jak poznałeś Rodneya Turecka? Gdy moja matka mieszkała na Palmerston, nie była już jego żoną. Jej mężem był wtedy mój ojciec.

- Tak, pan Price - zgadza się Hayley, a w kącikach jej ust pojawia się delikatny uśmiech. - Uroczy człowiek.

- Zmarł jedenaście lat temu.

Z całych sił stara się powstrzymać łzy, które cisną jej się do oczu.

- Wiem. Przeczytałam w gazecie, że twoja matka jest wdową. Bardzo mi przykro, że straciłaś ojca.

- Dlaczego miałoby ci być przykro?

- Bardzo go lubiłam. Zawsze był dla mnie wyjątkowo miły.

- To jednak nie wyjaśnia, jak poznałeś Rodneya Turecka - przypomina Amanda, zaskoczona zniecierpliwieniem, które słyszy we własnym głosie.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście.

Hayley przytakuje, ale przez chwilę milczy. Prawdopodobnie porządkuje własne myśli.

- Poznałam go pewnego dnia, gdy wracałam ze szkoły do domu. Niosłam pod pachą podręczniki. Potknęłam się na krawężniku przed waszym domem i upuściłam wszystkie książki. Wtedy nagle się przy mnie pojawił, klęknął i szybko je pozbierał.

Pani Mallins przerywa swą opowieść, jakby próbowała przypomnieć sobie kolejność wydarzeń.

- Szedł właśnie na spotkanie z twoją matką. Wspomniałam mu, że często się tobą zajmuję, więc porozmawialiśmy chwilę, on opowiedział jakiś żart, ja się roześmiałam. W końcu sama nie wiem, jak to się stało, ale poczuliśmy, że coś nas łączy. - Wtyka włosy za prawe ucho i uśmiecha się zmieszana. - Byłam wtedy zbuntowaną nastolatką. Podobało mi się, że starszy mężczyzna słucha, co mówię, i poważnie mnie traktuje. Poza tym był naprawdę czarujący - ciągnie, używając tego samego określenia co nieco wcześniej Gwen Price. - Pochlebiało mi, że zwrócił na mnie uwagę.

Amanda myśli o Seanie Travisie i na przekór sobie współczuje Hayley.

- Najwyraźniej potem też się z nim spotykałaś.

- Dzwonił, kiedy się tobą zajmowałam. Początkowo udawał, że telefonuje do twojej matki, ale po jakimś czasie przyznał, że po prostu chce porozmawiać ze mną. Mówił, że lubi nasze pogaduszki, że jestem taka świeża, słodka i rozkoszna, czyli wszystko to, co tak rozpaczliwie chciałam usłyszeć. Zaczęliśmy się spotykać - oczywiście, w tajemnicy. Tłumaczył, że ludzie by nas nie zrozumieli, i miał rację.

- Co ci jeszcze powiedział?

- Że jestem piękna i nad wiek rozwinięta, że przy mnie czuje się młodo i że jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Takie rzeczy.

- Namówił cię, żebyś z nim uciekła?

- Nie musiał mnie namawiać. Zakochałam się w nim po uszy. - Hayley potrząsa głową.

- To zabawne, bo właściwie nie był wcale przystojny. Naprawdę, ale kiedy patrzył mi w oczy, czułam się, jakbym była najpiękniejszą kobietą na świecie i jedyną osobą, która się dla niego liczy.

- Dlatego uciekliście do Anglii.

- Tak. To było bardzo romantyczne. I zdumiewająco łatwe.

- Czy mówił ci coś o mojej matce? - pyta Amanda. To pytanie wyraźnie zaskakuje Hayley.

- Co miałyby mówić?

- Na przykład, dlaczego ją odwiedza, po co dzwoni?

Hayley bierze głęboki wdech i celowo powoli wypuszcza powietrze z płuc, jakby wydychowała dym z papierosa. Wyraźnie nie ma ochoty odpowiadać na to pytanie.

- Powiedział, że chce coś z nią załatwić.

- Co?

- Jakaś starą sprawę - mówi Hayley po następnym głębokim wdechu.

- To znaczy?

- Posłuchaj, chyba lepiej, żebym się w to nie zagłębiała.

- Chcę wiedzieć.

- Nie pomogę twojej matce.

- Jaka to stara sprawa? - powtarza Amanda.

Pani Mallins wstaje, podchodzi do okna i spogląda na ciemniejące niebo.

- Powiedział, że twoja matka jest złodziejką i że ukradła mu bardzo dużo pieniędzy.

Prosił, żebym - zajmując się tobą - rozejrzała się po domu i spróbowała coś znaleźć.

Amanda czuje ostry ból w piersiach. Zdaje sobie sprawę, że wstrzymała oddech.

- Co?

- Książeczki bankowe, kluczyki do skrytek depozytowych, tego typu rzeczy.

- Zrobiłaś to?

- Nie. Uważałam, że nie mam prawa. Powiedziałam mu, że nie mogę.

- Jak na to zareagował?

- Jego zdaniem w ten sposób tylko udowodniłam, że jestem słodką, śliczną dziewczynką. Powiedział, że dzięki temu jeszcze bardziej mnie kocha.

- Co za facet!

Amanda ukrywa twarz w dłoniach. Czuje, że zaczyna ją boleć głowa.

- Co się stało, gdy wyjechaliście do Anglii? - pyta Ben.

- Rodney Tureck przeobraził się w Johna Mallinsa - wyjaśnia Hayley. - Przez kilka lat przeprowadzaliśmy się z miejsca na miejsce. W końcu osiedliśmy w Suttonie.

- Na północ od Nottingham - szepcze Amanda cicho, masując nasadę nosa.

- Kupił tam niewielki sklepik, pobraliśmy się, założyliśmy rodzinę.

- A potem żyliśmy długo i szczęśliwie - kończy Amanda głośniej, niż chce.

- Mniej więcej - przyznaje Hayley. Amanda patrzy na Bena. Ben patrzy na nią.

- Dlaczego nie powiedziałaś tego policji? - pytają chórem.

- Czemu miałabym to zrobić?

- Dlaczego miałabyś tego nie zrobić? - pyta Amanda.

- Zastanów się - mówi pani Mallins. - Co miałabym im powiedzieć? Że dwadzieścia pięć lat temu, jeszcze jako nastolatka, uciekłam z byłym mężem sąsiadki, że zmieniliśmy nazwiska, że przez lata ukrywaliśmy się przed policją, że mój mąż naprawdę nazywał się Rodney Tureck i prawdopodobnie był poszukiwany? Dlaczego miałabym im to mówić?

- Nie wiem. Żeby poznali prawdę? - pyta Amanda. Prawda - myśli. Też mi pomysł!

- Kiedy policja poinformowała mnie, że John nie żyje, byłam zbyt zszokowana, by cokolwiek powiedzieć. John wyszedł zaraz po śniadaniu. Czekałam z dziećmi na jego powrót. Kiedy ktoś zapukał do drzwi, pomyślałam: „To dziwne. Pewnie John zapomniał kluczy”. Spytałam: „Kto tam?” John był wrogiem otwierania drzwi, jeśli nie miało się absolutnej pewności, kto stoi na progu. Wtedy usłyszałam bardzo niski głos: „Policja”. W pierwszej chwili pomyślałam, że John został aresztowany, że odkryli, kim naprawdę jest, i że przyszedli aresztować również i mnie. Przez głowę przeleciało mi milion myśli, ale żadna z nich się nie sprawdziła. Czy zauważyłaś pewną prawidłowość? Człowiek wymyśla wiele wariantów rozwiązania pewnych problemów, a potem żaden z nich się nie sprawdza. Rzeczywistość niezmiennie stwarza taką wersję, jaka nikomu nie przysłaby do głowy.

Amanda przytakuje. Doskonale rozumie Hayley.

- Kiedy policjanci powiedzieli mi, że John nie żyje, że został zastrzelony w foyer naszego hotelu, upierałam się, że to jakaś pomyłka. Zadawali mi milion pytań. Co robiliśmy w Toronto? Czy znamy tu kogoś? Czy domyślam się, dlaczego ktoś mógłby chcieć zabić mojego męża? Wtedy w kółko powtarzałam to, co John kazał mi mówić, gdyby ktokolwiek pytał, co nas tu sprowadza: że przyjechaliśmy na urlop.

- A co pomyślałaś, kiedy dowiedziałaś się, że twój mąż zastrzeliła Gwen Price?

- Nie jestem pewna. Chyba założyłam, że to ona opowie im całą historię.

- A gdy tego nie zrobiła?

Hayley przełyka ślinę i odgarnia z twarzy kilka luźnych kosmyków.

- No cóż, wtedy było już za późno. Naprawdę. Co miałam zrobić? Powiedzieć policji, że kłamałam? Że całe moje życie to jedno wielkie kłamstwo? Pomyślcie o dzieciach - mówi, zniżając głos do szepotu i zerkając w stronę zamkniętych drzwi sypialni. - Właśnie straciły

ojca. Teraz jeszcze musiałyby się dowiedzieć, że nie był człowiekiem, za którego go uważały, że kobieta, która go zastrzeliła, była kiedyś jego żoną, a ja opiekowałam się jej dzieckiem. Tak się bałam.

- Czego?

- Że policja odbierze mi dzieci.

- Nikt nie odbierze pani dzieci - zapewnia ją Ben.

- Tylko one mi zostały - wzdycha Hayley, ocierając świeże łzy.

- Nikt ich pani nie odbierze - powtarza Ben.

- Po ślubie od razu zaszłam w ciążę - mówi Hayley, bardziej do siebie niż do Bena i Amandy. - Niestety, w czwartym miesiącu poroniłam. W następnych latach sytuacja kilkakrotnie się powtarzała. Potem dwukrotnie urodziłam martwe dzieci. O wiele gorzej zniosłam fakt, że donosiłam ciążę, by w końcu wydać na świat w pełni uformowane, ale martwe dziecko. Nie wiem, jak to opisać... Tak bardzo chciałabym zabrać dzieci z powrotem do Anglii.

- Jak sądzisz, dlaczego Gwen Price nie powiedziała policji prawdy? - pyta Amanda, przerywając wynurzenia kobiety.

- Nie wiem. Może nie ma znaczenia, dlaczego go zastrzeliła?

- A ty nie jesteś ciekawa? Hayley potrząsa głową.

- Byli kiedyś małżeństwem - przypomina, jakby to wszystko wyjaśniało.

Przez kilka sekund konsekwencje tych słów odbijają się od ścian jak maleńkie kamyczki.

- Chcę, żebyście już poszli - mówi w końcu. - Proszę. Dzieci będą się martwić.

- Chyba rzeczywiście powiedzieliśmy sobie dość jak na jeden wieczór - zgadza się Ben.

Amanda wstaje z ociąganiem.

- Nie powiecie o tym nikomu, prawda? - pyta Hayley, odprowadzając ich do drzwi. - Ujawnienie tych informacji otworzyłoby prawdziwą puszkę Pandory i nikomu w niczym nie pomogło. Najwyraźniej twoja matka jest tego samego zdania. Proszę - powtarza, wyciągając rękę i zaciskając palce na dłoni Amandy na klamce. - Proszę, Mandy.

To imię pada z ust Hayley na skórę Amandy jak kwas. Przepala ciało i mózg, a towarzyszący temu syk zagłusza wszystkie inne dźwięki. Gdzieś z oddali dobiega do Amandy głos Bena.

- Będziemy w kontakcie.

Może tylko jej się wydaje, że powiedział coś takiego? „Proszę, Mandy”.

Gdzieś w oddali zamykają się drzwi. Następne się otwierają. „Proszę, Mandy”.

- Dobrze się czujesz? - pyta ją ktoś.

- Świetnie - odpowiada ktoś inny.

- Na pewno? - Tym razem głos jest bliższy, głośniejszy.

- Słucham? „Proszę, Mandy”.

- Pytałem cię, czy dobrze się czujesz - mówi Ben.

Amanda w ułamku sekundy wraca do rzeczywistości, jakby ktoś pociągnął ją za gumkę.

- Dlaczego miałabym się źle czuć? - pyta, wchodząc do windy i naciskając guzik foyer.

- Czyżby z powodu odkrycia, że matka z mojego jedynego miłego wspomnienia wcale nie jest moją matką? Że ta osoba to moja opiekunka? Cholerna dziewczyna z sąsiedztwa? Tyle że ta dziewczyna z sąsiedztwa pieprzyła się z byłym mężem mojej matki!

- Widzę, że wcale nie czujesz się najlepiej - stwierdza Ben.

- Naprawdę czuję się dobrze.

- Cholernie dobrze czy tylko dobrze? Na ustach Amandy pojawia się uśmiech.

- Dobrze. A poczuję się jeszcze lepiej, gdy coś zjem.

- W porządku. Może wpadniemy gdzieś na kolację? Zaplanujemy następny ruch?

- Myślisz, że zostało nam coś jeszcze do zrobienia?

Ben wzrusza ramionami. W wewnętrznej kieszeni jego kurtki odzywa się telefon.

- Byli kiedyś małżeństwem - powtarza Amanda ze zdumieniem, kiedy jej partner wyjmuje komórkę. - Prawdopodobnie to tak samo dobry motyw jak każdy inny.

- Cześć - mówi Ben do telefonu, lekko odchylając się od Amandy, co oznacza, że dzwoni Jennifer. - Co takiego? Kiedy to się stało?

- O co chodzi? - pyta Amanda, przestraszona jego zmienionym głosem.

- Dobrze się czuje?

- Kto ma się dobrze czuć?

- W porządku... Taaak. Dzięki. Jestem ci wdzięczny... Oczywiście. Zadzwoń później.

- Co to było? - pyta Amanda, gdy Ben wkłada telefon do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

- Twoja matka próbowała popełnić samobójstwo - szepcze bez dalszych wyjaśnień.

- Co takiego? Jak?

- Wygląda na to, że połknęła jakieś prochy.

- Prochy? Skąd ona wzięła prochy?

- Nie wiem. Przewieziono ją do Etobicoke General.

- Możemy się z nią zobaczyć?

Drzwi windy się otwierają. Ben prowadzi Amandę przez foyer.

- Możemy spróbować.

Amanda już tak dobrze zna drogę na zachodni kraniec miasta, że prawdopodobnie mogłaby ją pokonać nawet przez sen, chociaż wątpi, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie zasnąć. Ma wrażenie, że jej głowa przypomina szklany słoik pełen starych monet - niezgrabnych, ciężkich, kruchych i bezwartościowych. Myśli, niczym jednocentówki, obijają się po jej głowie, przed oczami przesuwają się obrazy: jej matka jest szalona /jej matka umiera; matka zastrzeliła całkiem obcego człowieka / zastrzeliła swojego byłego męża; Hayley Mallins jest przysłowiową dziewczyną z sąsiedztwa / dziewczyna z sąsiedztwa od początku wszystkich okłamuje.

Dlaczego więc Amanda odnosi wrażenie, że właśnie teraz Hayley mówi prawdę?

Amanda nie odrywa wzroku od szyby, spogląda w ciemność i koncentruje się na nowych osiedlach, które rosną na brzegu jeziora jak grzyby po deszczu. Tyle wydarzyło się w Toronto w ciągu ośmiu lat - myśli, z całych sił starając się odwrócić uwagę od innych spraw. Wie, że jeśli przestanie się pilnować, jeśli choćby na minutę dopuści do siebie coś innego niż ciemne niebo, jasne światła, ruch uliczny i ciągnące się bez końca budowle, jej głowa z pewnością rozpadnie się na kawałki.

Moja matka połknęła sporo prochów - myśli. Dlaczego? Skąd je wzięła? Czemu to zrobiła?

- Jak tu dużo nowych domów - mówi nienaturalnie głośno, jakby chciała przestraszyć i odpędzić niechciane myśli.

- Po prostu miasto wciąż się rozrasta - odpowiada Ben tak samo głośno, jakby czuł się równie nieswojo.

Jak sądzisz, czy mama z tego wyjdzie? - myśli Amanda.

- Myślisz, że to dobrze? - pyta.

Jak sądzisz, czy mama może umrzeć? - kołacze jej się w myślach.

- Uważam, że nie da się powstrzymać postępu - przyznaje Ben.

To moja opiekunka, nie matka, bawiła się mną jak kukielką - przypomina sobie Amanda.

- Nigdy nie lubiłam przedmieść - oświadcza.

- Zabawne, nie sądzisz? - dziwi się Ben, ni to pytając, ni stwierdzając.

Czy Gwen wiedziała, że jej były mąż uciekł z dziewczyną, która opiekowała się jej córeczką? - zastanawia się Amanda. Czy w ogóle się tym przejęła?

- Co jest zabawne? - pyta.

- W końcu Floryda to coś w rodzaju jednych wielkich przedmieść.

Amanda przypomina sobie południowo-wschodnie wybrzeże stanu trafnie nazywanego słonecznym. Widzi, jak jedno osiedle nad oceanem przechodzi w drugie: Hobe Sound,

Jupiter, Juno Beach, Palm Beach Gardens, właściwe Palm Beach, Hypoluxo, Manalapan, Delray...

- Chyba masz rację.

„Laleczko, laleczko. Kto jest moją małą laleczką?”

Nie matka.

Opiekunka.

Amanda chwyta się za głowę i przyciska dłonie do skroni. To by było na tyle, jeśli chodzi o nieprawdziwe wspomnienia.

- Boli cię głowa?

- Potwornie.

- Masz coś przy sobie?

Dziewczyna potrząsa głową. Błąd. Każdy ruch jedynie zwiększa ból.

- Może dadzą ci coś w szpitalu.

- Może pożyczę coś od matki. - Oslania oczy dłońmi. - Boże, nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

- Nic jej nie będzie, Amando.

- Wiem - zgadza się.

Gwen Price to żywioł. Nie pokona jej garść prochów.

- Czy twoja dziewczyna powiedziała, jakie tabletki wzięła moja mama?

- Chyba nie wiedziała.

- A powiedziała ci, skąd mama je wzięła?

- Chyba skradła którejś ze współwięźniarek.

- Narkomance, która tak lubi sprzątać?

- Tak przypuszczam.

- Jak sądzisz, dlaczego popełniła takie głupstwo?

Nagle zdaje sobie sprawę, że jest jednocześnie zła i przestraszona. Przestraszona, że matka może umrzeć, i zła, że się tego boi. Właściwie co by się takiego stało, gdyby Gwen zdołała przenieść się na tamten świat? Prawdę mówiąc, dla Amandy od dawna już nie żyje.

- Czy uważasz, że to nasza wizyta ją do tego pchnęła? Czyżby zdała sobie sprawę, że jesteśmy bliscy odkrycia prawdy?

- To nie twoja wina, Amando. Nie miej do siebie pretensji.

- Nie mam do siebie pretensji - warczy w odpowiedzi, zastępując złość na siebie złością na byłego męża i dochodząc do wniosku, że to jej o wiele bardziej odpowiada. - Postawmy sprawę jasno, dobrze? Niezależnie od tego, co robi moja matka, jest to tylko i wyłącznie jej sprawa. Jeśli chce ze sobą skończyć, nie mam nic przeciwko temu. Nawet nie próbuj zakładać, że mnie to jakoś obchodzi.



- Nie obchodzi cię?

- Guzik mi do tego, że moja matka próbowała się zabić. Po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego. Poza tym nie potrzebuję ani nie chcę taniej psychoanalizy. Nie mam do siebie żadnych pretensji. Jesteś prawnikiem, nie terapeutą. Co więcej, z całą pewnością od dawna nie jesteś już moim mężem.

- Masz absolutną rację - mówi Ben po chwili, nie dając się złapać na haczyk i wdać w kłótnię, o którą jej chodzi.

Mocno zaciśnięta szczęka świadczy jednak, że Amanda posunęła się trochę za daleko.

- Cholera jasna, nie możesz jakoś szybciej jechać?

- Już przekraczam dozwoloną prędkość o dwadzieścia kilometrów na godzinę.

- Spróbuj o dwadzieścia pięć.

- Jedziemy wystarczająco szybko.

- Posłuchaj, jeśli mama naprawdę umiera, a nam udałoby się dotrzeć do niej, nim odejdzie, może zdołalibyśmy ją przekonać, żeby powiedziała nam prawdę.

Ben zerka w jej stronę.

- To dość twarde słowa.

- No cóż, jestem raczej dość twardą dziewczynką.

- Nie zgadzam się z tobą.

- To znaczy, że masz stosunkowo krótką pamięć. Ben przytakuje i mocniej zaciska palce na kierownicy.

- Trzymaj się.

Dziesięć minut później podjeżdżają na parking pod Etobicoke General. Amanda wraz z Benem wchodzi do foyer i kieruje się w stronę informacji po lewej stronie. Nie przygląda się otoczeniu, bo nigdy nie lubiła szpitali, dlatego koncentruje uwagę na mokrych śladach, które zostawili na podłodze inni odwiedzający. Mimo to zauważa sklep z prezentami, aptekę i mały barek. Zupełnie jakby weszła do centrum handlowego, nie szpitala. Tylko zapachy zadają temu kłam - myśli, próbując zignorować woń spirytusu do nacierania, kwiatów, krwi, perfum, środków dezynfekujących i lekarstw. A także choroby. Strachu. Bezradności.

Nieuchwytny aromat ludzkiej śmiertelności.

- Trzecie piętro - mówi Ben.

Energicznym krokiem zmierza w stronę windy, nawet nie proponując jej ramienia ani nie zwalniając, żeby mogła go dogonić.

Amanda zdaje sobie sprawę, że go uraziła. Chociaż z pewnością Ben nigdy się do tego nie przyzna, wyraźnie otworzyła stare rany i zerwała opatrunek z blizny, która dopiero zaczęła się goić. Niech to diabli! On próbuje okazać jej współczucie i wyrozumiałość, a do tego jeszcze wyciąga pomocną dłoń, tymczasem ona marzy tylko o tym, żeby jak najszybciej od niego uciec i być w każdym innym miejscu, byle nie tutaj. Tak samo postąpiła osiem lat

temu, kiedy zakończyła ich małżeństwo.

- Nic z tego nie będzie - powiedziała mu pewnego wieczoru, kiedy leżeli w łóżku.

Chwilę wcześniej skończyli się kochać.

- Z czego?

- Z naszego małżeństwa.

- O czym ty mówisz?

- Chcę się rozwieść.

- Nie rozumiem. Zrobiłem coś złego?

- Nie.

- W takim razie o co chodzi? Czy możemy przynajmniej o tym porozmawiać?

- Nie ma o czym rozmawiać. To już koniec. Chcę się rozwieść.

Tak też się stało. Ben się nie kłócił. Nie próbował zatrzymać jej siłą. Zrobił to, co zawsze - potraktował jej słowa ze śmiertelną powagą. Po kilku krótkich rozmowach przestali być małżeństwem. Niemal tak samo zakończyła związek z Seanem.

- Nic z tego nie będzie - oznajmiła, gdy wychodzili na kolację z przyjaciółmi.

Do diabła, równie dobrze mogła się trzymać tego, co już знаła.

I tak to się toczy - myśli Amanda, patrząc, jak Ben znika za rogiem. Zastanawia się, odkąd to stała się odpowiedzialna za jego uczucia. Nie ma czasu na podbudowywanie zranionego męskiego ego, nie chce być miła ani grać fair.

Poza tym Ben sam się zgłosił na ochotnika. To nie był jej pomysł. Nie prosiła, żeby zajął się tą sprawą. Fakt, że „byli kiedyś małżeństwem”, wcale nie oznacza, że jest mu coś dłużna. Owszem, warknęła na niego w samochodzie, ale to nie daje mu prawa do tego, by starał się wzbudzić w niej poczucie winy. Absolutnie nic nie powinno wzbudzać w niej wyrzutów sumienia: ani jego zranione uczucia, ani żalosna próba samobójcza matki. To nie jej wina. Nikt nie może mieć do niej pretensji.

Czy nie to właśnie powiedział jej Ben?

„To nie twoja wina, Amando. Nie miej do siebie pretensji”.

Cholera jasna, czy on zawsze musi mieć rację?

- Przepraszam - mówi, doganiając go przy windach. - Zachowałam się jak suka.

Ben wzrusza ramionami i nie odzywa się ani słowem, ale gdy przyjeżdża winda, delikatnie, uspokajająco ściska łokieć Amandy i wprowadza ją do środka. Winda szybko napęlnia się ludźmi o różnych kształtach i kolorach. Ktoś sięga przez Amandę, jakby nie istniała, i naciska guziki. Nie pomija żadnego piętra. Ludzie wpychają się na siebie. Amanda zostaje przyciśnięta do Bena, więc przytula się do niego, a on opiekuńczo obejmuje ją ramieniem. Czuje dziwnie uspokajający, wilgotny zapach skórzanej kurtki partnera.

Wysiadają z windy na trzecim piętrze i idą korytarzem do dyżurki pielęgniarek.

- Gdzie jest sala 426? - pyta Ben, widząc niewielką grupkę pielęgniarek, które plotkują

za wysokim blatem, pełnym świeżych kwiatów.

Wszystkie pielęgniarki odwracają się w ich stronę.

- Szukają państwo Gwen Price?

- Czy dobrze się czuje? - pyta Amanda, wstrzymując dech.

- To państwa krewna?

- Jestem jej córką. Pielęgniarka zerka na Bena.

- A pan?

- Jej adwokatem.

- Proszę przejść tędy, potem skrócić w lewo. Ostatnia sala po prawej.

Amanda zostawia Bena i przebiega przez dyżurkę na drugą stronę oddziału.

- Nie wiem, czy wpuszczają do niej gości! - woła za nimi pielęgniarka.

Tuż po wyjściu z za rogu dostrzegają strażnika, który siedzi przy drzwiach. Ma jasnobrązową skórę i krótko przycięte włosy. Kiedy wstaje z krzesła, Amanda dostrzega, że nie jest zbyt wysoki, ale pod niebieskim policyjnym mundurem widać wyraźne bicepsy. Ciemne i nieufne oczy zdobią ładną, śniadą twarz, która ostrzega: „Lepiej do mnie nie podchodź”.

- W czym mogę państwu pomóc? - pyta głosem, w którym wyczuć można radę, żeby nie tracili czasu.

- Nazywam się Ben Myers i jestem adwokatem Gwen Price - przedstawia mu się Ben, pokazując dowód. - A to Amanda Travis, jej córka. Chcielibyśmy się zobaczyć z panią Price.

Amanda wręcza oficerowi prawo jazdy i zerka w stronę zamkniętych drzwi, czekając, aż policjant sprawdzi dokumenty. Za tymi drzwiami jest moja matka - myśli. Leży w łóżku. Może nawet umiera.

Dlaczego?

- Proszę chwilkę zaczekać - mówi policjant.

Odchodzi na bok i dyskretnie wyjmuje telefon komórkowy.

Dlaczego matka chciała się zabić? Dlaczego woli umrzeć niż powiedzieć prawdę?

Amanda kołysze się na piętach w przód i w tył. Bo jest moją matką - myśli. Czy kiedykolwiek zrobiła coś, co miało sens?

- W porządku - oznajmia policjant, wkładając telefon z powrotem za pasek. - Możecie wejść, ale tylko na kilka minut.

- Jak ona się czuje? - pyta Ben.

- Wyzdrowieje. Muszę was jednak ostrzec...

- Ostrzec? Przed czym? - pyta Amanda.

- Jest bardzo posiniaczona.

- Posiniaczona? Dlaczego? Czyżby upadła?

- Z tego, co wiem, koleżance z celi nie spodobało się, że została okradziona z prochów. Trochę się wkurzyła. - Policjant wydaje dziwny dźwięk, ni to prychnięcie, ni to śmiech. - Prawdopodobnie dzięki wznieconej przez nią awanturze pani matka żyje.

Amanda próbuje sobie wyobrazić, jak Gwen Price bije się ze współwięźniarką. Widzi, jak przeciwniczka powala starszą panią na ziemię, okłada ją po głowie i ramionach, zostawiając na jej delikatnej skórze mnóstwo siniaków. Pod wpływem tej przykrej wizji pod nią uginają się kolana, na szczęście Ben łapie ją tuż nad ziemią.

- Z każdą chwilą sytuacja wygląda coraz lepiej - szepcze Amanda, wstając i uwalniając się z jego opiekuńczych ramion.

- Wszystko w porządku? - pyta oficer.

- Jesteś w stanie wejść do środka? - pyta ją Ben.

- Tak.

- Wszystko w porządku - zapewnia Ben policjanta, po czym zwraca się do niej: - Jesteś pewna?

W odpowiedzi Amanda otwiera drzwi do sali szpitalnej, gdzie leży matka, i wchodzi do środka.

Widzi drobną kobietę w białej sztywnej, szpitalnej pościeli. Twarz starszej pani przypomina paletę pełną czerwonych i fioletowych plam. Do jej ręki podłączono sporo rurek, z zawieszzonego woreczka powoli sączy się jakiś płyn.

Nagle porusza się jakaś postać, która siedzi w nogach łóżka.

„Co ty tu robisz?” - pyta ojciec Amandy.

- To córka Gwen Price i jej adwokat - wyjaśnia policjant pielęgniarce, która czyta książkę.

Kobieta odkłada ją na krzesło. „Dlaczego mamusia leży w łóżku?”

- Jak się czuje mama? - pyta Amanda pielęgniarce. „Odpoczywa”.

- Lepiej, niż wygląda - odpowiada pielęgniarce. „Dlaczego odpoczywa? Czy jest chora?”

- Oczywiście, musieliśmy jej zrobić płukanie żołądka - ciągnie siostra. - Na szczęście tabletki krótko były w jej organizmie. Rano poczuje się już o wiele lepiej.

„Rano poczuje się lepiej”.

- Jak długo macie zamiar ją trzymać?

„Zmykaj stąd, Mandy. Na pewno nie chcesz jej obudzić”.

- Do rana.

„Chcę. Chcę, żeby się ze mną pobawiła”.

- Możemy na kilka minut zostać z nią sam na sam? „Nie teraz, Amando. Może jak się lepiej poczuje”.

- Niestety, to niemożliwe - mówi policjant.

Można by uznać, że powinnam być przyzwyczajona do widoku mamy w łóżku - myśli Amanda, machnięciem ręki przeganiając obraz z dzieciństwa. Z drugiej strony prawdopodobnie człowiek nigdy się do tego nie przyzwyczai, niezależnie od wieku i od tego, jak dawno mieszka z dala od domu. Matki powinny zajmować się dziećmi, nie chorować, a już z pewnością nie powinny podejmować prób samobójczych.

- Dlaczego to zrobiłaś? - szepcze, zaciskając palce na stalowej poręczy łóżka i patrząc na zmaltretowaną twarz matki.

Z drugiej strony matki nie powinny również strzelać do ludzi.

- Co to takiego?

Amanda z przerażeniem spogląda na wstrętne znamię po wewnętrznej stronie nadgarstka Gwen, szybko nabiera powietrza w płuca i czeka na potwierdzenie tego, co już wie.

- Niestety, podczas bijatyki koleżanka z celi trochę pogryzła pani matkę - wyjaśnia policjant.

Dziewczyna sztywnieje.

- Ma więcej takich śladów?

- Drugi znajduje się na lewym barku, ale nie jest taki duży - mówi pielęgniarka. - Oczyszciliśmy ugryzienie i daliśmy jej zastrzyk przeciwzęzcowy. Ludzkie ugryzienia są bardzo niebezpieczne. Mogą się okazać groźniejsze niż tabletki, które połknęła.

Amanda przypomina sobie odciski zębów Dereka Clemensa na plecach Caroline Fletcher. Jak ja nienawidzę śladów ukąszeń - myśli.

- Od jak dawna śpi?

- Mniej więcej od godziny, ale z pewnymi przerwami.

- I jutro wróci do więzienia?

- Nie ma sensu jej tu trzymać.

- Zakładam, że zostanie umieszczona w innej celi - kontynuuje Amanda, odwracając się do policjanta, który stoi w drzwiach i przez cały czas kontroluje przebieg ich wizyty.

- Tak przypuszczam - mówi mężczyzna. Potem dodaje: - Niestety, mogę dać wam tylko kilka minut.

Amanda odwraca się do matki i przyciąga krzesło do łóżka.

- Muszę ci coś powiedzieć, mamo: na pewno wiesz, jak zwrócić na siebie uwagę innych ludzi. Bóg mi świadkiem, że zwróciłaś moją. - Próbuje się śmiać, ale z jej gardła wyrywa się jedynie chrypienie. - To zdumiewające, prawda? Przez prawie dziesięć lat właściwie nie miałyśmy ze sobą kontaktu, a teraz nagle spotykamy się niemal codziennie. I to w jakich interesujących miejscach, zważywszy na to, że w moim dzieciństwie w ogóle rzadko wychodziłaś z domu.

Przysuwa krzesło bliżej głowy matki.

- Widzieliśmy się z Hayley Mallins - szepcze, udając, że głaszcze matkę po czole, chociaż jej palce tylko przez przypadek muskają skórę starszej pani.

Bacnie przygląda się twarzy matki, starając się dostrzec jakikolwiek sygnał, że ją usłyszała. Bez skutku.

- Powiedziała nam kilka ciekawych rzeczy.

- Niestety, muszę panią prosić, żeby odsunęła się pani trochę od łóżka - protestuje policjant.

- Powiedziała nam wszystko - kończy Amanda, niechętnie odsuwając krzesło. Wstając, jeszcze raz szuka na twarzy matki jakiegokolwiek reakcji. Znów nic. - W porządku. Idziemy.

Podchodzi do drzwi i przez ramię spogląda na śpiącą w łóżku kobietę. Z powodu odległości nie jest tego całkowicie pewna, ale wydaje jej się, że spod zamkniętych powiek matki wypływa pojedyncza łza, która następnie toczy się po twarzy i znika w zagłębieniu poduszki.

## 31

Zaraz po powrocie do domu przy Palmerston Street Amanda zamawia pizzę, a Ben rozpala w kominku w salonie.

- Myślę, że nie był używany od mojego dzieciństwa - mówi dziewczyna, grzejąc się w blasku ognia i przypominając sobie, jak matka siadywała na sofie, obojętna na niebezpieczne iskry, które padały u jej stóp.

- Wygląda na to, że całkiem dobrze funkcjonuje - uśmiecha się Ben, wychodząc z pokoju.

- Dokąd idziesz?

- Po korkociąg.

- Po co? Przecież nie ma wina.

- Ależ jest.

Wraca z korkociągiem w jednej i butelką drogiego bordeaux w drugiej ręce.

- Mam w samochodzie skrzynkę - wyjaśnia, nie czekając na pytanie. - Od kilku dni zapominam przenieść ją z auta do domu.

Amandzie przychodzi na myśl, że to podstęp, że Ben przez cały czas planował ten wieczór, a wino i buzujący ogień stanowią część mistrzowskiego planu uwiedzenia jej. Przynajmniej ma nadzieję, że tak jest. Ben otwiera butelkę, a ona przynosi z kuchni kieliszki. To był długi, męczący dzień, pełen przykrych niespodzianek. Przydałyby jej się silne, czułe męskie ramiona. Wystarczająco czułe, by odświeżyć miłe wspomnienia, wystarczająco silne, żeby uchronić ją przed przykrymi. Opuszcza brodę, spogląda spod rzęs i uśmiecha się nieśmiało. Jej uśmiech wydaje się mówić: Pamiętajsz, jak nam kiedyś było dobrze?

Ben napełnia dwa kieliszki, a potem unosi swój w milczącym toaście. Uśmiecha się.

Pamiętam - mówi jego uśmiech.

Po czterdziestu minutach siedzą na podłodze przed kominkiem, oparci plecami o sofę, rozkoszują się ogromną pizzą z podwójnym serem oraz plasterkami pomidorów i kończą drugą butelkę wina.

- To miłe - mówi Amanda, ciesząc się, że lekko szumi jej w głowie. - Potrzebowałam czegoś takiego.

- Mamy za sobą wyjątkowo długi dzień.

- Tak.

- Twoja matka...

- Nie rozmawiajmy o mojej mamie.

- Zgoda - mówi Ben.

- Ani o Hayley Mallins, Rodneyu Turecku i innych głupich ludziach.

- Odpowiada mi to.

- Ani o Jennifer.

Na znak zgody Ben trąca kieliszkiem o kieliszek Amandy. Jennifer natychmiast znika.

Ich oczy się spotykają, szepiąją ze sobą. Amanda chichocze, wiedząc, że nie jest wcale tak wstawiona, jak udaje. Zastanawia się, czy Ben robi to samo. Lekki rausz daje sporo możliwości. Mogą powiedzieć sobie rzeczy, które normalnie nie wchodziłyby w grę, zrobić coś, co w innym przypadku należałoby uznać za nieroztropne. Mogą przekroczyć niewidzialne granice, a potem cofnąć się z głupim chichotem, a także zrezygnować z ostrożności i ulec pokusie, która przyciąga ich jak magnes od chwili, kiedy Amanda wysiadła z samolotu, i namiętnie się kochać przed romantycznym kominkiem. „Wszystko przez to wino” - mogą powiedzieć rano, odsuwając na bok fantazje i wracając każde do swojego życia.

- W takim razie o czym będziemy rozmawiać? - pyta Amanda, dając Benowi trzy minuty na pocałunek.

- Może o tobie.

- O Boże, tylko nie o niej. Jest taka nudna.

- Dużo można o niej powiedzieć - poprawia Ben - ale na pewno nie to, że jest nudna.

- Tylko dlatego, że nie znasz jej zbyt dobrze.

- Tylko dlatego, że nigdy nie zatrzymuje się na dłużej w jednym miejscu.

- Twoje szczęście.

- Powiedziałem...

- Słyszałam, co powiedziałeś. - Amanda cofa się ze złością. - Wydawało mi się, że mieliśmy nie rozmawiać o mojej matce.

- Masz rację. Przepraszam.

- Niech cię diabli! Co ty właściwie wyprawiasz?

- O co ci chodzi?

- Wiesz, o co mi chodzi. Prawie udało ci się mnie podpuścić.
- Podpuścić?
- Nie udawaj głupiego. Zrobiłeś to celowo.
- Co zrobiłem celowo?
- To był rewanż za wszystko, co powiedziałam w samochodzie, prawda?
- Przepraszam, ale mam problemy z cofnięciem się pamięcią tak daleko wstecz.
- Nie wierzę ci.
- Nie wiem, o czym mówisz - obstaje przy swoim Ben.
- W takim razie idę do łóżka.

Amanda z trudem wstaje. Czy to możliwe, że się pomyliła? Czyżby Ben naprawdę nie miał pojęcia, co ją tak wkurzyło? Czyżby za bardzo popuściła wodze fantazji? Nie - uznaje, dostrzegając za pozornym zmieszaniem Bena chytry uśmieszek. Jej były mąż doskonale wie, co jest grane.

„Jesteś prawnikiem, nie terapeutą - powiedziała mu w aucie. - Co więcej, z całą pewnością od dawna nie jesteś już moim mężem”.

„Masz całkowitą rację”.

Amanda jak burza wpada na korytarz, zatrzymuje się, a potem równie szybko wraca do salonu, z każdym krokiem czując coraz większą złość.

- Byłeś w błędzie, wiesz?
- W błędzie? W jakiej sprawie?
- To nieprawda, że jako adwokat jesteś większym kutasem. - Odwraca się na pięcie i wbiega na schody. - Możesz sam odprowadzić się do wyjścia! - woła z górnego podestu. - Sukinsyn! - krzyczy, trzaskając drzwiami sypialni i rzucając się na łóżko.

Chowa głowę w poduszkę, nie chcąc, by Ben słyszał, że płacze. Zastanawia się, od jak dawna chciał ją upokorzyć. Od popołudnia? Od jej przyjazdu do Toronto? Od chwili, kiedy od niego odeszła?

Słyszając, że drzwi wejściowe się otwierają i zamykają, podchodzi do okna. Ben próbuje włożyć kluczyk do zamka białej corvetty.

- Jesteś zbyt pijany, żeby prowadzić, dupku - mruczy pod nosem Amanda, wracając do łóżka.

Ma nadzieję, że policja zatrzyma Bena, oskarży go o jazdę pod wpływem alkoholu i wtrąci do więzienia. Albo jeszcze lepiej by było, gdyby Ben wpakował się autem w jakieś drzewo...

- Nie - mówi, szybko cofając swoją milczącą klątwę. - Nie chcę, żebyś został zatrzymany przez policję. Nie chcę, żeby coś ci się stało. Nie chcę, żeby spotkało cię coś złego. Nigdy. Słyszysz mnie? Cofam wszystko. Cofam.

Wraca do okna, ale auta już nie ma.



- Cofam wszystko - płacze, wchodząc pod kołdrę. - Cofam. Wszystko. Słyszysz mnie?

Wszystko cofam.

Budzi się o drugiej w nocy z potwornym bólem głowy.

- Myślałam, że to się nigdy nie zdarza po dobrym winie - mówi.

Nie wie, czy wstać z łóżka i wziąć coś na kaca, czy nie. W końcu postanawia trochę pocierpieć. Boli ją głowa, bo sobie na to zasłużyła, nie będzie więc szukać ulgi.

Ben ma rację, że jej nienawidzi. Upokorzyła go, odchodząc osiem lat temu bez przeprosin czy choćby słowa wyjaśnienia, a od powrotu do Toronto bezwstydnie go wykorzystuje. Jeśli nawet tego wieczoru zdołał się na niej trochę odegrać, trzeba przyznać, że miał do tego prawo. Sama się o to prosiła. W każdym razie wszystko, co wydarzyło się tego dnia i co nie wydarzyło się tego wieczoru, jasno dowodzi jednego: niczego nie osiągnie, zostając dłużej w mieście. Ben jej nie potrzebuje. Matka jej nie chce. Co ona właściwie tu robi? Utrudnia jedynie wszystkim życie, łącznie z samą sobą. Z samego rana zadzwoni do linii lotniczych i zarezerwuje bilet na powrót do domu.

Wstaje z łóżka, podchodzi do okna i wygląda na pusty podjazd między jej domem a domem sąsiadów.

- Naprawdę mam nadzieję, że bez problemów dotarłeś do domu - szepcze.

Zastanawia się, czy nie zadzwonić do Bena, ale telefon komórkowy jest w torebce na parterze, a jej brakuje energii, żeby po niego iść. Z drugiej strony w pokoju matki jest przecież telefon - przypomina sobie, pokonując mały korytarz.

- Po prostu tylko go obudzę - mówi, siadając na łóżku i wybierając numer Bena.

Rozłącza się, gdy automat przypomina jej, że nie wybrała numeru kierunkowego. Zresztą pewnie Ben jest z Jennifer - myśli. Z cienia na ścianie wyłania się Sean Travis i obejmuje ramieniem swoją ciężarną żonę, również Jennifer. Tak dużo kobiet nosi imię Jennifer - myśli Amanda, gdy ich sylwetki roztapiają się w cieniu pobliskiego drzewa.

- Dla ciebie też nie byłam zbyt miła - przyznaje, ponownie sięgając po telefon.

Tym razem pamięta o wybraniu numeru kierunkowego. Po dwóch dzwonekach odzywa się dobrze znany męski głos. Jest przytłumiony i rozespany.

- Halo?

- Sean?

Wyobraża sobie, że jej były mąż siada na łóżku i owija nagi tułów błękitnym kocem.

- Kto mówi?

- Amanda. Cisza.

- Amanda?

- Przepraszam, że dzwonię tak późno.

- Czy coś się stało? Jesteś ranna?

- Nie. Wszystko w porządku.

- Masz jakieś problemy?
  - Nie.
  - Jesteś pijana?
  - Nie.
  - W takim razie czemu dzwonisz?
  - Jakiś problem? - słycać głos Jennifer zza pleców Seana.
  - Jestem w Toronto - mówi Amanda.
  - W Toronto?
  - Pamiętasz? Kiedyś powiedziałeś mi, że nie dojrzeję, póki nie uporządkuję swoich stosunków z matką.
  - Przypominam sobie, jak się wtedy wściekłaś - przyznaje Sean łagodnie po chwili milczenia.
  - Tak. No cóż, czasami trudno jest słycać prawdy. Następna przerwa.
  - No więc jak ci idzie? Amanda śmieje się.
  - Nie jest lekko.
  - Na pewno, ale wierzę, że ci się uda.
- Oczy Amandy napęlniają się łzami wdzięczności.
- Sean?
  - Taaak?
  - Chciałam cię przeprosić.
  - Nie ma sprawy. Nie spałem tak mocno.
  - Nie za to, że cię obudziłam. Chociaż jak sądzę, to też możesz dodać do listy.
  - Nie ma żadnej listy, Amando.
  - Nie? Powinna być. Cisza.
  - Sean?
  - Nie musisz przeproszać. Amanda potrząsa głową.
  - Byłam beznadziejną żoną.
  - Po prostu nie pasowaliśmy do siebie - mówi Sean z ogromną wyrozumiałością.
- Znów milczenie.
- No cóż, w końcu wszystko dobrze się ułożyło. Teraz jestem bardzo szczęśliwy.
  - Dziecko ma się urodzić w lecie, prawda?
  - Osiemnastego lipca.
- Amanda kiwa głową.
- Życzę ci wszystkiego najlepszego.
  - Wiem. Ja tobie życzę tego samego.
  - Dużo szczęścia, Sean.
  - Do widzenia, Amando.

Jeszcze przez kilka minut siedzi na łóżku matki i trzyma w ręce słuchawkę moką od łez. Już dawno temu powinna przeprosić Seana. Takie same przeprosiny jest winna Benowi, chociaż będą musiały poczekać do rana. Wracając na korytarz, czuje ciepło z kominka. Czy osłona jest na swoim miejscu? A może iskry właśnie w tej chwili padają na dywan? Zbiega schodami w dół, wyobrażając sobie nagłówki w porannych gazetach: „Prawniczka spłonęła żywcem w domu morderczyni”. Ilu ludzi zdenerwowałaby taka wiadomość?

Wbiega do salonu i od razu widzi, że osłona znajduje się na swoim miejscu. Odstawia ją i wsuwa pogrzebacz w dogasający żar.

- Co robisz? - słyszy głos zza pleców.

Amanda z krzykiem upuszcza pogrzebacz i odwraca się gwałtownie w stronę dźwięku.

- Ostrożnie - mówi Ben.

Wstaje z sofy i podnosi pogrzebacz z podłogi, po czym odkłada go na swoje miejsce przy kominku.

- Co ty tu robisz?

- Próbuję się przespać. Ben pokazuje pomiętą poduszkę na sofie.

- Myślałam, że pojechałeś.

- Przepraszam, Amando. Nie byłem w stanie usiąść za kierownicą.

- Gdzie jest auto?

- Wstawiłem je do garażu. - Przeciąga się i przygląda włosy. - Chyba teraz jestem już wystarczająco trzeźwy. Spadam.

- Nie - mówi szybko Amanda. - Nie chcę, żebyś wychodził. Proszę... zostań.

Światło z kominka tańczy na twarzy Bena, ukazując jego zmieszanie.

- Chyba cię nie rozumiem.

- Myślę, że rozumiesz.

- Miałaś rację - przyznaje Ben po chwili milczenia. - Podpuściłem cię.

- Wiem.

- Szczerze mówiąc, nie planowałem tego wcześniej. Samo tak wyszło.

- Nieważne.

- Co to znaczy „nieważne”?

Robią w swoją stronę mały, niepewny krok.

- Nie wiem, co to znaczy - wyznaje Amanda. - Po prostu wiem, czego pragnę. Ciebie. I nic się za tym nie kryje. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, możesz uznać to za zemstę.

- Za zemstę - powtarza, wychylając się, by odgarnąć kosmyki włosów z jej twarzy.

- Albo powrót do dawnych, dobrych czasów.

- Powrót do dawnych, dobrych czasów.

- Albo sposób wyrwania z korzeniami tego, co się w nas jeszcze tli - mówi, kiedy Ben pochyla głowę, by pocałować kącik jej ust.

- Sposób wyrwania z korzeniami - powtarza Ben, całując ją w usta.

- Tego, co się w nas jeszcze tli - kończy za niego Amanda. Potem już nikt nic nie mówi.

Kiedy dziewczyna budzi się następnego ranka o siódmej, Bena nie ma.

- Cholera - mówi, owijając się różowym kocem, który Ben widocznie zarzucił na nią przed wyjściem, i wstając. - Cholera!

Odgarniając włosy z twarzy, przypomina sobie delikatny dotyk Bena, jego twarde ciało, łatwość, z jaką po tylu latach znaleźli wspólny rytm, jakby nigdy się nie rozstawali. Jeszcze teraz czuje pulsowanie między nogami, dlatego musi chwycić się oparcia sofy, żeby nie upaść.

Co ona najlepszego zrobiła?

Czy to nie ona powiedziała, że nic się za tym nie kryje, że można to uznać za zemstę, za powrót do dawnych, dobrych czasów, sposób wyrwania z korzeniami tego, co się w nich jeszcze tli? Czy ona zwariowała? Cholera jasna, dlaczego Ben zawsze musi tak poważnie traktować jej słowa?

- Niech cię diabli - szepcze, słysząc głośnie walenie w drzwi. - To ty, Benie?

Podbiega do drzwi i szybko je otwiera. Na progu stoi pani MacGiver w zielonym tweedowym płaszczu i wysokich do kolan, czerwonych botkach.

- Przyszłam po herbatę - mówi, nie zwracając uwagi, że Amanda nic na sobie nie ma, jeśli nie liczyć różowego koca.

- Dzień dobry pani...

- Nie zaprosisz mnie do środka?

Cofa się i wpuszcza staruszkę. W tym momencie słyszy, że w łazience na piętrze płynie woda. Zdaje sobie sprawę, że to prysznic.

- Ben - szepcze.

Ma ogromną ochotę zrzucić z siebie koc, pobiec na piętro i przyłączyć się do niego. On tu jest! Nie wyszedł!

- Przepraszam panią, pani MacGiver - mówi, próbując ukryć uśmiech, który natychmiast pojawia się na jej twarzy. - Zapomniałam o pani herbacie.

- Zapomniałaś?

- Wczorajszy dzień nie przebiegł dokładnie tak, jak planowałam.

- Zapomniałaś kupić mi herbatę? - powtarza pani MacGiver z niedowierzaniem.

Wydarzenia poprzedniego dnia przewijają się w myślach Amandy w odwrotnej kolejności, jak puszczana od końca taśma wideo. Widzi matkę w łóżku szpitalnym, osiedla, które ciągną się kilometrami wzdłuż Gardiner Expressway, foyer Four Seasons, Hayley Mallins w oknie apartamentu hotelowego. Nie, nie Hayley Mallins. Hayley Walsh.

- Spotkałam wczoraj kogoś, kogo powinna pani pamiętać - mówi, próbując nawiązać

ze staruszką miłą rozmowę, a jednocześnie wypychając ją za drzwi. - Hayley Walsh. Córkę pana Walsha. Pamięta go pani? Mieszkał obok.

- Żałosny drań - mówi pani MacGiver z zaskakującą siłą. - Oczywiście, że go pamiętam. Był złośliwym sukinsynem.

- Tak, moja mama też za nim nie przepadała.

- Podobno bił swoją żonę. Synów również. Przestał dopiero wtedy, gdy podrośli i zaczęli mu oddawać.

Nic dziwnego, że córka uciekła do Anglii - myśli Amanda. Widocznie chciała znaleźć się jak najdalej od ojca.

- Mówisz, że spotkałaś jego żonę? - pyta pani MacGiver. - Wydawało mi się, że nie żyje.

- Nie żonę, córkę - poprawia Amanda.

- Nie. - Pani MacGiver kręci przecząco głową. - Pan Walsh nie miał córki.

Na piętrze Ben wyłącza prysznic.

- Miał. Zajmowała się mną, gdy byłam małą. Nazywała mnie Laleczką. - Amanda macha rękami, jakby poruszała sznurkami marionetki. - Pamięta pani: „Laleczko, laleczko, kto jest moją małą laleczką?”

Pani MacGiver patrzy na Amandę, jakby brakowało jej rozumu.

- To wcale nie była córka pana Walsha.

- Nie rozumiem.

Pani MacGiver śmieje się i grozi Amandzie palcem, jakby córka Gwen Price próbowała ją nabrać.

- To była Lucy.

- Lucy? Kim, do diabła, jest Lucy?

Nagle na górnym podejściu schodów pojawia się Ben. Jego jedynym odzieniem jest ręcznik owinięty wokół mokrego tułowia.

- Co się dzieje?

- Kim pan jest? - pyta staruszka. Nagle w jej oku pojawia się błysk.

- Czy to ty, Marshallu MacGiverze?

- Kim jest Lucy? - powtarza Amanda.

- Przecież wiesz.

- Nie wiem.

Starsza pani macha Benowi dłonią z iście dziewczęcą kokieterią.

- Kim - jest - Lucy? - powtarza Amanda po raz trzeci, oddzielając słowa.

Ben powoli schodzi ze schodów i staje obok niej. Pani MacGiver wzdycha kokieteryjnie.

- Ależ, Marshallu MacGiverze, dobrze wiesz, że nie powinieneś tu przychodzić. Co

powiedzą moi rodzice, jeśli się dowiedzą, że wkradasz się do naszego domu?

- Pani MacGiver...

- Jesteś bardzo niegrzeczny.

- Kim jest Lucy, pani MacGiver?

- Lucy? - Staruszka sprawia wrażenie zdezorientowanej. Łzy napływają do jej już zasnutych mgiełką oczu. - Musiałam mieć na myśli Sally.

- Pani MacGiver...

- Nie jesteś Sally - mówi i zaczyna się kręcić w kółko, na chwilę traci równowagę, jakby miała się przewrócić. - Co zrobiłaś z moją wnuczką? Gdzie ona jest?

- Pani MacGiver, proszę się uspokoić... Starsza pani rzuca się w stronę drzwi.

- Idę do domu.

Zbiera w garść fałdy koszuli nocnej, ukazując górne brzegi czerwonych botków, otwiera drzwi i przebiega przez ulicę. Amanda w różowym kocu i Ben w samym ręczniku obserwują bezradnie, jak otwiera drzwi wejściowe swojego domu, a potem nimi trzaska. Z parapetu okna nad wejściem spada bryłka śniegu.

## 32

- Dokąd idziesz? - pyta Ben, powłócząc nogami w śniegu za Amandą.

Tymczasem ona maszeruje ścieżką do sąsiedniego domu i trzykrotnie dzwoni do drzwi.

- Musi być na tej ulicy ktoś, kto nie jest stuknięty i kto mieszkał tu, gdy byłam małą.

Mam nadzieję, że będzie w stanie coś nam powiedzieć.

- Czego chcesz się dowiedzieć?

- Po pierwsze, czy pan Walsh miał córkę.

- A po drugie?

Amanda ponownie naciska dzwonek.

- Kim, do diabła, jest Lucy.

- O ile w ogóle istnieje - podkreśla Ben. - Starszej pani wyraźnie coś się pokręciło.

- Nie aż tak bardzo.

- Miała na sobie koszulę nocną i czerwone botki - przypomina Ben, jakby to wszystko wyjaśniało.

Amanda dzwoni po raz piąty i ostatni.

- Nikogo nie ma w domu.

Przecina zasypany śniegiem trawnik i idzie do następnego domu. Właśnie ma zamiar nacisnąć dzwonek, kiedy drzwi się otwierają.

- Och! - woła młoda kobieta, wyraźnie zaskoczona, że ktoś stoi na jej progu.

Z dużym trudem utrzymuje na rękach wiercące się niemowlę, a u jej stóp niespokojnie kołysze się z boku na bok kilkuletni brzdąc. Cała trójka ma na sobie grube niebieskie

kombinezony i nie kryje przerażenia.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Amanda Travis. Mieszkam...

- Przepraszam - przerywa jej kobieta.

Kilkulatek szarpie ją za kurtkę, a niemowlę wyciąga do góry rączki.

- Kiepsko pani trafiła. Jak pani widzi, właśnie wychodzimy, poza tym od Bożego Narodzenia cienko przedziemy, więc to nie najlepsza pora na proszenie o datki.

- Nie zbieramy żadnych datków.

Kobieta wygląda na zmieszaną i zaniepokojoną, co zdradza wykrzywienie jej aż nazbyt wyskubanych brwi.

- Chyba wybraliśmy nieodpowiedni dom - przyznaje Amanda.

Kobieta z wdzięcznością przytakuje, bierze piszczącego kilkulatka na wolną rękę, a potem znosi wierzące się dzieci ze schodów i idzie z nimi w stronę ulicy.

- Najwyraźniej nie było jej tu dwadzieścia pięć lat temu - przyznaje Amanda, idąc w stronę następnego domu.

W najbliższych pięciu domach sytuacja z grubsza się powtarza. Sąsiedzi zakładają, że ona albo próbuje im coś sprzedać, albo wyciągnąć od nich pieniądze, dlatego spotyka ją przyjęcie równie chłodne jak powietrze na zewnątrz. Jeden z mężczyzn krzyczy, że ma powyżej uszu świadków Jehowy, którzy notorycznie wyciągają go z ubikacji, i trzaska drzwiami przed nosem Amandy, nie dając jej nawet szansy na otwarczenie ust. Nikt spośród najbliższych sąsiadów nie mieszka na tej ulicy dłużej niż dziesięć lat, a i ona nie przypomina sobie żadnego z nich.

- W ilu domach chcesz jeszcze spróbować? - pyta Ben cierpliwie, gdy podchodzą do dużego ceglanego domu z wysokimi białymi kolumnami.

- Jeszcze w kilku po tej stronie - odpowiada Amanda. - I w kilku naprzeciwko.

Ben wyciąga ramię, żeby pomóc jej pokonać nieodśnieżoną dróżkę. Jego była żona zamiera w bezruchu.

- Czy coś się stało?

Dziewczyna spogląda na stary dom, który teraz wzbudza w niej równie złe przeczucia jak wówczas, gdy była dzieckiem. Próbuje przypomnieć sobie kobietę, która w nim mieszka, ale słyszy tylko szorstkie słowa matki: „To prawdziwa suka na kółkach”.

- Amando?

Ale ona wciąga w płuca chłodne powietrze, a wraz z nim świeżą porcję determinacji, i idzie zasypaną śniegiem ścieżką. Jej matka wcale nie zna się tak dobrze na ludziach. Poza tym dom, jak wiele innych w najbliższym sąsiedztwie, prawdopodobnie w ostatnich kilkudziesięciu latach wielokrotnie zmieniał właścicieli. Przy drzwiach wejściowych bierze następny głęboki wdech i naciska dzwonek.

- Kto tam? - pyta ze środka kobiecego głosu.

- Nazywam się Amanda Travis - odpowiada krzykiem. - Mieszkam kilka domów dalej. Chciałabym chwilę z panią porozmawiać.

Drzwi się otwierają. Na progu staje elegancka kobieta ubrana w czarne spodnie i koralowy sweter. Upięscioną rękę wspiera na smukłym biodrze. Starsza pani ma sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat, a pasemka bieli rozdzielają hebanowe włosy jak linie na autostradzie. Albo biała smuga na grzbiecie skunksa - myśli Amanda, rozpoznając chłodne zielone oczy i cienki, patrycjuszowski nos. Zerka ukradkiem na stopy kobiety, szukając kółek.

- Pani Thompson? - pyta, z zaskakującą łatwością przypominając sobie jej nazwisko, a potem mimo woli robi krok do tyłu, żeby poczuć obecność Bena za plecami.

- Tak. Kim pani jest?

- Nazywam się Amanda Travis - powtarza dziewczyna. - A to Ben Myers.

Pani Thompson przesuwa wzrok z jednego na drugie.

- Moja matka mieszka przy tej ulicy. - Amanda wskazuje ręką kierunek. - Myślę, że mnie pani nie pamięta.

- A powinnam?

- Nie, chyba nie. Już od dość dawna nie mieszkam z mamą i bardzo się zmieniłam.

- O co chodzi? Dziewczyna odchrząkuje.

- Chciałam zadać kilka pytań.

- Na jaki temat?

- Możemy wejść do środka?

- O co chodzi? - pyta kobieta ponownie, ignorując prośbę. Amanda wdycha chłodne powietrze. Czuje dochodzący z wnętrza domu zapach kawy. Marzy o sporym łyku.

- Jestem córką Gwen Price.

Kobieta w milczeniu mruga oczami - wyraźnie zna to nazwisko. W końcu mówi:

- Nadal nie wiem, co chcecie ode mnie usłyszeć.

Ja również - zgadza się z nią w myślach Amanda.

- Czy przypadkiem pamięta pani pana Walsh? Mieszkał w domu obok mojej matki.

- Pana Walsh? Nie. Nigdy o nim nie słyszałam.

- W takim razie nie pamięta pani pewnie, czy miał córkę?

Głupie pytanie - myśli Amanda, widząc, że kobieta nadyma usta i wywraca oczami.

- Jeśli nie pamiętam jego, jak mogę pamiętać, czy miał córkę? Choć to wydaje się niemożliwe, ton kobiety jest jeszcze bardziej lodowaty niż chodnik.

Amanda kiwa głową. Matka miała rację.

- A panią MacGiver? Mieszka naprzeciwko...



- Tę starą idiotkę, która biega po ulicy w koszuli nocnej?

- Tak, o nią mi chodzi.

- Co znowu wymyśliła?

- Wspomniała kogoś o imieniu Lucy Jestem ciekawa, czy... Pani Thompson jest wyraźnie zaskoczona. Porusza ramionami, jakby chciała rozwinąć skrzydła.

- W co się bawicie? - pyta ze złością.

- Słucham?

- Nie mam czasu na głupoty.

Próbuje zamknąć drzwi, ale Ben ją powstrzymuje.

- Nie rozumiem - mówi Ben. - Co się stało?

- Kim jest Lucy? - pyta Amanda.

- Naprawdę pani nie wie? - mruczy pani Thompson z wyraźnym niedowierzaniem.

- Nie wiem - mówi i czuje mocne ukłucie w piersi. Po chwili zdaje sobie sprawę, że wstrzymała oddech.

- Niech mi pani nie wmawia, że nie zna pani własnej siostry - stwierdza sąsiadka.

- Co takiego?

Drzwi zatrząskują się przed nosem Amandy.

Biała corvetta pędzi Bloor Street w stronę hotelu Four Seasons.

- Co się tu, do diabła, dzieje?

- Postaraj się zachować spokój - prosi Ben po raz nie wiadomo który od zaskakującego stwierdzenia pani Thompson.

- To nie ma w ogóle sensu.

Amanda niecierpliwie tupie nogą, gdy światła na skrzyżowaniu Bloor i Spadina zmieniają się z pomarańczowych na czerwone.

- Jedź - namawia.

Ben ignoruje jej sugestię i zatrzymuje samochód.

- Zmieńcie się - jego pasażerka popędza uparte światła, tupiąc nogą w coraz większej frustracji. - Co się, do diabła, dzieje z tym urządzeniem? Czyżby się zawiesiło?

- Minęło zaledwie kilka sekund.

- Przejedź przez to cholerne skrzyżowanie. Nikt się nie zbliża.

- Spokojnie, dziewczyno. Chciałbym dojechać na miejsce cały i zdrowy.

Czyżby starsza pani MacGiver powiedziała prawdę? Czyżby pan Walsh nie miał córki? A osoba, która bawiła się nią jak z żywą kukiełką, to ktoś o imieniu Lucy?

Zapalają się zielone światła.

- Jedź - instruuje Amanda, nie dając Benowi czasu na reakcję. Czy można wierzyć pani Thompson, że Lucy była jej siostrą?

- Chciałabym, żeby Hayley Mallins umiała odpowiedzieć na nasze pytania.

Amanda patrzy przez przednią szybę, rozgoryczona faktem, że nagle znikąd pojawiły się jakieś samochody, jakby celowo chciały opóźnić jej jazdę.

- Nie wyjdę z jej pokoju, póki nie powie nam prawdy. Jeśli Hayley Mallins nie jest córką pana Walsh, lecz kimś o imieniu Lucy, a Lucy to moja siostra...

- Tylko pamiętaj, że więcej much można złapać na miód niż na ocet - mówi Ben.

- O co ci chodzi?

- Tylko powiedziałem...

- Wiem, co powiedziałeś, ale jeśli będę potrzebowała rady, poproszę o nią wróżkę Ann Landers.

...to oznacza, że Hayley Mallins jest moją siostrą - wyciąga wniosek Amanda.

Ben zaciska mocniej palce na kierownicy.

- Za dwie minuty będziemy na miejscu - obiecuje, patrząc prosto przed siebie.

Co byłoby kompletną bzdurą - snuje swe rozważania dziewczyna.

W całej tej sprawie wszystko jest bez sensu. Dlaczego więc warczy na Bena, który jest jedynym sensownym elementem tego, co się wokół niej dzieje?

Czy to, co wydarzyło się między nimi w nocy, ma w ogóle jakiś sens?

- Przepraszam - mówi, przypominając sobie delikatność jego warg i pewność dotyku.

Odsuwa od siebie niechciane wspomnienie. Jak można teraz myśleć o takich rzeczach?

- W porządku - mówi Ben, rozluźniając uchwyt na kierownicy. - A tak gwoli ścisłości.

Z tego, co wiem, Ann Landers to już przeszłość. Teraz doradztwem zajmuje się *Dear Ellie*.

Amanda przyznaje mu rację.

- Na pewno do niej napiszę.

*Droga Ellie, mam pewien problem. Widzisz, moja matka, z którą od bardzo dawna nie utrzymywałam żadnych kontaktów, została oskarżona o zastrzelenie zupełnie obcego człowieka w hotelowym foyer. Teraz nagle okazuje się, że ów zupełnie obcy człowiek w rzeczywistości był kiedyś jej mężem, któremu ukradła sporą sumkę. Ostatnio sąsiedzi próbują mi wmówić, że wdowa po zamordowanym jest w rzeczywistości moją siostrą. Na domiar złego chyba zakochałam się we własnym byłym mężu, który przez przypadek jest adwokatem mojej matki. Co mam zrobić? Posłuchać głosu serca czy pójść za przykładem matki i po prostu zastrzelić wszystkie zaangażowane osoby? Podpisane: Zdezorientowana z Toronto.*

Z powodu niewielkiego korka posuwają się do przodu w żółtym tempie.

- Skąd się tu wzięły te wszystkie auta? - pyta Amanda, zgrzytając zębami.

- Jest godzina szczytu - przypomina jej Ben.

Gdyby nie zaproponowała pani MacGiver, że kupi jej głupią herbatę... Gdyby nie zareagowała na pukanie do drzwi... Gdyby nie wspomniała o cholernym panu Walshu... Ona i Ben wciąż mogliby się kochać przed kominkiem, zamiast tkwić na Bloor Street w ulicznym korku. Zerka na zegarek. Jest dopiero ósma.

- Tak, zawsze o tej porze jest tłoczno na drogach - przyznaje Amanda, gdy światła, do których właśnie podjeżdżają, zmieniają się z zielonych na pomarańczowe. - Gaz do dechy! Jeszcze przejedziemy.

Ben naciska pedał gazu i pakuje się prosto w tylny zderzak błękitnej toyoty.

- Cholera! - klnie, słysząc odgłos gnieczonego metalu.

- Nie do wiary - mruczy Amanda.

- Nic ci się nie stało?

Kierowca toyoty wyskakuje z auta i ze złością maszeruje w ich stronę, energicznie wymachując rękami.

- Nie do wiary - powtarza Amanda, gdy stojące za nimi auta zaczynają trąbić ze złością.

- Gdzie wam się, do diabła, tak spieszy? - pyta wkurzony, mniej więcej czterdziestoletni kierowca toyoty.

Ma na sobie brązową zamszową kurtkę i czarną czapkę z futrzanymi klapkami na uszy. Wyraźnie widać tylko duży nos, który szybko robi się czerwony z zimna. Mężczyzna krąży niespokojnie między jednym autem a drugim i macha rękami jak gigantyczna wrona.

Ben wysiada z samochodu.

- Przepraszam. Myślałem, że przejedzie pan przez skrzyżowanie.

- Przecież, do jasnej cholery, jest czerwone światło.

- To moja wina - przyznaje Amanda, wysiadając z auta i przyglądając się obu samochodom.

Widzi jedynie kilka rys, wszystkie na zderzaku białej corvetty Bena. Dzięki Bogu - myśli. To znaczy, że nie musimy wzywać policji ani przedstawicieli firm ubezpieczeniowych. Możemy przeprosić i zwiewać, gdzie pieprz rośnie.

- Wygląda na to, że pańskiej toyocie nic się nie stało - zwraca uwagę poszkodowanemu. - Miał pan szczęście.

- Miałem szczęście? Powiem pani coś, co z pewnością pani nie ucieszy. Mam chory kręgosłup i Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie odniosłem obrażenia.

Starając się opanować złość, Amanda dochodzi do wniosku, że kierowca toyoty nie mówi poważnie.

- Jak na człowieka z chorym kręgosłupem całkiem sprawnie się pan porusza - rzuca lekceważąco.

Nie ma czasu na głupoty. Musi dotrzeć do Four Seasons i zobaczyć się z Hayley Mallins, znaną również jako Hayley Walsh, a także jako Lucy i jako...

Kim ona, do diabła, jest?

- Pańskiemu samochodowi nic się nie stało, kręgosłupowi również - zapewnia Amanda mężczyznę, zachowując stoicki spokój.

- Naprawdę? Jest pani lekarzem?

- Nie. Prawnikiem. Oboje jesteśmy prawnikami. Jeśli więc zastanawia się pan, czy nie wnieść przeciwko nam oskarżenia, na co wyraźnie ma pan ochotę, z całego serca radzę jeszcze raz to przemyśleć.

- Próbuje mi pani grozić?

- Amando...

- Nie mam czasu na pierdoły. Chcesz zostać tutaj i kłócić się z tym palantem, świetnie. Wolna droga. Ja stąd spadam.

- Jest pani zdrowo stuknięta - mówi mężczyzna.

- Tak? Szkoda, że nie zna pan reszty mojej rodziny.

- Uspokój się. Zadzwoń na policję. Przyjadą za kilka minut.

- Nie mam czasu. Biegnie ulicą.

- Amando...

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć! - woła przez ramię, nie zwalniając kroku.

Winda zatrzymuje się na dwudziestym trzecim piętrze hotelu Four Seasons. Kiedy Amanda z niej wyskakuje, odnosi wrażenie, że jej ramienia dotyka Ben. „Więcej much można złapać na miód niż na ocet” - słyszy jego słowa. Staje i kilka razy głęboko oddycha.

- W porządku, posłuchaj Bena. Zwolnij. Uspokój się.

Energicznym krokiem pokonuje korytarz, przed drzwiami apartamentu 2416 jeszcze raz głęboko oddycha i puka. Nikt nie odpowiada. Po chwili dziewczyna puka ponownie, tym razem nieco mocniej.

Jest wcześnie - przypomina sobie. Mogą spać. Daje im minutę na obudzenie się, potem wydaje jej się, że ktoś stoi przy drzwiach.

- Otwórz - błaga szeptem, pukając jeszcze głośniejszym i w mniej cywilizowany sposób. - Otwórz. Nie mogę czekać cały dzień.

Cisza.

- Hayley! - krzyczy Amanda. - Hayley, tu Amanda Travis. Otwórz!

Kopie w drzwi.

Nadal nikt się nie odzywa.

- Nie pójdę, póki z tobą nie porozmawiam.

Przyciska ucho do drzwi i nasłuchuje, usiłując wychwycić choćby najlżejszy ruch. Niestety, po kilku minutach musi uznać, że w środku nie ma nikogo. Czy to możliwe, żeby pogrążona w żałobie rodzina wybrała się gdzieś na śniadanie? A jeśli tak, to gdzie?

Amanda biegnie z powrotem do windy i nie odrywa palca od guzika, póki obok niej nie otwierają się drzwi. Potem wpycha się przez nie, nie czekając, aż się całkiem otworzą, i wpada w ramiona dwóch mężczyzn, którzy stoją w środku. W normalnych warunkach opowiedziałaby jakiś pieprzny kawał i wyszła z windy z przynajmniej jednym zaproszeniem

na śniadanie, ale ten ranek trudno uznać za normalny.

- Przepraszam - mówi po prostu do obu panów, nawet nie przyglądając się żadnemu z nich i naciskając guzik kawiarni na pierwszym piętrze.

Kawiarnia jest długa, wąska, a jej okna wychodzą na sklepy wzdłuż modnej Yorkville Avenue. Wnętrze zdobią nowoczesne meble i współczesne obrazy, a centralne miejsce sali zajmuje kompozycja z kolorowego szkła. Przy stolikach siedzi dziesięć, może dwanaście osób. Czytają poranne gazety i jedzą śniadanie. Smakowite zapachy przypominają Amandzie, że jeszcze nic nie miała w ustach.

- Dzień dobry pani. - Kierownik sali trzyma w ręku kilka jadłospisów. - Czy będzie pani jadła z kimś śniadanie?

- Prawdę mówiąc, tylko kogoś szukam. Lustruje całą salę.

- Kobiety z dwójką dzieci: mniej więcej dziesięcioletnim chłopcem i trzynastoletnią dziewczynką.

- Wygląda na to, że przyszła pani pierwsza - oznajmia kierownik sali. - Jeśli pani chce, mogę panią posadzić.

- Nie, dziękuję. Najpierw sprawdzę na parterze.

- Oczywiście - mówi mężczyzna, jakby konieczna była jego aprobata.

Amanda wskakuje do windy, która jedzie z pierwszego piętra do foyer. Druga restauracja znajduje się tuż przy wyjściu, ale tu również nie ma Hayley i jej dzieci.

- Boże, tylko mi nie mów, że zabrała je do McDonalda - szepcze w kołnierz kurtki.

Pędząc tutaj, minęła po drodze jeden z punktów sieci. Czy to możliwe, że przebiegła obok nich? Być może, gdy uciekała z miejsca wypadku, oni z przyjemnością zajadali Egg McMuffins i mięso zasmażane z cebulą i ziemniakami.

Oczywiście widzi Bena obok ukochanej corvetty. Zawsze tak bardzo troszczył się o auto. Nigdy nie miał żadnego wypadku, nawet zadraśnięcia. Aż do dziś. Wszystko to jej wina. Przez nią wjechał w tył głupiej toyoty, a teraz musi być miły dla wstrętnego, małego człowieczka. Tymczasem co ona zrobiła? Oznajmiła, że nie ma czasu na pierdoły, i uciekła. Z drugiej strony Ben powinien już do tego przywyknąć - myśli, zastanawiając się, co dalej.

W pobliżu są dziesiątki restauracji. Nie da rady sprawdzić ich wszystkich. To bezsensowne. Będzie musiała po prostu usiąść wygodnie w foyer, uspokoić się i poczekać, aż wróci.

Zdając sobie sprawę, że tak właśnie czekała jej matka, Amanda wydaje głośny jęk i postanawia wcześniej spytać o Hayley w recepcji. Może ktoś widział, jak wychodzili, zauważył, w którą stronę poszli. Może Hayley powiedziała nawet recepcjonistce, dokąd się wybiera. Co prawda szanse są niemal żadne, ale z drugiej strony, co zaszkodzi spytać?

Czasami szkodzi - przyznaje, przypominając sobie wszystkie pytania, które zadała matce i które jeszcze musi zadać Hayley Mallins. Czasami zadawanie pytań naprawdę może

zaszkodzić.

Wraca do foyer i niemal napada na Bogu ducha winną recepcjonistkę.

- To bardzo ważna sprawa - mówi młodej kobiecie, która nieufnie cofa się o krok. -  
Próbuję znaleźć Hayley Mallins. Wiem, że mieszka w apartamencie 2416, ale właśnie tam  
byłam i nie ma jej w pokoju, a ja koniecznie muszę się z nią skontaktować. Widziała ją pani?

Młoda kobieta szybko wystukuje coś na komputerze.

- Przykro mi, ale pani Mallins już się wymeldowała.

- Wymeldowała się? To niemożliwe.

- Wyprowadziła się wczoraj wieczorem.

- Czy powiedziała, dokąd się wybiera?

- Obawiam się, że nie.

Amanda czuje, że robi jej się niedobrze. Czy to możliwe, że Hayley zabrała dzieci i  
wróciła do Anglii?

- Cholera! Cholera! - klnie, najpierw po cichutku, potem nieco głośniej.

- W czym problem? - pyta mężczyzna, który wyłania się zza pleców młodej kobiety i  
zerka na ekran komputera.

Sądząc po plakietce, jest to William Granick, dyrektor hotelu.

- W czym mogę pomóc?

- Próbuję zlokalizować Hayley Mallins. Koniecznie muszę z nią porozmawiać.

- Niestety, pani Mallins już się wymeldowała.

- Tak, wiem, ale z pewnością zostawiła numer, pod jakim można ją złapać.

- Niestety, nie mogę pani pomóc.

Sądząc po tonie wypowiedzi Williama Granicka, nie pomógłby on Amandzie, nawet  
gdyby mógł.

- Pan chyba nie rozumie...

- Amando! - wota ktoś zza jej pleców.

Kiedy się odwraca, widzi Bena, który idzie w jej stronę z mocno zaczerwienioną  
twarzą, co wskazuje, że dość długo przebywał na świeżym powietrzu.

- Dzięki Bogu.

- Co się stało?

- Wymeldowali się wczoraj wieczorem.

- Tego się obawiałem.

- Co się stało z twoim samochodem?

- Facet uznał, że mimo wszystko nie będziemy wzywać policji. Chyba go  
przestraszyłaś.

Dziewczyna uśmiecha się, a potem szybko marszczy brwi.

- Myślisz, że wrócili do Anglii?

- Kto wie?

- Jesteśmy w stanie to sprawdzić?

- Chodź, napijmy się kawy. - Ben prowadzi ją w stronę kawiarni. - Dwie kawy - zamawia, po czym wyjmując z kieszeni telefon komórkowy, zerka na zegarek i wybiera jakiś numer. - Cześć, to ja - mówi nienaturalnie niskim głosem.

Sądząc po mocno przygarbionych plecach, Ben rozmawia z Jennifer.

- Tak, przepraszam. Bardzo późno wróciłem do domu... Prawdę mówiąc, w ogóle nie wracałem - przyznaje po przykrych pauzach. Potem dodaje: - Taaak, wciąż tu jest. Taaak, jestem teraz z nią.

Następna pauza, jeszcze bardziej przykra niż pierwsza. Amanda zastanawia się, czy jest ona równie przykra dla Jennifer jak dla Bena. Obserwuje jego twarz, widzi smutek w jego oczach, słyszy żal w głosie. Czyżby się zastanawiał? Nad Jennifer? Nad nią?

- Nie możemy porozmawiać o tym później?

- A naprawdę jest o czym rozmawiać? - słyszy Amanda głos Jennifer.

- To skomplikowana sytuacja - wyjaśnia Ben, a potem mówi: - Posłuchaj, chciałbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

Z pewnością Jennifer nie to chciała usłyszeć. Mając tego świadomość, Amanda wstrzymuje oddech i odmawia cichą modlitwę, żeby dziewczyna Bena z czystej ciekawości wysłuchała jego prośby.

- Możesz sprawdzić, czy Hayley Mallins poleciała już do Anglii? Jesteśmy w hotelu. Dowiedzieliśmy się, że żona zamordowanego wymeldowała się wczoraj wieczorem. - Ben czeka kilka sekund, a potem kładzie komórkę na stoliku. - Rozłączyła się.

Kelner przynosi kawę i pyta, czy chcą coś jeszcze. Ben bez słowa odwraca głowę w stronę okna.

- Nie, dziękuję. To wszystko - mówi Amanda kelnerowi. - Przykro mi - zapewnia swego towarzysza.

- Niepotrzebnie. Mam jeszcze kilku innych znajomych. O dziewiątej zacznę dzwonić.

- Chodziło mi o Jennifer.

Ben wzrusza ramionami, jakby próbował powiedzieć: „Mnie też przykro”.

- Nie musiałeś jej się przyznawać, że byłeś ze mną.

- Musiałem. - Upija łyk kawy. - Poza tym sama bez trudu do tego doszła.

- Przykro mi - powtarza. W powietrzu unosi się żal.

- Wciąż masz zamiar wyjechać, prawda? - mówi ze smutkiem Ben, już samym pytaniem sugerując odpowiedź.

Jak każdy dobry adwokat wie, co usłyszysz. Co ja zrobiłam? - zastanawia się Amanda. Spełniła swoją zachciankę i teraz wszyscy cierpią.

- Jak tylko będzie po wszystkim. - Czy nie potrafisz wymyślić nic innego? - Uważam, że

tak będzie lepiej.

On kiwa głową i znów wygląda przez okno.

- A dzisiejsza noc?

- Dzisiejsza noc była...

- ...sposobem na wyrwanie z korzeniami tego, co się w nas jeszcze tli - kończy Ben.

Raczej chwilowym szaleństwem - myśli Amanda.

- Ona cię kocha - zapewnia, mając na myśli Jennifer. - Zadzwoń do niej za dwa dni, powiesz, co się stało...

Jak na sygnał odzywa się telefon Bena.

- Halo, słucham?

- Tylko nie pytaj, czemu to robię - słyhać głos Jennifer.

Może nawet nie będzie musiał czekać dwa dni - przemyka dziewczynie przez myśl.

Ben słucha z przymrużonymi oczami, jakby starał się bardziej skoncentrować.

- W porządku. Dzięki. Zadzwoń później... No tak. Cześć.

- No i co?

- Najwyraźniej wczoraj przestraszyliśmy Hayley. Otrzymała od policji zgodę na powrót do Anglii.

- O nie!

- Jeszcze nic straconego. Mamy szczęście. Dostała bilet dopiero na dzisiejszy wieczór.

- Wciąż tu jest?

- W Airport Hilton.

- Jedziemy.

## 33

Airport Hilton można określić dwoma słowami: Hilton i lotnisko. To właściwie mówi wszystko o tym hotelu - myśli Amanda, gdy razem z Benem idą przez foyer do windy na tyłach. Beżowo-zielony budynek stoi w pobliżu lotniska, wśród całego szeregu podobnych hoteli. Korzystają z nich głównie biznesmeni, którzy nie mają czasu ani ochoty na zwiedzanie miasta, i podróżni odlatujący wczesnym rankiem. W foyer kręci się bardzo dużo kobiet w szytych na miarę kostiumach i mężczyzn z ciężkimi aktówkami. Wszyscy gdzieś się spieszą - mówi do siebie dziewczyna i odsuwa się na bok, żeby przepuścić pasażerów, którzy wychodzą z windy.

- A jeśli jej nie ma? - pyta, gdy Ben naciska guzik drugiego piętra.

- Jest.

Winda niespodziewanie staje na pierwszym piętrze. W otwartych drzwiach pojawia się przytulona do siebie para w otoczeniu walizek. Młodzi tak mocno są ze sobą spleceni, że Amanda niemal widzi, jak młody mężczyzna wsuwa język do gardła swojej partnerki.



Zaledwie kilka godzin temu Ben delikatnie muskał językiem kąci jej ust, ale ona wcale nie chce sobie tego przypominać, dlatego odwraca wzrok. Bezwiednie unosi palce do warg, czuje na nich smak Bena, ale nie może się zdobyć na to, żeby go zetrzeć. Kilka godzin temu kochał się z nią, teraz stoi z boku, starając się zachować odpowiedni dystans, a ręce, które ją pieściły, luźno zwisają mu wzdłuż ciała.

Zresztą tak właśnie być powinno.

Czyżby liczył, że będzie inaczej?

Czyżby ona na to liczyła?

Kaszele w dłoń, para odsuwa się od siebie. Usta młodej kobiety i jej broda są zaczerwienione od jednodniowego zarostu mężczyzny.

- Właśnie wzięliśmy ślub - wyjaśnia młodzieniec, uśmiechając się ze zażenowaniem.

Wnosi do windy liczne bagaże. Jego twarz ma kształt odwróconego trójkąta, kędzierzawe włosy spadają na płaskie, szerokie czoło.

- Lecimy na Bahamy.

Dziewczyna ze śmiechem przysuwa się do męża. Jej długie, miodowe włosy opadają po bokach owalnej twarzy, w której dominują duże brązowe oczy.

Wygląda, jakby miała nie więcej niż dwadzieścia lat - myśli Amanda. Jest niewiele starsza niż ona i Ben w chwili ślubu. Prawdę mówiąc, nie mogli sobie pozwolić na miesiąc miodowy ani na Bahamach, ani w żadnym innym miejscu, a noc poślubną spędzili na materacu na środku podłogi w małym, jednopokojowym mieszkanku Bena. Dziewczyna do dziś pamięta radość, gdy po przebudzeniu się rano ujrzała go obok siebie.

To jest to - pomyślała wtedy. Nareszcie jestem w domu. Nigdy go nie opuszczę.

Niemniej to właśnie zrobiła.

Wciąż to robi.

Pan młody naciska guzik parteru.

- Och! - protestuje Amanda. - Przepraszam. Jedziemy do góry.

Młodzieniec wzrusza ramionami.

- Więc my też.

- O której macie lot? - pyta, starając się odpędzić wspomnienia.

Panna młoda chwyta nadgarstek męża, sprawdza zegarek i głośno jęczy.

- Dopiero za kilka godzin. Mamy tak dużo czasu.

- Po prostu uważam, że lepiej być trochę za wcześnie niż potem biegać w ostatniej chwili, kiedy na wszystko brakuje czasu - wyjaśnia obronnym tonem młody człowiek.

Amanda zdaje sobie sprawę, że młodzi od ślubu już kilkakrotnie odbyli tę rozmowę i że w trakcie małżeństwa będą ją przerabiali wielokrotnie w różnych wariantach. Zastanawia się, komu pierwszemu zabraknie cierpliwości, kto pierwszy postanowi wyjść.

- Życzę szczęścia - mówi, gdy drzwi windy otwierają się na drugim piętrze.

- Wzajemnie - odpowiadają zgodnie nowożeńcy.

Amanda ogląda się. Drzwi jeszcze nie zdążyły się zamknąć, a młodzi już na powrót padli sobie w objęcia, jakby rozłaka sprawiała im fizyczny ból. Rozłaka rzeczywiście jest bolesna - uznaje, czując coraz silniejszy ból w żołądku, który następnie przenosi się na całe ciało jak szczególnie złośliwy rak. Ma ochotę zawołać Bena, który idzie korytarzem, kazać mu zwolnić, wrócić do niej. Chętnie by mu powiedziała, że to może poczekać. Wszystko może poczekać.

Niestety, nie może.

Ona też nie może poczekać.

Ani on.

- Który pokój? - pyta, doganiając go.

- Jesteśmy na miejscu.

Ben staje przed pokojem 312 i z cichą determinacją puka do drzwi.

- Dyrektor hotelu - oznajmia, nie czekając, aż mieszkańcy spytają, kto to.

Ze środka dochodzi niepewny głos.

- Stało się coś złego?

Hayley Mallins zerka przez szparkę. Kiedy dostrzega, kto stoi na progu, jej oczy robią się okrągłe. Próbuje zamknąć drzwi, ale Ben często miewa do czynienia z ludźmi, którzy nie chcą go wpuścić, dlatego błyskawicznie wsuwa stopę w szczelinę.

- Nie - syczy Hayley, uderzając rękami o drzwi. - Idźcie. Idźcie sobie.

- Proszę - przekonuje Amanda. - Chcemy tylko z tobą porozmawiać.

- Spenserze, zadzwoń do recepcji - pada natychmiastowa odpowiedź. - Poproś, żeby przysłali ochronę.

- Nie sądzę, by naprawdę chciała pani to zrobić - sugeruje Ben, tak mocno pchając drzwi, że Hayley nie ma innego wyboru, musi się odsunąć i wpuścić ich do środka.

Pokój jest czysty i nijaki, niemal w całości zajmują go ogromne łóżka. Ben szybko podchodzi do Spensera, który stoi przy małym biurku przy oknie z telefonem w ręku i próbuje opanować łzy. Chłopiec jest jeszcze w wyblakłej niebieskiej piżamie. Gdy mężczyzna do niego podchodzi, odkłada słuchawkę i biegnie do matki.

- W porządku, Spenserze - uspokaja go Ben. - Nie zrobimy ci krzywdy.

- Czego od nas chcecie? - pyta inny głos.

Amanda i Ben odwracają się. Na środku drugiego łóżka siedzi Hope, również w piżamie. Zimnymi, pełnymi buntu oczami patrzy na Bena i Amandę.

- Idźcie sobie! - krzyczy chłopiec na intruzów, czując się bezpieczny w ramionach matki. - Idźcie i zostawcie nas w spokoju.

- Nie możemy - tłumaczy Amanda.

- Wcale nie muszę z wami rozmawiać - oznajmia Hayley. - Policja powiedziała, że nie

mam takiego obowiązku.

- W takim razie może nas wysłuchasz?

- Nie interesuje mnie, co macie mi do powiedzenia.

- I tak wysłuchasz.

- Proszę - błaga Hayley. - Tylko wszystko pogorszycie.

- Twój mąż nie żyje, a moja matka jest w więzieniu - mówi Amanda. - Czy może być jeszcze gorzej?

- Może - odpowiada Hayley szczerze.

Siada w nogach najbliższego łóżka, obok Spensera. Ma na sobie ten sam zielony sweter, co poprzedniego dnia, włosy upięła z dala od twarzy za pomocą dwóch ozdobnych spinek. Nie ma żadnego makijażu, jej skóra jest szara jak popiół. Kiwa głową, w końcu się poddaje.

- Nie chcę, żeby nasza rozmowa odbywała się przy dzieciach - mówi cicho.

- Zabiorę je na dół na śniadanie - proponuje Ben.

- Nie - płacze Spenser, przywierając mocno do matki.

- Nie zostawimy cię - oznajmia Hope.

- Śniadanie to bardzo dobry pomysł - oznajmia Hayley spokojnie. - Przed chwilą mówiłeś, Spenserze, że jesteś głodny i chętnie zjadłbyś talerz naleśników z borówkami.

- Chcę, żebyś i ty z nami poszła - płacze chłopiec.

- A ja chcę, żebyście się ubrali i poszli z panem Myersem.

- Benem - poprawia Ben.

- Pójdziecie z Benem, a ja dołączę do was tak szybko, jak będę mogła. Obiecuję. - Hayley uśmiecha się, chociaż jej uśmiech jest wymuszony i niepewny. - Proszę. Nie macie się o co martwić. Naprawdę. Najwyraźniej Amanda ma mi coś bardzo ważnego do powiedzenia i nie wyjdzie, póki tego nie zrobi. Pozwólmy jej na to, dobrze? - Patrzy na Hope. - Proszę, kochanie. Ubierz się.

Hope bardzo niechętnie wstaje z łóżka. Wyjmuje z szafy ubranie i znika w łazience.

- Zabierz swoje rzeczy, Lal... Spenserze - mówi matka.

- Nie wiem, w co się ubrać.

- W to, co wczoraj.

- Nie chcę.

- A może włożysz swój nowy brązowy sweter? Jesteś w nim taki przystojny.

Spenser wstaje z łóżka, wyjmuje z szuflady sweter, wciąga go przez głowę i dopiero wtedy zdejmuje bluzę pizamy. Gdy wsuwa ręce w rękawy i wygładza włosy, patrzy na Amandę, nie kryjąc, co o niej myśli. To znaczy, że życzy jej śmierci.

Dziewczyna spogląda w stronę Bena.

- Dziękuję - mówi bezgłośnie, równie niechętnie myśląc o rozstaniu z nim, jak dzieci

Hayley o zostawieniu matki.

Po kilku minutach Hope wychodzi z łazienki elegancko ubrana w dżinsy i jasnoróżowy sweterek. Długie ciemne włosy ma spięte w koński ogon.

- Ślicznie wyglądasz - mówi Amanda dziewczynce ze szczerego serca.

Przypomina sobie, że różowy zawsze był ulubionym kolorem Gwen.

Hope ignoruje komplement i siada na łóżku obok matki w miejscu, które poprzednio zajmował Spenser. Hayley obejmuje córkę i całuje ją w czoło. Wszyscy troje są do siebie bardzo podobni - myśli Amanda, gdy Spenser przepycha się obok niej w drodze do łazienki. Mają takie same wyraźne kości policzkowe, taką samą pełną dolną wargę, takie same przenikliwe, smutne oczy.

- Nie jestem głodna - oznajmia Hope, gdy Spenser wraca.

- Zjecie, ile będziecie mogli - mówi Hayley.

- Słyszałem, że mają tu wspaniały szwedzki stół - kusi Ben.

- Idźcie już - nakłania matka. - Zaraz do was dołączymy.

- Jeśli nie zejdzicie w ciągu dwudziestu minut - ostrzega Spenser - wezwę policję.

- W porządku, dwadzieścia minut - obiecuje Hayley i spogląda na Amandę, czekając na potwierdzenie.

- Dwadzieścia minut - zgadza się ona.

Ben otwiera drzwi i przepuszcza Spensera i Hope. Dziewczyna zatrzymuje się w progu i odwraca w chwili, kiedy Ben ma zamiar zamknąć drzwi.

- Zobaczymy się za dwadzieścia minut - mówi Hope.

Jej przenikliwe spojrzenie długo jeszcze towarzyszy Amandzie i Hayley.

- Masz śliczne dzieci - mówi Amanda. Oczy Hayley napętniają się łzami.

- Jak nas znalazłaś?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Chyba nie. O co ci chodzi?

- Sądzę, że wiesz.

- Myślę, że powinnaś przestać krążyć wokół tematu i przejść do cholernego sedna sprawy - wybucha Hayley, po raz pierwszy tracąc panowanie nad sobą i pod wpływem frustracji uderzając dłońmi o uda.

- Wiem, że nie jesteś córką pana Walsh - zaczyna Amanda. - Pan Walsh nie miał córki.

- Czy powiedziała ci to twoja matka?

- Moja matka niczego mi nie powiedziała. Jest w szpitalu.

- W szpitalu?

- Próbowwała popełnić samobójstwo.

- Co takiego? - Hayley wygląda na przerażoną. - O mój Boże! Wyjdzie z tego?

- Nic jej nie będzie - zapewnia Amanda, zaskoczona niespodziewanym zaniepokojeniem rozmówczyni. - Dlaczego zrobiła coś takiego, Hayley? Jaką tajemnicę chciała zabrać ze sobą do grobu?

- Skąd miałabym wiedzieć?

- Nie wiem, ale ty wiesz.

Hayley jest wyraźnie poruszona, zaczyna krążyć wokół łóżka.

- Musisz stąd wyjść. I to już. Nim ucierpią następne osoby.

- Powiedz mi, kim jesteś.

- Nie mogę.

- Nie wyjdę, póki mi tego nie powiesz. Łzy napływają do oczu Hayley.

- Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz?

To samo pytanie zadała wcześniej pani Thompson.

- Wiem, że nie masz na imię Hayley.

- Nieprawda. Mylisz się.

- W rzeczywistości jesteś Lucy.

- Nie, proszę. Nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem, że jesteś moją siostrą - ciągnie Amanda, przygotowując się na dalsze gwałtowne zaprzeczenia rozmówczyni.

Nic takiego się nie dzieje.

- O mój Boże! - jęczy kobieta, przyciskając dłonie do brzucha. - O mój Boże! O mój Boże!

- Jesteś moją siostrą - powtarza Amanda z niedowierzaniem.

Hayley przebiega obok niej w stronę łazienki. Po kilku sekundach słychać odgłosy gwałtownych wymiotów. Amanda z całych sił stara się zachować spokój i nie myśleć o niczym, póki Hayley nie wróci. Próbuje sobie wmówić, że to jakiś błąd, że tamta tylko odgrywa scenę, mści się za wszystkie problemy, jakie ściągnęła na jej głowę.

- Nie rozumiem - mówi Amanda, gdy Hayley wraca do pokoju ze spoconym czołem i ściereczką przy ustach. - Jak to możliwe?

Hayley opada na łóżko i patrzy w stronę okna.

- Wciąż do tego nie doszłaś? - dziwi się.

- Powiedz mi. Hayley potrząsa głową.

- Nie mogę. Proszę. Nie mogę.

- Jak to możliwe, że jesteśmy siostrami? - naciska Amanda. - Ja mam dwadzieścia osiem lat. A ty?

- W przyszłym miesiącu skończę czterdzieści jeden - wyznaje Hayley bezbarwnym głosem.

- To znaczy, że jesteś ode mnie starsza o ponad dwanaście lat. Moi rodzice pobrali się

zaledwie kilka lat przed moim urodzeniem, więc nie możemy mieć tego samego ojca.

Hayley bez słowa przytakuje.

- A wcześniej moja matka była żoną...

- ...mojego męża.

- Twierdzisz, że moja matka miała jeszcze jednego męża, o którym nic nie wiem?

Jaka matka, taka córka - myśli.

- Nie, wcale tego nie powiedziałam.

- W takim razie czegoś tu nie rozumiem. Kto jest twoim ojcem?

- Moim ojcem? - powtarza Hayley, jakby nie rozumiała tego słowa.

- Tak. Kto jest twoim ojcem?

Przerwa trwa wieki, potem padają ledwo słyszalne słowa:

- Mój mąż.

Amanda przez sekundę myśli, że Hayley źle zrozumiała pytanie. Jakże inaczej można wyjaśnić dziwną odpowiedź? Z pewnością nie próbuje sugerować... Zamiera w bezruchu, powietrze zamarza jej w płucach. Nie. To niemożliwe. Absolutnie niemożliwe. Drżącymi palcami sięga do kieszeni nowej zimowej kurtki. Wyjmuje zdjęcie znalezione w domu matki. Unosi je do oczu i spogląda z niedowierzaniem.

Widzi Johna Mallinsa, znanego również jako Rodney Tureck, człowieka, którego zastrzeliła jej matka. Mężczyzna trzyma na kolanach córkę. Dziewczynka ma osiem, może dziewięć lat, ciemne włosy i przenikliwe spojrzenie.

- O mój Boże!

Amanda opiera się o biurko, jakby ktoś ją na nie pchnął. Dziewczynka na zdjęciu to nie Hope. To kobieta, która siedzi teraz przed nią.

- John Mallins był twoim ojcem? - pyta tak niskim głosem, jakby wydobywał się z podłogi.

- John Mallins był moim mężem - poprawia Hayley, drżąc od stóp do głów. - Wcześniej był Rodneyem Tureckiem. - Z jej krtani wyrywa się gwałtowny szloch. - Moim ojcem.

Dziewczyna otwiera usta, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Próbuje się poruszyć, ale ręce i nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Czuje, jakby wisiała w powietrzu, tymczasem Hayley opada na podłogę.

- Proszę, nie pozwól, żeby odebrali mi dzieci - błaga Hayley, kołysząc się do przodu i do tyłu. - Nie pozwól, żeby pozbawili mnie dzieci.

Dopiero teraz Amanda zdaje sobie sprawę z tragizmu sytuacji.

- Twoich dzieci? O mój Boże! Jego dzieci.

- Powiedział mi, że jeśli ktoś się dowie, odbiorą mi dzieci. Dziewczyna opada na podłogę obok Hayley.

- Nikt nie odbierze ci dzieci. Słyszysz mnie?

Jej siostra przytakuje, ale sądząc z wyrazu twarzy, nie jest wcale przekonana.

- Musisz mi powiedzieć, co się stało. Proszę, Lucy - mówi, po raz pierwszy używając prawdziwego imienia swojej siostry i patrząc, jak brzemień lat w ułamku sekundy znika z jej twarzy. - Proszę, powiedz mi, co się stało.

- Był moim ojcem i bardzo go kochałam. Ty też kochałeś swojego tatę, prawda? - pyta Lucy z żalem.

- Bardzo.

- Tak. Twój ojciec był cudownym człowiekiem. Wspaniale mnie traktował.

Amanda kiwa głową, przypominając sobie życzliwą twarz taty.

- Niestety, nie był moim ojcem, a ja tak bardzo tęskniłam za tatą. Zawsze był moim ideałem mężczyzny, zawsze brał moją stronę, gdy miałam problemy z mamą. Kiedy mówiła, że nie mogę czegoś mieć, wychodził i kupował mi to. Gdy ona czegoś mi zabraniała, on mi na to pozwalał. Oczywiście, uważałam go za najlepszego ojca na świecie. Potem rodzice się rozwiedli, a tata zniknął z mojego życia. Nagle... przepadł. Po jakimś czasie mama wyszła za mąż za pana Price'a, a potem dość szybko ty pojawiłaś się na tym świecie. Wtedy jeszcze bardziej zaczęłam tęsknić za tatą.

Pewnego dnia znów się pojawił. Stał przed domem, gdy wracałam ze szkoły. Oczywiście, matka zabroniła mi się z nim widywać, więc musieliśmy się spotykać ukradkiem. Uważał, że mama jest złą kobietą, bo ukradła mu dużo pieniędzy, i prosił, żebym pomogła mu je znaleźć. Próbowałam. Kiedy mi się nie udało, powiedział, że będzie musiał odejść. Nie mogłam znieść myśli, że stracę go po raz drugi, więc błagałam, żeby zabrał mnie ze sobą. Ostrzegwał, że będziemy musieli zmienić nazwiska i ukrywać się. Uznałam to za ekscytującą przygodę. Pojechaliśmy do Anglii, przeprowadzaliśmy się z miasta do miasta i początkowo wszystko było dobrze, ale po jakimś czasie zaczęłam tęsknić za mamą, przyjaciółmi, a zwłaszcza za tobą. Powiedział, że nie możemy wrócić do domu, bo jeśli pojawimy się w Toronto, zostanie oskarżony o kidnaping i przeze mnie będzie musiał resztę życia spędzić w więzieniu. Obiecał, że pewnego dnia da mi moje własne dziecko.

Amanda zasłania twarz dłońmi, nie mogąc ukryć coraz większego obrzydzenia.

- Byłam całkowicie odizolowana. Przez dwa lata przeprowadzaliśmy się z miejsca na miejsce. Nie miałam przyjaciół. Nikogo oprócz niego. Nigdy się nie rozstawaliśmy. Był dla mnie wszystkim. Moim ojcem, nauczycielem, najlepszym przyjacielem. W końcu kochankiem. Potem mężem. Osiedliśmy w Sutton. Kupił mały sklep. Po jakimś czasie wszystko zaczęło się wydawać normalne. Kilkakrotnie poroniłam, potem dwukrotnie urodziłam martwe dzieci. Kara boża - powiedziałam sobie. Potem znów zaszłam w ciążę. Urodziła się zdrowa Hope. Więcej - była idealna. Po jakimś czasie pojawił się na świecie Spenser. A potem, no cóż, co miałam zrobić? Wyszłam za mąż za własnego ojca. Miałam z

nim dzieci. Z pewnością mówił prawdę, że jeśli ktoś się o tym dowie, odbiorą mi dzieci.

- Nikt nie odbierze ci dzieci - zapewnia ją ponownie Amanda.

- Niedawno zmarła mama Johna, więc uparł się, żebyśmy przyjechali pozałatwiać jej sprawy majątkowe. Tłumaczył, że w grę wchodzi spora suma, a po takim długim czasie nic nam już nie grozi. Dzieci były zachwycone. Nigdy nie wyjeżdżały z Sutton. Tak więc przyjechaliśmy do Toronto, do hotelu Four Seasons.

- Wtedy okazało się, że moja... nasza matka jest w foyer.

- Tak. Wyobrażasz sobie? Jadła podwieczorek z przyjaciółką. - Lucy śmieje się przez łzy. - Nazwij to, jak chcesz: zbiegiem okoliczności, fatum, boską interwencją. Tak czy inaczej była tam... na podwieczorku.

- Zobaczyła ciebie i dzieci...

- I natychmiast się zorientowała, co się stało.

- Dlatego przyszła następnego dnia i zabiła go.

- Gdy tylko policjant pojawił się w moich drzwiach z wiadomością, że John został zastrzelony - kontynuuje Lucy - wiedziałam, że to ona.

- Skąd ta pewność?

- Bo ja zrobiłabym to samo.

Lucy wypuszcza powietrze z płuc, jakby wstrzymywała je od dwudziestu pięciu lat.

Może rzeczywiście je wstrzymywała - myśli Amanda, biorąc siostrę w ramiona.

- Każda matka by to zrobiła - przyznaje, przytulając ją mocniej. - Każda matka.

## 34

W piątkowy rano na widok matki przez głowę Amandy przelatują szalone myśli: że Gwen wygląda zaskakująco pięknie jak na steraną życiem sześćdziesięcioletnią kobietę, która nie tak dawno miała płukanie żołądka; że okropny zielony więzienny strój w rzeczywistości wspaniale podkreśla kolor siniaków na twarzy; że poprzez sińce można się dopatrzeć pewnego podobieństwa do siostry, którą ostatnio odkryła; że chciałaby wziąć matkę w ramiona, pocałunkami usunąć owe sińce z twarzy i powiedzieć, że ją rozumie.

- Popęlniłaś potworne głupstwo - mówi tylko.

Za nic w świecie nie chce okazać współczucia starszej pani, nie chce, żeby zrozumienie postępu matki wzbudziło w niej sympatię. Współczucie nie zmaże winy. Zrozumienie może jedynie przerzucić mosty nad przepaścią, a Amanda od zbyt dawna była zła na matkę, żeby teraz tak łatwo z tego zrezygnować.

Od dziecka złość stanowiła jej siłę napędową. Złość ukształtowała jej charakter. Jeśli teraz z niej zrezygnuje, co jej zostanie? Kim będzie?

- Tak, rzeczywiście potworne - przyznaje matka, przenosząc wzrok z Amandy na Bena. Stoją na korytarzu nowego gmachu sądu, mniej więcej w tym samym miejscu co parę



dni temu. Kilku strażników obserwuje ich dyskretnie z pewnej odległości. Sąd nie rozpoczął jeszcze posiedzenia.

- Jak się pani czuje, pani Price? - pyta Ben.

- Dziękuję, znacznie lepiej. Bardzo chciałabym mieć już wszystko za sobą.

- Musimy porozmawiać, mamó.

- Wiem.

Czy strata jednej córki mogła usprawiedliwić całkowite zaniedbanie drugiej? Czy dawała Gwen prawo do upijania się do nieprzytomności i faszzerowania tabletkami, które w końcu doprowadziły do psychozy? Czy stanowiła podstawę do przejęcia sprawiedliwości w swoje ręce?

- Może usiądziemy?

Ben pokazuje ławkę pod odległą ścianą.

Amanda przygotowuje się na protest; jest zdumiona, kiedy matka się zgadza. Nagle łapie się na tym, że stoi samotnie na środku korytarza, a tymczasem Ben prowadzi jej matkę w stronę drewnianego siedziska. Amanda ze skrepowaniem rozgląda się w prawo i lewo, po czym idzie za nimi. Siadając powoli obok matki, odczuwa drżenie całego ciała. Ben przycupnął na drugim końcu ławki.

- Rozmawialiśmy z Hayley Mallins - mówi dziewczyna.

- Wiemy...

- ...wszystko - szepcze Gwen Price cicho.

- Tak, wydaje mi się, że wspomniałaś o tym w szpitalu.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Co dokładnie miałam ci powiedzieć?

- Wszystko - stwierdza córka, powtarzając wcześniejsze słowo matki, jedyne, które wydaje się pasować do obecnej sytuacji.

- Co miałam ci powiedzieć? Od czego zacząć?

- Może od faktu, że Hayley Mallins jest moją siostrą? Gwen Price kiwa głową. W jej oczach natychmiast pojawiają się łzy i po chwili spływają po twarzy.

- Jak ona się miewa?

- Jest bardzo zdenerwowana.

- Musi mnie serdecznie nienawidzić.

- Wcale cię nie nienawidzi.

- Czy to prawda?

Amanda wzrusza ramionami i zastanawia się, czy jest na świecie ktoś, kto zna prawdę.

- A dzieci? Jak one się czują?

- Jakoś się trzymają. Wciąż nie wiedzą wszystkiego. Gwen ponownie kiwa potakująco głową.

- To oczywiste. Są za młode, żeby zrozumieć.

- Wszyscy jesteśmy za młodzi, żeby zrozumieć - stwierdza jej córka. - Sama nie mogę tego pojąć, niezależnie od tego, ile razy wszystko sobie powtarzam i jak bardzo staram się, by słowa miały jakiś sens. Powiedz mi, mamó, jak coś takiego mogło się zdarzyć? Jak mogłaś ukrywać to przede mną przez tyle lat?

- Kiedy miałam ci powiedzieć? - pyta matka. - Gdy byłaś mała, a twoja siostra nagle zniknęła? Kiedy dni zamieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące, potem lata, a policja zajęła się pilniejszymi sprawami? Kiedy topiłam smutek w alkoholu i tabletkach antydepresyjnych? Kiedy byłam zbyt nieprzytomna, by wstać z łóżka, albo zbyt pijana, by logicznie myśleć? Kiedy patrząc na ciebie, widziałam twoją siostrę?

- Więc przestałaś na mnie patrzeć? Tak? Matka pochyla głowę.

- Tak mi przykro.

- Jak sądzę, to załatwia sprawę! - wybucha Amanda.

- Nie liczę na to, że zrozumiesz.

- Nigdy nie dałaś mi szansy, żebym zrozumiała.

- Byłaś dzieckiem.

- Niezbyt długo. Przy twojej wydatnej pomocy.

- Tak mi przykro - powtarza matka.

Amanda nie ma zamiaru dać matce rozgrzeszenia po zwyczajnych przeprosinach.

- Czemu nie zrobiłaś tego później, kiedy byłam już dorosła? Dlaczego wtedy mi nie powiedziałaś? Dlaczego tata mi o tym nie powiedział?

- Chciał - wyznaje matka szczerze. - Nie pozwoliłam mu. Wymusiłam na nim obietnicę... - Nagle urywa. - Zresztą wtedy było już za późno. Byłam zgorzkniałą, pełną złości kobietą i miałam zgorzkniałą, pełną złości córkę, która nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

- A więc to moja wina, że nic mi nie powiedziałaś?

- Nie, dobry Boże, nie - zaprzecza matka szybko, sięgając po jej rękę. - Jakim cudem miałyby to być twoja wina? Tylko ja jedna ponoszę odpowiedzialność. Tylko ja jedna jestem wszystkiemu winna. Ostrzegiał mnie. Powiedział, że jeśli nie oddam mu pieniędzy, które mu ukradłam, tak czy inaczej wyrówna porachunki. Powiedział mi to, ale go nie słuchałam. Nie przypuszczałam, że może być tak nieczuły. Tak niegodziwy.

Amanda odczuwa dotyk matki jak porażenie prądem, więc podrywa się na równe nogi i wsadza dłonie do kieszeni niebieskich spodni.

- Co teraz... mam zrobić? Współczuć ci? Wybaczyć? O to chodzi?

- Nie oczekuję od ciebie wybaczenia.

- To dobrze, bo go nie otrzymasz. Uwierz mi... nigdy.

- Proszę nam opowiedzieć o dniu, kiedy zobaczyła pani Rodneya Turecka ze swoją

córką w hotelu - prosi Ben ze swojego miejsca.

Gwen Price prostuje plecy, opiera głowę o ścianę w kolorze kości słoniowej i zamyka oczy.

- Byłam z kinie ze swoją przyjaciółką Corinne. Po filmie wybrałyśmy się na podwieczorek do Four Seasons. Robiliśmy to co tydzień. Dopijałyśmy herbatę i chyba miałyśmy już wyjść, chociaż nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć, co się wtedy działo. Pamiętam tylko, że usłyszałam śmiech dzieci i spojrzałam na środek foyer. Wtedy ich zobaczyłam.

- Rozpoznała ich pani po tylu latach?

Gwen otwiera oczy i wbija wzrok w przeciwległą ścianę, jakby na jej gładkiej powierzchni ponownie rozgrywała się cała scena.

- Najpierw zobaczyłam nastoletnią dziewczynkę. Miałam wrażenie, że widzę ducha. Wyglądała dokładnie tak samo jak jej matka w tym wieku. Zresztą widzieliście zdjęcie, więc wiecie. Prawdę mówiąc, przez sekundę myślałam, że to Lucy. Potem zdałam sobie sprawę, że to niemożliwe. Minęło dwadzieścia pięć lat, więc to nie mogła być Lucy. - Gwen rozgląda się na boki. - Myślałam, że mój umysł splątał mi jakiegoś okropnego figla, jak wtedy, gdy piłam. Właśnie miałam się odwrócić i zmykać gdzie pieprz rośnie, kiedy zobaczyłam Roda. Od razu go rozpoznałam. Czulałam się tak, jakbym wpadła na kogoś, z kim nie widziałam się od szkoły podstawowej. Minęły dziesięciolecia, a mimo to ani trochę się nie zmienił. Zresztą trudno pomylić jego twarz, niezależnie od tego, co próbował z nią zrobić. - Pociera czoło, jakby chciała zmasać niemiły obraz. - Potem zobaczyłam chłopca i kobietę, która trzymała go za rękę. Jego matkę. Moją córkę. Wtedy wszystko zrozumiałam. Wszystko było dla mnie potwornie, przerażająco jasne.

- Dlaczego do nich nie podeszłaś?

- Musicie zrozumieć, że wszystko rozegrało się w ułamku sekundy. Byłam zbyt zaskoczona, by cokolwiek zrobić - przyznaje matka. - Po chwili już ich nie było, a ja stałam kompletnie dezorientowana. Nawet nie wiem, jak dotarłam do domu. Pamiętam tylko, że w którymś momencie stałam przed apteczką z wszystkimi fiolkami w ręce - z tymi okropnymi pigułkami, które zachowałam, żeby mi przypominały, jak nisko upadłam i jak daleko zaszłam. Myślałam tylko o jednym: że nagle z powrotem znalazłam się tam, gdzie zaczęłam, że tonę szybciej niż poprzednio i że sprawy wyglądają o wiele gorzej, niż sobie wyobrażałam. Chciałam połknąć wszystkie prochy i położyć raz na zawsze kres swojemu bólowi. - Śmieje się, chociaż jej śmiech bardziej przypomina szczekanie. - Potem zdałam sobie sprawę, że wszystkie tabletki od dawna są przeterminowane i prawdopodobnie jedynie nabawię się po nich bólu żołądka. Jaki to miałoby sens?

- Postanowiłaś więc go zabić.

- Nie pamiętam, czy podejmowałam jakąkolwiek decyzję. Nie przypominam sobie,

kiedy wyjęłam rewolwer z pudełka i wzięłam go do ręki. O ironio, był to jego rewolwer. Kupił go dla własnego bezpieczeństwa, gdy byliśmy jeszcze małżeństwem. Tak czy inaczej pamiętam tylko, że następnego dnia siedziałam w foyer hotelu i czekałam. Kiedy zobaczyłam go w wahadłowych drzwiach, wstałam i podeszłam do niego. Uśmiechnął się lekceważąco na mój widok. Chyba uznał, że jakaś stara baba zastępuje mu drogę. Potem w jego oczach pojawił się błysk, nagle dotarło do niego, kim jestem. I że pociągam za spust. - Gwen głęboko oddycha, a potem kontynuuje: - Rozległo się kilka głośnych strzałów. Rod upadł na podłogę, a ludzie zaczęli krzyczeć, widząc, jak krew płynie na piękny dywan. Resztę już znacie.

- Dlaczego nie powiedziałaś policji prawdy?

- Jak mogłam to zrobić? - pyta Gwen Price córkę. - Jak mogłam zrobić coś takiego Lucy? Rod zabrał ją z mojego powodu. Wszystko, co jej się przydarzyło... to moja wina. Nie rozumiesz, że muszę ją ochraniać... że przynajmniej jestem jej winna milczenie?

- Dlatego założyłaś, że jeśli się przyznasz, nikt nie będzie prowadził dalszego dochodzenia?

- I nikt nie prowadził - stwierdza matka. - Policja miała wszystko, na czym jej zależało. Prawdę mówiąc, nikogo nie obchodziło, dlaczego to zrobiłam. Oprócz ciebie. - Uśmiecha się. - Zapomniałam, że potrafisz być bardzo uparta.

- Skąd możesz cokolwiek o mnie wiedzieć? - pyta Amanda. W jej głosie słychać powracającą złość. - Przez cały czas mojego pobytu na Florydzie ani razu nie próbowałaś się ze mną skontaktować. Ani razu nie próbowałaś się ze mną zobaczyć.

- Potrzebowałam kilku lat, żeby się pozbierać - wyjaśnia matka. - Kiedy w końcu udało mi się pokonać nałóg, wynajęłam prywatnego detektywa. Znalazł cię na Florydzie. Kupiłam bilet, potem następny i następny, ale nigdy nie wystarczyło mi odwagi, by wsiąść do samolotu. Usprawiedliwiałam się, twierdząc, że świetnie sobie beze mnie radzisz, więc po co otwierać stare rany? Pocieszałam się myślą, że przynajmniej wiem, gdzie jesteś.

Obserwowałam cię z daleka. W rzeczywistości jednak po prostu się bałam. Zdawałam sobie sprawę, że narobiłam potwornego bałaganu. Wiedziałam, że byłam dla ciebie okropna, zwłaszcza po śmierci twojego ojca. Miałam świadomość, że nie pomogą żadne przeprosiny.

Amanda jest zaskoczona, że surowa ocena matki jest aż tak bliska jej własnego spojrzenia na te sprawy. „Nie ma się co dziwić, że przy takiej córce ojciec zmarł na zawał serca”.

- Powiedziałaś mi, że ojciec umarł przeze mnie.

- O mój Boże! To niesprawiedliwe. I tak dalekie od prawdy! Kochanie, jeśli ktokolwiek był odpowiedzialny za zawał serca twojego ojca, to ja, nie ty.

Amanda potrząsa głową.

- Byłam okropna.

- Byłaś nastolatką. To ja byłam okropna. Łzy napływają do oczu Amandy.

- Zawiodłam go. Dzień po dniu sprawiałam mu zawód.

- Nie, skarbie - oponuje twardo matka. - To on ciebie zawiódł.

- O czym ty mówisz?

- Był tak pochłonięty troszczeniem się o mnie, że zapomniał, iż jego najważniejszym zadaniem jest opieka nad tobą - nawet jeśli byłaś bardzo samodzielna, sprawiałaś wrażenie silnej i miałaś swój pomysł na życie. Niezależnie od wszystkiego. Byłaś jego ukochaną córeczką i to ciebie przede wszystkim powinien ochraniać. Choćby tylko przede mną. - Wyciąga rękę, a potem ją cofa, bo Amanda udaje, że nie widzi gestu matki. - To nie była twoja wina, Mandy. Ty w niczym tu nie zawiniłaś.

Słowa matki spowijają Amandę jak delikatny, ciepły kokon. Młoda kobieta nagle czuje się jak więzień, którego najpierw niesłusznie skazano, a potem, kiedy niemal całe życie spędził za kratkami, niespodziewanie ulaskawiono i całkowicie oczyszczono z wszelkich zarzutów. Była wolna.

„To nie twoja wina, Mandy. Ty w niczym tu nie zawiniłaś”. Amanda opada z powrotem na ławkę. Jest niewinna.

- Tak mi przykro, kochanie - ciągnie matka. - Przepraszam za wszystkie krzywdy, za wszystkie okropne słowa, jakie ode mnie usłyszałaś. Może jest coś, co mogę powiedzieć albo zrobić, żeby wynagrodzić ból, który ci sprawiłam.

Amanda patrzy na posiniaczoną twarz matki. Jest taka piękna - myśli.

- Jest coś - słyszy własne słowa.

- Co takiego?

- Nie przyznawaj się do winy.

- Co takiego? - ponownie pyta matka.

- Byłaś kompletnie niepoczytalna. Żadna ława przysięgłych po wysłuchaniu twojej opowieści nie wyda wyroku skazującego.

Gwen energicznie kręci przecząco głową.

- Żadna ława przysięgłych nie usłyszy tej historii. Nikt inny nie usłyszy tej historii.

- Już za późno - oświadcza Amanda.

- Co takiego? O czym ty mówisz?

- Policja już ją usłyszała.

- O czym ty mówisz? - Matka nagle się ożywia i szarpie palcami fałdy bluzy. - Nie miałaś prawa. Nie miałaś prawa nic im mówić.

- Amanda niczego im nie powiedziała - wtrąca Ben.

- Nie rozumiem. W takim razie jak... ?

- Wczoraj wieczorem Lucy poszła na policję.

- Powiedziała im prawdę.

- Nie. Kłamiacie. Próbujecie mnie oszukać.
- Nie, mamó - zapewnia Amanda. - Koniec z kłamstwami.
- O mój Boże! Moja biedna, kochana dziewczynka. Dobrze się czuje?
- Dlaczego nie spytasz jej osobiście? - mówi Amanda, a Ben wstaje i podchodzi do drzwi.

I już oto stoi w progu, oświetlona od tyłu promieniami słonecznymi, które wpadają przez wysokie okna. Hayley Mallins, dorosła kobieta, która jako dziewczynka nazywała się Lucy Tureck.

Córka matki.

I moja siostra - myśli Amanda, gdy Hayley niepewnie idzie w ich stronę. Ma na sobie jasnoróżowy sweter i ciemnoszare spodnie, a ciemne włosy starannie zaczesła za uszy. Amanda zdaje sobie sprawę, że chociaż Lucy ma oczy lekko opuchnięte od płaczu, a wargi wyraźnie jej drżą, otacza ją aura spokoju. Widać jej wewnętrzną harmonię. Jak u dziewczyny na huśtawce z obrazu Renoira.

Matka powoli wstaje. Zatacza się, jakby w pozycji pionowej utrzymywały ją jedynie cienkie sznurki. Powoli podchodzi do niej obca osoba, która jest jej córką. Niewidzialne niteczki każą Gwen otworzyć usta.

- Lucy - wymawia bezgłośnie.

- Mamó - cicho odpowiada Lucy.

Obie kobiety padają sobie w objęcia. Ręce matki zanurzają się w miękkim wełnianym swetrze Lucy, pięści Lucy kurczowo zaciskają się na szorstkiej bawełnianej bluzie matki. Po kilku minutach powoli, niechętnie odsuwają się od siebie. Uważnie przyglądają się sobie nawzajem, jakby próbowały odnaleźć ślady przeszłości. Ich palce dotykają każdej nowej zmarszczki. Amanda przygląda się całej scenie z pewnej odległości. Widzi, jak matka przynajmniej kilkanaście razy całuje policzki jej siostry. Stara się nie marzyć o poczuciu tych warg na własnej skórze.

- Kocham cię - słyszy.

- Kocham cię - ktoś odpowiada szeptem.

Kiedy kobiety z powrotem padają sobie w objęcia i kołyszą się razem rytmicznie jak na niewidzialnej huśtawce, Amanda ociera niechcianą łzę. Potrząsa niecierpliwie głową. Co się, do diabła, dzieje? Z pewnością nie jest zła ani zazdrosna. Bóg świadkiem, że nie chce brać udziału w łzawej scenie. O co więc właściwie jej chodzi? Dlaczego czuje się tak, jakby ją pominięto? Dlaczego płacze nad losem dwóch kobiet, których właściwie nie zna i nie chce znać? Wszystko idealnie się ułożyło. Jej matka i siostra znów są razem. Nie ma wątpliwości, że prokurator pójdzie na ugodę. Amanda może w końcu raz na zawsze wyjechać z tego żalostnego miasta. Proszę bardzo. Wszyscy wygrywają. Wszyscy są szczęśliwi.

Wszystko jest, do jasnej cholery, w idealnym porządku.

- Laleczko?

Znienawidzone słowo przylatuje w jej stronę i przyciąga ją jak kiwający palec. Amanda patrzy ze zdumieniem, jak zamknięty krąg, który dotychczas tworzyły jej matka i siostra, otwiera się niczym kwiat, a obie kobiety z utęsknieniem wyciągają ramiona w jej stronę. Nie - myśli. Nie chcę iść. Tam nie ma miejsca dla mnie. Nie pasuję do ich kręgu. To zbyt przerażające. Zbyt niebezpieczne.

Przecząco kręci głową, mimo to coś pcha ją do przodu. Czuje, jak siostra chwyta ją za łokieć. Czuje, jak matka otacza ją ramieniem. Dwie kobiety unoszą ją w powietrze. Amanda wchodzi na huśtawkę.

## 35

Jadą w milczeniu na lotnisko. Jest piękny, bezchmurny dzień. Słońce wygląda jak żółta piłka na środku niebieskiego nieba. W taki dzień człowiekowi wydaje się, że jest cieplej niż w rzeczywistości - myśli Amanda, obejmując się rękami pomimo nowej ciepłej kurtki. Zastanawia się, kiedy będzie miała możliwość włożyć ją na Florydzie. Dochodzi do wniosku, że popełniła błąd, wydając tyle pieniędzy na coś tak mało pożytecznego, w dodatku czerwonego. Co ją, do diabła, naszło?

Najwyraźniej nie była sobą. Do głosu musiało dojść jej gorsze ja - uznaje ze śmiechem. A może lepsze? Z pewnością to również ono zgodziło się, żeby Ben odwiózł ją na lotnisko, gdy o wpół do siódmej rano pojawił się w domu jej matki, chociaż pożegnali się poprzedniego dnia. Doszli do wniosku, że obojgu będzie łatwiej tak się rozstać, bez zbędnego bólu.

Co więcej, niewątpliwie będzie to dojrzsze, stosowniejsze i spokojniejsze zakończenie zaskakującego i burzliwego tygodnia. Czy się po prostu nie uściskali i nie życzyli sobie wszystkiego dobrego? Czy nie obiecali informować się na bieżąco o postępach w procesie matki? Czy Amanda nie zapewniła, że pozostanie w kontakcie? Czy nie pogratulowali sobie nawzajem dobrej roboty?

Prokurator przez kilka godzin udawał nieugiętego, ale pod koniec dnia górę wziął zdrowy rozsądek. Umówili się z Benem, że matka zostanie uznana za chwilowo niepoczytalną i na jakiś, możliwie jak najkrótszy czas trafi do szpitala psychiatrycznego. Przez ten czas - prawdopodobnie znajdzie się na wolności za sześć miesięcy - Lucy zdąży pozłatwiać swoje sprawy w Anglii i wróci z dziećmi do Toronto. Dzięki niedawno zmarłej matce Rodneya Turecka będzie nawet miała trochę pieniędzy - nie mówiąc już o stu tysiącach dolarów w skrytce depozytowej w North York.

Na tym koniec. Sprawa zamknięta. Misja zakończona. Amanda zrobiła, co do niej należało.

- Dobrze się czujesz? - pyta Ben, przerywając przedłużające się milczenie.

Mówi spokojnie, jakby pogodził się z faktem, że ona wraca na Florydę, i rzeczywiście wyrwał z korzeniami to, co się w nich jeszcze tliło.

A ona tylko kiwa głową, nie mając odwagi się odezwać. Prawda wygląda tak, że od kilku dni ledwo rozpoznaje swój głos, a po wydarzeniach ostatniego tygodnia nie ma pewności, co może wyrwać się z jej ust. Przyleciała do Toronto jako całkowita sierota. Wyjeżdża jako czyjaś córka, czyjaś siostra, czyjaś ciocia. Były mąż stał się jej najbliższym przyjacielem. Czy można się dziwić, że sama nie bardzo wie, kim teraz jest?

Potrzebuje czasu, żeby to wszystko przetrwać. Potrzebuje dystansu. Musi odkryć, kim naprawdę jest Amanda Price Myers Travis.

Chrzanienie! - myśli z irytacją, zerkając w stronę Bena. Dokładnie wie, kim jest. Nie potrzebuje czasu. Nie potrzebuje dystansu. Potrzebuje mężczyzny, który siedzi tuż obok niej. Powinna schować dumę do kieszeni i powiedzieć Benowi, że zmieniła zdanie; zapewnić go, że jeśli nawet Jennifer jest wspaniałym prokuratorem i miłą kobietą, zdecydowanie do niego nie pasuje. Jediną osobą, która do niego pasuje, jest ona, dlatego chciałaby, żeby dał jej jeszcze jedną szansę.

- Kiedy odprowadzasz samochód do naprawy? - pyta.

- Chyba w poniedziałek zadzwonię do warsztatu - odpowiada Ben, nie odrywając oczu od drogi. - Mam nadzieję, że nie będzie mnie to zbyt dużo kosztowało.

Amanda jeszcze raz przytakuje. Dochodzi do wniosku, że chyba powinna go ponownie przeprosić, a przynajmniej zaproponować zwrot kosztów naprawy - w końcu wypadek wydarzył się przez nią. Jednak z drugiej strony jej przeprosiny zostały już przyjęte, a propozycja zwrotu kosztów zostałaby odrzucona, więc po co? Ben jest tak samo dumny, jak ona uparta.

„Zapomniałam, że potrafisz być bardzo uparta” - przypomina sobie słowa matki.

Ona i Ben naprawdę są bardzo do siebie podobni.

„Czy nie dlatego odeszłaś?” - spytał.

Wtedy to była słuszna decyzja i teraz też jest to słuszna decyzja - uznaje Amanda. Trzeba iść przed siebie. Nie da się cofnąć czasu. Próba powrotu byłaby poważnym błędem.

Autostrada jest mniej zatłoczona niż podczas poprzednich podróży, chociaż nadal nie brakuje na niej samochodów. Amanda zastanawia się, dokąd zmierzają ludzie o tak wczesnej porze. Stara corvetta podskakuje na sporej dziurze. Na tym polega problem z nisko zawieszonymi samochodami. Człowiek czuje każdą nierówność na drodze.

- Jesteś głodna? - pyta Ben, gdy mijają Airport Hilton.

Dziewczyna potrząsa głową, przypominając sobie młodą parę, która całowała się przy hotelowej windzie. Życzy im, żeby miło spędzili miodowy miesiąc na Bahamach, a potem żyli długo i szczęśliwie.

- Jeśli chcesz, możemy zjeść coś na lotnisku.



- Nie - protestuje Amanda głośniej, niż zamierzała. - Przepraszam - dodaje cicho.

- Za co?

- Możemy przyjąć, że za wszystko? Na ustach Bena pojawia się uśmiech.

- Nie musisz mnie za nic przeproszać, Amando.

- Sądzę, że muszę.

- Jestem dużym chłopcem. Wiedziałem, w co się pakuję.

Dobrze, że chociaż jedno z nas wiedziało - myśli Amanda, wyglądając przez szybę, kiedy Ben skręca w drogę prowadzącą do terminalu numer 2.

- Możesz wyrzucić mnie przed wejściem - proponuje. - Nie będziesz wtedy musiał wchodzić do środka.

- Tak, racja - przyznaje Ben, wjeżdżając na parking.

Samochód pokonuje kilka poziomów, nim w końcu znajdują wolne miejsce na czwartym piętrze tuż obok przejścia, które prowadzi do sali odlotów. Ben wyłącza silnik, wyjmuje kluczyki ze stacyjki i odwraca się do niej z ciepłym uśmiechem na twarzy.

- Jesteśmy na miejscu.

- Jesteśmy na miejscu - powtarza Amanda.

Ben wysiada z auta, zabiera z tylnego siedzenia torbę i otwiera drzwi, nie czekając, aż jego była żona odepnie pasy.

- Jesteś dziwnie radosny - mówi do niego.

Wstaje, po cichutku żegna się ze starym samochodem i idzie za Benem.

- Cieszysz się, że będziesz miał mnie z głowy? On uśmiecha się.

- Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

Najchętniej zepchnęłaby go w dół najbliższymi schodami ruchomymi. Idzie za nim do już zatłoczonego terminalu.

- Boże, gdzie ci wszyscy ludzie się wybierają?

- Na Florydę - odpowiada Ben. Prowadzi ją w stronę automatów. - Masz kartę kredytową?

- Poradzę sobie.

Sama wsuwa kartę kredytową w szparę, a potem wpisuje potrzebne informacje. Czekają, aż automat ją wpuści.

- Sądzę, że to już koniec - mówi, zmuszając się do uśmiechu.

- Mamy jeszcze sporo czasu - oponuje Ben. - Możemy napić się kawy.

- Nie, myślę, że pora się rozstać. Czeka mnie jeszcze odprawa celna i kontrola bezpieczeństwa. Kto wie, jak długo to potrwa.

Ben zerka na podłogę, a potem unosi wzrok.

- W takim razie pora się rozstać - przyznaje, powtarzając jej słowa.

- Tak - zgadza się Amanda.

Ben wychyla się i muska wargami jej policzek.

- Dbaj o siebie, Amando.

Amanda ma ogromną ochotę dotknąć miejsca pocałunku, zachować go na pamiątkę.

- Ty też.

- Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała?

- Oczywiście. A ty zadzwoń, jak będzie coś nowego w sprawie matki.

- Zawsze możesz ją odwiedzić - przypomina Ben. Amanda kiwa głową. Już to przerabiali.

- Wcześniej muszę sprawdzić, kiedy będę mogła wziąć urlop. Może nieprędko.

- Nie musi być zaraz - zapewnia Ben.

Idą w stronę odprawy celnej. W kolejce już stoi sporo osób.

- Wydaje mi się, że tu są formularze, które trzeba wypełnić. Ben pokazuje stolik tuż przy wejściu.

- Masz rację. Zaraz to zrobię.

- Proszę kartę pokładową - mówi umundurowana strażniczka, wyciągając rękę.

- Teraz już naprawdę musimy się rozstać - stwierdza Amanda ze śmiechem.

- Naprawdę.

- Do widzenia, Benie.

- Do widzenia, Laleczko.

Nagle padają sobie w objęcia. Ben całuje włosy Amandy, jej policzki, oczy, usta. Ona namiętnie odpowiada na jego pocałunki i z płaczem przywiera do niego całym ciałem. Nie pozwól mi wyjechać - myśli. Proszę. Nie pozwól mi wyjechać.

- Torują państwo przejście - mówi szorstko strażniczka. - Proszę odsunąć się na bok.

Amanda niechętnie uwalnia się z ramion Bena. Bierze długi, głęboki wdech i próbuje się pozbierać. Pora ruszać do przodu - przypomina sobie. Pora iść dalej.

- W porządku. Jestem gotowa.

Podaje kobiecie kartę pokładową. Ta dokładnie ją ogląda, a potem wpuszcza dziewczynę do środka. Amanda w drzwiach obraca się do Bena. Powiedz, żebyśmy została - prosi go w milczeniu.

- Zadzwoń do mnie od czasu do czasu - mówi na głos, patrząc, jak Ben znika w tłumie.

To już koniec - myśli. Naprawdę koniec.

Wypełnia formularze i staje w kolejce. *Kir-rell* - recytuje w milczeniu, czując, że litościwe odrętwienie ogarnia ją od stóp do głów. *Kir-rell. Kir-rell.* Potem rytm pożyczonej mantry zakłóca dzwonek czyjejs komórki. Zdaje sobie sprawę, że to jej telefon, więc wyjmuje go z torebki.

- Czy nie za wcześnie dzwonię? - pyta Ben.

- Gdzie jesteś?

- W samochodzie. Nie wiem, czy uwierzysz, ale znów zaczyna padać śnieg.

Amanda zerka w długie okno z przodu sali. Rzeczywiście pada.

- Przypomniałem sobie - ciągnie Ben - że od dość dawna nie miałem urlopu i z prawdziwą przyjemnością wyjechałbym na dwa tygodnie w jakieś trochę cieplejsze okolice.

- Na Florydzie jest ciepło - przypomina Amanda, wstrzymując oddech.

- Sam nie wiem. Mógłbym mieć problemy z miejscem w hotelu...

- Znam wspaniałe lokum, w którym mógłbyś się zatrzymać. Jest naprawdę piękne. Tuż nad oceanem.

- No cóż, będę musiał wszystko sobie poukładać, sprawdzić, kiedy uda mi się wyrwać...

- Myślę, że powinieneś to zrobić - mówi szybko, posuwając się powoli na przód kolejki. - A może tymczasem spróbowałbyś się dowiedzieć, co trzeba, żeby zrobić w Kanadzie aplikację. Prawdopodobnie będę musiała spędzić w Toronto trochę czasu i dopilnować, żeby moja matka znów kogoś nie zabiła.

- Uważam, że to dobry pomysł.

Długa cisza. Co dalej? - zastanawia się Amanda.

- Kocham cię - mówi.

- Ja też cię kocham - pada prosta odpowiedź.

- Następny - mówi strażnik, kierując Amandę do boksu numer 15.

- Ciężkie czasy? - pyta celnik sarkastycznie, wskazując na telefon komórkowy w jej ręku.

- Słucham? Nie, nie.

Wrzuca telefon do torebki i podaje mężczyźnie paszport, próbując opanować uśmiech.

- Raczej wspaniale.

Po godzinie siedzi w zatłoczonym odrzutowcu i wygląda przez szybę. Pilot właśnie oznajmił, że lecą na wysokości przelotowej, która wynosi ponad jedenaście kilometrów. Ostrzegł, że chociaż niebo jest czyste, po drodze mogą się zdarzyć turbulencje. Amanda opiera czoło o niewielką szybę i zatraca się w bezkresnym błękicie.

Widzi przyszłość.

